ROK XXIII.
Ogólnego zbioru Tom LXXXIX.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

TOM I. — ZESZYT I.

Styczeń.

WARSZAWA.

1898.

Druk Jana Cotty.

SPIS RZECZY.

I. **Początek i rozwój wyższych szkół technicznych.** Politechnika w Warszawie. Przez *Feliksa Kucharzewskiego* . 1

II. **Z brzegów.** Przez *J. K.* 22

III. **Jan Kochanowski** w świetle ostatnich wyników krytyki historycznéj. Przez *Ferdynanda Hoesicka* 24

IV. **O samorządzie ziemskim.** Przez *Adolfa Suligowskiego* . 79

V. **Salony paryskie.** Przez *Antoniego Austena* 104

VI. **W raju.** Z życia Polaków w Ameryce. Szkic do powieści. Przez *Z. S.* 138

VII. **Rozbiory i sprawozdania:**
J. Kirszrot-Prawnicki. „O oszczędności, kasach i stowarzyszeniach oszczędnościowych i pożyczkowo-oszczędnościowych. Ocenił *Pst.* 190
Władysław St. Reymont. „Fermenty”. Ocenił *L. Rutkowski* 191

VIII. **Nowości naukowe i literackie** 193

IX. **Kronika miesięczna.** Przez *Tadeusza Smarzewskiego* . . 198

X. **Ogłoszenia** 210

Zeszyt zawiera arkuszy **13.**

Druk ukończono d. 29 stycznia 1898 r.

POCZĄTEK I ROZWOJ

WYŻSZYCH SZKÓŁ TECHNICZNYCH.

Politechnika w Warszawie.

Sprawa politechniki w Warszawie, poruszona w pismach, podjęta w porę przez sekcyę techniczną warszawskiego oddziału Towarzystwa popierania przemysłu i handlu i powierzona komisyi, popierającéj ją z godną uznania energią, zainteresowała ogół, wywołując częste wzmianki w prasie i ożywione rozprawy w kołach prywatnych. Społeczeństwo pojęło i odczuło potrzebę zakładu, w którym mogłyby czerpać naukę liczne zastępy młodzieży naszéj, zmuszonéj dotąd szukać z wielkim trudem wykształcenia specyalnego w Cesarstwie i zagranicą. Zakład taki, na którego pilną potrzebę u nas zgodzili się wszyscy, nazywano rozmaicie w mowie i piśmie: politechnika, instytut politechniczny, szkoła politechniczna, wyższa szkoła techniczna, — pod temi nazwami mając zawsze na myśli wyższy zakład naukowy, o pewnéj liczbie wydziałów, odpowiadających najważniejszym gałęziom przemysłu krajowego. Sama jednak rozmaitość używanych nazw wykazywała, jak mało rozpowszechnione są wiadomości, dotyczące początku i rozwoju podobnych zakładów, oraz stanowiska, jakie zajęły te zakłady, w szeregu innych wyższych zakładów naukowych w ostatnich czasach.

Śladów nauczania technicznego nie spotykamy w starożytności, pomimo wielkich robót irygacyjnych w dolinie Nilu, budowy piramid, rozwoju budownictwa w Grecyi, budowy dróg, mostów i wodociągów przez Rzymian. Ówczesna wiedza techniczna, z wyjątkiem nielicznych szczegółów, pozostałych w dziełach uczonych, wytworzyła się i przechowała pod postacią sekretnych przepisów rzemieślniczych. W wiekach średnich zamknęły ją w sobie klasztory, lub otoczyły tajemnicą korporacye rzemieślnicze. Ślady jéj pozostawiły po sobie bractwa mostowe w swych budowlach, inne odnajdujemy w dziele Teofila mnicha, rękopismach Leonarda Vinci i t. p.

Dopiéro na podstawie odkryć Galileusza i Newtona powstać mogły nauki techniczne i kolébką ich była Francya. Naukowemu traktowaniu budownictwa wodnego i budowy dróg i mostów dali początek w XVIII-ém stuleciu: Dela Hire, Gautier, Perronet i Belidor. W Niemczech podwaliny nauki górnictwa położył Calvör, w Anglii nowe działy techniki wytworzyli: Arkwright, Watt i Stephenson. Jednocześnie téż z gromadzeniem materyału naukowego pojawiają się pierwsze skromne zawiązki szkół technicznych.

Z początku były to szkoły specyalne, poświęcone tym gałęziom techniki, które większym cieszyły się rozwojem. A więc najprzód powstały szkoły artyleryi i inżynieryi wojskowéj. Sam wyraz inżynier oznaczał dawniéj wyłącznie inżyniera wojskowego. W języku polskim użyty był w tém znaczeniu w r. 1643 w przekładzie „Archelii" Diega Uffana, gdzie tłómacz pisał: *ingenier*. Solski w r. 1690 rozumiał już pod tą nazwą takich, „którzy najmniejsze wynalazki dowcipu ludzkiego drukują" i pisał *indzienier*.

Specyalne szkoły wojskowe istniały we Francyi jeszcze w końcu XVII-go wieku, jak szkoła artyleryi w La Fère. Równocześnie pojawili się we Francyi inżynierowie dróg i mostów. Pierwszym takim inżynierem mianowany został Romain, członek ostatniego z bractw mostowych. Francuski wszakże korpus inżynierów dróg i mostów utworzony został dopiéro w r. 1716. Z początku inżynierowie ci kształcili się, praktykując przy starszych, ale wkrótce uznano potrzebę szkoły i w r. 1747 założył Perronet szkołę dróg i mostów.

Tak do téj szkoły, jak i do szkół wojskowych, przyjmowano nader ograniczoną liczbę kandydatów, ściśle potrzebną dla służby rządowéj. Szkoły miały wykład nauk teoretycznych dość ograniczony. O szkołach, dla techników wogóle, nie myślano jeszcze we Francyi. Pod tym względem pierwszeństwo należy się Niemcom.

Jak wiedza techniczna w pierwszych swych początkach związana była ściśle z biegłością rzemieślniczą, tak téż i pierwsze szkoły techni-

czne nosiły więcéj charakter szkół rzemieślniczych. Cały obszar techniki, nieugruntowany naukowo, nie był jeszcze rozczłonkowany na pojedyńcze działy i pierwsze szkoły starały się równocześnie przygotowywać pracowników podrzędnych i głównych. Nauczanie polegało na pokazywaniu robót i przyswajaniu przepisów praktycznych więcéj, niż na wykładzie zasad. Uczniowie wchodzili do tych szkół z wykształceniem elementarném, a nauczyciele nie wszyscy posiadali wykształcenie wyższe.

Taką niższą szkołę techniczną założył w Niemczech w r. 1705 proboszcz Semler w Halli. Nazwano ją późniéj „Matematyczno mechaniczną ekonomiczną szkołą realną". Podobna szkoła powstała w Berlinie w r. 1747 ym. Przez pewien czas szkoły te dążyły istotnie do kształcenia techników, późniéj wzięło w nich górę wykształcenie ogólne i w końcu zamieniły się na zwykłe szkoły realne. Dzięki upartemu klasycyzmowi gimnazyów, szkoły realne nie przestały się daléj rozwijać, wytwarzając niepożądane, dla techników zwłaszcza, rozdwojenie wykształcenia średniego, o czém jeszcze przyjdzie nam wspomniéć.

W r. 1745 powstało w Brunświku *Collegium Carolinum*. Założycielem był opat Jerusalem, który, jak na owe czasy, dziwnie trzeźwo zapatrywał się na wykształcenie młodzieży i potrzeby społeczeństwa, zamieszczając w programie szkolnym te pamiętne słowa: „My uczeni od dawnych czasów wyobrażamy sobie, że stanowimy jedyną podporę społeczeństwa, że po za naszemi czterema fakultetami nie ma już zbawienia ani rozumu. Wszakże, zostanie się nam jeszcze dość sławy, jeżeli jéj część, choćby nawet połowę, zostawimy ludziom innych stanów. Ci, którzy oddają usługi społeczeństwu, urządzając zakłady publicznego dobra, zajmując się handlem, podnoszeniem rzemiosł, gospodarstwem, — którzy pracują nad sztukami mechanicznemi na wodzie i na lądzie, na ziemi i pod ziemią, szukając ogólnego pożytku, stanowią równie ważny element społeczeństwa, jak i uczeni. A jednak dla tych wszystkich przy urządzaniu szkół tak mało dotąd zrobiono." Słowa te były jakby programem przyszłego rozwoju szkół technicznych w Niemczech.

Oddział techniczny *Collegium Carolinum* obejmował, oprócz innych przedmiotów, wykłady leśnictwa, górnictwa i hutnictwa, a także naukę skarbowości i policyi. Mechanice zapewnił opat Jerusalem w swéj szkole należne stanowisko. *Collegium* dzieliło się z początku na dwa wydziały: techniczny i humanistyczny, — ten ostatni przygotowywał do studyów uniwersyteckich. Z rozwojem gimnazyów oddział humanistyczny zwinięto, a szkoła pozostała czysto techniczną, służąc

jako wzór innym późniejszym zakładom i w końcu przemieniając się w dzisiejszą wyższą szkołę techniczną w Brunświku.

W chronologicznym porządku, po Brunświku następują zawiązki wyższych szkół technicznych w Paryżu, Berlinie, Wiedniu i Karlsruhe. Wyjątkowe znaczenie w dziejach wykształcenia technicznego przedstawia otwarta w Paryżu w r. 1794, z decyzyi Konwencyi narodowéj, szkoła centralna robót publicznych, przemianowana w roku następnym na szkołę politechniczną. Organizacyę tego zakładu powierzono Monge'owi, wraz z Lagrange'm, Legendre'm, Laplace'm i innymi najznakomitszymi uczonymi. Czynny udział umysłów, stanowiących epokę w nauce, staranny dobór uczniów na zasadzie bardzo ścisłego egzaminu konkursowego, do którego na początkowo 100, a następnie 200 miejsc corocznie wakujących, stawały tysiące kandydatów ze wszystkich stron Francyi, wreszcie gorliwa opieka rządu, — wszystko to wytworzyło z francuskiéj szkoły politechnicznéj świetne ognisko naukowe, promieniujące na całą Europę. Kurs nauk, dwuletni, obejmował, jak i dziś, matematykę i nauki przyrodnicze, w zakresie wystarczającym dla inżynierów; mimo jednak nazwiska i celów szkoły, nauki te były czysto teoretyczne. Dopiéro po ukończeniu szkoły politechnicznéj uczniowie wstępowali do szkół specyalnych. Szkoły te zreformowano odpowiednio do gruntownego przygotowania uczniów i wokoło świetnego ogniska teoryi w szkole politechnicznéj, powstały słynne także ogniska nauk stosowanych, jak szkoła dróg i mostów, szkoła górnicza, szkoła wojskowa artyleryi i inżynieryi, wszystkie przygotowujące ograniczoną liczbę inżynierów dla służby rządowéj. Wzajemny stosunek tych szkół i dalszy ich rozwój, określił następującemi słowy p. Wł. Folkierski w swym odczycie wstępnym do wykładów mechaniki i teoryi machin w uniwersytecie limańskim (drukowanym po polsku w „Czasopismie Techniczném lwowskiém" z r. 1893):

„Nauka praktyczna w tych szkołach aplikacyjnych nie nadaje już kończącym je prerogatyw, przywiązanych do szkoły teoretycznéj; ci, co wstępują do nich wskutek egzaminu, nie przeszedłszy przez szkołę politechniczną, nie mają praw służby rządowéj, ani nie są odznaczani jak pierwsi, jakikolwiek byłby rezultat ich fachowéj nauki. To podporządkowanie praktyki pod teoryę, które było powodem wielu zarzutów, jest jednakże jedną z przyczyn wyjątkowego znaczenia, jakie zyskali sobie w technice inżynierowie francuscy. Te wyjątkowe warunki, w jakich została utworzoną i w jakich się rozwijała szkoła politechniczna paryska, dobór profesorów, selekcya uczniów i zastosowana do tego organizacya, wyrobiły w nauce metodę, którą nazwać można klasyczną. Metoda ta oddała i oddaje jeszcze wielkie usługi nau-

ce; ale w końcu stało się z nią to samo, co z klasycyzmem na polu literatury. Nie stało klasyków, choć byli jeszcze ludzie wybitnego talentu; powiew czasu, postęp nauki, uczynił zbyt ciasnemi wszelkie karby nawet mistrzowską skréślone ręką, w jakie chciano zamknąć badania naukowe. Organizacya szkoły politechnicznéj doznała téż w drugiéj połowie bieżącego stulecia zmian, wypadających niekoniecznie na jéj korzyść naukową; ognisko nauki postępowéj przeniosło się do innych instytucyi, obszerniejszego, swobodniejszego, mniéj programami skrępowanego zakresu. Metoda również uległa koniecznym zmianom, zbliżając się więcéj do metody naturalnéj w badaniu zjawisk przyrody."

Gdy wobec rozwoju nauk technicznych zaczęto odczuwać w innych krajach, już w pierwszéj połowie bieżącego stulecia potrzebę zjednoczenia w jednym wyższym zakładzie naukowym różnych wykładów specyalnych, — we Francyi szkoły specyalne nie przestawały kwitnąć, służąc nawet za wzór podobnym zakładom w innych krajach, jak np. w Petersburgu. Jednocześnie wszakże dał się czuć we Francyi brak zakładu, w którym mogliby się kształcić inżynierowie dla przemysłu i w r. 1829 powstała w Paryżu szkoła centralna sztuk i rzemiosł, z początku prywatna, a w r. 1857 przejęta przez rząd. Połączono w niéj naukowość szkoły politechnicznéj z praktycznym wykładem zastosowań, a w miejsce wojskowego pensyonatu urządzano eksternat ze ścisłym programem robót wewnątrz szkoły i nieustanną kontrolą nad uczniami. Kurs jest trzyletni, a egzamin wstępny przekracza zakres matematyki gimnazyalnéj, obejmuje bowiem geometryę analityczną i wykreślną, oraz część algebry wyższéj. Szkoła kształci inżynierów cywilnych, mechaników, chemików i metalurgów.

W Niemczech, w samym początku bieżącego stulecia powstawały także zakłady specyalne, jak akademie górnicze w Klaustalu i Freibergu, akademia budowlana w Kassel. Założona w Berlinie w r. 1799 akademia budowlana, objęła nietylko architekturę i budownictwo cywilne, ale również nauki inżynierskie, a nawet w ograniczonym zakresie budowę maszyn. Miała ona na celu dostarczać geometrów, inżynierów cywilnych, a także i majstrów budowlanych. Z początku przyjmowano młodzież od lat 15, od któréj wymagana była znajomość łaciny, francuskiego i arytmetyki; ale już w r. 1801 wprowadzono obostrzenia przy wstępie i żądano świadectw z ukończenia trzeciéj lub drugiéj klasy gimnazyalnéj, t. j. naszéj szóstéj lub siódméj. Szkołę tę wprowadzili na tory ściśle naukowe tacy uczeni, jak Eitelwein i Gilly. Od roku 1809 do 1824 akademia budowlana była połączona z akademią sztuk pięknych. Dla względów finansowych rząd pruski pozostawił

zbyt długo nie rozdzielone wydziały inżynieryi cywilnéj i budownictwa, co po r. 1852 hamować zaczęło dalszy rozwój akademii. Prywatne kształcenie się inżynierów rozpowszechniło się wtedy w Berlinie. Studenci akademii tworzyli kółka, zajmujące się przygotowywaniem kandydatów do egzaminów rządowych.

Akademia Przemysłowa w Berlinie (*Gewerbe Akademie*) powstała z niższéj szkoły technicznéj, założonéj przez Piotra Beutha w r. 1821. Dla nauki rzemiosł Beuth założył także szkoły więcéj elementarne, które jednak, podobnie jak dawniejsze w Halli i Berlinie, powoli przemieniły się w szkoły realne i przygotowywały młodzież do akademii. Wstęp do szkoły technicznéj Beutha był łatwy: od kandydatów, liczących 12 do 16 lat wieku, żądano tylko początkowych wiadomości. Program szkoły obejmował w klasie niższéj: matematykę elementarną, chemię, fizykę i rysunek, — a w klasie wyższéj: matematykę i mechanikę, budowę maszyn, chemię czystą i stosowaną. Przy zakładaniu szkoła liczyła 4 nauczycieli i 13 uczniów. W miarę wszakże jak akademia budowlana, nie stosując się do bieżących potrzeb społeczeństwa, zwalniała swój rozwój, to szkoła założona przez Beutha wciąż rosła, w r. 1826 miała już trzecią klasę, a w następnym przemianowaną została na instytut przemysłowy. Wobec budowy dróg żelaznych i wprowadzenia tego działu techniki, wymagającego rozleglejszego przygotowania, do programu instytutu, wypadało ustanowić nowe warunki wstępne. Granicę wieku kandydatów podniesiono i przyjmować zaczęto młodych ludzi, liczących od 17 do 27 lat, żądając od nich patentu gimnazyum, szkoły realnéj lub jednéj z prowincyonalnych szkół przemysłowych. W r. 1860 nastąpiła nowa reorganizacya instytutu. Znikł jego charakter szkoły średniéj, wprowadzono ścisły podział na wydziały: ogólny, mechaniczny, chemiczny, fabryczny i budowy okrętów. W r. 1867 znów wróciła dawna nazwa akademii przemysłowéj, a w roku 1870 nadane były zakładowi nowe przywileje.

Jak widzimy, dopóki technika sama znajdowała się w kolébce, powstawać mogły i powstawały szkoły niższe. Następnie przy większym rozwoju poszczególnych gałęzi techniki, powstawały szkoły specyalne, tym gałęziom poświęcone. Dopiéro gdy uznano potrzebę zjednoczenia różnych gałęzi techniki, w zupełności zależnych jedna od drugiéj, w zakładach wspólnych, powstać mogły wyższe szkoły techniczne, mające na celu, równie jak uniwersytety, udzielanie w najszerszym zakresie wykształcenia fachowego i prace, nad rozwojem odnośnych gałęzi wiedzy.

Szkoły te powstały w Niemczech prawie wszystkie ze szkół niższych, założonych w końcu ubiegłego lub początku bieżącego stulecia.

Większa ich część wiodła z początku egzystencyę nader skromną. Wykłady odbywały się jakby w szkołach dla rzemieślników; komunikowano uczniom wyciągi z dzieł bez naukowego uzasadnienia. Przy niektórych szkołach urządzone były warsztaty, w których uczniowie obowiązani byli pracować, ale i tu nauka rzemiosł nie była prowadzona systematycznie. Jako zabytek tego sposobu kształcenia przyszłych inżynierów, wzmiankować można istniejące po dziś dzień warsztaty w instytutach technologicznych w Rosyi. W niektórych szkołach braki wykładowe dochodziły do tego stopnia, że uczniowie musieli uczęszczać na wykłady ogólno-naukowe w innych zakładach. W Darmsztadzie chodzili do szkoły realnéj, a w Brunświku do humanistycznego oddziału *Collegium.*

W historycznym rozwoju uniwersytetów służyły jako wzór Paryż i Bolonia, — w takimże rozwoju wyższych szkół technicznych: Paryż, Wiedeń, a późniéj Karlsruhe. Kiedy w Paryżu oparto cały system szkół specyalnych na gruntowném przygotowaniu teoretyczném, jakie dawała szkoła politechniczna, — w Wiedniu podał Prechtl plan zakładu, jednoczącego w sobie wszystkie gałęzie techniki. W r. 1815 rozpoczęły się wykłady, ale dopiéro w r. 1817 zatwierdzony został w całości instytut politechniczny wiedeński, obejmujący oprócz wyższéj szkoły technicznéj, konserwatoryum sztuk i rzemiosł i towarzystwo popierania przemysłu krajowego. Jako szkoła wyższa, z uniwersytecką swobodą kształcenia, dzielił się instytut początkowo na dwa wydziały, przygotowujące: mechaników, inżynierów przemysłowych, rolników, leśników, geometrów, budowniczych i inżynierów cywilnych. Późniéj, odpowiednio do tych specyalności rosła liczba wydziałów. Organizacya obmyślana przez Prechtla wydawać zaczęła świetne owoce i jak paryska szkoła politechniczna wywarła wpływ na inne szkoły techniczne ścisłością wykładów matematyki i nauk przyrodzonych, tak samo instytut politechniczny w Wiedniu posłużył za wzór systematycznéj organizacyi wykładów nauk technicznych.

Z postępem czasu rozszerzał się i pogłębiał zakres tych nauk i znikał powoli rzemieślniczy charakter szkół technicznych, które stawały się coraz więcéj naukowemi. Zwiększała się powoli różnica między szkołami niższemi a średniemi: pierwsze wzięły się do kształcenia majstrów i wogóle techników niższych, gdy średnie instytuty techniczne wydawać zaczęły wyłącznie techników, przygotowanych do zajmowania wyższych stanowisk. Program ich się rozszerzył, klasy lub szkoły przygotowawcze przy tych instytutach, powoli znikały i wszędzie przyjęto za warunek wstępu do instytutu ukończenie średniego zakładu naukowego. Jednocześnie wzrosła liczba tych średnich zakładów

przez otwarcie znacznéj liczby nowych szkół realnych i profesyonalnych.

Z rozpoczęciem budowy dróg żelaznych w połowie bieżącego stulecia i wywołanym przez to rozwojem budowy maszyn, mostów i t. p. przy robotach tak poważnych powstała potrzeba techników odpowiednio wykształconych. Instytuty techniczne, jak je nazwano wtedy: politechniki, usiłowały odpowiadać wymaganiom, rozszerzając wykłady budowy maszyn i mostów. Nie można było tego wykonać z pożytkiem bez oparcia ich na jedynéj trwałéj podstawie, mianowicie na ścisłych wykładach mechaniki. O tym zwrocie w wykształceniu technicznem w Niemczech, pozwolimy sobie przytoczyć słów parę ze wspomnianéj już prelekcyi p. Władysława Folkierskiego:

„Pomyślny zwrot na drodze ulepszenia metody wykładowéj w Niemczech, nastąpił przez szkołę politechniczną w Karlsruhe, gdy ta powołała w r. 1841 na swego kierownika Redtenbachera (z Wiednia). Rozumiał on całą doniosłość nauki mechaniki, jako podstawowéj wszystkich nauk technicznych i starał się o postawienie tego wykładu na stopie doskonałości, na którą pozwalały ówczesne środki. Obok mechaniki technicznéj (obejmującéj niezbędne zasady i szczegółowe ich rozwinięcie w praktycznym kierunku), utworzono w następnym roku wykład mechaniki analitycznéj (rozumowéj, racyonalnéj we Francyi); sądzono, że w ten sposób wszelkie trudności będą załatwione. Lecz pokazało się, że po dwóch latach mozolnéj nauki owych dwóch mechanik, między któremi nie umiano zaprowadzić koniecznéj łączności, uczniowie przechodzący w roku następnym na kurs teoryi machin, wykładany przez Redtenbachera, która to teorya została przez niego w mistrzowski sposób wydoskonaloną, nie umieli a właściwie nie rozumieli ani jednéj, ani drugiéj. Wskutek czego Redtenbacher zmuszony był chwycić się radykalnego środka: czwartą część swych wykładów, jedno półrocze z czterech, poświęcił na ponowny wykład mechaniki ogólnéj, sprowadzając go do najważniejszych zasad. Wykład ten, ogłoszony w niewielkim tomie p. t. „*Principien der Mechanik*”, zdawałby się przeznaczonym dla początkujących, a był nim właściwie dla tych, co odbyli już dwuletni kurs téj nauki; jest on mistrzowskim wzorem metody, według któréj pierwsze zasady mechaniki powinny być wykładane dla jasnego ich pojęcia i dziś jeszcze może być czytanym z korzyścią przez tych nawet, którzy sądzą, że je dokładnie zrozumieli.”

Dodać wypada, że Redtenbacher starał się także o ogólne wykształcenie techników, zachęcając gorąco swych uczniów do uczęszczania na wykłady przedmiotów humanistycznych, literatury, historyi, eko-

nomii politycznéj i t. p. Urządzona przez uczniów Redtenbachera w r. 1854 szkoła politechniczna w Zurichu, w kierunku przez mistrza wskazanym, stanęła niebawem na pierwszém miejscu między szkołami technicznemi z językiem wykładowym niemieckim. Metoda wykładu mechaniki, w zastosowaniu do techniki, zyskała ważny nabytek, wprowadzeniem statyki graficznéj, przez ucznia Redtenbachera prof. Cullmana w Zurichu.

Jak rozwój budowy dróg żelaznych, a przytém budowy maszyn i mostów, tak samo i rozwój technologii chemicznéj, a zwłaszcza hutnictwa, oddały przemysłowi znakomite usługi. Wodociągi, gaz, oświetlenie elektryczne, wszystkie te nowości zmuszały techników do ciągłéj pracy i wywoływały potrzebę wprowadzania nowych wykładów do szkół technicznych, albo tworzenia oddzielnych wydziałów. Wzrastające zapotrzebowanie na techników wyżéj wykształconych naukowo i szybki rozwój nauk technicznych, wszystko to podnosiło poziom szkół technicznych, napierając do coraz ściślejszéj naukowo organizacyi. Gdy już wszystkie gałęzie techniki zdobyły sobie rzeczywiste podstawy naukowe, tracić zaczęły znaczenie szkoły specyalne, wywołane nierównomiernym rozwojem pojedyńczych gałęzi.

Zaznaczyć wypada, że sam zawód techniczny, t. j. technicy praktykujący, przyczynili się żądaniami swemi do wytworzenia wyższych szkół technicznych. W r. 1824 powstało w Berlinie stowarzyszenie architektów, do którego wkrótce przyłączyli się przedstawiciele innych gałęzi techniki, wytwarzając stowarzyszenie architektów i inżynierów. Stowarzyszenie to występować zaczęło energicznie z żądaniem założenia wyższéj szkoły technicznéj, wszechnicy odpowiadającéj znaczeniem uniwersytetom, kształcącéj fachowców, a równocześnie posuwającéj naprzód wiedzę techniczną. Agitacya rozszerzyła się i na Austryę. Technicy i szkoły istniejące wszyscy przyjęli udział w tym ruchu. W niektórych szkołach, jak w berlińskim instytucie przemysłowym, uczniowie domagali się demonstracyjnie zmiany organizacyi gimnazyalnéj na uniwersytecką. Demonstracye te wywołały w r. 1860 zamknięcie dwóch wyższych kursów instytutu, a następnie zamknięcie niższego kursu, ale w końcu instytut zdobył sobie swobodę akademicką. Toż samo powtórzyło się w Karlsruhe.

Przekształcenia szkół technicznych średnich na wyższe szkoły techniczne w Niemczech południowych i środkowych dokonano bez trudu i tylko dwie akademie berlińskie pozostawały w niezależności jedna od drugiéj, obie dość silne, by bronić samodzielnego swego stanowiska. Ale idea postępu przemogła i w r. 1879 wytworzono z nich berlińską wyższą szkolę w Charlottenburgu. Doszły przez to Niemcy do posia-

dania dziewięciu wyższych szkół technicznych, mianowicie: w Akwizgranie (najnowsza, otwarta w 1870 r.), Berlinie, Brunświku, Darmsztadzie (od 1836 r. wyższa szkoła przemysłowa), Dreznie (od 1828 szkoła techniczna), Hannowerze (od 1831 wyższa szkoła przemysłowa), Karlsruhe, Monachium (od 1827 szkoła politechniczna centralna), Stutgarcie (od 1829 wirtemberska państwowa szkoła przemysłowa).

W Niemczech istnieje obecnie mnóstwo niższych i średnich szkół technicznych, dających odpowiednie wykształcenie specyalne i szkoły wyższe mogą zajmować się wyłącznie, z jednéj strony dalszym rozwojem nauk technicznych a z drugiéj dostarczaniem wysoko wykształconych techników. Programy są tak rozległe, że na przedmioty ogólnie kształcące braknie czasu, dlatego téż od kandydatów wymagane jest uprzednie ukończenie gimnazyum. W wyższych szkołach technicznych w Niemczech praktykowana jest uniwersytecka swoboda kształcenia się, sprzyjająca rozwojowi umysłu, życia naukowego i wzajemnego oddziaływania na siebie studentów. Dziekan wydziału zwykle tylko doradza na jakie wykłady student winien się zapisać, stosownie do celu, do jakiego dąży. Studenci mogą przechodzić z jednéj wyższéj szkoły technicznéj do drugiéj, tak samo jak w uniwersytetach i z każdéj szkoły przyjmowani są do egzaminów państwowych.

Wyższe szkoły techniczne niemieckie jednakowo podzielone są na wydziały i każda ma wydział architektury, inżynieryi cywilnéj, mechaniczny, chemiczny i wreszcie ogólny, obejmujący matematykę, nauki przyrodzone i wykłady dodatkowe przedmiotów ogólnie kształcących. Niektóre mają jeszcze inne wydziały oprócz wymienionych, jak Karlsruhe wydział leśny, Monachium—wydział rolniczy, Zurich—rolniczo-leśny. Górnictwo wykładane jest w Akwizgranie, budowa okrętów stanowi w Berlinie sekcyę wydziału mechanicznego. Oddzielny wydział elektrotechniczny ma szkoła Darmstadzka, w innych elektrotechnika stanowi sekcyę wydziału mechanicznego.

Ustrój wewnętrzny wyższych szkół technicznych w Niemczech jest uniwersytecki, z rektorem wybieralnym, który łącznie z senatem zarządza zakładem. Senat wybierany jest przez wydziały, które mają swoich dziekanów. Wydziały wydają dyplomy. Wybór profesorów i docentów odbywa się jak w uniwersytetach.

Równie jak urządzeniem wewnętrznem tak i kierunkiem naukowym podążają wyższe szkoły techniczne w Niemczech do zrównania się z uniwersytetami. Kierunek ten oddał przemysłowi niemieckiemu olbrzymie usługi, jak to odnośnie do przemysłu chemicznego wykazał profesor uniwersytetu lipskiego Ostwald, na zjeździe elektrotechnicznym w roku zeszłym w Monachium („Wszechświat," Nr. 43). Nie

chodzi tu o forsowne wtłoczenie w głowę ucznia z góry określonego a dostatecznie obszernego zapasu wiadomości, który zwłaszcza w szkołach francuskich odznacza się doskonałą systematycznością i odpowiednim wyborem. „Rezultaty dające się osiągnąć przy tego rodzaju wykształceniu, mówi prof. O. nie odpowiadają wymaganiom dzisiejszego przemysłu: potrzeby przemysłu idą dziś daléj, wymagania jego są większe.“ Zwróciwszy uwagę na organizacyę działalności wynalazczéj w fabrykach chemicznych w celach handlowych, mówi daléj: „do pracy podobnéj nie zdatny jest ten, kto się nauczył tylko stosować rzeczy znane. Tu bowiem wymaga się, aby pracownik umiał sobie dać radę w dziedzinach nowych; nie nadaje się do tego wyegzaminowany kandydat, lecz chemik przyzwyczajony do badań samodzielnych. Do téj to potrzeby przemysłu zastosował się jak najlepiéj plan studyów chemików niemieckich, lub raczéj obie te rzeczy rozwijały się ręka w rękę, jedna przed drugą. Bezpośrednie zadanie uniwersytetu polega na przyuczeniu słuchacza przez zapoznanie go z rzeczami znanemi do zdobywania rzeczy nieznanych; niech to tylko należycie będzie wykonane, a siły w taki sposób przygotowane w zupełności odpowiadać będą wymaganiom przemysłu.”

Od niedawna istnieją wyższe szkoły techniczne a już położyły ważne zasługi, znaczną liczbą poważnych badań, szybkim i szerokim rozwojem odnośnéj literatury. Rzucając okiem wstecz i porównywując uniwersytety tegoczesne ze średniowiecznemi, widzimy różnicę mniejszą aniżeli między obecnemi wyższemi szkołami technicznemi a tém czém były kilkadziesiąt lat temu. Do czego doszły uniwersytety w przeciągu wieków, to osiągnęły wyższe szkoły techniczne po kilkudziesięciu latach. Akademia przemysłowa w Berlinie miała w roku 1821—4 profesorów i 13 uczniów a w 1874 berlińska wyższa szkoła techniczna przy setce profesorów liczyła 1,180 studentów; obecnie ma więcéj jak 200 wykładających i przeszło 2,000 słuchaczy. Braknie jeszcze wyższym szkołom technicznym praw niektórych, wirylnego głosu rektorów w parlamentach i t. p. ale i te różnice znikną w przyszłości. Dyplomy wyższych szkół technicznych nie przedstawiają również mniejszego znaczenia od uniwersyteckich, a jednak wielu techników niemieckich domaga się jeszcze zrównania ich i co do tytułu, żądając doktoratu technicznego.

Tak w uniwersytetach, jak i w wyższych szkołach technicznych, nauczanie związane jest organicznie z badaniem. Wykładający w jednych i drugich zarówno pracują nad rozwojem wiedzy. Jedne i drugie zakłady wdrażają słuchaczy do pracy samodzielnéj, budzą zamiłowanie do nauki i przygotowują do istotnie cywilizacyjnéj działalności.

Te dwie grupy wszechnic obejmują cały zakres wiedzy ludzkiéj. Wprawdzie po za uniwersytetami i wyższemi szkołami technicznemi istnieją jeszcze w Niemczech akademie specyalne, dla górnictwa, rolnictwa, leśnictwa i weterynaryi, — ale zakładów tych jest już niewiele a wykładane w nich przedmioty wchodzą także w zakres wielu uniwersytetów i wyższych szkół technicznych. To téż Egon Zöller w swéj książce p. t. *Die Universitäten und technischen Hochschulen* (Berlin 1891), zestawiwszy rozwój dziejowy, znaczenie obecne i programy uniwersytetów i wyższych szkół technicznych, taki stawia plan ogólny obu wszechnic. Uniwersytet ma mieć cztery fakultety: 1) teologiczny, 2) prawny, 3) lekarski, 4) filozoficzny to jest matematyczno-fizyczny i filologiczno-historyczny,— a wyższa szkoła techniczna osiem wydziałów: 1) architektury, 2) inżynieryi cywilnéj, 3) mechaniczny z sekcyami budowy okrętów i elektrotechniczną. 4) chemiczny, 5) górniczy i hutniczy, 6) rolniczo-leśny, 7) weterynaryjny, 8) ogólny, obejmujący matematykę, nauki przyrodzone i przedmioty ogólnie kształcące.

Na niemiecką modłę ukształtowało się wyższe wykształcenie techniczne w Austryi i Szwajcaryi. Mówiliśmy już o wyższych szkołach technicznych w Zurichu i Wiedniu. Inne powstały z równie skromnych początków: w Pradze ze szkoły inżynierskiéj założonéj w r. 1806, w Graz z „Johanneum“ założonego w 1811, w Brünn ze szkoły technicznéj otwartéj w 1850, we Lwowie z akademii politechnicznéj, która znów powstała w 1844 z dawnéj akademii handlowéj.

Anglia, w któréj dawniéj najwięcéj było rozpowszechnione prywatne przygotowywanie się kandydatów na techników wyższych, przez uczęszczanie na wykłady uniwersyteckie i praktykę przy znakomitszych inżynierach, w ostatnich paru dziesiątkach lat coraz więcéj zwraca uwagi na szkoły niemieckie, usiłując naśladować je przy nowych zakładach lub reformie dawniéj istniejących. Wykazał to Ayrton w swéj mowie przy objęciu prezesowstwa stowarzyszenia elektrotechników w Londynie w r. 1892, podanéj w przekładzie francuskim w czasopiśmie *La Lumière Électrique* (N. 6 i 7 z r. 1892). We Włoszech wyższe zakłady techniczne, z wyjątkiem Medyolańskiego, nie ukształtowały się jeszcze na wzór szkół niemieckich.

W Belgii wyższe szkoły techniczne powstały i istnieją przy uniwersytetach, w Liège, Gandawie, Louvain i Bruxelli. Dwie pierwsze założone były w r. 1836, dwie ostatnie są nowsze. Szkoły w Liège i Gandawie miały na celu pierwotnie kształcenie inżynierów górniczych i dróg i mostów dla służby państwowéj; późniéj wydawać zaczęły inżynierów przemysłowych, mechaników, elektrotechników i budowniczych, w czém przyszły im z pomocą szkoły w Louvain i Bruxelli.

Kurs nauk w tych szkołach trwa od lat czterech do pięciu, stosownie do wydziału. Na podobieństwo szkół belgijskich urządzoną została wyższa szkoła techniczna w Szwajcaryi francuskiéj, przy uniwersytecie w Lausannie, z kursem czteroletnim. W ostatnich czasach inżynierowie belgijscy zajmować się zaczęli żywo sprawą reformy wyższego wykształcenia technicznego, zwracając uwagę na szkoły niemieckie a przytém na kierunek praktyczny nauczania mechaniki. Wyrazem tego zajęcia była ankieta w sprawie laboratoryów mechanicznych i wyższego wykształcenia technicznego, przeprowadzona przez profesora szkoły w Liège, p. Dwelshauvers-Dery i inżyniera Juliana Weilera (*Enquète sur l'enseignement de la méchanique.* Liège 1893. *Laboratoryum mechaniczne*, Przegląd Techniczny 1894). Ankieta wyjaśniła wiele kwestyi spornych i rezultaty jéj tworzą ciekawy zbiór poglądów na sprawę kształcenia inżynierów i reformy odnośnych zakładów.

Co do liczby wyższych szkół technicznych, Ameryka prześcignęła już dawno Europę. W ostatnich latach liczono tam 52 zakładów technicznych wyższych, o jednym, dwóch, trzech lub czterech wydziałach. Najwięcéj rozpowszechniony jest wydział budowlany, potém mechaniczny, górniczy i elektrotechniczny. Siedem szkół ma wszystkie te cztery wydziały i ustrojem zbliżają się do szkół niemieckich. Zasłynęły zwłaszcza: instytut Rensselaera w Troy, instytut techniczny w Bostonie, oraz uniwersytet Cornell'a w Itace z dwoma wydziałami: mechanicznym i inżynierów cywilnych. Kurs zwykle bywa czteroletni. Wykłady mało gdzie dochodzą do poziomu szkół niemieckich, za to urządzenia szkolne, laboratorya mechaniczne i t. p. w niektórych zakładach stanęły znacznie wyżéj.

W Rosyi wyższe wykształcenie techniczne ukształtowało się pierwotnie na podobieństwo Francyi. Instytuty: komunikacyi i górniczy odpowiadają szkołom francuskim dróg i mostów i górniczéj, z dołączeniem do każdéj z nich teoretycznego programu szkoły politechnicznéj; mają téż kurs pięcioletni. Dla kształcenia techników powiatowych i gubernialnych przybył późniéj, również jako oddzielny zakład, instytut inżynierów cywilnych, — wreszcie w ostatnich czasach wywołany potrzebą odpowiednich specyalistów dla służby państwowéj, instytut elektrotechniczny. Z drugiéj znów strony moskiewska szkoła techniczna i instytut technologiczny w Petersburgu, powstały i rozwijały się na podobieństwo akademii przemysłowéj berlińskiéj. Moskiewską szkołę techniczną założono w r. 1832 jako szkołę majstrów rzemieślniczych przy domu podrzutków. Zreformowana w r. 1844 wydawać już zaczęła techników, czyli tak zwanych uczonych majstrów. W r. 1868,

za dyrektorstwa Della Vosse'a, głośnego działacza na polu wykształcenia technicznego, szkoła zamienioną została na wyższy zakład techniczny, dla inżynierów-mechaników i technologów-chemików, ale z kursem niezmiernie długim, bo sześcioletnim, który dopiéro nową ustawą 1894 r. zredukowany został do lat pięciu. W podobny sposób, postępując od szkoły niższéj do średniéj i od średniéj do wyższéj, rozwijał się instytut technologiczny w Petersburgu, założony w r. 1831, z inicyatywy ministra finansów Kankrina. Z początku była to szkoła rzemieślnicza, do któréj przyjmowano chłopców umiejących czytać i pisać. W r. 1849 instytut, podniesiony już do poziomu szkoły średniéj, wydawać zaczął inżynierów-technologów i technologów-praktyków (stopień niższy),—wreszcie w r. 1861 zamieniony został na obecny wyższy zakład techniczny. Kurs jest pięcioletni.

Szkoła rygska, założona na wzór dawniejszych szkół politechnicznych niemieckich, jako szkoła niemiecka dorównywała wyższym zakładom w Niemczech. Dziś, zamieniona na szkołę ruską, zachowała wydziały: budowlany, inżynierski, mechaniczny, chemiczny i rolniczy, ale tylko ostatni z kursem czteroletnim; do innych wprowadzono kurs pięcioletni. Instytut technologiczny w Charkowie zorganizowany został na wzór petersburskiego. Wreszcie najmłodsza ze szkół specyalnych ruskich, moskiewska szkoła inżynierów, istniejąca dopiéro drugi rok, stanowi ciekawe doświadczenie możności zredukowania kursu inżynierskiego do lat trzech. Dyplom wszakże inżyniera komunikacyi wydawany będzie w Moskwie nie przy ukończeniu szkoły, ale po dwuletniéj praktyce i złożeniu nowego egzaminu, co stanowi poważne utrudnienie i w rezultacie przedłuża naukę do lat pięciu. W każdym razie doświadczenie będzie interesujące i jeżeliby szkoła wydawać z czasem mogła corocznie tylu inżynierów co i instytut petersburski, okazałaby się wtedy finansowo korzystniejszą, bo roczny jéj etat jest prawie o połowę mniejszy od etatu instytutu. Porównana jednak ze szkołą rygską, moskiewska szkoła inżynierów jest droższą, gdyż etat czterech wydziałów szkoły rygskiéj wynosi 200,000 rs., gdy etat jednowydziałowéj szkoły w Moskwie—80,000 rs. Pytanie przytém poważne, czy pięcioletni program instytutu komunikacyi, da się bez szkody uczniów wtłoczyć w ciasne ramy trzyletniego kursu.

Wogóle, wyższe zakłady techniczne rosyjskie, ukształtowane według przeżytych już wzorów, domagają się zupełnéj reorganizacyi. Potrzebę takowéj uwidocznia coraz jaskrawiéj rozwój przemysłu w państwie. O poglądach wyrażonych w kwestyi wyboru najodpowiedniejszego typu wyższych szkół technicznych w Rosyi, przyjdzie nam jeszcze wspomnieć.

Rozwój szkół technicznych w innych krajach, od początku bieżącego stulecia nie był nam obcym i w miarę środków zdawna już starano się w Królestwie o kształcenie potrzebnych przemysłowi kierowników. Rozpatrywano szkoły zagraniczne a ślad tego został w książeczce p. t. „Paryż uważany co do nauk“ wydanéj w Wilnie w r. 1811. Autor, późniejszy profesor fizyki w uniwersytecie jagielońskim, Roman Markiewicz studyował urządzenia szkolne w Wiedniu i Paryżu. Pierwszą szkołą specyalną, jaka powstała w kraju, nie mówiąc o wojskowych, była szkoła górnicza w Kielcach, jednym z profesorów któréj był znany geolog Bogumił Pusch. Szkoła ta, otwarta przy dyrekcyi głównéj górnictwa, ustanowionéj w Kielcach w r. 1816, przeniesioną została w r. 1827 do Warszawy. Przy wydziale dóbr i lasów istniała także przed r. 1830 w Warszawie przez lat kilka szkoła leśna. Budowniczych i inżynierów sposobić miał oddział budownictwa Królewsko-Warszawskiego Uniwersytetu, dwoma kursami architektury cywilnéj i geometryi praktycznéj, — ale oczywiście wychodzić zeń mogli tylko budowniczowie i geometrzy. Pojmowano jednak w kraju potrzebę szkoły dla inżynierów cywilnych i mechaników. Nasze dawne czasopismo techniczne „Izys Polska” drukowało w r. 1820 mowę Prechtla, dyrektora instytutu politechnicznego w Wiedniu, mianą przy otwarciu tego zakładu, a w roku następnym podało: „Bliższą wiadomość o politechnicznym wiedeńskim instytucie.“ Krzątać się téż zaczęto około uczynienia zadość potrzebie i w r. 1825 powstała, pod przewodnictwem Staszica, Rada Szkoły Politechnicznéj, mająca na celu założenie i prowadzenie w kraju wyższéj szkoły technicznéj. Ale brakło i środków materyalnych i profesorów. Radzono sobie jak było można. Najpilniéj potrzebnych inżynierów komunikacyi przygotowywać zaczęła w r. 1827 szkoła inżynieryi cywilnéj, któréj z początku dyrektorem i jedynym profesorem był inspektor robót wodnych Teodor Urbański. Jednocześnie Rada szkoły politechnicznéj postanowiła uczynić pierwsze kroki i otwarła szkołę przygotowawczą do instytutu politechnicznego, oraz wysłała kilkunastu wychowańców uniwersytetu za granicę, aby się sposobili na profesorów przedmiotów technicznych. Krótkie dzieje szkoły przygotowawczéj, która w trzecim i czwartym roku swego istnienia zaczynała się już przemieniać na właściwą szkołę politechniczną, skréślił śp. Maryan Baraniecki w „Ateneum” z r. 1880. W trzecim roku połączono z nią szkołę inżynieryi cywilnéj, z jéj trzema już wtedy profesorami: Urbańskim, Smolikowskim i Gołońskim. W r. 1831, jak mówi Baraniecki, „wszystko to burza zmiotła, łamiąc latorośl krzepką przy samym korzeniu.”

Szkoła przygotowawcza do instytutu politechnicznego była wyrazem pierwszego poważnego usiłowania utworzenia w Królestwie wyższéj szkoły technicznéj. Istniała tylko cztery lata, ale w ciągu tego krótkiego czasu zdołała przysposobić pewną liczbę inżynierów i technologów, przez długi czas późniéj przodujących u nas w swoim zawodzie. Próżnię, jaka się wytworzyła po zwinięciu téj szkoły, z czasem zaczęły choć częściowo wypełniać wyższe klasy gimnazyum realnego. Ustawa o wychowaniu publicznéni w Królestwie Polskiém z d. 20 maja 1862 r., w miejsce tego gimnazyum i instytutu gospodarstwa i leśnictwa w Marymoncie, ustanowiła instytut politechniczny i rolniczo-leśny w Puławach. Zakład ten trwał tylko parę miesięcy, a ustrojem swym zbliżać się miał do współczesnych politechnik niemieckich.

Około r. 1880 poruszono znów myśl założenia wyższéj szkoły technicznéj w Warszawie. Zygmunt Michałowski pisał w „Przeglądzie Technicznym" o potrzebie takiéj szkoły, zalecając jako wzór szkołę centralną paryską a Maryan Baraniecki w „Ateneum" szkicował projekt, postawiony niedawno przez p. Anopowa w Petersburgu, otwarcia szkoły podobnéj ustrojem do politechnicznéj w Paryżu, dwuletniéj, którą kończący mogliby wstępować na III kurs instytutów specyalnych w Cesarstwie. Redakcya „Przeglądu Technicznego," trzeźwo rozważając środki, zaznaczała pilniejszą potrzebę szkoły technicznéj średniéj, stawiając motyw, iż „brak drugorzędnych sił technicznych najwięcéj daje nam się we znaki i najtrudniéj w tym kierunku walczyć nam przychodzi z żywiołem cudzoziemskim."

Około urzeczywistnienia téj myśli zakrzątneli się przed paroma laty ludzie dobréj woli, światłego umysłu i wielkiéj ofiarności i dzięki im posiadamy już szkołę techniczną średnią, dotąd z jednym wydziałem, mechanicznym, ale mogącą się rozwijać i miéć ich w niedalekiéj przyszłości dwa a i trzy może. Ustawa normalna średnich szkół technicznych w państwie przewiduje trzy wydziały: mechaniczny, chemiczny i budowlany. Szkoła ma przyjmować kandydatów, którzy ukończyli pięć klas realnych i dawać im w ciągu lat czterech wykształcenie wystarczające dla techników średnich. Obecnie napływ kandydatów jest tak wielki, że szkoła przyjmuje takich, którzy ukończyli sześć klas realnych. Tacy kandydaci, gdyby otwartą była w Warszawie wyższa szkoła techniczna, zwróciliby się do niéj a szkoła średnia mogłaby wyłącznie zaspakajać potrzeby tych, którzy pragną istotnie poprzestawać na wykształceniu średniém.

W roku zeszłym, w ciągu rozpraw nad wyborem najpilniéj potrzebnych w kraju zakładów użyteczności publicznéj, wyłoniła się znów myśl założenia wyższéj szkoły technicznéj w Warszawie. Potrzeba ta-

kiego zakładu istniała zdawna, bo już od długiego szeregu lat liczne zastępy naszéj młodzieży zmuszone były szukać wykształcenia specyalnego, już to w Cesarstwie, już téż zagranicą, — a kto nie miał na to środków, wybierał z musu inną karyerę. W ostatnich latach trudności zwiększyły się jeszcze. W Cesarstwie rosła wciąż liczba kandydatów do instytutów specyalnych i szanse egzaminu wstępnego zmniejszały się z każdym rokiem. W roku bieżącym z 4810 kandydatów do wszystkich zakładów, przyjęto 1355. Nadto w niektórych zakładach liczba studentów Polaków jest z góry ograniczoną, tak że prawdopodobieństwo wejścia dla naszéj młodzieży sprowadza się do drobnego ułamku. W Niemczech znów, w uniwersytetach i wyższych szkołach technicznych, zaczęto w ostatnich latach na cudzoziemców spoglądać mniéj chętnie, a na Polaków w niektórych miejscach nawet nieprzyjaźnie. A tymczasem rozwój przemysłu krajowego domaga się coraz większéj liczby odpowiednio przygotowanych pracowników, w coraz to liczniejszych gałęziach techniki.

Brak wyższéj szkoły technicznéj w Królestwie uwydatnia się têm silniéj, gdy spojrzymy na inne prowincye, mniéj zaludnione i mniéj przemysłowe a jednak posiadające podobne zakłady, jak Kurlandya w Rydze, Finlandya w Helsingforsie, Galicya we Lwowie. Obecnie nawet jest mowa o wyższéj szkole technicznéj dla Prus w Gdańsku. W Niemczech na 50 milionów ludności jest 9 wyższych szkół technicznych, t. j. jedna szkoła na 5,5 miliona; w Austryi (bez Węgier) na 24 miliony 5 szkół, t. j. jedna na 4,8 milionów. Ośmiomilionowa ludność Królestwa, wobec rozwoju przemysłu w kraju, domaga się więc słusznie wyższéj szkoły technicznéj. Gdzie zaś odpowiedniejsze dla niéj miejsce, w Warszawie czy Łodzi, to już wykazały rozprawy w pismach, dowodzące większéj w Warszawie różnorodności przemysłu, większych ułatwień naukowych, taniości utrzymania i zdrowotności.

Potrzebujemy więc wyższéj szkoły technicznéj w Warszawie, wszechnicy, uwzględniającéj w poszczególnych swych wydziałach różnorodne potrzeby naszego przemysłu. Dałyby się one zamknąć w pięciu wydziałach: 1) architektonicznym, 2) inżynieryi cywilnéj, 3) mechanicznym z sekcyą elektrotechniczną, 4) chemicznym, 5) górniczo-hutniczym. Warunkiem niezbędnym byłoby uwzględnienie szczegółowych potrzeb krajowego przemysłu przy wykładach i pracach wewnątrz szkoły, co wymaga z jednéj strony udziału przedstawicieli przemysłu w radzie szkolnéj a z drugiéj udziału sił technicznych miejscowych w nauczaniu. Ważném byłoby także ułatwienie młodzieży dostępu do szkoły i pobytu w niéj a więc przyjmowanie bez egzaminu kandydatów posiadających patenta gimnazyalne lub ze szkół realnych, kurs nauk nie

dłuższy jak cztery lata, opłata szkolna umiarkowana, pomoc zarządu szkoły w znajdowaniu praktyki wakacyjnéj, ulgi w służbie wojskowéj, wreszcie prawo prowadzenia robót dla kończących szkołę. W tych warunkach szkoła przynosićby mogła istotny pożytek krajowi, o ile inne szczegóły organizacyi wewnętrznéj byłyby postępowe, profesorowie ludzie nauki, obeznani z praktyką, pomoce naukowe w rozległym zakresie, laboratorya mechaniczne, elektrotechniczne, hutnicze i t. p.

Do posiadania takich zakładów dochodziły inne kraje powolnie, stopniowém udoskonalaniem dawnych, — i my téż nie możemy marzyć o całkowitém urzeczywistnieniu odrazu naszych pragnień. Możemy się spodziéwać co najwyżéj szkoły, zorganizowanéj na podobieństwo obecnéj rygskiéj, ale tylko o dwóch lub trzech wydziałach. Epoka zakładania instytutów specyalnych zdaje się minęła i w Cesarstwie. Wprawdzie powstała jeszcze w ostatnich latach szkoła inżynieryi w Moskwie, tę wszakże uważać wypada jako próbę tymczasowego powiększenia, a przyszłego przekształcenia instytutu komunikacyi w Petersburgu. Obecnie, władze zawiadujące wykształceniem techniczném w państwie, dążą, jak się zdaje, do wytwarzania nowych zakładów, według typów wydoskonalonych na podstawie historycznego rozwoju podobnych zakładów zagranicą. Niemiecka wyższa szkoła techniczna, stanowiąca wzór naśladowany teraz przez inne kraje, w sferach kompetentnych w Petersburgu zyskała także zasłużone uznanie. Uwydatniło się to przy niedawném przekształceniu szkoły rygskiéj, gdzie, pomimo przystosowania pięcioletniego kursu instytutów petersburskich, zachowano jednak wiele szczegółów dawnéj organizacyi, a zwłaszcza cztery główne wydziały, jak w wyższych szkołach technicznych Niemiec. I obecnie projektowane szkoły w Kijowie i Warszawie urządzane być mają w ten sposób, podobno nawet z kursem czteroletnim zamiast pięcioletniego. W Warszawie projektowano zrazu dwa wydziały: mechaniczny i chemiczny. Może jeszcze zdołamy otrzymać trzeci—architektoniczny. Czy od chemicznego i architektonicznego nie byłby pilniejszym dla kraju wydział inżynieryi cywilnéj, — jest to także kwestya do rozpatrzenia.

Uznanie, jakie znalazły wyższe szkoły techniczne niemieckie, datuje nie od dziś w kołach decydujących Petersburga. Sprawami wykształcenia technicznego w Rosyi zajmuje się najwięcéj Cesarskie Towarzystwo Techniczne. Przy Towarzystwie funkcyonuje od ćwierć wieku przeszło komisya stała do tych spraw, zajmująca się czynnie szkołami dla robotników, mająca swój budżet i wydająca czasopismo p. t. „Wykształcenie techniczne". Ta to komisya stała urządziła w roku 1882 specyalne narady, w sprawie reformy wyższych szkół techni-

cznych, które wyjaśniły wiele kwestyi, choć nie doprowadziły dotąd do zmian radykalnych. Większość członków uznała, że młodzieniec, kończąc 20 lat, powinien jednocześnie kończyć naukę szkolną i brać się do zajęć praktycznych. Na naukę w szkole technicznéj przeznaczono trzy lata i zgodzono się na to, że wykształcenie średnie powinno być ukończone, gdy kandydat ma lat 17. W skutku tego przystąpiono do rozpatrzenia programów szkół średnich. Uznano, że uczeń, mając lat 10, może rozpoczynać kurs gimnazyalny i ukończyć takowy, gdy ma lat 17. Obecnie kurs gimnazyalny trwa ośm lat, a na wykłady matematyki przeznaczone jest przeciętnie 3½ godzin tygodniowo w każdym roku, a ogółem ściśle 29 godzin tygodniowych w ciągu lat ośmiu. Przekonano się, że rozkładając tę samą liczbę lekcyi na lat siedm, możnaby jeszcze powiększyć udzielany zasób wiadomości w zakresie matematyki, a mianowicie wprowadzić do programu gimnazyalnego geometryę analityczną lub wykreślną. Co do szkoły technicznéj, komisya uznała, że kurs jéj obowiązkowy nie powinien trwać dłużéj, jak trzy lata, a ponieważ szkoła nie może dawać przygotowania praktycznego i dla nabycia takowego uczeń przynajmniéj przez rok pracować musi w przemyśle, jako praktykant, zanim będzie można mu powierzyć pewne odpowiedzialne zajęcie, więc w rzeczywistości na naukę liczyć trzeba lat cztery, tak samo jak i na uniwersytecie. Komisya uznała, że taka szkoła techniczna, z trzyletnim kursem, powinna mieć kierunek praktyczny, oparty na gruntownèm przygotowaniu naukowèm i dawać wychodzącemu z niéj uczniowi zapas wiadomości dostateczny do tego, aby już sam mógł się daléj kształcić i postępować naprzód w obranéj karyerze. Szkoła taka nie wyłącza bynajmniéj istniejących akademii i instytutów specyalnych, które, odpowiednio przekształcone, mogłyby byłym uczniom szkoły, którzy już odbyli praktykę, dawać możność specyalnéj pracy nad obranemi przedmiotami, jak to czynią np. wychodzący z uniwersytetów kandydaci, pracujący nad specyalnemi przedmiotami dla otrzymania stopnia magistra. Ale komisya stanowczo odrzuciła myśl, aby proponowana przez nią szkoła techniczna służyć mogła jako przygotowawcza do specyalnych akademii i instytutów. Myśl ta, podjęta ostatnio przez p. Anopowa w projekcie otwiérania szkół politechnicznych, podobnych zakresem do paryskiéj, po miastach mających uniwersytety, jak się zdaje, nie ma szans urzeczywistnienia.

Powyższe wnioski komisyi z r. 1882, zestawione ze sposobem przekształcenia niemieckiéj politechniki w Rydze, wykazują ustalający się pogląd, że nowe wyższe zakłady techniczne wzorować się winny raczéj na szkołach niemieckich, aniżeli na istniejących w Rosyi instytu-

tach specyalnych. Kurs trzyletni, proponowany przez komisyę i zastosowany do szkoły inżynierskiéj w Moskwie, wydaje się stanowczo za krótkim. Proponowany jeden rok praktyki, zamieniony na dwa w ustawie téj szkoły, jest naśladownictwem Niemiec, gdzie kończący wyższą szkołę techniczną winien po złożeniu pierwszego egzaminu państwowego, odbyć trzyletnią praktykę, zanim dopuszczony zostanie do egzaminu na baumajstra.

Komisya obradująca obecnie w Petersburgu, w sprawie wyższego wykształcenia technicznego, pod przewodnictwem towarzysza ministra komunikacyi p. Pietrowa, doszła także do wniosku, że typem najwięcéj godnym naśladowania, przy zakładaniu nowych szkół w państwie, są wyższe szkoły techniczne niemieckie. P. Anopow, jakkolwiek równocześnie bronił pierwotnego swego projektu urządzania szkół politechnicznych przygotowawczych przy uniwersytetach, oświadczył się jednak za wyższą szkołą techniczną, nazywając ją „politechniką”. Wyraz ten używany jest często w tém znaczeniu w mowie potocznéj, właściwie jednak „politechnika”, niemieckie „*Polytechnicum*”, jest skróceniem nazwy „szkoła politechniczna”, ta zaś ma znaczenie podwójne, oznaczając raz szkołę przygotowawczą do technicznéj, jak paryska, a drugi raz istotną szkołę techniczną wielowydziałową, jak niemiecka, przed nadaniem jéj organizacyi i nazwy wyższéj szkoły technicznéj, to jest w tym peryodzie jéj rozwoju, gdy ze średniéj technicznéj przemieniała się dopiéro na wyższą. Obecne zaś wszechnice techniczne niemieckie mają ustaloną nazwę „wyższych szkół technicznych” (*Technische Hochschulen*).

P. Anopow, rozumiejąc jak się zdaje pod wyrazem „politechnika” wyższą szkołę techniczną, tak się wyraził („Kraj”, nr. 44): „W Kijowie otwiéra się teraz politechnika, w Warszawie również, tymczasowo z trzema oddziałami: mechanicznym, chemicznym i budowlanym. Politechniczny charakter szkół wzbudza więcéj zaufania, ze względu na przykład Niemiec i na taniość. Połączenie rozmaitych specyalności wpływa pomyślnie na rozwój ogólno-technicznego wykształcenia, rozszerzając jego horyzont. Pod względem ekonomicznym politechniki są znacznie tańsze.” Na téjże naradzie p. Kowalewski zaznaczył, że „w Kijowie politechnika z czterema oddziałami będzie kosztowała 300,000 rs. rocznie, czyli każdy wydział po 75,000 rs., a tymczasem etat oddzielnéj szkoły specyalnéj wynosi 120 do 150 tysięcy.” Równocześnie inna komisya w Petersburgu, pod przewodnictwem p. ministra oświaty obraduje nad rozszerzeniem instytutów technologicznych w Petersburgu i Charkowie i szkoły technicznéj w Moskwie. Sprawa jest w pełnym biegu i należy się spodziewać rozwoju wyższego wykształce-

nia technicznego w państwie, a u nas otwarcia choćby zawiązku tak upragnionéj wyższéj szkoły technicznéj.

Wracając jeszcze do poglądów komisyi z r. 1882 na programy gimnazyalne, wspomnimy, że technicy niemieccy i austryaccy już od szeregu lat domagają się reorganizacyi gimnazyów i szkół realnych w tym kierunku: aby wspólna szkoła średnia, taka mniéj więcéj, jaka istniała u nas po r. 1862, przygotowywała zarówno do uniwersytetów, jak i do wyższych szkół technicznych, aby kończący taką szkołę miał swobodę wyboru dalszych studyów i aby kandydaci na techników wyższych byli zupełnie jednakowo kształceni z kandydatami na lekarzy, prawników i t. d. Pogląd ten wyraził równocześnie pierwszy zjazd techników polskich, odbyty w Krakowie w r. 1882, uznając „konieczną potrzebę reformy szkół średnich w tym kierunku, aby zamiast obecnie istniejących szkół gimnazyalnych i realnych, wspólna szkoła średnia jako przygotowawcza do studyów uniwersyteckich i technicznych zaprowadzoną została.” Że, oprócz téj, nasze szkoły średnie potrzebują wielu innych reform, nie podlega wątpliwości; roztrząsanie jednak téj kwestyi zaprowadziłoby nas za daleko...

Feliks Kucharzewski.



Z BRZEGÓW.

Jałowcu ciemny krzak z urwiska się pochyla,
Gałęzie smętne swe nad modre zgina fale,
Nad lazurowe mgły, wznoszące się nad morze,
Co w niezmierzoną dal otwiera się wspaniale!

Ku Tobie moja myśl i sucha i cierniowa,
Tęskni i ciągnie się, Wieczności lazurowa!
Do Was, Niebieskie Mgły, sycone słońca złotem,
Lecą pragnienia me, krogulców czarnych lotem!

Wśród turkusowych wód, jak wielki cień motyla,
W dali skrzydlata łódź nad falą się pochyla.
Z wierzchów słonecznych wzgórz świetlane i majowe
Zbiegają gaje w dół, na brzegów piaski płowe.

Czyliż tam z serca wód, z tej turkusowej toni,
Zaklęty jaki kraj wśród mgieł się nie wyłoni?
Cudowny, boski świat, gdzie przez świetlane szlaki
Podążą duchy tak, jak śnieżno-białe ptaki!

Huragan poszedł w dal, a z głębi ciemnéj wody,
Jak świetny jaki bóg wychodzi księżyc młody;
Dzikim geniuszom burz ofiara wyrzucona,
Tysiące srebrnych ryb na mokrym piasku kona.

A tam ulata wgłąb' skraj poszarpanéj chmury,
A w niéj liliowy grom rozjaśnia strop ponury,
I śpieszy daléj w świat niszcząca i straszliwa,
Wezbranych Pani mórz,—Śmierć wiecznie łupów chciwa!

Ciche błękity fal z miesiąca złotą drogą
Wabią mą duszę w dal, wywabić jéj nie mogą!
Cyprysów czarnych rząd i gwiazdy ponad niemi
Tak wielką, smutną pieśń drzemiącéj nucą ziemi!

Och, czemuż Istność ma, jak wątła koncha lśniąca
Wśród tajemniczych fal Wieczności się roztrąca!
Czemu, choć patrzę dziś w miesiąca złotą drogę,
Po szczeblach złotych dróg w krąg światła wejść nie mogę!

Pod kępą białych brzóz nad brzegiem leżę morza
I szlę mój wzrok daleko — ach, daleko!
Za szafirową toń, za mgły liliowe w dali,
I ciche zwolna łzy po licu mojém cieką.

Och, bo przeminie czas i z ziemskiéj méj istoty
Zostanie prochu garść o Przeszłem już nie śniąca.
— I dłużéj nieco żyć jest dano białym brzozom,
I dłużéj nieco chwiać się będzie woda lśniąca!

St. Louis, w Stan. Zjedn.

J. K.



JAN KOCHANOWSKI

w świetle ostatnich wyników krytyki historycznej.

„Jan Kochanowski, jego ród, żywot i dzieła.“ Przez Romana Plenkiewicza. Warszawa, 1897 roku. — Jana Kochanowskiego „Dzieła wszystkie“. Wydanie pomnikowe. Tom czwarty.

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

W Sycynie (1530 — 1544).

Wieś Sycyna. — Urodziny poety. — I. Piotr i Anna z Białaczowskich Kochanowscy. — II. Rodzina poety. — Żyłka literacka „jakoby dziedziczna“ wśród Kochanowskich. — Kraj lat dziecinnych. — Pierwsze wrażenia. — Wpływ rodziny. — Atmosfera domowa. — Kierunek wychowania. — Uczucia katolickie matki.—Echa reformy.—Pierwsze nauki.—Pierwszy nauczyciel.—Wyjazd do Krakowa.

Na lewém wybrzeżu Wisły, niedaleko od owego zagłębienia, jakie dolina jéj tworzy pomiędzy Kazimierzem a Gołębiem, wśród malowniczych wzgórz, które, poczynając od Puławskiéj Góry, podnoszą się coraz wyżéj, aż w końcu przeobrażają się w faliste płaskowzgórze, w ostępie leśnym, ciągnącym się wzdłuż rzeki Sycynki, nad olbrzymim stawem, zasilanym wodami tej rzeczki, a zwanym Przerwiny, rozłożyła się wieś Sycyna, składająca się — już w XVI wieku — z dwu-

dziestu kilku „dymów" włościańskich, rozrzuconych po obu brzegach strumienia, wieś, w któréj po prawéj stronie stawu, „poza cegielnią", stał „stary" dwór szlachecki, z ogrodem i lamusem, a podobnie, jak soplicowski dwór w *Panu Tadeuszu*, „z drzewa, lecz podmurowany".

We dworze tym, obszernym, jak przystało na dom zamożnego ziemianina, w roku 1530-ym, z ojca Piotra Kochanowskiego, sędziego ziemi sandomierskiéj, i matki Anny z Białaczowskich herbu Odrowąż, urodziło się dziecię, któremu na chrzcie św. dano imię Jan, a z którego przyjściem na świat „nad dziedziczną Sycyną wschodzilo słońce narodowéj poezyi, by po wszystkie wieki najdalszym pokoleniom przyświecać."

I.

Gdy się chce mówić o Piotrze Kochanowskim, jako ojcu przyszłego twórcy *Odprawy posłów greckich*, mimowoli przypomina się wiersz tego ostatniego, wypowiadający tę wielką prawdę życiową, że „wszystko się dziwnie plecie na tym tu biednym świecie". Bo czyż nie dziwnym przypadkiem jest fakt, że właśnie ten Piotr Kochanowski, któremu było sądzone zostać ojcem pierwszego wielkiego poety polskiego, był niesłychanie prozaicznym, jako człowiek?... Bardzo praktyczny i pozytywny z natury, nietylko pracował na roli (przyczém bliskość Kazimierza, głównego portu na Wiśle, ogromnie mu ułatwiała zbyt wszelkich produktów), ale nadto, zachęcony posiadaniem rozległych lasów dębowych sycyńskich i czarnoleskich, dających nieprzebraną moc żołędzi, uprawiał na wielką skalę... hodowlę nierogacizny. Trudno o prozaiczniejsze źródło dochodów! Wprawdzie i on mógł powiedziéć, jak Cervantes w *Don Kiszocie*, że nie jego wina, iż świnie nazywają się tak brzydko, ale zaprzeczyć się nie da, że wolałoby się, ażeby w Sycynie, w pobliżu kolébki autora *Sobótki*, rozlegały się bardziéj poetyczne dźwięki, aniżeli kwiczenie prosiąt i różowych warchlaków, pomieszane z basowém mruczeniem tucznych macior i wieprzów. Jakoż niełatwo pogodzić się z myślą, iż w Sycynie, gdzie Janowi Kochanowskiemu upłynęło jego „dzieciństwo sielskie, anielskie", chléwy odgrywały tak ważną rolę; lecz niepodobna przeczyć historyi. Cóż robić, kiedy fakt pozostanie faktem, że Piotr Kochanowski, obok gospodarstwa, uprawiał jeszcze i handel nierogacizną. Nie uważał nawet, żeby mu to uwłaczało w jego godności szlacheckiéj. Na hodowlę tę, którą uznawał za równie dobrą, jak hodowlę innych zwierząt domowych, zapatrywał się wyłącznie z punktu widzenia dochodów, jakie przyno-

siła, a dochody przynosiła mu bardzo znaczne. Mimo to nie zadawalniał się niemi. Żądny ciągłego pomnażania zysków—która to namiętność rosła w nim z biegiem lat — nie cofał się i przed niewdzięczną rolą usłużnego sąsiada, który innym chętnie udzielał mniejszych lub większych pożyczek, a który, co gorsza, niezawsze w takich razach, gdy chodziło o odbiór pożyczonéj sumy, powodował się względami delikatności. Pod tym względem często nie miewał żadnych skrupułów, tak dalece, że „jako zastawnik budził w dłużnikach poważne obawy". Gdy chodzi o przykłady, stwierdzające powyższe zdanie, stoi się wobec prawdziwego *embaras de richesse*. I tak np. St. Siedlecki, nie mogąc się uiścić w oznaczonym terminie, musiał w końcu, chcąc nie chcąc, oddać mu „na wieczne czasy" wszystkie dobra we wsi Chechły, od Stan. Cierskiego nabyte. Inny dłużnik jego—a jest ich bardzo wielu—Floryan Krajowski, nie mogąc zebrać na termin wymaganéj sumy, „wolał w niéj oddać Krajów zastawem biskupowi chełmskiemu, niż jako zastawnika wpuszczać Piotra do niego." Jako wierzyciel bowiem, a zwłaszcza jako zastawnik (t. j. jako pożyczający na zastawę) był p. Piotr równie skrupulatny, jak niemiłosierny. Wielu przekonało się o tém niejednokrotnie, a między innemi i Anna z Sienna, wdowa po Stan. Kazanowskim, która, przyciśniona potrzebą, zaciągnęła podwójny dług u swego sąsiada z Sycyny, o tém zaś, jaki był przebieg téj sprawy, tak pisze uczony biograf poety, prof. Plenkiewicz: „Kochanowski i tym razem pożycza, ale już pod zakładem, żądając sto za sto w razie uchybienia na termin. Jak zaś go pilnował, widzimy z protestu, wniesionego przezeń w sam dzień ś. Szczepana, a zatém w drugie święto Bożego Narodzenia! Rozumie się, że Anna nie przybyła z pieniędzmi i dług jéj urósł w dwójnasób. Słowem, zakład była to lichwa, w formę prawną ujęta." Wogóle, jeżeli chodzi o Piotra Kochanowskiego, to nie można powiedzieć o nim, żeby był czułym w stosunku do swoich dłużników; przeciwnie, odznaczał się pewną zaciekłością nawet, gdy chodziło o ściągnięcie swéj należytości. Takie postępowanie, oczywiście, wywołało nieuniknioną reakcyę ze strony przeciwnéj, a że p. Piotr niezawsze na téj reakcyi wychodził korzystnie, za tém przemawia jego spór z właścicielką Woli Sycyńskiéj, Katarzyną Nieczujską, która, pozwana przezeń, nietylko nie stawiła się w sądzie, ale gdy Kochanowski zyskał wyrok zaoczny, skazujący ją na zapłacenie jeszcze 1,004 grzywien, ona zacięła się także, a zacięła się tém słuszniéj, że suma powyższa, wymagana przez powoda, „na posiadaczkę cząstkowéj własności była tak wielka, że przewyższała jéj wartość." „Ale Kochanowski, powiada prof. Plenkiewicz, chciał Nieczujską puścić z torbami i, mając wyrok w kieszeni, sądził, że na swojém

postawi. Tymczasem bez względu na obecność woźnego i dwóch ze szlachty, towarzyszących wykonaniu wyroku, Nieczujska stawiła opór, a co gorsza, syn jéj, Feliks, napadł na dwór Kochanowskiego i zadał ranę jednemu z jego służebnych...“ Kto tak postępował ze swymi sąsiady, ten nie mógł się cieszyć ich szczególną sympatyą, bo nietylko, że nie wzbudza sympatyi człowiek, który, jak on, „gromadził tylko pieniądze w celu nowego nabytku“, lecz, jako zastawnik, „wyciągał strunę do niemożliwych granic“, stawiając tak uciążliwe warunki swym dłużnikom, że ich nieraz swemi zakładami doprowadzał do majątkowéj ruiny. To téż „gdyby dziś na takiém, jak Piotr, stanowisku brał kto odsetki równe udzielanym pożyczkom, domagał się, nie straciwszy sam złamanego szeląga, tak wysokich, jak od Nieczujskiéj, nawiązek, udzielał wreszcie pożyczek na zastaw, z powziętym z góry zamiarem wyzucia z majątku po kilku naraz dziedziców, można być pewnym, że przeciw sobie powszechneby oburzenie wywołał.“ Na szczęście dla ojca poety, nadmienić i podkréślić należy, że takich, jak on, był legion, że prawie wszyscy postępowali tak samo, gdyż „prawo, w zasadzie uznając zakłady i zastawy, jako rękojmię przyjętych zobowiązań, tém samém lichwę osłaniało swą powagą.” To jedna okoliczność łagodząca. Drugą, którą Piotr Kochanowski mógł przytoczyć na swoje usprawiedliwienie, była ojcowska myśl o żonie i dzieciach: w razie, gdyby go dręczyły jakie skrupuły, mógł siebie tłómaczyć tém, że jako głowa licznéj rodziny winien pamiętać o jéj przyszłości, jak przystało na kochającego ojca. Że zaś był kochającym ojcem, tego dał liczne dowody... Co pewna, to, że był bardzo ambitny, że jeśli dbał o powiększenie majątku, to zwykłym groszorobem nie był. „Prócz naturalnego zresztą przywiązania do rodziny, drugim dziedzicznym rysem jego charakteru jest żądza wyniesienia swego rodu nad zwykły poziom szlachecki. Obok niéj występuje próżność, znajdująca zadowolenie w kolejném używaniu tytułów własności nabytych przez się majątków...“ Już to wogóle o tytuły dbał bardzo, a choć mu taki tytuł np., jak *Peter Cochanowski in Conary haeres*, widocznie schlebiał, to jednak zależało mu i na innych, mianowicie honorowych. Dlatego nie cofał się przed służbą publiczną, a że należał do najmajętniejszych w okolicy, więc zarówno w grodzie, jak w ziemstwie, piastował różne urzędy, które mu oprócz dochodów jeszcze dawały pozycyę społeczną. Zacząwszy od tego, że został komornikiem granicznym, po niejakim czasie awansował na sędziego grodzkiego radomskiego, aż skończył na zaszczytnym tytule sędziego generalnego ziemi sandomierskiéj.

Z nierównie szlachetniejszéj gliny była ulepiona jego druga

żona [1]), Anna, w któréj żyłach płynęła rycerska krew Odrowążów. Nie była to kobiéta pospolita; a 40-letni Piotr Kochanowski, żeniąc się z nią w r. 1525, w którym sobie liczyła lat 18 dopiéro, nietylko wchodził w zaszczytne koligacye ze znakomitszemi domami w Polsce, ale brał istotę, która się miała stać dobrym geniuszem jego domu. Ci, którym była znana osobiście, nazywali ją *spectatae pudicitiae prisciqne moris*, co się pozwala domyślać, że musiała być dobrą, łagodną, pobożną i surowych obyczajów, taką jednèm słowém, jaką powinna być białogłowa z rodu Odrowążów. Z tego bowiem, że jako Białaczowska, pochodziła z rodu Odrowążów, była i mogła być dumną. Zawsze pamiętała o tém, że Odrowążanką była św. Bronisława zwierzyniecka, która, jako Norbertranka w klasztorze pod Krakowem, na wieczne czasy zapisała się w pamięci okolicznego ludu, a jeżeli sąsiednia góra, porastająca krzewami róż, zowie się górą Św. Bronisławy, to dlatego, że owe róże, jak głosi miejscowe podanie, wyrosły z jéj różańcowych paciorków rozsutych podczas modlitwy. Nie zapomniała téż, iż Iwo Odrowąż był kanclerzem Leszka Białego, a jako biskup krakowski, którym został po śmierci Wincentego Kadłubka, fundował liczne klasztory i kościoły, w téj liczbie i krakowski kościół P. Maryi. Pierwsi Dominikanie polscy, św. Jacek i św. Czesław, tak słynni z cudów, które czynili pomiędzy ludem, także byli z rodu Odrowążów. A ów błogosławiony Prandota z Białaczowa, biskup krakowski, co to wyjednawszy kanonizacyę św. Stanisława, ciało jego, w srebrnéj trumnie złożone, na Wawel ściągnął, wszak i on był Białaczowskim, a więc Odrowążem! A nietylko błogosławionych i świętych wydał ten znakomity ród. Gdy chodziło o powołanie się na swych przodków, mogła pani sędzina, niedługo szukając w pamięci, wymienić cały poczet kasztelanów i marszałków nadwornych, oraz takich, co piastowali pierwsze godności

---

[1]) Pierwszą żoną Piotra była szlachetna Zofia, córka Jana Zasady, a wdowa po Mikołaju Kroguleckim. Ona to wniosła Piotrowi część Sycyny, należącą do pierwszego jéj męża. Ożenił się z nią w r. 1522 i miał córkę Druzyannę, którą w r. 1537 wydał za Walentego z Tynicy. Zofia umarła po niespełna trzechletniém pożyciu z Piotrem, który wkrótce po jéj śmierci, bo już w r. 1525 ożenił się powtórnie. Oto, co o tém jego pierwszém małżeństwie pisze prof. Plenkiewicz: „Nawzajem Piotr Kochanowski, aktem w tymże terminie spisanym, zabezpieczył jéj na Czarnolesiu 100 grzywien posagu i tyleż przywianku, z zastrzeżeniem, które pod pewnym względem jego charakter maluje. Gdy bowiem Zofia przypadłe na nią części w Sycynie oddaje mu w bezwarunkowe posiadanie, on tymczasem, przyznając jéj dożywotnią używalność z Czarnolasu, stawia warunek, że w razie jéj śmierci majątek przez nią wniesiony przejdzie na niego i na jego potomstwo.“

w kraju: Mikołaj, kasztelan sandomierski, był podskarbim koronnym, Krzysztof zaś, najprzód wojewoda, następnie „Pan Krakowski" od roku 1515, dzierżył pieczęć większą, przyczém ogromny wpływ wywierał na Zygmunta Starego. Nie brakło téż i Odrowążów arcybiskupów... Cóż dziwnego więc, że Anna Białaczowska, pochodząc z tak świetnego rodu, odziedziczyła niepospolite przymioty umysłu i serca, że wysoko wybiegała nad poziom zwykłéj ówczesnéj szlachcianki. Jakoż tak było istotnie, a nie ulega wątpliwości, iż w jéj usposobieniu było wiele poetycznego, że i Kochanowski, jak Słowacki, mógł powiedziéć do swojéj matki: „Jeżeli miałem jaką poezyę w duszy, to ją od ciebie wziąłem..." Ten pierwiastek uczuciowy, który tak silnie zaprawia poezyę i charakter Jana z Czarnolasu, najprawdopodobniéj miał swoje źródło w duszy sędziny. Co pewna, to, że po za głęboką pobożnością, która ją cechowała przez całe życie, i po za tém, coby w niéj Goethe nazwał *eine schone Seele*, inteligencya i dowcip także należały do jéj cech charakterystycznych. Obdarzona umysłem żywym i bystrym, a bardzo wrażliwa z natury, była znana ze swego wrodzonego dowcipu. Dość powiedziéć, że Łukasz Górnicki, pisząc swojego *Dworzanina polskiego*, gdy mu przyszło podać kilka przykładów dowcipu, przytacza jedno z trefnych słówek sędziny. Wogóle „pani Kochanowska" słynęła z tego, że nietylko była „stateczna pani", ale i „bardzo trefna". Dowcip, który tryska z *Fraszek* Kochanowskiego, był spuścizną, odziedziczoną po matce.

II.

Na nagrobku, który Jan Kochanowski położył swoim rodzicom, Piotr i Anna Kochanowscy są nazwani „najczulszymi rodzicami". Dowodzi to, że musieli być szczęśliwi w pożyciu z sobą, że Bóg błogosławił temu związkowi. Że błogosławił, tego między innemi dowodził także fakt, że pan sędzia sandomierski był „najczulszym" ojcem aż jedenaściorga dzieci, siedmiu synów: Kacpra, Jana, Piotra, Mikołaja, Andrzeja, Jakóba i Stanisława, oraz czterech córek: Katarzyny, Elżbiety, Anny i Jadwigi. Trudno o wymowniejszy dowód błogosławieństwa boskiego!

Co ciekawsze, to, że w téj licznéj rodzinie, nieśmiertelnéj przez to, że do niéj należał tłómacz Psalmów Dawida, nietylko on jeden zaciągnął się w szeregi sług Apollina i Muz. Należy podkreślić ten fakt, bo jeśli chodzi o wykrycie źródła talentu autora *Trenów*, to okazuje się, że z tego źródła czerpali także i dwaj bracia poety, Miko-

łaj i Andrzéj. Że tém źródłem była ich matka, to prawie nie ulega zaprzeczeniu. Jakkolwiekbądź, Mikołaj Kochanowski, który za młodu kształcił się na uniwersytecie lipskim, także bawił się piórem, poezye zaś, które zostawił po sobie, wydane przez jego żonę p. t. *Rotuły*, są nader cenną pamiątką po nim, bo malują człowieka o sercu czystém i prawém, rozmiłowanego w starożytnych pisarzach, z których przetłómaczył całego Plutarcha. Nadto, zostawił po sobie *Napisy pod obrazy konterfektu żywota ludzkiego*, tudzież „ksiąg pełną komorę", co tém wymowniéj świadczy o jego żyłce literackiéj... Literatem także, i to wcale nie poślednim, był młodszy brat Mikołaja, Andrzéj Kochanowski. I on poszedł w ślady swych starszych braci. Ożeniony z Zofią Sobieską, choć miał niemało zajęcia, gospodarując w Baryczy, jednak wszystkie wolne chwile, ukradzione pracy około roli, poświęcał, poezyi. W r. 1590 wyszedł jego całkowity przekład *Eneidy*, z listu zaś, pisanego w r. 1593 do Zamoyskiego, okazuje się, że zamierzał tłómaczyć i Liviusza. Ale nie koniec na tém. Usposobienie literackie, wyssane z mlékiem matki, nie wygaśnie jeszcze i w trzeciém pokoleniu. Wszak Urszulka Kochanowska, gdyby nie była umarła, stałaby się, zdaniem ojca, „Safoną słowiańską", bo skoro, dzieckiem będąc mówiła wierszami, to z pewnością, dorósłszy i dojrzawszy umysłowo, pisywałaby poezye. Ale cokolwiekby się stało, pewném jest, że syn Mikołaja Kochanowskiego, autora *Rotuł*, Piotr Kochanowski, zasłynął jako genialny tłómacz *Jerozolimy wyzwolonéj* Tassa, a syn Kacpra Kochanowskiego, najstarszego z braci Jana, wydając *Proporzec* swego stryja, poprzedził go wierszowaną przedmową, któréj sam był autorem. Podobnież i o synu Andrzeja Kochanowskiego, tłómaczu *Eneidy*, powiadano, że był „uchowany w Helikonie z Muzami". Jako taki, odznaczył się w bohaterskiéj bitwie pod Chocimem, a Samuel Twardowski, opiewając jego męstwo, tak pisze o nim:

...Dotąd się Phebową
Bawił lutnią, Korwinom zacnym swym nie nową
Y j a k o b y d z i e d z i c z n ą. Teraz na pogany
Do ostrego pałasza kształtnie przypasany,
Od katedry do bębnów, od p i ó r a do piki,
Między stawa drugimi obok wojowniki...

Tyle poetyckich usposobień i talentów w jednéj rodzinie, to nie prosty chyba przypadek, powiada światły biograf autora *Sobótki*. „Wprawdzie nikt z Odrowążów nie zespolił swego imienia z literaturą ojczystą, ale za to w samych jego dziejach znajdujemy wiele poetycznego żywiołu. A jeżeli już historya niejedną postać, należącą do tego rodu, przyodziała w szatę poezyi, to o ileż poetyczniéj przedstawiały

się one w wyobraźni idących z niego niewiast, podtrzymujących życie w przekazanych im tradycyach, których wątek bezwątpienia o wiele był bogatszy, niż go piśmienne zachowały pomniki. Przy ograniczonych wiadomościach, jakie niewiastom ówczesne wychowanie dawało, podania owe rodzinne wraz z prawdami wiary, stanowiły niemal całą treść duchowego ich życia. Taki zaś podkład psychiczny musiał odpowiednio oddziaływać na kierunek uczuć i myśli, które utrwalając się i potęgując przez całe szeregi pokoleń, wytworzyły w końcu jakby duchową dziedziczność, która przez Annę przeniesiona na szczep Kochanowskich, wydała tyle poetyckich uzdolnień. Im wrażliwsze, podnioślejsze były umysły, tém silniéj oddziaływały na nie poetyczne tradycye. Że do takich należała sędzina, to własny jéj syn złożył o tém w *Trenach* świadectwo."

Tymczasem płynęły lata, a poeta — podobnie jak Mickiewicz w Zaosiu — pierwsze wrażenia swoje, które tak wielki wpływ wywierają na usposobienie człowieka, czerpał z natury wiejskiéj, sielskiéj. Tym „krajem lat dziecinnych", który tak rzewnie przez całe życie wspominał inny poeta, była dla niego Sycyna, jedna z tych polskich „wsi spokojnych, wsi wesołych", których urok późniéj z takiém umiłowaniem opisywał w *Sobótce*:

Dzień tu: ale iasne zorze
Zapadłyby znowu w morze,
Niżli mój głos wyrzekł wszytki
Wieśne wczasy y pożytki.

Ażeby powziąć wyobrażenie o tém, w jakiém Tainowskiém *milieu* wzrastał przyszły autor *Sobótki*, wystarcza przeczytać jéj pieśń ostatnią, w któréj poeta opisuje błogości życia na wsi:

Oracz pługiem zarznie w ziemię:
Ztąd y siebie, y swe plemię,
Ztąd roczną czeladź, y wszytek
Opatruje swóy dobytek.
Iemu sady obradzają,
Iemu pszczoły miód dawają;
Nań przychodzi z owiec wełna
Y zagroda jagniąt pełna.
On łąki, on pola kosi,
A do gumna wszytko nosi:
Skoro też siew odprawiemy,
Komin wkoło obsiędziemy,
Tam już pieśni rozmaite,
Tam będą gadki pokryte,
Tam trefne pląsy z ukłony,
Tam cenar, tam y goniony.

A gospodarz wziąwszy siadkę,
Idzie mrokiem na usadkę:
Albo sidła stawia w lesie,
Jednak zawżdy co przyniesie.
W rzece ma gęste więcierze,
Czasem wędą ryby bierze:
A rozliczni ptacy w koło
Ozywają sye wesoło.
Stada igrają przy wodzie,
A sam pasterz, siedząc w chłodzie.
Gra w piszczałkę proste pieśni,
A Faunowie skaczą leśni.
Za tym sprzętna gospodyni
O wieczerzy pilność czyni...
Ona sama bydło liczy,
Kiedy z pola idąc ryczy,
Ona y spuszczać pomoże,
Męża wzmaga jako może.
A niedorośli wnukowie,
Chyląc sye ku starszey głowie
Wykną przestawać na małe,
Wstyd y cnotę chować w cale.

Tą samą poezyą sielskości, którą tchnie ten wierszyk, oddychał i Kochanowski, kiedy podrastał w Sycynie, a jest wielkie prawdopodobieństwo, że niejedno wrażenie, wyniesione z téj wsi rodzinnéj, odbiło się w tym epilogu *Sobótki*. Bo kiedy się czyta o tych gęstych więcierzach w rzece, to mimowoli staje na myśli Sycynka, przepływająca nieopodal dworu sędziego, tak samo, jak czytając o owych stadach igrających przy wodzie, mimowoli widzi się wielki staw, w którego lśniącéj tafli przeglądało się całe gospodarstwo rodziców poety. Podobnież można być pewnym, iż takich pieśni rozmaitych i gadek, śpiewanych i opowiadanych przy kominie, przy którym i tańczono nieraz, poeta niemało nasłuchał się w dzieciństwie, w Sycynie, gdzie również widywał matkę swoją, jak na podobieństwo owéj „sprzętnéj gospodyni“ liczyła bydło powracające z pola, a potém „pilność czyniła“ około wieczerzy. Na wszystko to Kochanowski patrzał oczyma dziecka i pacholęcia; wszystko to, począwszy od owych „obradzających“ sadów i pasiek „miód dających“, a skończywszy na owych „prostych pieśniach“, które przy wtórze „rozlicznych ptaków“ pastuszkowie grali na fujarkach, sączyło w duszę przyszłego autora *Sobótki* tę poezyę pól i lasów, która choćby dlatego tylko jest poezyą prawdziwą, rzetelną, że jest poezyą natury. Lasy, otaczające Sycynę, „tworzyły nader zacieśniony widnokrąg, w którym myśl, nie znajdując szerszych przestworów, równie jak oko, nie mogła się rozstrzelać: skupiona,

nawykała raczéj do refleksyi, niż bezcelowego bujania. Wrażenia też jakich tu w dzieciństwie przyszły poeta doznawał, nastrajały jego duszę do odczuwania całéj błogości sielskiego życia, płynącego spokojnym nurtem wśród rodzeństwa i dostatków ojcowskich, i utrzymują, w harmonii rozwijające się władze jego umysłu, wytwarzały w nim ów nastrój psychiczny, który w późniejszém życiu pozwalał mu zakłócające wewnętrzną harmonię namiętności do równowagi sprowadzać."

Niemniejszy wpływ, aniżeli wieś i natura, wywierało nań najbliższe otoczenie, w którém się chował od dziecka, tudzież atmosfera domowa, którą oddychał do 14 roku życia. Przedewszystkiém ulegał wpływowi obojga rodziców, których, że kochał, tego dał dowód, nazywając ich „najczulszymi rodzicami". Na zapytanie, czyjemu wpływowi ulegał bardziéj, matki czy ojca, zdaje się, że jest tylko jedna odpowiedź, mianowicie, że głównie urabiał się pod psychicznym wpływem matki. Ojciec, zajęty sprawami urzędu, oddany interesom i gospodarstwu, rozrzuconemu w różnych miejscowościach (bo oprócz Sycyny, był właścicielem Czarnolasu, Woli Sycyńskiéj, Konar i Baryczy, na któréj „ryb nie zliczy"), mało mógł się zajmować dziećmi, a tém samém i nie oddziaływał na nich. Co najwyżéj mógł w nie przelać dziedzicznie część swojéj energii życiowéj, która u niego skierowana do czysto materyalnych zabiegów, u Jana stanie się podnietą do zdobycia rozległéj wiedzy, a następnie przekazać im swoje usposobienie, będące kontrastem rycerskiego ducha i fantazyi. „Jest on w całém znaczeniu ziemianinem, który od czasu do czasu odrywa się od zajęć rolniczych i za stołem sędziowskim zasiada, ale który przedewszystkiém miłuje pokój, wygody, jak je pojmowano ówcześnie, i bynajmniéj nie pragnie własnéj krwi, ani cudzéj, przelewu. To usposobienie odziedziczają po nim synowie, a przedewszystkiém poeta." Ale jeżeli wpływ ojca da się ograniczyć do tak ciasnego zakresu, to wpływ matki, wychowującéj swe dzieci *in severissima disciplina*, był prawie niepodzielny, wyłączny, a znaczny. Ona uczyła je prawd wiary, ona wpajała w nie zasady cnoty, ona wreszcie, zasilając ich dusze skarbami własnego ducha, karmiła je tradycyami własnego rodu, czém najwięcéj może—zdaniem uczonego biografa poety — wpływała na rozbudzenie poetyckich uzdolnień Jana. Ona też, wpływając na rozwój jego uczuć i wyobraźni, ukrzepiała w nim tego ducha katolickiego, który cechował cały ród Odrowążów, a który i pod dachem dworu sycyńskiego gorzał bardzo silnym płomieniem [1]).

---

[1]) Bo oboje państwo Kochanowscy odznaczają się pobożnością w duchu katolickim. Nawet sędzia! Gdy Andrzej Białaczowski, brat sędziny, pragnie stawić

Nie znaczy to, ażeby pod dach tego katolickiego domu nie przedostawały się echa reformy, którą w tym czasie wrzało tyle umysłów w Polsce. Jak tyle innych dworów, podobnie i dwór w Sycynie, zwłaszcza przy liczniejszym zjeździe sąsiadów, niejednokrotnie rozbrzmiewał religijnemi sporami, czyli, że i przyszły autor fraszki *Do Ojca Świętego* niejednokrotnie przysłuchiwał się tym rozmowom. Że to nań nie pozostało bez wpływu, za tém przemawia jego dalsze życie...

Tymczasem rozpoczął pierwsze nauki, człowiekiem zaś, który, choć sam nie posiadał uniwersyteckiego wykształcenia, największą wagę przywiązywał do edukacyi synów, szczególniéj Jana, przeznaczonego do stanu duchownego, był sędzia. Ostatecznie nie było tajném dla niego, że tylko człowiek „uczony" może się wybić na znaczniejsze stanowisko: wiedział, że zarówno dwór, jak i kancelarya królewska, roiły się od humanistów, którzy stąd posuwając się na wyższe godności i urzędy, w końcu niejednokrotnie zasiadali biskupie stolice. A co im ułatwiało robienie tak świetnéj karyery? Przedewszystkiém to, że byli „ludźmi nauk włoskich". Przeświadczony o tém, nie żałował sędzia, gdy chodziło o wykształcenie synów. Jakoż wszyscy otrzymali wychowanie, jak na swój czas, bardzo staranne. Szczególniéj Jan. Kto mu udzielał pierwszych początków czytania i pisania? Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że tym pierwszym nauczycielem — zawsze najlepszym — była jego matka. Wprawdzie było zwyczajem w owym czasie, że mężowie i ojcowie przestrzegali zasady, „aby białe głowy pisma syę nie uczyły y xiąg żadnych co się tyczy biegłości a wyćwiczenia ro-

---

kościół w Policznie, Piotr zaznacza swą obecność przy akcie erekcyjnym, co wprawdzie przemawiało na korzyść jego uczuć katolickich, ale nie bardzo świadczyło o jego szczodrobliwości: bo mogąc do téj budowy dołożyć się jaką ofiarą ze swéj strony, nie uczynił tego: „To już nie tkwi w jego naturze". Ale na katolickie i religijne wychowanie, gdy chodziło o dzieci, zwłaszcza o Jana, kładł nacisk niemały, i pod tym względem bynajmniéj nie hamował swéj żony. „Wszakże i bez tego katolickie przekonania obojga występują w sposób niedwuznaczny w przeznaczeniu naszego Jana do duchownego zawodu. Oboje zapewne pragnęli widzieć go na najpierwszych godnościach kościelnych, choćby na stanowisku biskupa krakowskiego, i w tym celu niezawodnie do wyższych sposobili go nauk; tylko każde z nich prawdopodobnie innemi kierowało się pobudkami. Dla ojca przyszły ten zawód był środkiem do wyniesienia rodu; dla matki — urzeczywistnieniem gorących pragnień, by w synu dała krajowi drugiego Jana Prandotę; bo że ta postać błogosławionego biskupa wciąż się Białaczowskim marzy, to widzimy nietylko z nadania jego imienia poecie, ale i w téj, napozór drobnéj okoliczności, że Andrzéj, budując kościół w Policznie, poświęca go czci św. Stanisława, którego kanonizacya nastąpiła głównie za staraniem Prandoty."

zumu nie czytały", ale pani sędzina, jako Odrowążówna, z pewnością należała do „pań littery znających", a jako słynąca ze swego „ostrego dowcipu", pewno, jako panna, była — za przykładem innych Odrowążówien — na wychowaniu w którymkolwiek z klasztorów. W każdym razie, jeżeli tą, która nauczyła czytać i pisać przyszłego tłómacza Psalmów Dawidowych, była matka poety, to książką, na któréj go czytać uczyła, mógł być tylko — obok *Żywota Pana Jezu Krista* Baltazara Opecia — którykolwiek z *Psalterzów*, bądź Wietora, bądź Walentego Wróbla, których wydanie przypada właśnie na lata pacholęce Kochanowskiego. „Jeżeli zaś już teraz do duszy jego przemawiały te obrazy wielkości, potęgi i dobroci Boga, skréślone natchnioném piórem króla proroka, to jakże to rozjaśniałoby nam genezę jego działalności, jako tłómacza *Psałterza*!"

Ale nauki początkowe, których mu mogła udzielać sędzina, były tylko wstępem do dalszéj edukacyi chłopca, a jeśli go nie chciano posyłać do któréjkolwiek ze szkółek okolicznych, do Sieciechowskiéj naprzykład, to należało powierzyć go p r e c e p t o r o w i domowemu, którym zwykle bywał bakałarz nauk wyzwolonych uniwersytetu Jagiellońskiego, jeden z tych, co, nie mogąc na dalszéj nauce pozostawać w Krakowie i dobijać się stopni magistrów, „szli na guwernerkę do szlachty biedniejszéj, albo obejmowali posady kierowników szkółek katedralnych, parafialnych i innych pomniejszych." Zapas wiedzy, którą posiadał taki bakałarz, nie był imponujący, choć wystarczał w zupełności, ażeby chłopcu dać średnie wykształcenie. „Pisał dwie głowie po łacinie, a dwie po polsku: *sanctus* święty, *maledictus* przeklęty..." Następnie zadawał dzieciom wierszyki, które na język ojczysty tłómaczył: *Ama Deum super omnia, Homo sine litteris speculum impolitum*... Późniéj, w miarę zdobywania coraz większéj słów obfitości, zadawano takich wierszy od 12—20, a naukę ich ułatwiały *Disticha moralia* Katona, świéżo w r. 1535 w Krakowie u Wietora wydane i zaopatrzone polskim i niemieckim przekładem; słowem, przechodzono, jak mówi Gliczner w swéj *Książce o wychowaniu dzieci*, „do zupełnie dobréj łaciny, t. j. do tłómaczeń łatwiejszych rzymskich pisarzów, dopóki nie przyszedł czas na celniejszych prozaików i poetów". W podobny sposób kształciła się większość synów szlacheckich. Jeżeli trafném jest przypuszczenie prof. Plenkiewicza, że takim *preceptorem*, pod którego kierunkiem kształcił się — wraz ze starszym swym bratem Kacprem — Jan Kochanowski, był Jan Czarnolas, z łacińska zwany *Silvius*, który w r. 1539 ukończywszy w Krakowie wydział *artium*, nietylko stopień bakałarza ale i magistra otrzymał, to o lepszego nauczy-

ciela było trudno. Silvius bowiem, z Czarnolasu Kochanowskich, ze stanu kmiecego pochodzący, a przez Macieja z Ryczywołu, opata klasztoru benedyktynów w Sieciechowie, kosztem zgromadzenia na nauki do Krakowa wysłany, posiadał wszelkie dane, ażeby być doskonałym kierownikiem takiego, jak przyszły autor *Trenów*, ucznia. Jakoż wszystko przemawia za tém, że on, nie kto inny, przyjąwszy obowiązki pedagoga w Sycynie, przygotował młodego Jana Kochanowskiego do słuchania nauk akademickich, czyli że przeszedł z nim, pomiędzy rokiem 1539 a 1544, t. z. *trivium*, t. j. kurs, obejmujący gramatykę, dyalektykę i retorykę [1]).

Cokolwiekbądź, jedno jest pewném: że z nadejściem r. 1544-go czternastoletni Jan Kochanowski był przygotowany o tyle, że mógł pojechać do Krakowa na uniwersytet. Jest wielkie prawdopodobieństwo, że tam pojechał razem ze swym mentorem, Sylviusem, który mu ułatwi pierwsze kroki w stolicy...

ROZDZIAŁ DRUGI.

Lata nauki i wędrówki (1544 — 1557).

Kraków i uniwersytet Jagielloński w XVI-ym wieku. — I. Kochanowski na wydziale *artium*.—Życie żaków krakowskich. —Wykłady w półroczu letniém 1544 r.— Wojciech Nowopolski. — Szymon Marycki. – Atmosfera reformy i... gamratek. — Zofia.—Pierwsze próby poetyckie.—Przyjaciele.—Piotr Royzyusz. — Jakób Górski. —Stanisław Grzepski. — II. Śmierć ojca. — Stosunek z hetmanem Tarnowskim. — Wyjazd do Tarnowa.—Na dworze kasztelana.—Jan Krzysztof Tarnowski,—Wpływ atmosfery dworskiéj.—Rok 1549-ty.—Wyjazd do Włoch. — III. W Wiedniu. We-

---

[1]) Dotychczasowi pisarze o życiu Kochanowskiego, począwszy od Hoffmanowéj, a skończywszy na Przyborowskim i ks. Gackim, starali się dowiéść, że początkowe nauki Kochanowski pobiérał w szkole, nie w domu. Hoffmanowa mniema, że poeta zrazu kształcił się z braćmi, w Policznie, w szkółce tamtejszéj, założonéj przez Białaczowskiego. Prof. Przyborowski wysyła Kochanowskiego po pierwszą naukę do kolonii akademickiéj w Krasnymstawie. Ks. Gacki mniema, że początkowe nauki przechodził poeta z braćmi w sąsiednim Sieciechowie, w tamtejszéj szkole, utrzymywanéj przez opatów benedyktyńskich. To samo przypuszcza Małecki. Ale prof. Plenkiewicz odrzuca te wszystkie hypotezy, wykazując ich niesłuszność. Zdaniem prof. Plenkiewicza: „kwestyę szkoły początkowéj stanowczo raz na zawsze usunąć z życiorysu jego (Kochanowskiego) należy.“

necya. — Wiersz *Na dziewczęta weneckie.* — Paweł Manucyusz i jego akademia. — Jędrzéj Dudycz.—Jędrzéj Barzy. — Franciszek Robortello i szkoła rządowa wenecka.—Wezwanie do powrotu do kraju.—Lato r. 1551 w Sycynie. — W Krakowie. — Przez Wiedeń do Wenecyi. — Dwa półrocza studyów pod Robortellem. — Wyjazd do Padwy.—IV. Padwa i jéj uniwersytet. — Życie studentów padewskich.—Profesorowie. — Akademie studenckie. — Andrzéj Patrycy Nidecki. — Kochanowskiego twórczość łacińska. — Wpływ Petarki.—Wiersze polskie.—Zebrania koleżeńskie.— „Przyjaciółki".—Lydia.—Początek romansu.—Harmonie i dysonanse tego stosunku. —Przywiązanie Kochanowskiego.—Andrzéj Dudycz w Padwie. —Obawy Nideckiego.—Przerwa w romansie.—Maj roku 1555-go.—Zaraza.—Wyjazd Lydyi.—Kochanowskiego podróż do Rzymu i Neapolu.—Powrót do Padwy.—Jesień roku 1555. — Zmiana w Lydyi.—Zerwanie. — Królowa Bona w Padwie. — Nawrócenie Lydyi. — Rozczarowanie i smutek. — Wyjazd do kraju. — Lato na wsi. — Wesołe chwile z przyjaciółmi.—Narady familijne.—Powrót do Padwy. — Znowu Lydya. — Koniec stosunku. — Wyjazd do Paryża.—V. Paryż.—Życie paryskie. — Uniwersytet czyli Sorbona.—*Collèges des trois langues.*—„Ich tam Sorbony."—Poezya francuska.—Piotr Ronsard. — *Ronsardum vidi.* — Ronsarda wpływ na Kochanowskiego. — Twórczość Kochanowskiego. — „Czego chcesz od nas Panie..." — *Venusta Galla.* — Początek romansu. — „Niepozbędna miłość." — Ossoliński i elegia do niego. — Śmierć matki poety. — Powrót do kraju.

Okolony podwójnym pierścieniem wysokich murów, nastroszonych 46 basztami o dachach w formie stożków, a umocnionych wałem ziemnym i fosą, którą zalewała woda Rudawy; wystrzelający w niebo mnóstwem wież kościelnych, nad któremi królowały ratuszowa i Maryacka, zdobna wiankiem drobnych wieżyczek, a co godzina rozbrzmiewająca swemi smętnemi hejnałami; rozłożony u stóp Wawelu, którego wzgórze, dźwigając olbrzymie budowle królewskiego zamku i gotyckiéj katedry, panowało nad masą dachów i kominów miejskich; opłukiwany modremi nurtami Wisły, nad któréj krętą wstęgą szarzały pobliskie Krzemionki z zielonym kopcem Krakusa; a wreszcie rzucony na tło krajobrazu, który ze swemi szmaragdowemi błoniami i wzgórkami na pierwszym planie, a rozłożystą Babią Górą i śnieżnemi Tatrami w głębi widnokręgu, należy do najbardziéj malowniczych widoków w całéj Polsce: Kraków, w chwili, gdy doń przyjeżdżał 14-letni Jan Kochanowski, był jeszcze miastem średniowiecznem z wyglądu, w stylu Norymbergi i innych miast niemieckich.

Począwszy od bramy Tworzyjańskiéj, do któréj wchodziło się po moście zwodzonym, a skończywszy na Wielkim Rynku, w którym się koncentrowało ruchliwe życie stolicy, wszystko tu nosiło niezatarte piętno ubiegłego stulecia, wszystko przypominało świetne czasy kwitnącego mieszczaństwa, którym się już miało pod koniec... Patrząc na gotyckie mury kościoła Panny Maryi, Sukiennic i ratusza, otoczone imponującym

czworobokiem szarych kamienic zamożnych mieszczan krakowskich, a zwłaszcza przechadzając się ciasnemi, niewszędzie brukowanemi ulicami miasta, pośród wąskich, 2-u lub 3-piętrowych domów, charakterystycznych swemi wystającemi facyatami i rynnami o smoczych paszczach, swemi kamiennemi godłami, wyobrażającemi różne przedmioty lub świętych i zwierzęta, i wreszcie swemi okratowanemi oknami, o drobnych, krągłych, jak gomółki, w ołów oprawnych szybkach, przypatrując się tym średniowiecznym budowlom, a mając zwróconą uwagę i na zewnętrzną stronę życia, pulsującego na Rynku, na ulicach, w kościołach, w gospodach i sklepach, obserwując bogatych mieszczan, w aksamitnych, futrem podbitych opończach, wielkich panów, jeżdżących karocami, a przybranych w karmazynowe delie i szuby, szlachtę w barwnych żupanach lub kaftanach z bufiastemi rękawami, kobiéty w złotogłowach i strojach krzyczącego koloru, chłopów w jaskrawych sukmanach, wieśniaczki w kraciastych chustkach, żydów w czarnych chałatach i sobolowych czapkach, widząc to wszystko, a nie znając miejscowych stosunków, trudno było, sądząc z pozorów, domyśléć się i przeczuć, że nad tém pstrém mrowiem ludzkiém, zamieszkującém takie miasto, już się unosi powiew włoskiego renesansu...

Była to epoka bujności i pełni życia. W powietrzu, przesyconém miazmatami zażartych sporów religijnych, sporów o Kościół, o celibat i małżeństwo księży, o kalwinizm, luteranizm i aryanizm, unosiła się jakaś horyacyuszowska woń rozkoszy i podnieconych zmysłów, zdrowych nerwów, silnych mięśni i rozkiełznanych namiętności, a wszystko to, zaprawne lubieżną żądzą użycia, rozpościerało swe nieograniczone panowanie, jeżeli nie nad całém miastem, to przynajmniéj nad znaczną większością jego cywilizowanych mieszkańców. Wszystkie kulturalne umysły ulegały temu prądowi renesansu w życiu i w sztuce, a ulegały choćby dlatego tylko, że ten prąd szedł z góry, że jego głównym rozsadnikiem, nadającym mu impuls i piętno mody, była królowa Włoszka, małżonka zniedołężniałego Zygmunta Starego, kobiéta wytwornego smaku i poczucia artystycznego, mądra i wykształcona, która z chwilą swego przyjazdu do Polski, „pod niebem północném stworzyła dla siebie atmosferę południowego artyzmu, i jakby w cieplarni, wyhodowała przepyszne kwiaty sztuki, których najświetniejszym okazem była kaplica Zygmuntowska, zbudowana w r. 1520 przez mistrza Bartolda Berecci, a przystrojona w owe przecudne sztukaterye przez Jana Cini'ego z Syjeny, który tu rokiem Berecci'ego wyprzedził. Za nimi podążają do Krakowa inni włoscy artyści..., którzy, jako sztukatorowie, medalierzy, rzeźbiarze kamei, budowniczowie i malarze, zdobią dwór

Zygmunta i Bony, oraz dwory panów, nietyle może rozmiłowanych w artyzmie, ile w okazałości i przepychu.” Ci włoscy przybysze sprawili, że mnóstwo gmachów gotyckich — który to styl dotąd przeważał nad Wisłą — poczęło się stroić w renesansowe okna weneckie (nie zawsze licujące z dawniejszemi ostrołukami), i że kiedy przyszło do odbudowania spalonego zamku na Wawelu, Zygmunt powierzył roboty te Franciszkowi della Lore, który, wznosząc owe pyszne dwupiętrowe krużganki, strojne w krągłe renesansowe arkady, nadał całemu zamkowi, nietylko z zewnątrz, ale i wewnątrz, zupełnie włoski charakter.

Podobnéj metamorfozie uległ i gmach uniwersytetu, którego gotyckie mury, począwszy od r. 1520, jęły się przyozdabiać w prostokątne okna weneckie. „I tu renesans, niby przylotna jaskółka, zdołał ulepić sobie gniazdo pod średniowieczném sklepieniem audytoryów.” Niestety, duch, jaki w owym czasie panował pod sklepieniami téj Jagiellońskiéj wszechnicy, bardzo wiele pozostawiał do życzenia. Ostatecznie była to siedziba scholastyki, która tu czuła się jeszcze wszechwładną panią domu, tak, iż zachodnio-europejski humanizm, lubo reprezentowany przez kilku dzielnych profesorów, robił wrażenie nieśmiałego małżonka, zahukanego przez swą magnifikę. Mimo to, przewaga moralna, jeżeli chodziło o wpływ na „żaków”, t. j. na młodzież uniwersytecką, była po stronie młodych profesorów-humanistów. „Dość było przy wykładach mówić o téj słonecznéj Italii, co się kąpała w blaskach poezyi starożytnego świata; ukazywać na mistrzów, przodujących rozwojowi wiedzy klasycznéj na uniwersytetach Padwy i Bononii, wreszcie na takich mężów, jak Piotr Tomicki, Jędrzéj Krzycki, Klemens Janicki, co choć już zeszli ze świata, aż nadto jednak wymownym byli przykładem, czém są wrodzone dary krasomówstwa lub poezyi, gdy je rozwinie nauka, z tych ożywczych źródeł czerpana. A cóż mówić o żyjących wychowańcach tych uniwersytetów, jak Samuel Maciejowski, jak Marcin Kromer, Stanisław Hozyusz, Stanisław Górski, i nad wszystkimi górujący zdolnościami Stanisław Orzechowski, który od lat trzech wróciwszy z Rzymu, głośny był już w całéj Polsce nietylko z zatargów o beneficya z biskupem przemyskim Tarłą, ale i przez świeżo na sejm krakowski w r. 1543 wydane pismo *De ordinanda republica* i pierwszą w tymże roku ogłoszoną drukiem *Turcykę*... Ludzie ci byli najwymowniejszą ilustracyą ujemnych stron akademii krakowskiéj i przykładem swym oddziaływali zarówno na zdolniejszych magistrów, którzy często bez pozwolenia nawet władzy uniwersyteckiéj wyruszali za Alpy, jak i na młodzież akademicką, która nie mogąc jeszcze, lub nie mając o czém na dalsze studya za gra-

nicę wyruszyć, przynajmniéj myślą odrywała się od żmudnych zaciekań scholastycznych i wybiegała nią ku owéj zaczarowanéj krainie, gdzie naówczas kwitnęły nauki i gdzie, jak mówiono, rozum się rodził."

I.

Taką była atmosfera Krakowa i uniwersytetu Jagiellońskiego, gdy na początku letniego półrocza r. 1544, w albumie akademickim, Michał z Główna, ówczesny dziekan wydziału *artium*, zapisał—pomiędzy 162 nowowstępującymi scholarami — nazwisko poety: „*Joannes Kochanowski, Petri de Syczynow, dioc. Cracov. 3 (scil. grossos) solvit.*"

Odtąd zaczyna się jego życie studenckie, życie „żaka" krakowskiego, które miało swoje uroki, jak każde czasy szkolne, ale i swoje strony nieprzyjemne. Przedewszystkiém odrębność, w jakiéj trzymano żaków, bakałarzów i licencyatów, była mocno krępująca dla każdego z nich. „Wszyscy, z rzadkiemi wyjątkami, obowiązani byli mieszkać w bursach, pod nadzorem magistrów, i podlegać prawom, przepisanym osobnemi statuty. Tu wiedli oni życie wspólne na podobieństwo kleryków. Bo téż istotnie uniwersytet uważano nietylko za ognisko oświaty, ale i za rozsadnik duchowieństwa. Teolog, prawnik, nawet bakałarz wydziału *artistarum*, mógł przyjmować święcenia. Należało więc wcześniéj usposabiać młodzież do tego stanu i ducha w niéj odrębności zaszczepiać. Nie wolno téż było scholarom używać sukni świeckich, trzewików z długiemi szpicami, broni, czapek lub kapeluszy, słowem, wszystkiego, coby ich zewnętrznie do ludzi innych stanów zbliżało! Natomiast nosili spodnie obcisłe, na nogach półbuciki zamszowe, daléj *żupicę* czyli odzienie do pasa bez rękawów, kabat z sukna lub aksamitu, a na to wszystko nakładali *vestem clericalem*, czyli długą tunikę czarną, przepasaną pasem, wreszcie *czamlotową*, sukienną lub kitajkową czapeczkę na głowę." W takim stroju ukazywali się na mieście, w takim stroju chodzili na wykłady. Te zaczynały się bardzo rano, bo już o 5, 6-éj i 7-éj, aż do południa. Tym sposobem, w zimie, pierwsze wykłady odbywały się przy świecy, co pociągało za sobą nie zawsze przyjemną konieczność zrywania się do dnia. Témbardziéj, że znowu nie było tak dalece do czego się zrywać! Lektorya, w których słuchano lekcyi, były bardzo pierwotne. Słuchacze, siedząc w drewnianych ławkach bez pulpitów, wszystkie notatki byli zmuszeni robić na kolanie, a pióro maczali w kałamarzu przytwierdzonym do pasa. Wykłady zaś? Te były rozmaite.

W półroczu, na które się zapisał Kochanowski, magister Jakób Wyrzykowski objaśniał *Veterem artem*, czyli pierwszą część logiki, obejmującą sylogizmy i wnioski, co także wykładał Marcin *Cracovita*, najstarszy z kolegiatów na wydziale *artium*, a podobno „bardzo tępa głowa” scholastyczna w każdym calu. Jan Dobrosielski, sandomierzanin, wykładał w lektorium Ptolemeusza *Questiones posteriorum*, które były przygotowaniem do dysput, oczywiście w duchu scholastyki. *Priora* t. j. drugą część logiki, obejmującą rozbiór wszystkich składników pojęcia, jego określenie i podział, wykładał Feliks Bendorski, jednocześnie słuchacz wydziału teologicznego. Jan ze Trzciany, Arundinensis, uważany za człowieka wyższych zdolności, wykładał w lektorium Galena *Librum de anima* podług Arystotelesa, a jednocześnie w lektorium Marona, prowadził *Questiones parvorum naturalium*, będące roztrząsaniami przedmiotów, objętych w krótkich traktatach z fizyki Arystotelesa. Nakoniec Tomasz z Krakowa wykładał filozofię Alberta W., jako wstęp do fizyki Arystotelesa. To były wykłady scholastyczne, a 14-letni Jan musiał ich słuchać obowiązkowo. Czy go zajmowały? Czy był dość rozwinięty umysłowo, ażeby ich słuchać z korzyścią dla swego rozwoju intelektualnego? Prawdopodobnie trzymał o nich to samo, co Rey z Nagłowic, który zauważył, że „gramatyka z logiką mogą się i staremu uprzykrzyć...” Na szczęście nie brakło i innych wykładów, owianych ożywczém tchnieniem wiedzy humanistycznéj, do których młodzieniec, jak Kochanowski, bardziéj mógł się zapalić. Do takich należały przedewszystkiém wykłady Wojciecha Nowopolskiego, po łacinie zwanego Novocampianus; był to wybitny humanista, jedyny przytém, który na uniwersytecie krakowskim — w téj chwili — uchodził za niepośledniego znawcę języka i literatury greckiéj. Szkoda tylko, że w półroczu letniém 1544 r. wykładał gramatykę grecką. Ale i to mogło być z pożytkiem dla przyszłego tłomacza *Monomachii Parysowéj*... Inni profesorowie o humanistycznym pokroju, jak Adam z Chęcin, objaśniający w tém półroczu *De officiis* Cycerona, wyłącznie zajmowali się literaturą rzymską: kilku, jak Zygmunt Obrębski, lub Jan Więckowski, komentowali pisma Cycerona, reszta zaś, jak Michał de Wojnicz lub Hieronim z Łowicza, czytali Wergiliusza: pierwszy *Eneidę*, drugi *Georgiki*. Nadto Marcin z Brzezin objaśniał *Epistolas* Horacego, a substytut, dr. Bartłomiéj Sabinka, zapoznawał z Terencyuszem.

Ale to letnie półrocze [1]), do którego i następne zimowe było po-

---

[1]) Po tém letniém półroczu wraca Kochanowski na wakacye do Sycyny, gdzie—jak przypuszcza prof. Plenkiewicz—zostaje przedstawiony hetmanowi Ja-

dobne pod względem nieświetnego programu wykładanych przedmiotów, nie mogło iść w porównanie z letnim semestrem r. 1545, w którym humanizm, wogóle dość po macoszemu traktowany w jagielońskiéj *Alma mater*, wystąpił wyjątkowo świetnie: dość powiedzieć, że na 40 magistrów, wykładających na wydziale *artium*, aż 15-tu zapowiedziało wykłady o różnych pisarzach greckich i rzymskich. Novocampianus, obok wykładu gramatyki Linacriusa, objaśniał *Iliadę* i Hezyoda „in graeco"; Maciéj z Łomży czytał *Bukoliki* Wergiliusza, którego *Eneidę* i *Georgiki* objaśniało nadto dwóch innych profesorów; Michał z Wojnicza analizował *Satyry* Persiusza; Michał Kotarski komentował *De bello Jugurthino* Sallustiusza; a różne mowy i traktaty Cycerona, który zawsze był pupilem humanistów, zajmowały aż pięciu magistrów.

Ale wszystko to było niczém wobec faktu, że w tém półroczu znowu —po paroletniéj przerwie — rozpoczął swoje wykłady Szymon Marycki, Maricius, najświetniejsza gwiazda na humanistycznym firmamencie uniwersytetu. Wykształcony w literaturze klasycznéj, którą studyował w Padwie, Bononii i Rzymie, pod takimi mistrzami, jak Łukasz Bonamico i Jędrzéj Alcyates, nie miał sobie równego w Krakowie, gdy chodziło o znajomość Cycerona lub Demostenesa. Sam Novocampianus blakł przy nim, jak księżyc przy słońcu. To téż wiadomość, że Marycki, świeżo przybyły z Włoch, gdzie w dalszym ciągu poświęcał się studyom humanistycznym, rozpoczyna swoje wykłady, musiała zelektryzować żaków z wydziału *artium*, a w téj liczbie i Kochanowskiego. Niestety, nie wszyscy cieszyli się tym powrotem Maryckiego, tymi zaś, którym jego przyjazd najmniéj był na rękę, byli profesorowie-scholastycy. A że stanowili większość nauczycielskiego grona, że stali u steru zarządu, więc sprawili, że znakomity humanista musiał, wstępując na katedrę, humanizm zawiesić na kołku, i zamiast mówić o Cyceronie, którego mowę *pro Publio Quintio* zaraz po swym przyjeździe z Włoch wydał z komentarzami, wykładać przez całe letnie półrocze *Copiam verborum* Erazma z Rotterdamu i... Metafizykę, czyli, że był zmuszony przeżuwać scholastyczne wióry, które doskonale mógł przeżuwać kto inny. Ale starszyźnie uniwersyteckiéj chodziło o to właśnie, ażeby o ile możności zmarnować humanistyczną wiedzę Maryckiego, a zarazem do *minimum* ograniczyć jego wpływ na młodzież,

---

nowi Tarnowskiemu (którego nazwisko figuruje na akcie rozgraniczenia Sycyny w lecie r. 1544 od dóbr królewskich Zwolenia). Po tych wakacyach Kochanowski wraca do Krakowa, lecz nie na długo, gdyż z powodu wybuchłéj zarazy, wraca znowu, za poradą Silviusza, do Sycyny. Do Krakowa wraca dopiéro w drugiéj połowie zimowego półrocza... Są to wszystko przypuszczenia, na których poparcie pozytywnych dowodów prof. Plenkiewicz nie przytacza, bo ich niema poprostu.

więc nań wywarto taką presyę, że pod jéj parciem jeszcze i przez całe zimowe połrocze z roku 1545 — 1546 wykładał *Nową logikę* i *Posteriora*, a w ciągu dwóch lat następnych, 1547 i 1548, miał wykłady z dziedziny astronomii! Swoją drogą nie dał za wygranę, i nie mogąc działać z katedry, działał słowem drukowaném. W tym celu wydał w r. 1546, w tekście i przekładzie łacińskim, mowę Demostenesa *de Pace*, nie tając w przedmowie do tego wydania, że „jak dlatego zaraz po powrocie z Włoch wydał z komentarzami mowę Cycerona *pro Publio Quintio*, by z jednéj strony wypłacić się za pomoc daną mu przez Kmitę, a z drugiéj uczynić zadość *cupidae juventutis expectationi*, tak obecnie, ogłaszając po niéj mowę Demostenesa, nie inną kieruje się pobudką, tylko, by młodzież polska, nieposlednie wykazująca zdolności, gdy się jéj umysł starannéj podda uprawie, z takiego zestawienia języków greckiego i łacińskiego kształcąc się pod jego przewodnictwem, do obu literatur zamiłowania nabyła.” W tymże roku jednak, w półroczu letniém, oprócz scholastycznych *Posteriorów*, które wykładał gwoli dogodzenia staremu Cedroviusowi i jego stronnictwu, zaczął objaśniać także mowę Cycerona *pro Quintio*, a w półroczu zimowém zdecydował się na rozbiór jego dyalogu *de Oratore*. Tym sposobem korzyść, którą Kochanowski mógł odnieść z wykładów Maryckiego, naprawdę redukuje się do dwóch semestrów tylko. Ale i to coś znaczyło, tego bowiem, co z zakresu humanistyki usłyszał od Maryckiego, nie usłyszał by od żadnego z cyceronianów krakowskich. „Czas przecież jednoroczny tych wykładów zaledwie starczył, by do tak gruntownych studyów rozłakomić żądnego nauki młodzieńca, nie dając mu w dalszym ciągu możności zaspokojenia rozbudzonych pragnień przez mistrza, który marniał, w obcą sobie sferę zepchnięty. Bezwątpienia, wydając w r. 1547 mowę Demostenesa *pro libertate Rhodiorum...*, chciał on podtrzymać zapał w młodzieży do studyów klasycznych i bądź co bądź, poszanowanie dla nich na uniwersytecie wywalczyć. Sam druk przecież nie mógł żywego jego słowa zastąpić, ani usuwanemu od katedr humanistycznych, na ogół młodzieży skutecznego wpływu zapewnić. Wpływ ten był jednak na poetę niezaprzeczony. Jak bowiem z jednéj strony Marycki dał mu pierwszy prawdziwéj umiejętności pojęcie: tak z drugiéj, własnym przykładem jeszcze go więcéj w tém przekonaniu utwierdził, iż tylko Włochy mogą dać mu wiedzę prawdziwą.”

Tymczasem bawił w Krakowie, a ulegając wpływom otoczenia, nasiąkał nietylko wiedzą humanistyczną, ale i modnemi doktrynami reformy, wyznawanemi nawet przez takich ludzi, których by o to najmniéj podejrzewać należało. A jednak było tak w istocie! Przykła-

dem Lismanin Włoch, który, choć był nadwornym kaznodzieją i spowiednikiem królowéj Bony, nietylko sprzyjał kalwinizmowi, ale, wraz z Trzecieskim, należał do jéj najgorliwszych apostołów. A wszystko to działo się pod okiem prymasa-arcybiskupa Gamrata, który, jako tępiciel protestantyzmu, siał postrach między zwolennikami Kalwina i Lutra. Wszak pamiętano śmierć Wajglowéj, mieszczki krakowskiéj, która, że się sprzeniewierzyła wierze katolickiéj, spłonęła na stosie, a spłonęła z rozkazu Gamrata. Na szczęście, biskup ten, choć prześladował heretyków, nie przez wszystkich był traktowany na seryo. Wiedziano o jego obżarstwie i opilstwie, a że i jego amory, nietylko z Dorotą Dzierzgowską, wojewodziną mazowiecką, z którą stosunki sama Bona mu ułatwiała, ale i z całym szeregiem nierządnic, w których nie przebierał, nie były tajemnicą, tego dowodziła choćby nazwa *gamratki*, którą w tym czasie zaczęto nadawać wszystkim kobietom złego prowadzenia...

Taką „gamratką" była także i owa Zofia, którą Kochanowski unieśmiertelnił w jednéj ze swoich *Fraszek*, a z którą znajomość niewątpliwie przypada na te lata studyów poety w Krakowie. Była to istotka ładna, dowcipna i miła, choć kto wié, czy w tym razie Kochanowski nie był trochę podobnym do Mickiewiczowskiego Tadeusza, któremu tak się spodobała Telimena, że, uniesiony młodzieńczym temperamentem, nie dostrzegł bielidła i drobnych zmarszczek na twarzy.

Bo młodzieńcowi młodą jest każda kobieta:
Chłopcowi każda piękność zda się rówiennicą,
A niewinnemu każda kochanka dziewicą.

Zdaje się, że i Kochanowski nie był wolny od złudzeń co do młodości Zofii, która, jeżeli nie była jego pierwszą miłością, to w każdym razie odegrała niemałą rolę „w sercu" poety. Inaczéj nie pisał by o niéj:

Ona była nadobna, ona wdzięczna była,
A wszystko jéj przystało, cokolwiek czyniła.
Jéj żart każdy był trefny, a gdy co kazała,
Zawżdy wielką powolność po każdym poznała.

Jeżeli „po każdym", to i po nim także, a jeśli mu się wydawała tak nadobną i wdzięczną, to z pewnością niejeden wierszyk napisał pod jéj wpływem. Bo że już w uniwersytecie będąc, pisywał wiersze, przeważnie łacińskie, to się rozumié samo przez się: raz, że „każdy chłopiec w tych latach składa wierszyki", cóż dopiéro chłopiec z tak poetycką duszą, jak Kochanowski, a powtóre, że jest kilka utworów poe-

ty, jak pieśń VIII jego *Fragmentów*, jak ustęp o „Mnichu" w *Carmen macaronicum* lub epigramat 33, poświęcony Royzyuszowi, które nie dadzą się odnieść do innéj epoki w życiu przyszłego autora *Trenów*, jak do tych jego studyów krakowskich.

A jeśli pisywał wiersze, to się z niemi nie krył przed przyjaciołmi, których zdania mógł być ciekawy. Témbardziéj, iż grono jego przyjaciół krakowskich, choć nieliczne, składało się z samych ludzi wyborowych, wykształconych humanistycznie, z którymi rozmowy w godzinach wolnych od pracy, bądź w mieszkaniu którego z nich, bądź za stołem któréjkolwiek z gospód na Rynku, mogły być nietylko źródłem umysłowéj przyjemności, ale i z korzyścią.

Do takich przyjaciół poety, oprócz Sylviusza, należał przedewszystkiém Piotr Ruyz, Aragończyk, z przydomkiem de Moros, Hiszpan, zwykle nazywany Royzyuszem. Prawnik z wykształcenia, uczeń trzech akademii, dwóch włoskich i jednéj hiszpańskiéj, protegowany Gamrata, był profesorem prawa rzymskiego, a jako taki, odznaczał się nietylko głęboką nauką, ale i porywającą wymową, co sprawiło, że na swe wykłady ściągał tłumy słuchaczów. Była to postać nadzwyczaj oryginalna, a wysoko ceniona przez młodzież, która w Royzyuszu widziała uosobienie europejskiéj nauki. Nadto dał się poznać także, jako poeta: jego wiersz łaciński, napisany z powodu zaślubin Zygmunta Augusta z Elżbietą Rakuszanką, zwrócił nań uwagę dworu i wszystkich wykształconych umysłów. Serdeczny w obejściu, dowcipny, a często i złośliwy, lubił otaczać się młodzieżą akademicką, na którą, jako humanista, wywierał olbrzymi wpływ... Kochanowski, wnosząc z jego epigramatu, w którym Royzyusza nazywa „obywatelem świata", zdaje się, także należał do tego grona, które się skupiło koło osoby ekscentrycznego Hiszpana, za czém poszło oczywiście, że pod wieloma względami przejął się jego sposobem myślenia. Tak np. Royzyuszowi zawdzięczał swe sympatye dla domu habsburskiego, którego uczony Aragończyk był zagorzałym stronnikiem w polityce.

Drugim przyjacielem Kochanowskiego, z którym go teraz mógł łączyć o wiele poufalszy stosunek, niż ze sławnym cudzoziemcem, był Jakób Górski, humanista, o pięć lat starszy od poety, bo już w r. 1542 zapisany na wydział *artium*, a człowiek niepospolity pod każdym względem. Można być pewnym téż, że taki przyjaciel bardziéj odpowiadał Kochanowskiemu, niż wielu innych, jak Andrzéj Krajowski lub Grzegorz Podlodowski, choć temu ostatniemu było sądzone zostać szwagrem poety... Za to Stanisław Grzepski, o którego niezwykłéj biegłości w językach łacińskim i greckim świadczy *Epitaphium* Kochanowskiego, był jakby stworzonym na towarzysza dla poety. Był to

umysł wszechstronny, równie zapalony humanista, jak... matematyk. Że z nim Kochanowski bardzo sympatyzował, tego dał niejednokrotne dowody. Książka, którą mu z czasem ofiaruje na pamiątkę, a którą będą tragedye Seneki, jeszcze dziś znajduje się w bibliotece Jagiellońskiéj. Zdaniem Kochanowskiego, Grzepski, któremu poświęcił parę wierszy łacińskich i polskich, był uosobieniem „nauki, cnoty, rozumu i postępków świętych.”

II.

W pierwszéj połowie r. 1547 umarł Piotr Kochanowski. Poeta zjechał do Sycyny. Tutaj, po pogrzebie sędziego, zaczęły się długie debaty w sprawach majątkowych i podziałowych, a jednocześnie i narady familijne, pomiędzy sędziną i jéj opiekunami, co robić z Janem? Czy ma jeszcze wracać na uniwersytet krakowski, na którym już spędził blisko sześć semestrów, czy też ma przedsiębrać co innego? On w każdym razie, gdy chodziło o jego zdanie, do Krakowa powracać nie miał ochoty, bo 1) co mógł skorzystać z wykładów tamtejszych, to już miał za sobą, 2) w Krakowie panowała zaraza, i 3) gdyby to od niego zależało, najchętniéj pojechałby do Włoch. Niestety, o ile to było możebne za życia ojca, o tyle teraz po jego śmierci, wobec rozprzężenia w gospodarstwie, do czego nadto przybywała konieczność uregulowania interesów spadkowych, nie pozostawało nic innego, tylko sobie Włochy wybić z głowy. Chwilowo przynajmniéj. Więc co robić?

Według hypotezy prof. Plenkiewicza, w chwili właśnie, gdy poeta, w rozmowach z matką i starszym bratem Kacprem, zastanawiał się nad tém pytaniem, mającem rozstrzygnąć o jego przyszłości, nadszedł list od hetmana Jana Tarnowskiego, list kondolencyjny, który, o ile był zaszczytnym dla sędziny, o tyle upoważniał do powzięcia decyzyi, ażeby Jan na czas jakiś udał się na dwór hetmana, w roli dworzanina. Wszystko przemawiało za tém, że hetman nie sprzeciwi się temu. W roku 1544, kiedy bawił w Sycynie [1]), jako członek komisyi w sprawie

[1]) Jest to hypoteza oczywiście, którą prof. Plenkiewicz opiéra na akcie rozgraniczenia Sycyny od dóbr królewskich Zwolenia. Nastąpiło to w r. 1544, latem, a pomiędzy członkami komisyi, która zjechała dla dopełnienia tego aktu, figuruje i hetman wielki koronny, Jan Tarnowski, jak o tém świadczy jego własnoręczny podpis na rzeczonym dokumencie. Prof. Plenkiewicz, opierając się na tym podpisie, idzie tak daleko (czy nie za daleko?), że przypuszcza, iż hetman wraz z liczną asystą, zaproszony przez właściciela Sycyny, tamże zetknął się z 14-letnim Janem Kochanowskim, którego mu nie omieszkano zaprezentować. Niemniéj

rozgraniczenia Sycyny od dóbr królewskich Zwolenia, okazał się bardzo życzliwym dla sędziego, a jako ożeniony z Zofią Szydłowiecką, która, podobnie jak i sędzina, była Odrowążówną, a więc współherbowną z matką poety, mógł się poczuwać do powinowactwa z nią... Jakoż zdaje się, że tak było, skoro w liście kondolencyjnym do wdowy, zapewniał ją łaskawie, że zawsze może liczyć na jego życzliwość, gdyby się znalazła w jakiéj potrzebie. W takich warunkach prosić hetmana, ażeby zechciał przyjąć młodego Jana, jako dworzanina, na swój dwór w Tarnowie, nie przedstawiało najmniejszego ryzyka.

Zatém poszło, jak przypuszcza prof. Plenkiewicz, że następne dwa lata, aż do roku 1549, spędził poeta, jako dworzanin hetmański, w Tarnowie, na zamku kasztelana krakowskiego [1]). „Patrz na Tarnów, mówi Orzechowski w żywocie hetmana, jakie bogactwo u mieszczan, jako

---

śmiałą hypotezą, mojém zdaniem, jest ów list kondolencyjny hetmana, wystosowany do sędziny po śmierci jéj męża. Trudno jednak: gdzie niema pozytywnych danych, tam z konieczności trzeba się uciekać do hypotez.

[1]) I na to niema żadnego dowodu, prócz faktu, że w jednym z rękopisów, przechowanych w bibl. ord. Zamoyskich, zatytułowanym „Dwór sławnéj pamięci nieboszczyka Jana hrabie z Tarnowa, kasztelana krakowskiego“ i t. d., a obejmującym cały składający go personel, figurują na końcu, w spisie kilkudziesięciu dworzan, i Kochanowscy także, lubo nie wymienieni imiennie. „Jeżeli jednak było ich kilku, to nikt, tylko Jan mógł im tu drogę torować. Tym jedynie sposobem można sobie wytłomaczyć ów ton poufalny, w jakim on późniéj do hetmana w Elegii V ks. I przemawia; nieco mentorski, gdy w Elegii I tejże księgi zachęca młodego Jana Krzysztofa, by wstępował w ślady rodzica, lub gdy po jego zgonie koi boleść jego synowską. Jakby zresztą poeta doszedł do tak zażyłego z Mikołajem Mieleckim lub Radziwiłłem Czarnym stosunku, gdyby w tym właśnie czasie (1547—1549) nie bawił na dworze hetmana i gdyby go tam nie uważano za współherbownika, którego powinowactwo było zapewne w stopniu bardzo dalekim, ale którego, bądź co bądź, Odrowążanka rodziła.“

W świeżo ogłoszonéj, pięknéj pracy Bronisława Chlebowskiego, który niezaprzeczenie należy do najgłębszych znawców życia i dzieł Jana Kochanowskiego, znajduje się ustęp, który tu warto przytoczyć, jako potwierdzający hypotezę prof. Plenkiewicza. „W wierszu na zgon Jana Tarnowskiego († 1561) po raz pierwszy występuje poeta w poważnéj roli głosiciela cnót i zasług wielkiego męża. Dla utworu swego wybrał formę „pocieszenia“ (*consolatio*), pozwalającą mu przybrać względem młodego Tarnowskiego (któremu niedawno poświęcił Szachy) poufnomentorskie stanowisko, świadczące zresztą, że Kochanowskiego z domem Tarnowskich musiał łączyć bliski stosunek, (żona Mikołaja Radziwiłła, z domu Szydłowiecka, któréj dedykowana jest Zuzanna, była rodzoną siostrą matki Krzysztofa Tarnowskiego). Jak w dedykacyi Szachów, tak i w tym utworze poeta przemawia do Krzysztofa Tarnowskiego, jakby do równego sobie kolegi („Mój hrabia“, „Jeśli cię dobrze znam“). Zob. „Ateneum“ za październik 1897 r. Artyzm Kochanowskiego.

oprawne jest miasto wałmi, mury i strzelbą ku obronie." W obrębie tych murów obronnych i wałów, miała teraz 17-letniemu Kochanowskiemu, w atmosferze rezydencyi wielkopańskiéj, upływać jego *vita nuova*. Czy mu było dobrze z tą rolą młodego dworzanina? Zdaje się, że odrazu miał możność korzystania z różnych przywilejów, których nie mieli inni dworzanie, i że od pierwszéj chwili, gdy wstąpił na dwór hetmański, nietyle pełnił funkcye zwykłego dworzanina, ile został przeznaczony na towarzysza dla 10-letniego kasztelanica, Jana Krzysztofa, który wraz ze Stanisławem Latalskim h. Prawdzic, wojewodzicem poznańskim, i Mikołajem Mieleckim h. Gryf, synem wojewody podolskiego, pod ochmistrzowstwem księdza Jakóba Niemieckowskiego, kształcił się w naukach. „Otóż dla tego grona młody, świéżo wyszły z akademii młodzieniec mógł być pożądanym nabytkiem. Kto wié nawet, czy ten wzgląd nie zaważył w postanowieniu Tarnowskiego co do przyjęcia na swój dwór 17-letniego Jana?..." Kochanowski bowiem, „jako starszy młodych paniąt towarzysz, mógł z jednéj strony łagodzić surowość tego stosunku, w jakim do nich ze stanowiska ochmistrza i kapłana ks. Niemieckowski zostawał, a pomimo to, podzielając z nimi zabawy, zachować tyle powagi, by nie dopuścić swawoli. Że towarzystwo to było dla niego za młode, że wobec niego musiał się wbrew swemu usposobieniu i nawyknieniom do tonu pedagoga dostrajać, to więcéj niż pewna; ale chyba rozumiał, że wszystko to było koniecznem następstwem stanowiska, jakie w domu wielkiego pana zajmował, i że, jeżeli stracił dawną swobodę (któréj zresztą, i jako żak krakowski, skazany na zakonne życie w bursie, zbytnio używać nie mógł), to z drugiéj strony zawiązywał z tymi 10 i 12-letniemi panięntami na dalsze życie stosunek" [1]). Ale jakiekolwiek posługi spełniał na dworze hetmańskim, zawsze miał dość czasu, ażeby w dalszym ciągu ćwiczyć się w naukach, a choć w rozerwaném życiu dworskiém nie mogło być mowy o systematycznéj pracy literackiéj, to jednak miał możność korzystania z przebogatéj biblioteki hetmana, zasobnéj w najrzadsze rękopisy i dzieła. Dodać należy, że były to przeważnie dzieła humanistyczne, rękopiśmienne kopie i *editiones principes* autorów greckich i rzymskich, hetman bowiem, sam będąc mężem „uczonym", wykształconym w prawie, a w wolnych chwilach piszącym dzieje narodu, otrzymał wykształcenie humanistyczne, w duchu rzymskim. Kochanowskiemu mogło to wyjść tylko na dobre! Powtóre mógł korzystać ze światłych wskazówek ks. Niemieckowskiego, który był tak niezwykłéj miary człowiekiem, iż Ferdynand, król rzymski, wyraził się o nim, że swoim synom pragnąłby dać

---

[1]) Patrz wyżéj, przypisek z cytatą z pracy Br. Chlebowskiego, potwierdzającą to przypuszczenie prof. Plenkiewicza.

takiego mistrza. Następnie, to przebywanie na dworze takiego potentata, jak hetman, pozostającego w ciągłych stosunkach nietylko z najpierwszymi dostojnikami korony, nietylko z Zygmuntem Starym i Zygmuntem Augustem, ale i z wielu obcymi monarchami, mogło być dla młodzieńca, jak Kochanowski, nader pożądaną szkołą życia. Ostatecznie obracał się między ludźmi wysokiéj nauki, surowéj staro-rzymskiéj cnoty i biegłości w sprawach rycerskich, do których przedewszystkiém należał sam hetman, a stojąc przy boku tak wysokiego dygnitarza, mógł się wyrobić wszechstronnie, bo użyty do posług kancelaryjnych, mógł nabyć wprawy pisarskiéj, przywyknąć do form dyplomatycznych, do liczenia się z użyciem każdego wyrazu. Pozatém nawykał do łask, do rozumnego szafarstwa i karności, téj ostatniéj bowiem, któréj wzorem była karność wojskowa rzymska i spartańska, podlegał zarówno cały dwór hetmana, jak i jego syn własny: syn może więcéj nawet, niż podwładni. Podobna atmosfera nie mogła pozostawać bez wpływu na dojrzewający charakter poety, tak samo, jak nie mogła nie wpływać na jego katolicyzm, w którym go ukrzepiała. Pod tym względem największy wpływ wywierał na niego, jak i na całe otoczenie, sam hetman, który nietylko — jak o nim powiada Orzechowski — „naśmiewał się z tych nowowierników, którzy opak pismo wywracając, piątą ewangelię wymyślili ku wiecznemu potępieniu swemu", ale „zakonności starodawnéj chrześciańskiéj tak pilnie strzegł, że najmniejszéj odmiany ani na dworze swym, ani na dzierżawach swych, około wiary nie cierpiał." Nie cierpiał również, ażeby w jego obecności źle mówiono o dynastyi habsburskiéj, któréj był szczerze oddany. I pod tym względem, gdy chodzi o przekonania polityczne, miał mu Kochanowski niemało do zawdzięczenia. „Wszystko to témbardziéj oddziaływało na jego umysł, że wszedł w ten okres rozwoju, gdy siły ducha, naraz rozbudzone przyjaznemi warunkami, zaczynają działać w kierunku, wyrokującym o przyszłém powołaniu człowieka. Po czasach łamania się z trudnościami języka i wersyfikacyi łacińskiéj, nastąpił w rozwoju jego okres nowy: ubogi jeszcze co do myśli, uczuć i obrazów, ale nie pozwalający już wątpić o uzdolnieniu do poezyi. Próby jego muzy zwróciły może ks. Niemieckowskiego uwagę i, przez niego doszedłszy do wiadomości hetmana, wywołały postanowienie, które go miało na bity gościniec, wiodący do przyszłéj sławy poetyckiéj, wprowadzić."

Było to w r. 1549. Syn hetmana, Jan Krzysztof, miał lat dwanaście. Hetman postanowił wysłać go z ks. Niemieckowskim i dwoma dotychczasowymi towarzyszami, za granicę, do Wiednia, na dwór Ferdynanda, a przy téj okazyi—jak przypuszcza biograf poety — umyślił

wyprawić i młodego Kochanowskiego, tylko nie do Wiednia, ale do Włoch, o których utalentowany młodzieniec marzył od tak dawna.

Oczywiście, że i sędzina, dowiedziawszy się o szlachetnym zamiarze hetmana, nie miała nic przeciwko temu wyjazdowi. Wszak wyjazd ten wprowadzał go na drogę, która go dowieść mogła do tych wysokich godności, jakie niegdyś Iwo i Jan Prandota z Białaczowa zajmowali w kościele! Dlatego, nie chcąc, ażeby jéj syn podróżował wyłącznie na koszt swego znakomitego protektora, zaopatrzyła go na drogę w 48 dukatów *in auro veri et justi ponderis*, które *notabene* pod dość ciężkiemi warunkami pożyczyła od Jana Zaborowskiego.

Z funduszem tym, który jak na owe czasy był wcale znaczny, puścił się Kochanowski, w grudniu r. 1549, z taborem i towarzyszami Jana Krzysztofa Tarnowskiego, do Wiednia.

III.

W Wiedniu, gdzie podziwiał „szeroki Dunaj,” zabawił niedługo. Wprawdzie mógł, korzystając z tego pobytu w naddunajskiéj stolicy, zapisać się na uniwersytet miejscowy, o wiele wyżéj stojący od krakowskiego, ale mu było pilno do Włoch. Tam, przeczuwał, znajdzie to, czego mu nie mógł dać Kraków, tymczasem Wiedeń, który, otoczony wałem, fosami i murem, najeżonym basztami, posiadał tylko jedną nadzwyczajność, mianowicie cudowny kościół św. Szczepana, także był miastem północném...

A tymczasem jemu dusza rwała się na południe, w krainę słońca i starożytności. Nie zwłócząc więc, ni zważając na ostrą porę zimową, niesprzyjającą przeprawie przez „Alpy krzywe", pożegnał swych towarzyszów, którzy właśnie szykowali się do uroczystego przedstawienia się cesarzowi, i powędrował za góry, do „sławnego miasta", Wenecyi.

Wenecyą, „w pośrzód morza" leżącą, jéj mozajkami i marmurami, jéj czarem i oryginalnością, jéj Wielkim Kanałem i Placem św. Marka, był zachwycony. Zwłaszcza entuzyazmował się dla jéj czarujących kobiét, którym z pewnością przyglądał się *con amore*, skoro na samym wstępie zaraz napisał zmysłowy epigram *In puellas Venetas*, a wkrótce po tém, niezawodnie pod wpływem jednéj z tych czarnobrewnych „Nereid, które Neptun, wyludniwszy Adryatyk i Ocean, sprowadził do uroczego miasta Wenetów", dowodził w łacińskiéj elegii, że „jeszcze taka mądrość nie postała w jego sercu, ażeby kochanie uważał za wielkie przestępstwo."

Myliłby się jednak, ktoby przypuszczał, że młody autor téj elegii, wydostawszy się na wolność, o którą tak było trudno w Tarnowie,

tylko się uganiał za pięknemi Wenecyankami, któremi roiły się słoneczna Piazetta i plac św. Marka, a w których on dopatrywał się samych Cyrcei i Syren, dowodząc, że choćbyś, jak Ulisses, „uszy woskiem zalepił, a nawet ogłuchł, jeśliś tylko wzroku nie pozbawiony, zginąłeś.” Ostatecznie, choć na nim „dziewczęta weneckie” robiły bardzo silne wrażenie [1]), doskonale sobie zdawał sprawę z celu swojéj podróży za granicę: przedewszystkiém wiedział, że nie po to przyjechał tutaj, ażeby tylko, „jako jeden z kochających, szedł za sztandarem Kupida,” a powtóre był spragniony wiedzy, któréj w Wenecyi, w akademii słynnego humanisty Manucyusza, biło tak życiodajne źródło. Jeśli mu chodziło o należyte wniknięcie w ducha dzieł Cycerona, to lubieżna stolica Dożów, była jedyném miastem na świecie, któremu, jak się wyraził Franciszek Filelfus, nietylko nie zbywa na uczonych do kształcenia młodzieży, ale które ich umié nagradzać odpowiednio. Do takich uczonych należał przedewszystkiém Paweł Manucyusz, przełożony słynnéj akademii humanistycznéj, będącéj jego własnością. Był to rodzaj pensyonatu, w którym młodzież szlachetnych rodów, przeważnie z obcych krain przybyła, pobierała wykształcenie humanistyczne. Kochanowski zapisał się do téj akademii, a choć z zapałem wziął się do studyowania Cycerona i elegików rzymskich, to jednak zauważył niebawem, że, jak i na słońcu są plamy, tak i Manucyusz, lubo nieporównany jako znawca literatury starożytnéj, ma swoje wady, jako pedagog: mianowicie, zbyt gorliwie opiekuje się swymi uczniami, zbyt ojcowską pieczą stara się otaczać każdego z nich, w czém dochodził tak daleko nawet, że im radził unikać pokus Amora, a zalecał miłość platoniczną. Podobne morały nie mogły się podobać poecie, któremu się tak podobały „dziewczęta weneckie”, więc poruszony temi strofowaniami swego mistrza, napisał elegię, w któréj „prosił grzecznie męża surowych zasad, by przecież soku kwitnącéj nie pozbawiał wiosny, by pozwolił młodocianym roślinom na zielonéj niwie delikatnemi listki ku słońcu wybujać.” Ale nie poprzestając na tém, poszedł daléj, i w tejże elegii wystąpił z twierdzeniem, że „nawet i ci, co się mistrzami cnoty mianują i cnotę samą słowem i czynem wynoszą, i ci pragną, by ich darzono nazwą kochanków, tak, że nie jest wstydem kochać za

[1]) Nawet zakosztował ich interesowności, sądząc z Elegii XIV ks. I, a zaawanturowawszy się z jedną, niebawem przekonał się, co to jest zdrada niewieścia. „Bezwątpienia (powiada prof. Plenkiewicz) Włoszka wabiła go do siebie, dopóki mniemała, że ma do czynienia z bogatym forestierem; gdy spostrzegła pomyłkę, poszukała sobie innego, który mógł jéj pieszczoty opłacać.“ Z tych czasów pochodzi także epigramat *de spectaculis D. Marci* (o widowiskach św. Marka).

ich przykładem." Była to wcale niedwuznaczna aluzya do Manucyusza, który, choć nie młody, w r. 1546 poślubił młodą Małgorzatę Odoni, a ta go już w następnym roku obdarzyła potomkiem... Widoczna więc, że z rozkoszą przyjmował pieszczoty młodéj żony. Ciekawa rzecz, co powiedział Manucyusz, gdy przeczytał tę elegię Kochanowskiego?

Co pewna, to, że młodzi ziomkowie poety, z którymi kolegował a następnie zaprzyjaźnił się w akademii Manucyusza, niezawodnie podzielali zdanie swego towarzysza, a jeśli pod tym względem nie można ręczyć za Jędrzeja Barzego, to można ręczyć za Jędrzeja Dudycza, który, choć sobie dopiéro liczył rok 16-ty, i choć jako protegowany swego wuja, arcybiskupa Granu, sposobił się do stanu duchownego, jednak w rzeczach miłości, do któréj pociąg wyssał z mlékiem matki swéj, Wenecyanki z wielkiego rodu Sbarbellatich, był o wiele doświadczeńszy, aniżeli 19-letni poeta. Tego doświadczenia, popartego rozległemi stosunkami wśród patrycyuszowskich rodzin weneckich, Kochanowski trochę zazdrościł Dudyczowi, z czém się nie taił nawet: najlepszy dowód, że pisząc elegią do przyjaciela—a przez tego przyjaciela należy rozumiéć Dudycza—chwalił go, „iż się nikomu ze swéj miłości nie zwierza, gdy on tymczasem, nie umiejąc jéj ukryć, wszystkich oczy zwraca na siebie." W każdym razie namiętny temperament płochego Dudycza, bardzo przemawiał za nim, zwłaszcza, że pozatém był to wielce sympatyczny młodzieniec, nietylko oddany rozrywkom i zabawom, w których awanturnicze miłostki grały główną rolę, ale i poważnéj nauce, do które] czuł niewymowny zapał. Zwłaszcza Cycerona uwielbiał. W zupełnie innym rodzaju był Andrzéj Barzy, kontrast Dudycza. Skromny, nieśmiały, hołdował cnocie, na któréj zasadzał prawdziwą wartość człowieka. Widocznie był zwolennikiem filozofii Seneki i Stoików. Kochanowski był innego zdania, i dlatego, w elegii do Barzesa, przekonywa go, że „niezawsze należy być cnotliwym," tam bowiem, gdzie idzie o dogodzenie żądzy, najlepiéj nie miéć żadnych skrupułów; żeby cnotliwy Hipolit, który się tak spodobał Fedrze, nie był tak cnotliwy, z pewnością wyszedłby na tém lepiéj, niż na swéj cnocie. „A lubo ty, Barzesie, nie masz macochy, to przecie nie sądź, bym słowa te na wiatr powiedział."

Tymczasem płynęły miesiące, skończyło się letnie półrocze roku 1550, a z jego upływem miało się zakończyć także istnienie akademii Manucyusza, który postanowił zwinąć swój zakład. Czemu? Przedewszystkiém położenie finansowe akademii, pomimo sławy, jaką się cieszyła, wiele pozostawiało do życzenia, a to samo dało się powiedziéć i o zdrowiu jéj przełożonego, który trapiony różnemi *frequenti malatti* oraz uporczywą chorobą oczu, musiał się zacząć oszczędzać,

jeśli chciał, żeby jego młoda żona wkrótce nie została wdową... Wobec tego, uczniowie akademii, a w ich liczbie i Kochanowski, musieli myśléć o przeniesieniu się do jakiego innego zakładu naukowego. Skończyło się na tém, że Dudycz pojechał do pobliskiéj Padwy, Kochanowski zaś, któremu widocznie nie chciało się rozstawać z poetyczną Wenecyą, zapisał się—razem z Barzym — do weneckiéj szkoły państwowéj, *Scuola dello Stato Veneto.* Tutaj miał możność studyowania pod przewodem Franciszka Robortella, świéżo powołanego przez szkarłatny senat Dożów. Był to humanista niemniejszéj sławy niż Manucyusz, a rozgłos, jaki potrafił wzbudzić koło swego imienia, zawdzięczał nietylko swym wykładom, jakie miewał po różnych miastach włoskich, lecz i wybitnym pismom swoim, będącym rozprawami o rozmaitych przedmiotach z zakresu świata i literatury starożytnéj. Kochanowski, zapisując się na jego wykłady, mógł być najlepszéj myśli o swém wykształceniu humanistyczném, od takiego mistrza bowiem, jak autor *Paraphrasis artis poeticae Horatii* oraz traktatów *de Epigrammate*, *de Elegia* i t. d. mógł skorzystać niezmiernie wiele [1]).

Niestety, ledwo się zabrał do studyów pod Robortellem, gdy nagle, najniespodziewaniéj w świecie, na samym początku r. 1551, otrzymał list z domu, od rodziny, wzywający go, ażeby natychmiast wracał do kraju, do Sycyny, albowiem obecność jego, z powodu różnych spraw majątkowych, jest nieodzownie potrzebna. Nie pozostawało nic innego, tylko stawić się na wezwanie. Pojechał więc.

Przybywszy do rodzinnéj Sycyny, dowiedział się, co było powodem, że go musiano oderwać od studyów. Sprawa była bardzo prozaiczna i nieprzyjemna, źródłem zaś, z którego wzięła początek, były jeszcze zawikłane interesy ś. p. Piotra Kochanowskiego, które żonie

---

[1]) Całe to opowiadanie o pobycie i studyach Kochanowskiego w Wenecyi, o ile jest streszczeniem ostatecznych konkluzyi prof. Plenkiewicza, o tyle jest podobne do mozajki, zmudnie złożonéj z samych hypotez. Wszystko, o czém jest mowa w téj części opowiadania, jest piramidą z kart, która może runąć za lada podmuchem krytycznym. Niestety, jedynym materyałem, jakim rozporządzamy, chcąc odtworzyć ten okres wenecki w życiu Kochanowskiego, są jego elegie i epigramaty łacińskie, o których krytyka wyraziła zdanie, że mogły być napisane w Wenecyi, na co jednak niema dowodów niezbitych. To samo da się powiedzieć o studyach Kochanowskiego. Czy rzeczywiście był w akademii Manucyusza? Czy istotnie, po jéj zwinięciu, zapisał się do szkoły państwowéj weneckiéj? Wszystko to są hypotezy, bardzo prawdopodobne, ale niestety, nie poparte dokumentami. Nawet i to nie jest pewne, czy Kochanowski istotnie przez r. 1550 bawił w Wenecyi. I pod tym względem dzielą się zdania krytyków. Swoją drogą hypotezy, które stawia prof. Plenkiewicz, wydają mi się najtrafniejszemi ze wszystkich dotychczasowych.

i synom pozostawił w spuściźnie. Chodziło o jego spór z Erazmem Zielińskim z Zielanki, spór o granicę między Baryczą a Zielanką, który Zielińscy postanowili rozstrzygnąć w ten sposób, że jeden z nich, Feliks, nadciągnął z ludźmi konno i zbrojno (*superequitando alias* n a y e c h a w s z y, mówi pozew sędziów) i rozpędziwszy pracujących przy grobli kmieci baryckich, podobno naruszył kopce graniczne. Stąd sprawa, proces, Kochanowscy pozwali Zielińskich, a że spór był tego rodzaju, że nieobecność pełnoletniego Jana dawała Zielińskim możność przeciągnięcia procesu, więc Kochanowscy, żeby zapobiédz temu, sprowadzili Jana. Przyjechał, ale niebawem zaczynał miéć dosyć téj pieniackiéj atmosfery domowéj, tych ciągłych rozmów o procesach, zakładach i manifestach, pozwach i protestach, zwłaszcza, gdy po dniu 16 czerwca 1551 r., w którym to dniu i jemu przyszło osobiście stawać w sądzie, sprawa obróciła się na niekorzyść Kochanowskich... Dla młodego humanisty i poety, przywykłego do spokojnych studyów nad Cyceronem i poetami, przerywanych miłostkami i wesołemi sympozionami w gronie kolegów, to ciągłe procesowanie się z sąsiadami, tak absorbujące umysły jego rodziny, nie mogło być pożądaném i przyjemném, jako atmosfera. Przywykł do innéj. Jego wytworna natura czuła się nieswoją w tém otoczeniu, wśród tak niskiego poziomu spraw i zabiegów. Wiele rzeczy musiało go razić, tak, że nawet pobyt na wsi, któréj poezyę i sielskość zawsze odczuwał tak żywo, nie zachęcał go do dłuższego pozostania w kraju, wśród swoich. Jakoż zaczął tęsknić do téj „Auzońskiéj krainy", którą niedawno porzucił. Patrząc na żółte łany zbóż, obramowane ciemną linią lasów, wzdychał za błękitami Adryatyku, a rozmawiając z matką i braćmi, których wyłącznie absorbowały sprawy majątkowe, czuł niesmak i tęsknotę za zajęciami podnioślejszéj natury. „Zdarzały się wprawdzie chwile, w których rodzina zapominała o swych kłopotach i w towarzystwie dochowujących dawnéj przyjaźni bliższych lub dalszych sąsiadów, oddychała swobodniéj. A wtedy to Jan rozpowiadał o swym w ziemi włoskiéj pobycie, prawił o uroczéj lagun i Adryatyku królowéj, o jéj wspaniałych gmachach, placach, kanałach, cudnych niewiastach, kosztownych szatach, nagromadzonych z całego świata bogactwach, dziwnych zwyczajach, uroczystościach [1]), gondołach i różnych własnych przygodach; przecież chwile podobne trafiały się rzadko i nieraz może przerywało je urzędowe kołatanie laską we drzwi, przybyłego z nowym

[1]) „Św. Marek miał urządzić widowisko i już orszak uroczysty postępować począł, gdy nagle deszcz lunął i ciemna wszczęła się nawałnica, która baldachiny i obrazy świętych zmoczyła." Epigram O w i d o w i s k a c h ś w. M a r k a.

pozwem woźnego." Jednocześnie prowadzono rozmowy, dotyczące przyszłości poety, którą miała być karyera duchowna, karyera dostojnika kościelnego. Takie było życzenie matki, która mu narzucała stan duchowny, nie przeczuwając zgoła, że Jan coraz mniéj do niego powołania uczuwał, że mu się wcale nie uśmiechało „chwytać beneficya, ubiegać się o katedralne godności, tyć na duchownym chlebie i nigdy nie zaznać godziwych życia słodyczy." Wszystko to, a zwłaszcza celibat, przejmowało go wstrętem na samą myśl, i dlatego zaczął sprzyjać reformie, która mu mogła zgodniejszą z jego usposobieniem przyszłość ukazywać. Ostatecznie katolicyzm zdawał się bankrutować, tymczasem nowe doktryny przybierały coraz dotykalniejsze kształty. Zdawało się nie ulegać wątpliwości, że stary porządek ustępował miejsca nowemu „i w duszy poety zabrzmiało *Pereat!* streszczające w sobie najgorętsze jego pragnienia." Ale się do tego nie przyznawał, bo tylko utrzymując rodzinę swą w tém przekonaniu, że się nie rozstaje z myślą o przywdzianiu sutanny, mógł liczyć na poparcie z jej strony, gdy powié, że pragnie wracać do Włoch. Jakoż nie zawiódł się pod tym względem: gdy stanęła kwestya jego dalszego kształcenia (bo chcąc robić karyerę duchowną, trzeba było być „człowiekiem nauk włoskich"), powrót do Włoch, w celu dalszych studyów, zarówno matka, jak i stryjowie, za konieczne uznali. Skończyło się na tém, że poeta, udzieliwszy swemu starszemu bratu, Kasprowi, plenipotencyi do prowadzenia w jego imieniu wszystkich spraw majątkowych, z nadejściem jesieni, uprzedzając zimę, wyruszył z powrotem do Włoch, do Wenecyi.

Jechał na Kraków, gdzie zabawił czas jakiś, oczekując na jakąkolwiek okazyę do Wiednia. W Krakowie miał wielu znajomych i kolegów, więc nie potrzebował uskarżać się na osamotnienie. Mimo to, mimo możności widywania się i gawędzenia z takimi ludźmi, jak Jan Silviusz, Jan Leopolita, Wojciech Nowopolski, Stanisław Grzepski i kilku innych, z którymi go łączyły serdeczniejsze stosunki, był nastrojony smutnie, a ze smutkiem tym zdradził się na wyjezdném, w dedykacyi Senekowych tragedyi, których tom, „mając odjeżdżać w kraj tak wielce daleki", ofiarował Grzepskiemu „w zakład wiecznéj miłości."

W Wiedniu odwiedził syna hetmańskiego, przed którym może wytłomaczył się, dlaczego bawiąc w kraju, nie odwiedził jego wielkiego ojca a swego dobrodzieja: ale pomimo najszczerszych chęci z jego strony było to niemożebne, z powodu, że hetman właśnie „w skok na granicę ruszył" przeciwko wojewodzie wołoskiemu, który, podmówiwszy Tatarów, wpadł na Podole...

Stanąwszy w Wenecyi, zapisał się na wykłady Robortella, pod którego kierunkiem też, oddany studyom klasycznym, przez całe zimowe półrocze 1551, oraz letnie 1552, z zapałem, a niezawodnie i z korzyścią wielką, pracował.

W tém rozeszła się wieść, że stary Łazarz Bonamicus, chwała uniwersytetu w Padwie, przeniósł się do wieczności, i że senat powołał na opróżnioną katedrę Robortella. Upodobawszy sobie w wykładach mistrza, Kochanowski zdecydował się podążyć za nim. Tym sposobem, na następne półrocze zimowe przeniósł się do Padwy, zapisując się na wydział artystów.

IV.

„Czyż poeta nie doznawał żywszego bicia serca, na myśl, że znajdzie się w murach jednego z najsłynniejszych, najstarożytniejszych po Salernie i Bononii uniwersytetu; że w tém ognisku i on zaczerpnie nowego światła, którego promienie, poczynając od XIII stulecia, rozjaśniały mrok i jego własnéj ojczyzny?" Trudno w tym względzie odpowiedzieć coś stanowczego, bo choć świeża tradycya Klemensa Janickiego, który, jako żak padewski, był ulubieńcem Bonamika, mogła pobudzać wyobraźnię 22-letniego Kochanowskiego, to jednak, wjeżdżając w mury Padwy, którą prawdopodobnie znał przedtém, nie mógł być ślepym na to, że pod względem okazałości gmachów, przepychu życia, zaludnienia i bogactw, Padwa nie mogła się mierzyć z czarującą królową Adryatyku. Wenecya kipiała życiem stołeczném i handlowém, Padwa zaś, niezależnie od tego, że jéj uniwersytet zaćmiewał szkołę państwową wenecką, była prowincyą. „Położona na równinie, otoczonéj od południa malowniczemi Euganejskiemi wzgórzami, które od niepamiętnych czasów okrywały bujne winnice; objęta nieforemnie łamiącym się murem, umocnionym szeregiem baszt w blanki zębionych; przerznięta wreszcie rzeką Bacchiglione, która swemi ramiony w środku miasta tworzyła obszerną wyspę: ówczesna Padwa z krętemi i źle brukowanemi ulicami, nosiła czysto średniowieczny charakter, któremu panujący tu w kościołach gotyk jeszcze więcéj wyrazistości dodawał." Ale niepoczesna w porównaniu z marmurową stolicą Dożów, Padwa miała także niejedno, z czego mogła być dumną, a jeśli mogła się chlubić pięknemi freskami Mantagna i Tycyana, zdobiącemi mury jéj kościołów, lub sarkofagiem Liviusza, odkrytym w r. 1547, to przedewszystkiém szczyciła się podaniem miejscowém, według którego Padwę, dawne Patavium, założył po zburzeniu Troi Antenor... Że poda-

nie to nie przeszło bez wrażenia na Kochanowskim, tego dowodzi chociażby jego Odprawa posłów, gdzie Antenorowi wyznaczył tak dużą i sympatyczną rolę [1]). Ale nie brakło i innych względów, dla których mógl niebawem zasmakować w życiu padewskiém, bo jeśli chodziło np. o życie studenckie, bo tutaj „żacy" grali taką rolę, o jakiéj nie mogli nawet marzyć w Wenecyi. Tam ginęli w masie ludności, a tu, zwłaszcza artyści t. j. zapisani na wydział *artium*, rej wodzili w całém mieście. „Wiadomo np., iż wiele ulic padewskich mają z arkadami podsienia, któremi w czasie upałów lub deszczu wygodnie można krążyć po mieście. Otóż podsienia te bywały zwykle placem burd i figlów studenckich. Z nadejściem bowiem mroku, młodzież akademicka zbierała się tu gromadnie i zbitą masą całą ich szerokość zająwszy, szorowała pod ich sklepieniami, wołając: *Qui va là? Qui va li?* i, albo roztrącała przechodniów, albo w razie doznanego oporu torowała sobie drogę kijem lub sztyletem. Niekiedy znowu wynikały krwawe bójki pomiędzy studentami z powodu przyjaciółek, któremi się Padwa roiła..." Tak bywało przez cały okrągły rok, a że nawet statut uniwersytecki nie sprzeciwiał się zabawom studentów, powołując się na staro-rzymską maksymę, „aby po pilnéj nauce następowała zabawa i rozweselenie, a to w tym celu, by umysły odświeżone stawały się chętniejszemi do przyjmowania nauk", więc bawiono się całą duszą. Zwłaszcza bawiono się raz do roku, w epoce turniejów, tańców i widowisk teatralnych, urządzanych przez młodzież akademicką, pod patronatem rektora i konsyliarzów. Był to karnawał padewski, okres awantur, pijatyk i szczególnego kultu dla złotowłoséj Wenus! „Pojedyncze jednak nacye nie poprzestawały na téj wspólnéj zabawie, ale urządzały widowiska na własną rękę. Tak nacya niemiecka w dzień św. Jana dawała każdorocznie przy ulicy ś. Katarzyny widowiska teatralne, na których ku uciesze zebranego ludu wystawiano tragedye i komedye."

Ale zabawa zabawą, a nauka nauką. Bawiono się w wolnych chwilach, pozatém uczono się, uczęszczano na wykłady; takich bowiem, dla których sama nauka była jedną z największych przyjemności życia, nie brakło między żakami padewskimi. Powtóre sam uniwersytet stał bardzo wysoko. Oprócz przedmiotów scholastycznych, do których należały filozofia moralna, logika, sofistyka, astronomia, etc. etc., przedmioty humanistyczne, choć ilościowo przedstawiające się mniéj

---

[1]) Nadto elegia XVII ks. III zaczyna się od słów: „Pomnę, co pewien mistrz brodaty (Robortollo) zwykł był mawiać do mnie tam, gdzie Antenor leży po zgonie."

świetnie, jakościowo nie pozostawiały nic do życzenia. Wykłady takiego Robortella, który w r. 1553 wykładał retorykę łacińską, były rozkoszą intelektualną dla jego licznych słuchaczów. Znakomite również, lubo mniéj rozgłośne, były prelekcye Jana Faseoli'ego, Paduańczyka, który w r. 1553 wykładał literaturę grecką, niezależnie od tego, że w téj dziedzinie właśnie, zwłaszcza gdy chodziło o Eschylosa, Robortello położył znamienite zasługi. Niemniéj wybitne były wykłady z dziedziny scholastyki, bo trzeba nadmienić, że uniwersytet padewski, choć takim był rozsadnikiem humanizmu, jednocześnie cieszył się sławą ostatniéj twierdzy Arystotelizmu. Tylko, że tu Arystotelesa wykładano w greckim oryginale. Najświetniejszą gwiazdą tego wydziału był Antoni Pessera, powstający przeciwko Platonowi, w czém mu wtórowali nawet i młodzi humaniści, gdy chodziło o kobiéty i miłość...

Poza uniwersytetem istniały t. z. akademie studenckie, czyli korporacye, zawiązywane przez młodzież różnych narodowości. Polacy, za czasów studyów Kochanowskiego, jeszcze się nie byli zorganizowali w oddzielną akademię, stanowili tylko część nacyi ultramontańskiéj. Że Kochanowski bywał na zgromadzeniach tych akademii, na których toczyły się — przy winie — rozprawy o filozofii, o Platonie i Cyceronie, o epikureizmie i stoicyzmie, o Marku Aureliuszu i Senece, tego pozwalają się domyślać jego padewskie elegie, w których nie uznaje ani epikureizmu, ani stoicyzmu; choć ku stoikom pociągają go ich zasady etyczne, na idei obowiązku oparte, ku epikurejczykom zaś — ich horacyuszowskie *Carpe diem.*

Podobnie, jak wątpić nie można, że brał udział w tych ożywionych dysputach akademickich, tak nie ulega wątpliwości, że na nich nie bywał sam, jeno w towarzystwie swych kolegów-ziomków, pomiędzy którymi prym trzymał Andrzéj Patrycy Nidecki, wymarzony towarzysz dla niego, choć wiekiem starszy, bo już liczący sobie 32 lata. Umysł humanistyczny *par excellence*, fanatycznie rozmiłowany w Cyceronie, zaprzyjaźniony z Lismaninem, pod którego wpływem, jako młody kleryk, pozostawał w Krakowie, protegowany Jędrzeja Zebrzydowskiego, biskupa krakowskiego, u którego był w wyjątkowych łaskach, (choć przedtém, już po otrzymaniu czterech mniejszych święceń, nagle wystąpił z zakonu Franciszkanów), zażyły przyjaciel Piotra Myszkowskiego i Łukasza Górnickiego, w r. 1549 poseł do Siedmiogrodu, do królowéj Izabelli, aż wreszcie podkopany na zdrowiu, kosztem Zebrzydowskiego wysłany do Włoch, aby mógł uczynić zadość gorącéj chęci zdobycia wyższéj nauki, był to już człowiek wyrobiony, dojrzały, dworski, obyty z ludźmi, a że, jako uczeń Maryckiego i Nowopolskie-

go, posiadał wiele punktów stycznych z Kochanowskim, więc wystarczało, ażeby się te „dwa *lumina* zacne korony polskiéj” zbliżyły do siebie, ażeby się po niedługim czasie związały najściślejszym węzłem przyjaźni i „mało nie jako brat z bratem doma żyjąc, wszystkie secreta ingenii z sobą communicowali i jeden nad drugiego nie mieli ani mieć chcieli rzeczy swych cenzora wiernieyszego y przednieyszego.” Zdaje się nawet, że w końcu zamieszkali razem. Bądź co bądź, polubili się nadzwyczajnie, raz dlatego, że jak powiada wspólny kolega obu, Jędrzéj Januszowski, syn drukarza krakowskiego, „pospolicie równy równego szuka,” powtóre, że, choć nierówni wiekiem, bardzo do siebie przystali usposobieniami i zamiłowaniami humanistycznemi. Jeśli się różnili, to chyba pod jednym względem tylko: Nidecki, wytrwale oddany pracy, a przytém zmuszony zważać na swe słabe zdrowie, już był obojętny na młodzieńcze rozrywki i wybryki, kiedy Kochanowski szumiał jeszcze.

Mimo to, zachęcony przykładem Nideckiego, nie zaniedbywał się w studyach, gorliwie rozczytując się w poetach rzymskich, którymi, pisząc swoje łacińskie elegie i epigramata, przejmował się z całym pietyzmem i rozmysłem. O tém, iż we Włoszech już się miało pod koniec poezyi łacińskiéj, która po takim zastępie sław, jak kardynał Bembo, Buonacorsi, Boiardo i wielu innych, coraz bardziéj traciła prawa do bytu, nie pamiętał, a przynajmniéj zapominał bardzo często. Co prawda, to go parły w tym kierunku nietylko dzieła mistrzów poezyi rzymskiéj, ale i bliskość miejsc unieśmiertelnionych w jéj arcydziełach. „Sąsiednia Mantua była kolebką Wergiliusza; niemniéj bliska Werona—Waleryusza Katulla; wybrzeże zaś południowe jeziora Garda, zwanego za czasów Rzymian *Benacus*, ulubionem miejscem pobytu tego poety. Tu na przylądku Sirmio, wciskającym się w wód błękity, wznosiła się jego willa, po któréj jeszcze do dziś dnia ślady murów pozostały... Wergiliusz, z powodu panujących na niém burz, które wysoko jego fale podnoszą, przyrównywał je do morza... Katullus zaś przylądek Sirmio nazywa wysp i półwyspów ozdobą. Nic téż dziwnego, że powróciwszy z Bitynii, na jego widok z pełnéj piersi wykrzyknął: *Salve, o venusta Sirmio!* To samo powitanie zapewne się i z piersi Kochanowskiego wydarło, gdy do téj miejscowości z Nideckim lub innymi towarzyszami zawitał” [1]).

Ale wczytując się w poetów rzymskich, nie zaniedbywał i włoskich, których utwory, pisane w narodowym i żywym języku, rugowa-

---

[1]) Że tu był, okazuje się z Elegii IV ks. III, w któréj opisując Włochy wspomina to jezioro.

ły poezye łacińskie. To téż, począwszy od Dantego, a skończywszy na Petrarce, w którym sobie upodobał szczególniéj, karmił się poezyą włoską, zwłaszcza studyując jéj dział erotyczny, dział sonetów, nad którym panowała wszechwładnie *donna gentile*, Beatrice i Laura. Oczywiście, że lektura ta, w miarę, jak mu coraz bardziéj zaczęła trafiać do przekonania, coraz wyraźniéj jęła się odbijać na jego twórczości: nietylko, że zachwycony Petrarką, napisał dwa łacińskie epigramaty na jego cześć, jeden na jego grób, a drugi na pisma tegoż, ale pisząc, zaczął się zapożyczać u niego, żywcem biorąc jego wyrażenia, zwroty, pomysły. Odtąd „panna najpiękniejsza" zaczyna figurować i w jego utworach, a co ważniejsza, że, choć nie przestaje pisać po łacinie, to jednak, idąc w ślady Petrarki i całéj plejady współczesnych poetów włoskich, piszących w swoim języku, coraz więcéj zaczyna pisać po polsku. Cały szereg Fraszek i drobnych wierszy, jak niektóre Anakreontyki, a przedewszystkiém Monomachia Parysowa, dadzą się odnieść do téj epoki twórczości poety.

Czy wiersze te czytywał swoim ziomkom, Nideckiemu, Barzemu, Januszowskiemu i innym? Z pewnością tak było, skoro swoich łacińskich poezyi nie chował pod korcem. Wszystko upoważnia do wniosku, że swoje elegie i epigramaty łacińskie, szczególniéj te, które były na temat miłości, czytywał na akademiach studenckich, gdzie go nie tylko znano i lubiano, ale i zaszczytnie wyróżniano z pośród siebie: gdyby było przeciwnie, z pewnością by go „nacye cyzalpińskie" nie wybrały na zastępcę konsyliarza, tak, jak to miało miejsce przy końcu roku akademickiego 1553. A gdzieżby go mieli sposobność poznać lepiéj i z lepszéj strony, jak nie na tych różnojęzycznych a wesołych i gwarnych zebraniach koleżeńskich, na których, obok polskiéj, włoskiéj, niemieckiéj i francuskiéj mowy, panowała uniwersalna łacina, a których uczestnicy, noszący—zwyczajem humanistycznym — greckie lub rzymskie przezwiska Ligurinów, Nicephontow, Diodorusów, Torquatów etc. etc. byli równie skorzy do słuchania miłosnych poezyi łacińskich, jak do swobodnych rozmów o miejskich i uniwersyteckich plotkach, o wypadkach politycznych, lub kwestyach naukowych. „Istotnie należąca do nich różnych narodowości młodzież niewiele się zapewne troszczyła o nowe w literaturze włoskiéj dążności i w erotycznych poezyach Kochanowskiego znajdując własnych uczuć odbicie, widziała w nim prawdziwie natchnionego śpiewaka. A jeśli w elegiach wyższego zadowolenia szukała, to epigramata, zostające nieraz w ścisłym związku z wypadkami i osobistościami dobrze jéj znanemi, mogła uważać słusznie za najcenniejszą zebrań koleżeńskich przyprawę." Zebrania te, które najłatwiéj wyobrazić sobie na tle miejscowych wi-

niarni, odbywały się przy winie i dziewczynie, co im nadawało specyalnie renesansowy charakter, a *Wein-Weib und Gesang* święciły tu największe tryumfy: przy brzęku kielichów i roztruchanów, przy gwarze rozmów sodalisów, sypały się grube żarty i koncepty w stylu Fraszek i niektórych epigramatów łacińskich Kochanowskiego, a wybuchom śmiechu, od którego się trzęsły wszystkie stoły, wtórowały piskliwe śmiechy „przyjaciółek", różnych Krokalid, Filid, Neer, Korynn i Cypassyd [1]).

I Kochanowski, jak tylu innych jego kolegów, nie stronił od takich „przyjaciółek", których pieszczoty niekiedy opłacał aż opiewaniem ich. Do takich należała „słodka", „uporna" i „roskoszna dziewczyna", Neera, któréj oczy „z gwiazdami walczyły o lepszą", a któréj toczone ramiona Kochanowski wspominał z podobném rozmarzeniem, z jakiém Rafael wspominał *candidi braci* Fornariny; do takich należały Krokalida i Filis, którym epigramat poety *Ad Sodales* zapewnił nieśmiertelność; do takich należała „śniada" Cypassyda, co zaproszona przez poetę na wieczerzę, „przyszła z dwoma kozłami"; do takich należała rozpustna Korynna, którą „za dwa grosze" można było miéć „bez żadnych zabiegów."

Wszystko to były miłostki przelotne, będące uciechą dla zmysłów, a godne dowcipnych i nieprzyzwoitych epigramatów; z miłością jednak, absorbującą duszę, a godną namiętnéj elegii, nie miały nic wspólnego. Ale przyszła koléj i na taką miłość.

Było to w połowie roku 1554. Poeta poznał się z Lydią. Była to dziewczyna zepsuta, choć mniéj zepsuta od innych. W każdym razie była ładniejsza! Jako taka, była na ustach wszystkich, zwłaszcza na ustach kolegów Kochanowskiego, między którymi słynęła ze swéj

---

[1]) Najwymowniejszą ilustracyą tych biesad koleżeńskich są niektóre epigramaty łacińskie Kochanowskiego, niewątpliwie powstałe w tych czasach. Do takich należy *Votum*, w którém poeta pragnie, by mu się puhary pieniły słodkiém winem, a dzban dostarczał niewyczerpanego nektaru; „a gdy piję (powiada), niech przy mnie siedzi wesoły towarzysz, niegardzący Bachusem, a czeladź niech ma pieczę o winnicy." To samo da się powiedziéć o epigramacie *Ad Sodales* (Do towarzyszów), w którym poeta ich zachęca, ażeby „pili póki los pozwala." „Wszak w podziemnym orku winnica nie rośnie, a beczki nie pienią się winem, lecz smętne rzeki siarką tam płyną i cis blady brzegi osłania. Tu, przyjaciele, trzeba kochać; bo skoro sroga Kloto nić przetnie, i ciebie Krokalido, i ciebie, Filido, opuścim, i przez Styks na ponuréj łodzi popłyniem..." Do téjże kategoryi należy zaliczyć i epigram *In Bacchum*: „Pijmy wino wesoło i opiewajmy Bachusa, ojca pląsów i przyjaciela pieśni... Gdy służba podaje nam dobrze doprawione puchary, wnet ucieka smutek... Więc winem się krzepmy i o troski nie dbajmy... Gdy sobie podchmielę, pragnę przewodzić w tanach, pragnę obficie skropiony wonnościami z wesołemi dziewami pląsać."

niepospolitéj urody i wdzięku. Wystarczy powiedzieć, że była blondynką, co we Włoszech, téj ojczyźnie śniadych brunetek, należy do nadzwyczajnych rzadkości. Już to samo, że była jasnowłosa, czyniło ją podobną do łabędzioszyjéj Afrodyty. Nadto odznaczała się cudnemi kształtami Fryny. „Co do urody, powiada o niéj Kochanowski w jednéj z elegii, Lydyja wytrzyma porównanie ze wszystkiemi i raczéj je przewyższy, niż pokonana ustąpi. Lice jéj jak śnieg, włos jak złoto, oczy jak gwiazdy, a wspaniałą postawą podobna do bogiń starożytnych. Czy chodzi, czy się śmieje, czy mówi, sądzisz, że przepasana opaską Wenery. Robót kobiecych, zdaje się, Pallada ją nauczyła; wszystko lekką igiełką wyszyć potrafi... Gdy dźwięcznym głosem z lirą Orfeusza słodkie łączy słowa, sądziłbyś, że Syrena śpiewa." Tak pisał poeta, oczarowany pięknością „złotéj Lydii", która swe jasne włosy „trefiła żelazkiem," a która, usidliwszy go, takie żary zdołała rozniecić w jego młodzieńczém sercu, słowem, tak go potrafiła opętać, że z swawolnego birbanta zmienił się w zakochanego Romea. Coprawda, to nie była to zwykła hetera, jak owe Neery i Korynny z *Epigramatów*; zdaje się nawet, że mieszkała przy rodzicach, że chcąc się widywać z poetą, musiała walczyć z pewnemi trudnościami, wynikającemi z jéj położenia, co ją niezmiernie podnosiło w oczach kochanka. Powtóre nie była wcale łatwa do zdobycia, bo moralnie wyższa od innych „przyjaciółek" młodzieży akademickiéj, przepadającéj za nią, oddawała się tylko wybranym z pomiędzy wielu, przebierając w nich, jak w ulęgałkach. To jéj cenienie się sprawiało, że gdy wyróżniła kogo, to go zaraz przykuwała do siebie, a przykuwała tém silniéj, że działając na zmysły, jednocześnie budziła i czystsze uczucia. Tak było i z Kochanowskim. Na swoje szczęście, poeta miał wiele danych po temu, ażeby i taką Lydię zainteresować swoją osobą. Musiała słyszéć o nim, jako poecie, a że odznaczała się „umysłem wykształconym", więc mógł jéj imponować nawet... Dość, że zaprzyjaźniła się z nim, że zaczęła lgnąć do niego, że się zgodziła na jedną i drugą samotną przechadzkę nad brzegami Meduaku, że w końcu, zmuszona kryć się ze swoją zakazaną miłością, na romansowe schadzki z poetą, które z nim miewała wieczorami, musiała przychodzić potajemnie, przebrana po męzku. Wszystko to rozniecało coraz gorętszy płomień miłości w młodym poecie, a rozniecało térnbardziéj, że Lydia, choć się stawiała na umówione schadzki, była oporną, pozwalała na wiele, ale nie na wszystko. Poeta napróżno pukał do jéj drzwi: nie otwierały się. Cierpiał więc, odchodził z niczém, zapewniając samego siebie, że taka nieufność ze strony ukochanéj, „śmierci się równa," ale gotów był „znieść wszystko, byle tylko nie odjęto mi wszelkiéj nadziei prze-

błagania ciebie, o Lydio!" Przebłagał ją w końcu: oddała mu się. Zaczęły się dni szczęścia, a choć nie łudził się co do cnoty swéj złotowłoséj pieszczotki, to jednak uważał ją za cnotliwą, że oddawała się jemu jednemu tylko... Jedném słowem, rozkochany w ślicznéj dziewczynie, zapominał o jéj płochości, a miłość swą, pod któréj wpływem pisał coraz piękniejsze elegie, traktował na seryo. O niéj śpiewała jego łacińska i „młoda słowiańska Muza", co znaczy, że go pobudzała i do pisania polskich wierszy, a sławiąc ją, jako swą „pannę najpiękniejszą", przekonany był, że jeśli pieśni jego „mają jaki powab", to zawdzięczał to Lydii. Tymczasem i ona zdążyła się zakochać w poecie, tak dalece nawet, że stała się chorobliwie zazdrosną o niego, że go chciała mieć dla siebie wyłącznie... Ta zazdrość z jéj strony, która tak mogła schlebiać Janowi, stała się przyczyną pierwszego dysonansu w ich stosunku. Oto zdarzył się niegodziwiec, który, chcąc poecie odbić kochankę, zaczął jéj w wątpliwość podawać jego uczucia. Na samą myśl o tém, że się Kochanowski sprzeniewierza jéj, że ją zdradza z inną, Lydia wpadła w rozpacz, czém wzruszony poeta, chcąc ją przekonać o swéj wierności, napisał elegię, jedną z najczulszych, jakiemi go natchnęła miłość ku Lydii. „Dopókiż moje życie, gorzkie łzy wznawiać, dopókiż białe lica łzami skrapiać będziesz? To nie łzy twoje, lecz krew moja własna, co z twych oczu płynie, co zrasza twe szkarłatne jagody!"

W takim nastroju zastał poetę Andrzéj Dudycz. Przyjeżdżał z Paryża, gdzie studyował pod francuskimi mistrzami, a jeśli przyjechał do Padwy, to w tym celu jedynie, ażeby tu pod słynnym Gidonem Poncirollą rozpocząć studya prawne. Poza temi studyami jednak, któremi, płochy z natury, nie obciążał się zbytnio, prowadził życie wesołe, rozpustne, które sobie osładzał miłością „czarującéj Menofili", ale miłości téj, pomimo namiętnego przywiązania ze strony kochanki, nie traktował poważnie. Bawił się, ale serce miał wolne, widząc zaś, że Kochanowski naprawdę zakochał się w swojéj Lydii, że się przywiązał do niéj, jak się do tego rodzaju „przyjaciółki" przywiązywać nie należy, starał mu się amory te wybić z głowy. Ale przekonał się niebawem, że Kochanowski zabrnął głębiéj, niż on przypuszczał pierwotnie. Dlatego, kiedy mu w drugiéj połowie r. 1554 wypadło jechać do Anglii, postanowił nakłonić poetę, ażeby jechał z nim razem. Poprostu chciał go oderwać od Lydii, a nie przewidywał zupełnie, że trafi na zacięty opór z jego strony. Widząc, że go Anglia nie nęci, doradzał mu Paryż, z którego sam miał najrozkoszniejsze wspomnienia, a którego zakładom naukowym zwłaszcza nieporównanemu *Collège des trois langues*, przyznawał pierwszeństwo nad Padwą. Ale daremnie perswadował

poecie, że sama zmiana mistrzów, a więc poznanie odmiennych metod wykładów i badań, może być tylko z największą korzyścią dla niego, że Padwa, jako miasto, nie może iść w porównanie z świetną stolicą Francyi: Kochanowski, choć mu się wyjazd taki uśmiechał pod wieloma względami, wobec łez i narzekań Lydii, oświadczył stanowczo, że zostanie, a odjeżdżającemu Dudyczowi, który z lekkiém sercem porzucał rozkochaną w nim Menofilę, napisał elegię na pożegnanie, elegię, w któréj wyrzuca przyjacielowi, że wyjeżdża mimo zaklęć nieszczęsnéj kochanki, a porzuca ją nie dla innéj, lecz dla karyery. „Ach kamieniem jest, kto dla zysku miłość porzucił; we mnie nie znajdzie on naśladowcy. Czyż bowiem mógłbym patrzéć na płaczącą kochankę, lub powstrzymywać łzy na suchych policzkach, gdyby szalona poczęła uszy trapić skargami i gniewną ręką twarz sobie do krwi ranić? Niechaj pozostanę biednym, bylebym z tobą był, moja Lydio! Gdy ciebie posiadam, wszystkie mi królestwa za nic!..” Skończyło się na tém, że Dudycz pojechał sam, a poeta został w Padwie, przy boku złotowłoséj Lydii.

Widząc to, Nidecki, przed którym poeta nie robił tajemnicy z tego, że tylko dla Lydii został we Włoszech, zaczął się niepokoić o niego. Wprawdzie o małżeństwie nie było mowy, skoro sama Lydia zapewniała swego kochanka, że choć zazdrosna o niego, „nie pragnie go od ziemi ojczystéj odciągać lub poślubiona łoże jego dzielić” (na to nie był dość bogaty dla niéj!), ale nie ulegało wątpliwości, że go ten romans z piękną zalotnicą pozbawiał spokoju i zdrowia, że go kosztował mnóstwo czasu, odjętego poważnym studyom (nie mówiąc już o wydatkach). Więc zaczął tłomaczyć poecie, że stosunku z Lydią nie powinien uważać za inny, tylko za przemijającą miłostkę, i dlatego źle zrobił, jego zdaniem, że nie pojechał z Dudyczem do Francyi, coraz bardziéj słynącéj ze swoich sztuk i nauk. Lecz te morały Nideckiego, choć podyktowane przez prawdziwą przyjaźń i życzliwość, nie znalazły oddźwięku w psychice zakochanego poety: tyle tylko, że na nie odpowiedział żartobliwym epigramatem łacińskim *Do Andrzeja Patrycego*, epigramatem, w którym zapewnia swego przyjaciela, że na Amora niema sposobu. „Sam nie wiem, co począć z tym niegodziwcem: chociaż bowiem chciałbym względem niego być okrutnym i choć na to zupełnie zasługuje, nie mogę... Nie brak mu skarg, żeby mię zmiękczyć, nie brak próśb, któremi mnie nietylko przejednać, lecz nawet zniewolić umié. Czy to pieszczotliwemi rączkami szyję obejmie, czy krasnemi ustami pocałuje, ten jego uścisk i srogą burzę morską zdołałby uśmierzyć, a ten gorący pocałunek nawet zagniewanemu Jowiszowi piorun wytrąciłby z ręki.”

Więc trwał w tym „okrutnym żarze, co przedtém z daleka go parzył”, ale tymczasem coś się zaczęło psuć w jego stosunku do Lydii. Zauważył, że była jakby obojętniejszą, że jéj jakby coraz mniéj zależało na widywaniu się z nim, aż w końcu raz i drugi, kiedy on stawił się na umówioną schadzkę, ona nie przyszła, pozwoliła mu czekać napróżno. Co gorsza, to, że go taki zawód spotkał kilka razy z rzędu; tak, iż upłynął czas jakiś, a on nie mógł się zobaczyć z ukochaną. Co to jest? myślał sobie, i zaraz opadły go furye podejrzeń. A nuż go Lydia zdradza... W tém uczuciu, szarpany wściekłą zazdrością, napisał namiętną elegię, pełną wyrzutów i złorzeczeń pod adresem Lydyi. „Niecna! dla ciebie całą noc czuwam i ptak już pełném gardłem dzień zapowiada; tymczasem ty, z włosami strojnemi w kwiaty, siedzisz pomiędzy pełnemi puharami, albo przy dźwięku lutni przewodniczysz tańcom, a zamiast mnie, towarzyszy ci kto inny... Ach, niewierny rodzie! Tylko zdradzać umiecie i z biednych mężczyzn się naigrawać. Nieszczęsny, kto łatwe daje wam ucho, albo mniema, że słowa u was jakąś wagę mają. Ten może wierzyć, że deszcz suchy, a ogień mokry, kto wierzy, że wy bez zdrady mówicie.”

Ale mężczyzna, gdy kocha, jest łatwowierny, a kobiety, gdy chodzi o wytłomaczenie, o wybicie czegoś z głowy mężczyźnie, bywają wielce pomysłowe w takich razach. Była też nią i Lydia, która, jeżeli nawet chwilowo zdradzała poetę, to jednak zdecydowawszy się nie zrywać z nim ostatecznie, tak mu potrafiła usprawiedliwić swoją nieobecność na kilku schadzkach, tak go potrafiła przekonać, że ją podejrzewał niesłusznie, ba, że ją krzywdził swemi podejrzeniami, bo ona jego tylko jednego kocha, że uspokojony poeta, nietylko uwierzył jéj zapewnieniom, ale téj swojéj wierze w niezachwianą miłość Lydii dał wyraz w osobnéj elegii, w któréj woła z zachwytem: „O, trzykroć, czterykroć, bez liku szczęśliwi ci, w których sercu wzajemna gore miłość!“

Taki stan rzeczy trwał aż do maja 1555 roku. Swoją drogą, choć pewny wierności i miłości kochanki, nie mógł się chwilami opędzić refleksyi (zwłaszcza, gdy obliczał, ile złota kosztowała go ta „złota” *gentil donna*), czy gdyby był mniéj hojny, mniéj skory do wydawania pieniędzy, gdy chodziło o zaspokojenie różnych zachcianek Lydii, czy i wtenczas byłby kochany równie namiętnie: jedném słowem, czy go Lydia nie wyzyskiwała przypadkiem, zarówno jego zaufania, jak trzosa. „Teraz bowiem (czytamy w jednéj elegii, w téj saméj, gdzie jest mowa o wzajemnéj miłości Lydii) złoto jest w cenie: złoto, wierzaj mi, trzeba przynieść z sobą, kto chce miłością się parać... Tu nic nie znaczy szlachectwo, ani rodziców starożytna chwała, tu ani cnota, ani

dowcip popłaca. Kto dał, zrównał się czynami z wielkim Achillesem; kto dał, zwycięży twe wiersze, Homerze! Ale ubogiego wyśmieją i o próg wilgotny często szlachetnego boku nadetrze, wytrzymując mróz silny i deszcze nocne, gdy inny na łonie pani spoczywać będzie..."

Na szczęście dla poety, podobne refleksye rzadko wytrącały go z równowagi: był zakochany, a więc łatwowierny i ślepy na różne ujemne strony swéj lubéj. Ostatecznie posiadał ją, a tego pożądał przedewszystkiém.

Nagle wypadło mu rozstać się z nią, i to na nieokreślony przeciąg czasu. W mieście wybuchła zaraza. Znaczna część mieszkańców, uciekając przed koszącą śmiercią, chroniła się w górzyste okolice, a zdaje się, że w téj liczbie byli i rodzice Lydii: przynajmniéj ona „uszła w szerokie pola, wartkiém uniesiona kołem". Poeta pozostał sam, a w jakiém usposobieniu był po rozstaniu się z kochanką, jak na wszystko patrzył przez pryzmat tęsknoty za nią, o tém świadczy początek Elegii XIII éj, napisanéj po wyjeździe Lydii, a w któréj Padwa jest nazwana „niewdzięczném miastem".

Tymczasem zaraza wzmagała się z dniem każdym, tak, iż w uniwersytecie musiano przerwać wykłady. Studenci poczęli się rozpraszać, a senat wenecki zaczął się zastanawiać nad przeniesieniem uniwersytetu. W takich warunkach i Kochanowski nie miał co robić w Padwie. Co począć więc? Dokąd jechać? Najchętniéj pojechałby tam, gdzie przebywała Lydia, ale to było niemożebne. Bądź co bądź należało myśléć o znalezieniu jakiego bezpiecznego schronienia przed pomorem... Wszystkie te wątpliwości rozstrzygnął Nidecki, któremu właśnie wypadła w interesach kościoła, z polecenia Zebrzydowskiego, podróż do Rzymu. Namówił więc Kochanowskiego, żeby jechał z nim razem. Poeta zgodził się, ile że nic nie wiązało go z Padwą, skoro ją opuściła Lydia, i pojechali [1]).

---

[1]) Nie jest to wcale pewnem, motywy jednak, które prof. Pienkiewicz przytacza na poparcie téj hypotezy, są bardzo przekonywające. „Dowiadujemy się z życiorysu Andrzeja Nideckiego, iż ten za pierwszą swą bytnością w Padwie (1554—1556) „dotarł do bram wiecznego miasta i tu wszedł w stosunki z kardynałami Moronim i Puteonem, generalnym inkwizytorem kościoła i wielkim przyjacielem Polaków." Do przedsięwzięcia zaś téj podróży skłaniały Nideckiego nietylko naukowe pobudki, ale i poruczone mu przez biskupa krakowskiego sprawy kościoła, które on miał Puteonowi przedłożyć. Bez rozminięcia się przeto z prawdą, jesteśmy w prawie przypuścić, że poeta w jego towarzystwie zwiedził *Romam aeternam*. Jeżeli bowiem kiedy do tego stosowna nadarzała się pora, to bezwątpienia w czasie, gdy panująca zaraza w Padwie zmuszała szukać bezpieczniejszego schronienia."

Na pytanie, jakie wrażenie zrobiła na Kochanowskim *Roma aeterna?* odpowiada jedna z jego elegii łacińskich, w któréj tak pisze o wiecznem mieście: „Czegoż czas niszczący w ciągu długich lat nie pokona, czegoż — choćby było najszczytniejszém — dnie żarłoczne nie pochłoną? Owo siedlisko bogów, stolica świata, złoty Rzym, na pół zapadły, ledwo imię swoje zachowuje; zaprawdę, takie już twarde prawo rzeczom ludzkim przeznaczone, że co najwyżéj się wzniesie, najniżéj upadnie. Taki los i Rzym spotkał...” Widoczna, że wrażenie, jakie na poecie zrobił Rzym, było smutne, przygnębiające! Dziwna rzecz! Bo przecież ten Rzym, po którym teraz błądził Kochanowski, roił się jeszcze tłumem artystów ze starym Michałem Aniołem na czele, artystów, „którzy w pełni twórczości wznosili na poddziw światu tchnące wspaniałością świątynie, wille i pańskie pałace, zdobili pędzlem ich facyaty i wnętrza, lub w przysionkach, dziedzińcach i na placach publicznych stawiali posągi, walczące o pierwszeństwo z grecką skulpturą!” Wszak była to epoka najświetniejsza dla chrześciańskiego Rzymu, epoka najwyższego rozkwitu renesansu w sztuce, mogąca się pochlubić takimi papieżami-mecenasami, jak Juliusz II i Leon X; takimi artystami, jak niedawno zmarły Rafael, i takiemi arcydziełami malarstwa i architektury, jak *Loggie* Rafaela, jak kościół Św. Piotra, jak sklepienie kaplicy Sykstyńskiéj. A ogrody watykańskie, a tyle arcydzieł rzeźby starożytnéj, zdobiących rezydencyę papieży, a *Laokoon*, a Apollo Belwederski, a *Mojżesz* Michała Anioła? Czyż Kochanowski nie widział tych cudów? Owszem, widział, bo inaczéj nie pisałby był w téjże elegii: „Mam-że jeszcze wspominać grody, silnym obwiedzione murem, i tylu sławnych mistrzów? mam-że wspominać obrazy i posągi, świątynie bogów, od złota błyszczące, tylu dzieł pomniki i ogromy, groźne jak piramidy?” Nie ulega wątpliwości, że to wszystko Kochanowski oglądał za swego pobytu w Rzymie, tak samo, jak nieraz patrzył zamyślony na „bystry Tyber”, bieżący „pod dawny mur”, ale również nie ulega wątpliwości i to, że go zarówno te świątynie „od złota błyszczące”, przez które należy rozumieć kościół Św. Piotra, jak i te „obrazy i posągi”, pozostawiły zimnym. Czemu? Bo nie miał zmysłu do odczuwania piękna w sztukach plastycznych, z czego sobie nawet sam doskonale zdawał sprawę, jak tego dowodzi jeden z *Fragmentów*:

Ja na farbach malarskich nic się nie rozumiem,
Także wiele z marmurem postępować umiem.

Jedném słowem, nie znał się na malarstwie, ani na rzeźbie. Powtóre, wybierając się do Rzymu, jechał nie po to, ażeby tu podziwiać arcy-

dzieła dłuta i pędzla mistrzów odrodzenia włoskiego: czego innego szukał, czego innego był ciekawy. A tego nie znalazł, to zaś, co znalazł, rozczarowało go. Bo nie o Rzym współczesny mu chodziło, ani o stolicę katolicyzmu (w któréj był raczéj skłonny dopatrywać się—jak protestanci — apokaliptycznego Babilonu, aniżeli zachwycać się pompą obrzędów religijnych, lub przepychem dworu papieskiego), ale o Rzym starożytny, Rzym z czasów Cycerona i Wergiliusza. Niestety, o ile przyjechał spragniony oglądania i podziwiania resztek starożytnéj Romy, o tyle zawód, jaki go spotkał pod tym względem, równał się pierwotnemu zapałowi na myśl, że zobaczy to wszystko. Tymczasem to, co zostało po dawnéj stolicy imperyum, równało się stosom rozwalisk i gruzów. Na *Forum Romanum*, gdzie rozlegał się głos Cycerona, z pośród grubéj, wiekami nagromadzonéj warstwy nasypisk, stérczały głowice kolumn, lub szczyty łuków tryumfalnych, ukryte wśród drzew i krzewów, porastających wśród rozwalin. Na rozłożystym Palatynie, wznosiły się olbrzymie mury i arkady pałacu Cezarów, porosłe krzewami i chwastem, a na sklepieniach, pokrywających niższe piętra budowy, wznoszono wille, zakładano ogrody, siano zboże. Podobny widok przedstawiały Termy Karakalli, forum Trajana... Coż dziwnego więc, że poeta-cyceryonianin, patrząc na te kupy gruzów, odwracał od nich oczy, jak od upiora minionéj wielkości i chwały, i że nie mogąc w nich odnaléść ducha dawnych Kwirytów, zwrócił się wyłącznie ku literaturze rzymskiéj, w któréj był tak biegły, a w któréj ów duch starożytnéj Romy, zaklęty w śpiżowe słowa wielkich mówców, historyków i poetów, przetrwał wszystkie kataklizmy stuleci. Poetyczném odbiciem tego wrażenia, jakie na nim uczynił „nawpół zagrzebany" Rzym starożytny, jest fraszka *O Rzymie*:

Jako wszytki narody Rzymowi służyły,
Póki mu dostawało y szczęścia. y siły:
Także téż, skoro mu się powinęła noga,
Ze wszystkiego nań świata uderzyła trwoga.
F o r t u n n i e y s z y b y ł j ę z y k: bo ten y dziś miły:
Tak zawżdy trwalszy owoc dowcipu, niż siły.

Czytając tę *Fraszkę*, mimowoli myśli się o *Irydyonie* Krasińskiego, a wyobrażając sobie Kochanowskiego, przypatrującego się — z Nideckim pospołu — tym „nawpół zagrzebanym" ruinom dawnych pałaców i świątyń rzymskich, myśli się o wstępie do *Irydyona*... „Gdzie postacie, które tak dumnie i wzniośle kroczyły dawniéj po twoich siedmiu wzgórzach, o Rzymie? Gdzie patrycyusze twoi, z nożem ofiarnym i włócznią w ręku, z sercem pełném tajemnic, z chmurą zgrozy na czole, ojcowie rodzin, ciemięzcy plebejanów, ukróciciele Włoch i Kar-

tagi? Gdzie Westalka wstępująca w milczeniu z ogniem świętym na schody Kapitolu? Gdzie mówce twoi, panowie dusz tysiąców, stojący ponad falami ludu, gwarem poszeptów obwiani i burzą poklasków? Gdzie żołnierze legionów, bezsenni, ogromni, z twarzą spiekłą od słońca, ochładzaną znojem, rozjaśnianą połyskami mieczów?... Wszyscy zniknęli jedni po drugich: przeszłość ich zagarnęła i, jak matka, tuli do łona. Nikt ich nie wydrze przeszłości... Miasto nich podnoszą się nieznane dotąd kształty, ni piękne, jak półbogi, ni silne, jak olbrzymy tytańskich czasów, ale dziwaczne, migające złotem... Kędy miasto wieczne panowało, dziś grób szeroki, rozwarty, napełniony kośćmi i gruzem, opleciony pełzającym bluszczem..." Można być pewnym, że w takim samym nastroju, jak ten, który tak po mistrzowsku oddają te poetyczne słowa *Irydyona*, i Kochanowski błądził nad brzegami Tybru, „smętnie t e r a z toczącego swe wody".

Dlatego z przyjemnością uciekał do pobliskiego Tiburu, nad „miłe brzegi Anijenu" [1]). dokąd go, oprócz górskiego orzeźwiającego powietrza, nęciły wspomnienia Horacego. Zrobił także wycieczkę do Neapolu, wrażenie zaś, jakiego doznał, zwiedzając ten starożytny gród Parthenope, odbiło się w jednéj z *Fraszek* poety:

Dojedź y Parthenopy, a uirzysz te lasy,
Gdzie złotey rózgi szukał Eneasz przed czasy;
Tamże y piekło będzie y ogromna skała,
Z którey wieszcza Sybilla odpowiedź dawała.

Neapol, do którego, zdaje się, pojechał sam (Nidecki bowiem, zajęty sprawami kościoła krakowskiego, nie mógł się ruszać z Rzymu), bardziéj mu się podobał, niż wieczne miasto; tutaj bowiem, wśród lazurów i opalowych blasków zatoki Baja, znalazł mniéj ruin, a więcéj wspomnień o poetach, o Cyceronie. Tutaj słynny mówca rzymski posiadał dwie wille, a w jednéj z nich, zwanéj akademią, a położonéj nad morzem, wykończył większą część swoich pism filozoficznych. Tutaj znajdowały się swe dawne Baje, o których mówi Horacy, „że ich żadne na świecie ustronie nie przewyższa powabem." Tutaj, na tych rozkosznych wybrzeżach, uwieńczonych dymiącym Wezuwiuszem, rozgrywały się najnamiętniejsze sceny romansu Propercyusza i Cyntyi. Tutaj znajdowała się willa Cezara, ulubiona rezydencya Oktawii. siostry Augusta, któréj Wergiliusz — w téj willi właśnie — czytywał wyjątki z *Eneidy*. I tutaj wreszcie, w północnéj stronie Neapolu, u samego wstępu do groty Pauzylipu, już opisanéj przez Senekę. znajduje się

---

[1]) Zob. Elegia XIII, ks. III.

grobowiec Wergiliusza, „na którym, za czasów Kochanowskiego, w całéj świéżości zielenił się laur, zasadzony ręką poświęconą Petrarki.“ Wszystko to musiało głęboko wzruszać poetę.

Tymczasem minęło lato, zbliżał się początek roku akademickiego, a z Padwy dochodziły pomyślne wieści o wygasającéj zarazie. Jednocześnie i Nidecki zdążył uporać się ze sprawami biskupstwa krakowskiego, w których pertraktował z kardynałem Puteonem. Spełniwszy swój obowiązek. mógł wracać do Padwy. Wrócił tedy, a Kochanowski pojechał z nim razem. Było to na jesieni r. 1555.

Wracając do grodu Antenora, Kochanowski nietyle myślał o Robortellu i jego wykładach, na które miał uczęszczać w dalszym ciągu, ile o Lydii, co do któréj najwięcéj interesował się pytaniem: wróciła już, czy nie jeszcze? Okazało się, że nie wróciła. Stąd smutek poety. Elegia IX, księgi I, opiewająca żale nieszczęśliwego Likota, pasterza, za Filidą, jest wyrazem téj tęsknoty za Lydią: Likotas—to Kochanowski, Filida—to Lydia. „Filido, bez ciebie nie ma żadnéj pociechy dla biédnego Likota: po rozłączeniu z tobą utracił on wszystkie radości. Bez ciebie, czy to dzień, czy noc wilgotna panuje na niebie, ni nocą, ni we dnie płakać on nie przestaje; strudzone oczy nie kleją mu się do snu słodkiego; ni pióro, ni muza, nie sprawiają mu już przyjemności. Ciebie jednéj szuka on ustawicznie w strapioném sercu, o ciebie pytają wszystkie pagórki i gaje... Opłakują go i sosny szyszkorodne, i wawrzyny zielone, i strome skały na wierzchołkach gór. Ty jedna twardszą jesteś od skały i dębu; ty jedna nie użalisz się nad ludzkiém nieszczęściem; ty pozwalasz, by Likotas od frasunku okrutnego zmarniał; tyś obojętną na to, czy żyje on, czy ginie. Jeżeli go stracisz, któż ci wtedy pieśni nucić, kto pod wysokie niebiosa sławić cię będzie?” A nie wiedział poeta, że kiedy pisał o téj obojętności kochanki, twardszéj od skały, miał jakby wieszcze przeczucie tego, co go miało spotkać niebawem. Bo któż mógł przewidziéć, że Lydia, wróciwszy do Padwy, wróci na to tylko, ażeby nie chciéć odnowić dawnego stosunku z młodym *forestierem*. A jednak cios taki miał spotkać poetę. Lydia wróciła, ale wróciła zajęta kim innym. Poeta spostrzegł to odrazu, a kiedy płocha dziewczyna dała mu wyraźnie do zrozumienia, że wszystko już skończone pomiędzy nimi, porzucony kochanek wpadł w rozpacz Nieszczęście chciało, że nawet poskarżyć się nie miał przed kim, Nidecki bowiem, który był jego powiernikiem w takich razach, właśnie bawił w Wenecyi, u Manucyusza. W tém uczuciu napisał epigram *Ad Andream Patricium*, w którym zapewnia przyjaciela, że nikogo tak widziéć nie pragnie, „jak ciebie, mój Patrycy, w tym moim smutku. Jeżeli przeto życie me jest ci drogie, nie zwódź-że mnie wciąż, błagam

cię, nadzieją swego powrotu; gdyż albo ty, albo nikt nie potrafi uleczyć méj boleści..." A kiedy Nidecki powrócił w końcu, poeta, na powitanie jego, napisał taką smutną fraszkę *Do Jędrzeja*:

Który mój nieprzyjaciel, y człowiek tak srogi,
Trzymał cię po te czasy, Jędrzeju mój drogi,
Kiedym cię ja najbardziéj smutny potrzebował,
Abyś mię był w mym ciężkim frasunku ratował?
Serce mi bowiem żarły troski nieuśpione,
Jakie nieleda komu mogą być zwierzone.
By mi cię wżdy nakoniec odesłał był cało,
Nie takby mię nieszczęście moje frasowało.

A po téj fraszce nastąpiła inna, w któréj strapiony poeta prosił Andrzeja, ażeby mu radził, co ma czynić w tém dopuszczeniu, ażeby go ratował, starał się wyrwać z niedoli:

...Jakiem ja dary dawał? jakiem rymy składał?
A dziś mię wstyd: bom więcéj, niż było, przykładał.
Równałem często jéj płeć ku rumianéj zarzy,
A ona kramną barwę nosiła na twarzy.
Chwaliłem jéj niegodne chwały obyczaje,
Więc mi też mą nieprawdę fałszem dziś oddaje.
Przeto póki gniew świeży w mym sercu panuje.
Póki człowiek swą krzywdę i wzgardzenie czuje,
Ratuj mię, jako możesz, a wyrwi z niedoli:
Nie wiesz, jako niewdzięczna miłość sercu boli.

Tymczasem Lydia uciekała mu z oczu, unikała okazyi do spotkania się z nim, i pozwalając mu „ginąć stroskanemu", upoważniała do przypuszczeń, że kto inny zażywa jéj słodkich pieszczot. Zrozpaczony poeta zaczął — w elegiach — myśléć o samobójstwie, a zanim się zdecydował targnąć na własne życie, pocieszał się trunkiem. Zaczął pić na umor, chcąc w winie zatopić swe „troski nieuśpione". Doszło do tego, że koledzy jego, widząc, w jaki sposób szukał pociechy, aż go musieli powstrzymywać od nadmiernych libacyi na cześć Bachusa... Jednocześnie, uniesiony ambicyą, postanowił nie wysługiwać się przewrotnéj dziewce, tudzież zaprzestać wszelkich starań o odzyskanie jéj utraconych względów. Porzuciła go, trudno: trzeba się pogodzić z tą myślą! Ot, lepiéj uczyni, gdy sobie poszuka innéj, która go oceni tak, jak na to zasługiwał... I kto wié, czy nie zaczął rozglądać się za inną, o czém dowiedziawszy się Lydia, urażona w swéj miłości własnéj, poczęła czynić jakby pewne kroki ku zgodzie, a gdy poeta nie pozostał obojętny na te zwodnicze nadzieje, któremi go dawna kochanka zdawała się pociągać ku sobie, gdy dostrzegła tylko, że gotów wrócić do niéj, w téj chwili odzyskiwała swą mrożącą obojętność dla niego,

którą go drażniła jeszcze bardziéj. Wyczerpany tém wszystkiém, Kochanowski zwątpił ostatecznie, ażeby Lydia kiedykolwiek wróciła do niego, i przekonany o jéj zmienności, cały żal, jakim mu wezbrało zranione serce, wylał w namiętnéj elegii: „Nieszczęsny to był dzień, gdy ciebie, Lydio, ujrzały moje oczy! Biada mi, żem równocześnie nie poznał się na twoich obyczajach, nie ocenił twego umysłu! Czemuż nie jesteś tak stałą, jak celujesz urodą? Serce twe, niestety, nie odpowiada piękności. Ale i sławę z niéj, niegodziwa, zawdzięczasz mnie jedynie! Lecz przyjdzie czas, gdy sobie moją wierność przypomnisz. Ale ja ucieknę wtedy, wiarołomna, od ciebie."

Tymczasem zaszedł fakt, który jego uwagę zwrócił w innym kierunku. W marcu 1556 r. rozeszła się wieść, że królowa Bona, jadąca z Polski, będzie przejeżdżała przez Padwę. Jakoż niebawem zaczęto czynić przygotowania na jéj przyjęcie, wznoszono bramy tryumfalne, etc., a wkrótce Padwa zaroiła się mnóstwem przyjezdnych z Wenecyi i Neapolu, przybyłych na powitanie Bony. Zjechało się dużo arystokracyi, aż w końcu, d. 27 marca przybyła królowa, witana przez wysłańców senatu, którzy ją zapraszali do Wenecyi, oraz przez miejscowego podestę, a przedewszystkiém przez gremium profesorów uniwersytetu, „którego rektorzy przedstawili jéj Polaków na naukach bawiących". Tym sposobem chyba i Kochanowski został zaprezentowany królowéj. Następnie, po świetnéj uroczystości przyjęcia, Bona, wraz z całym orszakiem dworzan i fraucymeru, zatrzymała się w Padwie, a z nadejściem wielkiego tygodnia, dla odbycia rekolekcyi i spowiedzi, zamknęła się w miejscowym klasztorze św. Stefana. Dopiéro d. 27-go kwietnia, a więc po całomiesięcznym pobycie w grodzie Antenora, udała się do Wenecyi... W ciągu tego miesiąca, Kochanowski, któremu hołdy składane Bonie, jako królowéj polskiéj, musiały mile głaskać jego uczucie narodowéj dumy, zbliżył się do dworu, w którym było wielu Polaków, a bardzo być może, iż starał się także o zawarcie bliższych znajomości z pannami z fraucymeru królowéj... Nie uszło to baczności Lydii, która, może powodowana odrobiną zazdrości, a niewątpliwie wyrachowaniem, że jednak ten młody poeta nie musi być byle kim, skoro ma przystęp i do królewskiego dworu, znowu się zbliżyła do Kochanowskiego, zaczęła nań zastawiać sidła, a poeta, w którego sercu jeszcze nie była wygasła namiętność dla pięknéj zalotnicy, nietylko w te sidła dał się złapać odrazu, ale uwierzył w niewinność Lydii: przebiegła Włoszka zdołała wmówić w niego, iż mu ciągle była wierna, że jeśli ją posądzał o niewierność w czasie, gdy się odeń trzymała zdaleka, to ją krzywdził takiemi podejrzeniami: ona bowiem, rozkochana w nim tylko, przez cały czas była mu wierną duszą i ciałem.

Jednėm słowem, nie ona zawiniła, lecz on, nie ona powinna go przepraszać, ale przeciwnie, bo wszystkiemu, co zaszło, wszystkim nieporozumieniom i dysonansom, on był winien, gdyż ona kochała go zawsze a nawet więcéj, niż na to zasługiwał. Skończyło się na tém, że poeta dał się przekonać wykrętnéj kochance, że całą winę wziął na siebie, no, i co za tém idzie, przeprosił Lydię.. Tym sposobem pogodzili się znowu.

Po chwilowém złudzeniu jednak, jakiemu uległ poeta, niebawem przyszło ponowne rozczarowanie. Lydia bowiem, o ile okazała się skorą do odnowienia stosunku z porzuconym kochankiem, o tyle przekonawszy się, że jéj wielbiciel, pomimo swych stosunków z dworem królowéj polskiéj, wcale bogatszym nie jest po jéj wyjeździe, niż przedtém, zaczęła bardzo szybko ostygać w swéj miłości dla niego, a kiedy sobie upatrzyła bardziéj intratną zdobycz, porzuciła go. Kochanowski wpadł w rozpacz, a że był recydywistą na punkcie swéj miłości ku Lydii, więc od tego nowego miłosnego zastrzału cierpiał tém silniéj. Widząc to Nidecki postanowił raz nareszcie koniec położyć téj namiętności swego przyjaciela. W jaki sposób? Uważał, że Kochanowski bądź co bądź powinien wyjechać z Padwy. Ale dokąd? Do Paryża. Cóż, kiedy Paryż nie uśmiechał się poecie: miał jakąś nieumotywowaną odrazę do niego. Nagle zaszła okoliczność, która Nideckiemu ułatwiła zadanie nakłonienia Kochanowskiego, ażeby porzucił mury Padwy: był to list od Zebrzydowskiego, naglący Nideckiego do powrotu, albowiem obecność jego w kraju, jako biegłego w redagowaniu urzędowych aktów łacińskich, była niezbędną. Nidecki nie wahał się ani chwili, lecz postanowił jechać zaraz; że jednak było to pod sam koniec roku akademickiego 1555 — 1556, więc decydując się na natychmiastowy wyjazd, postanowił wyjechać nie sam, lecz z Kochanowskim, dla którego dalsze pozostawanie w Padwie, w bliskości Lydii, uważał za zgubne. W tym celu, niezrażony tém, że go nie zdołał namówić na wyjazd do Paryża, zaczął namawiać go, ażeby z nim na czas wakacyi pojechał do kraju, do Sycyny: tam (myślał sobie) wpływ matki, braci i sióstr, poparty wpływem atmosfery rodzinnéj, patryarchalnéj, będzie najzbawienniejszém lekarstwem na jego „troski nieuśpione". Kochanowski dał się nakłonić, i w czerwcu już, razem z przyjacielem opuścił gród Antenora, tracąc z oczu „nienawistne mu euganejskie wzgórza". Wyjechał prawie chyłkiem, nie pożegnawszy się z nikim; Nidecki bowiem, z obawy, aby zręczna Lydia w ostatniéj chwili nie zniweczyła jego zachodów, tak wszystko urządził, iż nikt nie wiedział, że i Kochanowski jedzie z nim razem. Stąd po wyjeździe ich rozniosła się pogłoska po Padwie, że Jan gdzieś prze-

padł bez wieści. On tymczasem, na wyjezdném, na myśl, że uwalnia się z pod syreniego czaru Lydii, napisał taką fraszkę *Do Jana*, przez którego rozumiał siebie samego.

Radzę, Janie, day pokój przedsięwzięciu swemu:
Bo bądź krótko, bądź długo, przecie przydzie k'temu,
Że się człowiek obaczy: a co mu dziś miło,
To mu będzie za czasem wstyd w oczu mnożiło.
Tę rozkosz, którą teraz tak drogo szacujesz,
Puścisz taniey po chwili, gdy prawdę poczujesz.
A tak co ma czas przyniéść, uprzedź go ty raczey,
Odmień swóy bieg, a żagle nakręć wczas inaczey.
Świadomeś słów łaskawych, y piękney postawy,
Zdradę widzisz: znayże więc, co przyjaciel prawy.
A ty, o morska Wenus, chluśni zraz tey paniey,
A pomści się wzdychania, y moich złes, na niey.

Na początku lipca już był Kochanowski w Sycynie [1]). Wprawdzie, zjeżdżając w tym czasie, zrobił ogromną niespodziankę swym najbliższym, których witał po czteroletniéj rozłące, ale témbardziéj ucieszono się z jego przyjazdu, iż właśnie dwie siostry jego, Katarzyna i Elżbieta, wychodziły za mąż: pierwsza za Pawła Komorowskiego, druga za Mikołaja Kozła. Témci lepiéj, że przyjechał, bo będzie na dwóch weselach!... Szkoda tylko, że przyjechał jakiś „smutny", mizerny, bladolicy, z jakąś gorączką w podsiniałych oczach... Ale choć była to bladość, o któréj Heine powiedziałby, że pochodziła *vom vielen Studieren*, to jednak była nadzieja, że parę miesięcy, spędzonych na wsi, wrócą młodemu humaniście dawną czerstwość i rumianość lica. I on był tego zdania, byle mu zbyt nie suszono głowy szczegółowemi opowiadaniami o nigdy nie kończących się procesach z sąsiadami, o wynikających stąd kosztach i stratach; bo 1) były to sprawy, które go mniéj interesowały, jako zbyt poziome, a 2) przyprawiały go o niemiłe wyrzuty sumienia, że „kiedy jego ukochanym tak gorzko i kłopotliwie życie płynęło, on tymczasem oddawał się płochym miłostkom, i dla istoty, jego uczuć niegodnéj, marnował zdrowie, pieniądze i czas naukom kradziony." Swoją drogą nie mógł zapomniéć o Lydii: ale już zaszła w nim zmiana pod tym względem: był smutny, ale nie dlatego, że się rozłączył z Lydią, że jéj nie widział, że go od niéj dzieliły setki mil, ale że, choć pragnął, nie mógł się wyleczyć z téj „zastarzałéj miłości". A pragnął szczerze wyleczyć się z niéj ostatecznie. W tém

---

[1]) Już w połowie lipca, w dniu św. Małgorzaty 1556 r. stawał Kochanowski osobiście w grodzie radomskim.

uczuciu napisał nową fraszkę *Do Jana*, fraszkę dziwną jednak, bo zakończoną pobożném błaganiem, ażeby się raz uwolnił od tego wrzodu.

...Wieleś ty, Janie, sobie pozyskał radości
Na czas potomny z téj to nieszczęsnéj miłości.
Bo co jeno kto komu abo mówić dobrze,
Abo y czynić może, obojeś to szczodrze
Wypełnił, czego serce niewdzięczne przechować
Nie mogło: a tak przecz się daléj masz frasować?
Owszem umysł swóy utwierdź, odeym sie swey woli,
A szczęściu na złość nie bądź dłużey w tey niewoli.
Trudno nagle porzucić miłość zastarzałą,
Trudno, lecz się już na to uday myślą całą.
To samo zdrowie twoje, na tym wszytko tobie,
Możno, albo nie możno, przełom to na sobie.

Panie, jeśli należy tobie się zmiłować,
A możesz y w ostatniém zginieniu ratować,
Weyźrzy na mię smutnego: a jeśli cnotliwy
Żywot mój, oddal ten wrzód odemnie szkodliwy,
Który wkradszy się, jako gnusność, w skryte kości,
Wygnał mi wszytki prawie z serca me radości
Już nie o to ja stoję, by mie miłowała,
Abo, co niepodobno, cnotliwą być chciała,
Sam zdrów być pragnę, a ten ciężki wrzód położyć:
Panie, za mą pobożność chciey mi to odłożyć.

Jakoż powoli zaczął przychodzić do siebie: szarpnięty organizm, pod wpływem świeżego powietrza, zaczął się odradzać szybko, a w uzdrowioném ciele wyzdrowiała niebawem i dusza. Otoczony kochającą rodziną, zarówno jéj, jak i swym przyszłym szwagrom, odznaczającym się wyśmienitym humorem, miał do zawdzięczenia, iż odgryzał się nadzwyczaj szybko. Wesołe gawędy z nimi i ich przyjaciółmi, jowialny humor szlachty, która przy stole, a zwłaszcza przy winie lub miodzie, nie znosiła zadumy na twarzy uczestników biesiady, najwięcéj przyczyniły się do rozpędzenia jego chmur padewskich, a że je rozpędziła niebawem, o tém świadczą liczne *Fraszki* poety, niewątpliwie powstałe w tych czasach, a tak wesołe i dowcipne, że aż nieprzyzwoite niekiedy, jak ta np. w któréj jest mowa o szwagrze poety, Koźle i... piskorzu.

Tymczasem upłynęło lato, zbliżał się termin wyjazdu poety. Jak zwykle w takich chwilach, poprzedzających rozstanie na czas dłuższy, rozmowy, które Kochanowski prowadził z matką i braćmi, zaczęły przybierać poważniejszy nastrój, aż w końcu zeszły na narady, dotyczące jego dalszego pokierowania—kwestya, która pani sędzinie leżała

bardzo na sercu. „Nie było jéj zamiarem tamować mu drogi do dalszego za granicą kształcenia się, skoro go ku temu wiodła ochota, ale jako matka przezorna chciała te jego studya skierować na drogę bardziéj praktyczną. Wszak w naukach greckich i rzymskich był już mistrzem skończonym; czas więc było poświęcić się teraz naukom, które w przyszłości mogły go wynieść na najpierwsze w kraju stanowiska. Za takie zaś uważała teologię i prawo. Jak jedna bowiem, tak drugie, czy w kościele, czy na dworze królewskim, zapewniały mu przed innymi pierwszeństwo.” Poeta nakłonił się do życzeń matki, ale zataił przed nią, iż pod względem przekonań religijnych rozchodził się z nią całkowicie: o sutannie przestał myśléć prawie zupełnie, choćby dlatego tylko, że „kapłanowi żenić się nie ma być wolno”. Temu był absolutnie przeciwny.

Nakoniec pożegnał się ze swoimi i, zaopatrzywszy się w piéniądze na drogę, które w sumie 70 florenów wypożyczył od stryja swego, Mikołaja Kochanowskiego, podstarościego radomskiego, ruszył do Krakowa, gdzie mu powierzono 16-letniego Piotra Kłoczowskiego, ażeby go zabrał do Włoch. Kochanowski podjął się téj odpowiedzialnéj opieki, a wyjechawszy razem z swym młodym Telemakiem, już na początku semestru zimowego, a więc pod jesień r. 1556, był z powrotem w Padwie.

Kto wié, czy pomimo wszystkiego, co pisał o chęci wyleczenia się ze swéj „zastarzałéj miłości” ku Lydii, nie ona była powodem, że znowu zdecydował się na Padwę. Co pewna, to, że przyjechawszy tutaj, kiedy się dowiedział od kolegów, że Lydia na wieść o jego tajemniczém zniknięciu płakała rzewnemi łzami, był niemniéj wzruszony tą niespodziewaną nowiną, jak się mógł śmiać z niesłychanego żdziwienia tych swoich przyjaciół, którzy, nie wiedząc nic o jego wyjeździe do kraju, odrazu pogodzili się z myślą, że go na jakiéjś wycieczce podmiejskiéj musieli zamordować bandyci. W tém przedświadczeniu powiedzieli także i Lydii, że zbójcy zabili jéj kochanka, co — wbrew ich przewidywaniu — tak rzewne łzy wycisnęło z pięknych oczu dziewczyny. A więc płakała, kiedy jéj powiedzieli, że on nie żyje? Płakała, oddawała się rozpaczy, czyli że go kochała, że jéj był drogi, że mylił się, gdy ją posądzał o obojętność i wiarołomstwo, czyli że ona była niewinna, a tym, który ją krzywdził samém posądzeniem o płochość i zmienność, był on. To go rozbroiło tak dalece, że gotów był wrócić do Lydii. Ta ostatnia żdziwiła się zapewne, gdy poetę, rzekomo zabitego przez bandytów, nagle spotkała znowu, żywego i zdrowego, a co najważniejsza, skłonnego do pojednania z nią, do nawiązania przerwanego stosunku. Nie miała nic przeciwko temu.. I znowu

nastała zgoda, zaczęły się miodowe chwile gruchań i pieszczot, a poeta był bardziéj zakochany, niż kiedykolwiek. Dziękował przypadkowi, który zrządził, że Lydia chwilowo opłakiwała jego zgon, bo mu to pozwoliło przekonać się o jéj „miłości i poczciwości", a biorąc asumpt z tego pomyślnego epilogu téj rzekoméj śmierci, napisał nową elegię do Lydii, w któréj tak mówi między innemi: „Więc, gdyby się tak było spodobało Parkom i losowi, chętniebym żywot złożył, a łzy, jakiebyś, moje życie, wylewała, byłyby dość wspaniałym obchodem mego pogrzebu." Tymczasem, ponieważ był zdrów i cały i „czuł się bezpieczny na każdém miejscu", był spragniony pocałunków i pieszczot swéj ukochanéj. „Teraz należy się bawić, teraz, moja Lydio, kochać, teraz pełną dłonią chwytać radości, teraz są stosowne lutnie i pieśni, teraz wolno się błąkać po mieście, tak, że ledwie późną nocą powrócisz do domu..."

Ale niedługo trwało to uniesienie. Bo chociaż Lydia płakała na wieść o zgonie poety, co rzeczywiście dowodziło, że go kochała, ale i to nie ulega wątpliwości, że go nie kochała bezinteresownie: za miłość swoją, a raczéj za tę komedyę miłości, którą, mniéj lub więcéj przejmując się swoją rolą, grała przed nim, wymagała zapłaty, nie pocałunkami i poezyami, ale gotówką. To sprawiło, że zaślepiony poeta przejrzał w końcu, że ostatecznie poznał się na przebiegach pięknéj hetery, i zrazu, płacąc za każde dłuższe sam na sam, bawił się tą komedyą udawanéj miłości, aż wreszcie sprzykrzyło mu się i to: zaczynał mieć dosyć Lydii. Już w nim zaczynała budzić niesmak.

Ażeby się raz na zawsze odczepić od niéj, postanowił wyjechać z Padwy, w któréj murach, zwłaszcza w braku towarzystwa Nideckiego, coraz bardziéj zaczynało mu być obco i nieswojo. Lecz dokąd jechać? Rozmyślając nad tém pytaniem, przypomniał sobie, jak go w swoim czasie Dudycz namawiał na wyjazd do Paryża, do *Collège des trois langues*, jak mu to samo niedawno doradzał Nidecki. Jakoż zdecydowawszy się na Paryż, zaczął się zbiérać do podróży, a w trakcie tych przygotowań, święcąc wyzwolenie swego ducha z pęt „zastarzałéj miłości", napisał jedną ze swych najpoetyczniejszych elegii. Na jaki temat? Na temat miłości, któréj boginię błagał, ażeby „pomna na łzy przezeń wylane, chciała z jego serca wyprowadzić załogę i gdzieindziéj zatknęła swoje sztandary", i na temat Lydii, którą żegnał tą elegią, a żegnał równie czule, jak sarkastycznie. „I ty, Lydio, zasypiaj w spokojnych marzeniach; nie wzniecaj w sobie więcéj ani nadziei, ani bojaźni. Nie będziesz płakała, o światło moje, nad wyłamanemi przezemnie drzwiami, ani doznasz gróźb zmieszanych z prośbami. Nie zazielenią się w twych progach zawieszone wieńce, ani flet ochrypły za-

jęczy u podwojów... Dosyć-em już przeniósł zdrad, dostatecznie m poznał waszą niegodziwość. Czas mi pamiętać o zaszczytnym znaku wysłużonego żołnierza." W takim nastroju gotował się do drogi, a kiedy wreszcie przyszła chwila wyjazdu z Padwy, zdaje się, że wyjechał bez pożegnania z Lydią.

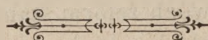
Było to w końcu października 1556 roku, zanim jeszcze zdążyły się rozpocząć wykłady w uniwersytecie. Zamiast jechać lądem, przez „Alpy krzywe", poeta obrał sobie drogę na Marsylię. W tym celu, w Livorno lub w Genui, wsiadł na okręt, i mając przy sobie, obok innych książek, także i poemat Vidy *Scacchia ludus*, ażeby się nie nudzić zbytnio, gdy okręt będzie płynął z rozpiętemi żaglami, puścił się na pełne morze, wstępując w nowy—ostatni tym razem — okres swych humanistycznych lat nauki i wędrówki. Jechał nie sam, lecz w towarzystwie jednego ze swych kolegów padewskich, niejakiego Karola, dobrze znającego Francyę i Paryż, i z nim, wylądowawszy w Marsylii, przebył wzdłuż całą Francyę, aż do stolicy. Jadąc doliną Rodanu, prawdopodobnie zatrzymał się w Avignonie, uświęconym wspomnieniami Petrarki, poczem doliną Loary, gościńcem na Roanne, Nevers i Fontainebleau, podążył „tam, gdzie błękitna Sekwana bystremi nurty wielki gród przerzyna" [1]).

Ferdynand Hoesick.



[1]) W elegii VIII, ks. III, pisze Kochanowski, zwracając się do owego towarzysza podróży, Karola: „Lecz, gdybym nawet za ryfejskie oddalił się góry, sercem zawsze z tobą będę, Karolu! bo twe wielkie przywiązanie i twą przychylność dobrze poznałem wówczas, gdy jako podróżnik w obcych błąkałem się krajach. Pod twoim kierunkiem zwiedziłem Akwitany i belgijskie niwy, i Marsylię nad samym brzegiem morza leżącą, i domy Celtów..."

O samorządzie ziemskim.



§ I.

Narodziny instytucyi ziemskich w Rosyi należą do epoki wielkich przeobrażeń, które nastąpiły po wojnie krymskiéj z lat 1853—1855.

Skutki jéj były dotkliwe pod względem materyalnym, doniosłe pod względem moralnym. Umysły zostały poruszone głęboko, serca prawdziwych patryotów rosyjskich zakrwawione.

Okazało się, że machina biurokratyczna, trzymająca w karbach ludność, ze wszelkiemi jéj różnoplemiennemi i różnowierczemi elementami, nie stanowi jeszcze o potędze państwa. Olbrzymie państwo, oparte na liczbie ludności i terytoryach tak znacznych, jak żadne inne, nie posiadało należytéj siły odpornéj. Pomimo wielkich zasobów materyalnych, pomimo niezmierzonych bogactw naturalnych, czegoś brakowało, na czémś zbywało. Po Europie rozniosła się legenda o kolosie na glinianych nogach.

Trzeba było wyjść z trudnego położenia i podźwignąć się z klęski co prędzéj. I powstało gorące pragnienie poprawy stosunków, powołania ukrytych sił do życia, wydobycia ich na jaw i pozyskania nowych pierwiastków czynu i działania. Pod wpływem téj potrzeby, z natchnienia nowego monarchy cesarza Aleksandra II i przy żywym udziale szerokich kół samego społeczeństwa, w krótkim stosunkowo czasie przyszły reformy, witane z zapałem przez wszystko to, co było żywszego i lepszego w społeczeństwie rosyjskiém, pomimo niedowie-

rzania i niechęci ze strony ludzi przejętych starą rutyną, których przecież nigdy zabraknąć nie może.

Do owéj chwili odnoszą się trzy wielkie reformy: reforma włościańska z r. 1861, która nadała prawa ludzkie milionom chłopów, reforma sądowa z r. 1866, która oddzieliła stanowczo władzę sądową od władzy wykonawczéj, zapewniając społeczeństwu sąd niezawisły i prawidłowy, wreszcie wcześniejsza cokolwiek od niéj reforma ziemska z r. 1864 wraz z jéj uzupełnieniem, a mianowicie samorządem miast z r. 1870, mocą których sprawy miejscowe złożone zostały w ręce samego społeczeństwa.

Przy wiekopomném znaczeniu wyzwolenia włościan z pęt ciężkiego poddaństwa, przy wielkim wpływie, jaki nowe sądy w Rosyi pozyskały, pod względem bezpośredniego wprowadzenia elementów społecznych do działania na polu akcyi równoległéj do akcyi władz państwowych, organizacya samorządu ziemskiego i miejskiego zajęła może wybitniejsze od tamtych dwóch reform stanowisko.

W takiéj chwili poczęta i w życie wprowadzona reforma ziemska nosić musiała i w istocie nosiła cechę istotnéj reformy, istotnéj zmiany, wprowadzając społeczeństwo na drogę pracy, dotąd mu prawie nieznanéj i obcéj. Zwolniono społeczeństwo od powijaków nieograniczonéj i rzekomo wszechstronnéj opieki i pozwolono stąpać samodzielnie w sferze interesów lokalnych, zachowując tylko, jak to z natury rzeczy wynika, kontrolę i dozór ze strony władz państwowych nad działalnością powołanych do życia instytucyi.

Pierwsze kroki tego nowego w organizmie państwowym dziecięcia nie były wolne od trudności, a co zatém idzie od pomyłek. Ludzie, niewzwyczajeni do samodzielnego działania, błądzili i potrzeba było niemałego czasu dla ustalenia drogi, po któréj wóz pracy toczyć należało, dla powszechnego zrozumienia sposobów i środków spełniania zadań, które organom samorządu w udziale przypadły.

Nie obeszło się téż bez zarzutów i sarkań przeciwko saméj rzeczy i jéj pożyteczności. Braki ustawy, od których żadne dzieło ludzkie zwłaszcza w początku nie bywa wolne, przyczyniały się jeszcze do zaostrzenia krytyki. I po kilkunastu latach, gdy przyszły jeszcze niepokoje wewnętrzne, powodujące zamącenie w pojęciach i stosunkach, zjawiła się reakcya przeciwko wprowadzonym z takim zapałem reformom, a między innemi przeciwko reformie ziemskiéj, reakcya, która dążyła, jeżeli nie do zniweczenia, to przynajmniéj do znacznego zmoderowania tego, co było już zrobione.

Instytucyom ziemskim groziło poważne niebezpieczeństwo. Na szczęście, po bliższém zbadaniu sprawy, gdy pomimo pewnych niedo-

statków i braków lepiéj jeszcze sprawdzoną i ujawnioną została ze wszech miar cenna działalność tych instytucyi, przebyły one pomyślnie tę próbę ognia i wyszły z niéj prawie bez szwanku. Wprawdzie nowa redakcya ustawy ziemskiéj z r. 1890, jak również współrzędna z nią nowa redakcya ustawy miejskiéj z r. 1892, wzmocniły bardzo, jak to zobaczymy poniżéj, kontrolę państwową, przyniosła pewne szczegóły, o których koniecznéj potrzebie wątpić należy, to przecież zadanie instytucyi nie zostało ścieśnione, pozyskało raczéj lepsze i szersze określenie, przy jednoczesném nawet rozszerzeniu środków do prawidłowego spełnienia zadania. To téż w chwili obecnéj, po takiéj próbie i przy wydobytych na jaw pożytkach, posiadamy możność lepszego zoryentowania się w przedmiocie, aniżeli dawniéj.

Reakcya także osłabła, niebezpieczeństwa znikły, a przynajmniéj znacznie się zmniejszyły, epigonowie reakcyi tu i owdzie jeszcze się odzywają, ale głos ich nie sięga już tak daleko; zdaje się, że zbliżyła się chwila, w któréj można traktować sprawę z zupełnym spokojem i obiektywnością.

Chcąc zrozumiéć należycie, czém są instytucye ziemskie, trzeba wyjaśnić sobie rolę, jaka w układzie państwowym wyznaczoną im została.

Biorąc przykład z urządzeń, jakie gdzieindziéj istniały, prawodawca rosyjski wydzielił ze sfery spraw, dotąd przez państwo piastowanych i lepiéj lub gorzéj przez nie załatwianych, dziedzinę interesów miejscowych i tę dziedzinę w ręce instytucyi ziemskich złożyć postanowił.

W istocie, obok spraw natury ściśle państwowéj, związanych bezpośrednio z interesem państwa, jak np. dotyczących utrzymania siły zbrojnéj, finansów państwa, utrzymania bezpieczeństwa publicznego, religii etc., które pozostają w ręku władz państwowych, — istnieją liczne inne sprawy z charakterem lokalnym, jak np. zabezpieczenie zdrowia publicznego w danych miejscowościach, drogi i komunikacye lokalne stanowiące rozszerzenie dróg i komunikacyi głównych publicznych, opieka nad ubogimi etc., które przez samo społeczeństwo załatwiane być mogą i powinny.

Otóż tę sferę interesów od władz państwowych odjęto i oddano instytucyom ziemskim i miejskim, ochrzciwszy je nazwą społecznych (*obszczestwiennych*), w odróżnieniu od instytucyi ściśle państwowych (*gosudarstwiennych*).

---

§ 2.

Dwa pierwsze artykuły ustawy określają zadanie instytucyi ziemskich.

Wedle art. 1-go instytucye ziemskie „zajmować się mają sprawami, dotyczącemi miejscowych potrzeb i pożytków”.

Z definicyi téj wynika, że wszelkiego rodzaju potrzeby i pożytki, byle natury miejscowéj, wchodzić mogą do kompetencyi ziemstwa [1]). Artykuł 2-gi uzupełnia definicyę, wyliczając w sposób kazuistyczny, ale dosyć wyczerpujący, przedmioty zajęcia tych instytucyi. W myśl tego przepisu do nich należy: zabezpieczenie zdrowia i zapewnienie ludności pomocy lekarskiéj, zabezpieczenie od pożarów i ubezpieczenia wzajemne, drogi ziemskie, ich rozszerzenie i ulepszenia, urządzenie przystani na wodach, urządzenie i utrzymywanie poczty ziemskiéj, zaopatrywanie ludności w razach potrzeby w środki pożywienia, opieka nad ubogimi i zakłady dobroczynne, popieranie oświaty elementarnéj i udział w zarządzie szkół kosztem ziemstwa utrzymywanych, wreszcie współdziałanie w kierunku rozwoju miejscowego rolnictwa, przemysłu i handlu.

Pomijając czynności z zakresu działania poruczonego w kierunku ściągania niektórych państwowych podatków i powinności oraz czynności z ustaw szczególnych, o jakich art. 2 także wspomina, już z powyżéj wyliczonych przedmiotów widzimy jasno, na czém polega zadanie instytucyi. Działając na gruncie ściśle miejscowym w sferze potrzeb lokalnych, ogarniają one różne strony życia ekonomicznego, zachaczając jednocześnie o potrzeby fizyczne i moralne ludności.

Do wykonania tego zadania prawodawca rosyjski, obok władz państwowych, w guberniach i powiatach funkcyonujących, ustanowił w każdéj gubernii i w każdym powiecie rady (*sobranja*) i zarządy (*uprawy*) ziemskie wraz z podległemi im organami niższemi.

Układ instytucyi ziemskich opiéra się na zasadzie podziału władzy na prawodawczą i wykonawczą. Zgodnie z tą zasadą tak zwane rady (*sobranja*), czy to gubernialne, czy powiatowe, a zwłaszcza pierwsze z nich wyobrażają rodzaj władzy prawodawczéj, stanowiącéj ogólne normy działania i wydającéj stosowne w téj mierze przepisy. Zarządy zaś i podległe im niższe organa wykonywają dane im instrukcye, wpro-

[1]) Prawo z r. 1890 lepiéj określa zadanie instytucyi ziemskich, aniżeli prawo z r. 1864, które w art. 1 podawało definicyę niezgodną z następnym art. 2, ograniczoną do potrzeb i pożytków jedynie gospodarczych.

wadząjąc w życie zadania na instytucyach ziemskich ciążące. Ciężar właściwéj pracy, że tak powiem, merytorycznéj spada na zarządy ziemskie i dalsze organy wykonawcze, przy radach zaś pozostaje ogólny kierunek a zarazem dozór i kontrola nad wykonaniem, a tém samém nad wszelkiemi organami wykonawczemi (art. 61). Odpowiednio do takiego układu, rady zbiérają się peryodycznie raz do roku, sesya rad powiatowych ma miejsce w październiku i trwa dni dziesięć, gubernialnych w grudniu przez dni dwadzieścia, z możnością przedłużenia czasu trwania obrad za pozwoleniem gubernatora i z prawem do urządzania sesyi nadzwyczajnych w wypadkach zachodzącéj potrzeby z decyzyi ministra, organy zaś wykonawcze, a przedewszystkiém zarządy, stanowią władze stałe, funkcyonujące ciągle i bez przerwy, zgodnie z potrzebami życia wymagającego nieustannéj pieczy i troski.

Rady, jako miarodajne w interesach ziemskich instytucye, składają się z powoływanych drogą wyborów przez samo społeczeństwo na lat trzy członków, pełniących swój urząd honorowo, bez żadnego wynagrodzenia, urzędy zaś w zarządach ziemskich i podległych im instytucyach pozostają w ręku mianowanych przez władze ziemskie, ale płatnych urzędników. Tylko prezesowie i dodani im do współdziałania członkowie zarządów ziemskich wybierani są przez rady z warunkiem przecież potwierdzenia wyboru przez władzę wyższą, przyczém z chwilą wyboru otrzymują oni charakter urzędników i charakteru tego przez cały czas wykonywania swoich urzędów ani na chwilę nie utracają. Pod względem zakresu działania rad, tak gubernialne jak i powiatowe zajmują się oznaczeniem i rozkładem poborów ziemskich, ustanawianiem kapitałów na cele dobroczynne, na drogi, na środki pożywienia i na inne potrzeby, ustanawianiem poborów za przeprawy po wodach i przejazdy po mostach, a zarazem wydawaniem instrukcyi dla organów wykonawczych, rewizyą ich czynności, zatwierdzaniem budżetów etc., rozumié się, w granicach odnośnych powiatów i gubernii, dla których istnieją artykuły (art. 62).

Jednakże pomimo téj wspólności zadania, zachodzą dość poważne różnice w kompetencyi rad gubernialnych i powiatowych.

Do rad gubernialnych wyłącznie należy podział dróg, zakładów dobroczynnych i różnych urządzeń na gubernialne i powiatowe, rozkład na powiaty poborów od świadectw i patentów handlowych na rzecz ziemstw pobieranych, rozkład na powiaty poborów i powinności, które na rzecz państwa instytucye ziemskie ściągają, rozkład na powiaty sum na potrzeby więzień przeznaczonych, daléj urządzenie nowych przystani na rzekach spławnych i jeziorach, ustanowienie nowych jarmarków i rynków, ustanowienie taks do wynagrodzenia za

szkody zrządzone w lasach, polach i t. p. W związku z tém rady gubernialne wydają w powyżéj wskazanych przedmiotach instrukcye dla rad powiatowych, celem prawidłowego wykonania czynności na miejscu. Wreszcie radom gubernialnym wyłącznie powierzono ubezpieczenia wzajemne, zaciąganie pożyczek na potrzeby ziemstw i wnioski do rządu w przedmiocie pożytków i potrzeb miejscowych (art. 63).

Nowe prawo z r. 1890, a raczéj nowa redakcya ustawy ziemskiéj, przyznała radom gubernialnym dosyć ważne prawo wydawania postanowień obowiązujących miejscową ludność w różnych dotyczących ogółu sprawach, jak np. w kwestyi dróg, przewozów, czystości i porządku w miejscach publicznych etc. (art. 108). Postanowienia te przecież wychodzą od rady gubernialnéj, chociażby dotyczyły nie całéj gubernii, lecz tylko pojedyńczych powiatów lub szczegółowych miejscowości.

Tym sposobem rady gubernialne w sferze wyliczonych spraw, ze względu na zachodzącą potrzebę jednostajnego na całą gubernię normowania stosunków, posiadają do pewnego stopnia charakter zwierzchniczy względem rad powiatowych, co nie narusza zresztą w niczém samodzielności tych ostatnich w innych przedmiotach w obrębie swego powiatu.

Tak naprzykład, gdy rada gubernialna dokona rozkładu wzmiankowanych poborów na powiaty, rozkład dalszy w samym powiecie stanowi już wyłączną atrybucyę rady powiatowéj (art. 64), nie ulegającą kontroli rady gubernialnéj. W wypadkach jednak potrzeby wydania rozporządzeń, mających obowiązywać ludność, lub zwrócenia się do rządu z żądaniami w różnych kwestyach, rady powiatowe zniewolone są czynić przedstawienia w téj mierze do rad gubernialnych, od których jedynie, jak to już powyżéj wzmiankowałem, podobne postanowienia i wnioski wychodzić mogą.

Co do zarządów ziemskich, działalność ich rozwija się równolegle do działalności rad. Zarządy gubernialne wykonywają i wprowadzają w życie instrukcye i rozporządzenia rad gubernialnych, zawiadują drogami, zakładami i wszelkiemi urządzeniami, uznanemi za gubernialne, jak również majątkiem i kapitałami, pozostającemi w rozporządzeniu rad gubernialnych, gdy znowu do zarządów powiatowych należy wykonanie uchwał i instrukcyi rad powiatowych, zarządzanie wszelkiemi zakładami, kapitałami i urządzeniami w powiecie, oraz ściąganie poborów i pokrywanie wydatków w granicach ziemstwa powiatowego (art. 97). Stosunek zarządów powiatowych do gubernialnych polega na pewnéj podległości względem tych ostatnich. Zależność ta ujawnia się w przepisach silniéj, aniżeli to ma miejsce w sto-

sunku rad powiatowych do gubernialnych, co się tłómaczy naturą organów stale funkcyonujących i pozostających w częstszéj styczności i łączności. Jakoż zarządy powiatowe obowiązane są wykonywać wszelkie rozporządzenia zarządów gubernialnych co do urządzenia dróg, co do wzajemnego ubezpieczenia, co do załatwienia potrzeb władzy cywilnéj lub wojskowéj państwowéj, do liczby powinności gubernialnych zaliczonych. Obok tego, zarządy powiatowe obowiązane są na żądanie zarządów gubernialnych dostarczać im sprawozdania, jak również opinie i materyały do budżetu powinności ziemskich (art. 97).

Przy zarządach, tak gubernialnych, jak i powiatowych, istnieją jeszcze dodatkowe organy wykonawcze, jak naprzykład służba lekarska ziemska, dozorcy i kuratorowie różnych zakładów i urządzeń ziemskich etc., które to organy pozostają w bezpośredniéj zawisłości od zarządów ziemskich, czy to gubernialnych, czy powiatowych, ulegają ich kontroli, od nich otrzymują i instrukcye i rozporządzenia, do których stosować się muszą, podobnie jak od nich otrzymują nominacye i wynagrodzenia.

Niezależnie od tego, prawo z r. 1890 w art. 113 dozwoliło radom ziemskim ustanawiać tak zwanych oddziałowych kuratorów (*uczastkowych popieczytielej*). Przepis ten zasługuje na uwagę. Chodziło o to, że ziemstwa powiatowe ze względu na obszerność powiatów, a bardzo często ze względu na naturę spraw ziemskich, dla należytego wykonania swego zadania znajdują się często w potrzebie posiadania reprezentantów, przebywających stale w różnych miejscowościach powiatu i dozorujących, albo téż wykonywujących na miejscu zlecenia zarządu ziemskiego; otóż powołany przepis daje prawo każdéj radzie ziemskiéj podziału powiatu na części i wytworzenia tam dodatkowych organów wykonawczych, zwanych kuratorami, a tém samém wydłużenia ręki ziemstwa, aż do samego miejsca wykonania.

Prof. Swiesznikow upatruje w tym przepisie istotny postęp i krok naprzód w rozwoju działalności ziemstw, i zdaje się, że ma zupełną słuszność [1]).

A teraz, jaki jest skład organów ziemskich i w jaki sposób oraz z jakich elementów one się tworzą?

Liczba członków, składających rady gubernialne i powiatowe, bywa rozmaita, stosownie do rozkładu ułożonego przez ministra spraw wewnętrznych. Rady gubernialne składają się z 30-tu, dochodząc niekiedy do 60 członków, w miarę obszerności gubernii i ich zaludnienia. Jednakże rada gubernialna wysuniętéj na północ gubernii Ołoneckiéj

---

[1]) „Russkoje gosudarstwiennoje prawo.“ Cz. 2, str. 159.

posiada tylko 15 członków, bo taką liczbę regulamin ministeryalny dla niéj przeznaczył.

Rady powiatowe liczą członków *minimum* 15, a *maximum* 40, również stosownie do okoliczności i warunków miejsca. Przewodnictwo pozostaje przy marszałkach szlachty. W radach gubernialnych prezyduje marszałek gubernialny, o ile Cesarz sam ze swego ramienia prezesa nie zamianuje, w powiatowych marszałek powiatowy, przyczém ten ostatni może być niekiedy zastępowany przez prezesa zjazdu powiatowego. W razie zastosowania organizacyi ziemskiéj do miejscowości, w których nie ma ani marszałków, ani prezesów zjazdów powiatowych, sprawa przewodnictwa wymaga odmiennego załatwienia, drogą wyborów lub w inny sposób.

Obok członków z wyboru, posiadają prawo do udziału w posiedzeniach rady gubernialnéj wszyscy powiatowi marszalkowie szlachty, zarządzający zarządem dóbr państwa i apanażami oraz delegat od duchowieństwa, o ile zwierzchność dyecezyalna go wyznaczy, zaś w posiedzeniach rad powiatowych delegaci ze strony ministeryum dóbr państwa i ministeryum dworu, jeżeli w powiecie znajdują się dobra skarbowe lub należące do apanażów, deputat duchowny w miarę uznania władzy duchownéj i głowa miasta, w którém się rada odbywa.

Co do zarządów ziemskich, to, nie mówiąc o urzędnikach w odpowiednim do potrzeb zastępie, na czele takowych stoją wybrani przez rady ziemskie prezes i członkowie.

Każda rada gubernialna wybiéra z pomiędzy osób, chociażby nie należących do grona rady, byle posiadających prawo głosu na zebraniach wyborczych do rad, prezesa i 2 do 4-ch członków, wedle uznania rady, z możnością podniesienia téj cyfry do sześciu, o ile minister na to pozwoli. Podobnież każda rada powiatowa wybiéra prezesa i 2 do 4 członków, bez możności jednak dalszego podniesienia cyfry (art. 96). Osoby wybrane na prezesów zarządów, obok cenzusu wyborczego, winny posiadać prawo do służby państwowéj, t. j. szlachectwo lub odpowiednie dyplomy naukowe. Wybór prezesa rady gubernialnéj wymaga potwierdzenia ze strony ministra, zaś prezesa rady powiatowéj i członków rad wogóle zatwierdzenia przez gubernatora (art. 118). W razie, gdyby władza uznała za niemożliwe zatwierdzić przedstawionych kandydatów, następują ponowne wybory i przedstawienia, a na wypadek powtórnéj odmowy minister sam mianuje na urzędy, które wskutek tego po raz trzeci zawakowały (art. 119).

Za jądro, z którego się wysnuwa cała organizacya instytucyi ziemskich, służą rady powiatowe ziemskie. Formowanie i kompletowanie tych rad następuje, jak to już powyżéj mówiłem, w drodze wyborów.

Wedle art. 16 i 17 ustawy, prawo do udziału w wyborach przysługuje poddanym rosyjskim w wieku lat 25, o ile przynajmniéj od roku władają w obrębie powiatu własnością ziemską przestrzeni przynajmniéj 150 dziesięcin [1]), lub téż innym majątkiem nieruchomym, chociażby położonym w samém mieście, wartości nie mniéj jak rs. 15,000.

Rozkład do ustawy załączony określa przestrzeń ziemi, jaką dla pozyskania prawa wyborczego posiadać należy. Istniejące w powiecie instytucye i towarzystwa naukowe jak również towarzystwa i spółki przemysłowe i handlowe, jeżeli władają podobną własnością ziemską lub podobnym majątkiem nieruchomym, przyjmują również udział w wyborach przez swego reprezentanta.

Od uczestnictwa w wyborach, chociażby posiadali powyższy cenzus, są wyłączeni: 1) członkowie od korony tak zwanego Urzędu gubernialnego do spraw ziemskich i miejskich, jako to gubernator i naczelnicy władz gubernialnych, 2) duchowni, 3) prokuratorowie i wogóle urzędnicy dozoru prokuratorskiego, 4) osoby zajmujące urzędy policyjne, 5) włościanie należący do gromad wiejskich (*sielskich obszczestw*), 6) wreszcie żydzi, do czasu przejrzenia przepisów o żydach (art. 26 i 16). Nadto, nie mogą być dopuszczeni do wyborów ludzie karani za przestępstwa, złożeni z urzędu w ciągu lat trzech od chwili złożenia, osoby pozostające pod śledztwem, kupcy będący pod upadłością, uznani za bankrutów, duchowni pozbawieni kapłaństwa, osoby wykluczone z towarzystw i klubów szlacheckich, wreszcie ci, którzy są oddani pod jawny dozór policyjny (art. 27). Kobiéty wogóle, mężczyźni zaś do lat 25 wykonywać mogą przysługujące im na zasadzie cenzusu prawo wyborcze jedynie przez odpowiednio wylegitymowanych zastępców (art. 17 i 18).

Obok tego ustawa przyznaje pewne, chociaż ograniczone, prawo wyborcze (art. 24) osobom, które władają przynajmniéj $^1/_{10}$ częścią przestrzeni, jaka dla posiadania głosu jest zastrzeżoną, lub innym majątkiem nieruchomym wartości co najmniéj rs. 1,500. Osoby te bezpośrednio w zgromadzeniach wyborczych udziału brać nie mogą, zapewniono im przecież prawo wybrania z pomiędzy siebie pełnomocników, czyli prawyborców w ilości, odpowiedniéj do posiadanéj przez nich ziemi lub innych majątków nieruchomych, licząc po jednym prawyborcy na całkowity cenzus wyborczy. Rozumié się samo przez się, że z posiada-

[1]) W guberniach mniéj zaludnionych to *minimum* bywa wyższe i dochodzi aż do 400 dziesięcin, a nawet i wyżéj dla niektórych powiatów gubernii ołoneckiéj i wołogodzkiéj. *Maximum* w dwóch powiatach téj ostatniéj wynosi 700 i 800 dziesięcin.

nych przez nich ziem, lub majątków nieruchomych robi się w drodze dodawania obrachunek, celem ustalenia ilości mających się wybrać prawyborców.

Zaproszenie i wyszukanie tych pełnomocników dokonywa się na przedwstępnych przed wyborami do rady zjazdach, odbywanych ze szlachtą pod przewodnictwem powiatowego marszałka, z innemi osobami pod przewodnictwem głowy miasta, w którém rada powiatowa ziemska ma być zawiązana.

I dopiéro tak wybrani pełnomocnicy uczestniczą i mają głos na zebraniu wyborczém do rady powiatowéj (art. 24 i 31).

Tym sposobem do liczby wyborców należą: 1) osoby władające ziemią w oznaczonéj przez ministeryum ilości, która minimalnie wynosi 150 dziesięcin, 2) osoby władające innym majątkiem nieruchomym wartości przynajmniéj rs. 15,000, 3) delegowani od instytucyi naukowych i dobroczynnych, oraz towarzystw i spółek handlowych i przemysłowych, posiadających takąż ilość ziemi lub tego rodzaju majątek, 4) prawni zastępcy kobiét wogóle i mężczyzn do lat 25 z takimże cenzusem, 5) wreszcie prawyborcy czyli pełnomocnicy od osób nie posiadających całkowitego cenzusu, ale władających co najmniéj $^1/_{10}$ takowego.

Układanie list wyborczych należy do zarządu powiatowego ziemskiego, który komunikuje sporządzone listy gubernatorowi na cztery miesiące przed wyborami, dla należytego i wczesnego opublikowania (art. 34). Wszelkie skargi i reklamacye w kwestyi list wnoszą się na na ręce gubernatora i ulegają rozpoznaniu w urzędzie gubernialnym do spraw ziemskich i miejskich (art. 36). Przy początkowém formowaniu list podczas wprowadzenia ziemstw w życie, listy wyborcze pierwotne były układane pod kontrolą zwierzchnią gubernatora przez władze państwowe, jak to z natury rzeczy wynika. Z liczby osób posiadających prawo do udziału w wyborach do rad powiatowych tworzą się dwie kurye wyborcze (art. 28). Do jednéj wchodzi szlachta, to jest wyborcy pochodzenia szlacheckiego, jak również prawni zastępcy kobiét i mężczyzn do lat 25 ze szlachty pochodzących, oraz prawyborcy również od szlachty, która nie posiadała całkowitego cenzusu wyborczego. Ta kurya funkcyonuje pod przewodnictwem marszałka szlachty i wybiéra członków wyłącznie ze szlachty.

Do drugiéj kuryi wchodzą wszyscy inni, a więc wyborcy nieszlacheckiego pochodzenia, również zastępcy prawni kobiét i mężczyzn do lat 25 z nieszlachty, wreszcie delegowani od instytucyi naukowych i dobroczynnych, oraz towarzystw i spółek handlowych i przemysłowych, chociażby sami do stanu szlacheckiego należeli (art. 28).

Kurya ta odbywa wybory pod przewodnictwem głowy miasta, wysadzając na członków do rady również ludzi ze swego grona, gdyż wedle ogólnéj zasady wybranemi mogą być tylko osoby, które posiadają prawo głosu na danych zebraniach wyborczych i figurują na listach wyborczych odnośnéj kuryi (art. 38).

Każda kurya wybiéra taką ilość członków do rady powiatowéj ziemskiéj, jaką załączony do ustawy rozkład oznacza.

Istnieje jeszcze trzecia kurya, a mianowicie kurya włościańska, którą wyobrażają gromady wiejskie. Wybór członków z téj kuryi dokonywa się w sposób zgoła odmienny. Jak wiadomo, w Cesarstwie włościanie rzadko kiedy posiadają ziemię własną, przyznane im na skutek wyzwolenia z poddaństwa ziemie należą do gromad wiejskich, nie zaś do pojedyńczych osób, w skład gromady wchodzących. Ci włościanie, dla braku indywidualnéj własności ziemskiéj, właściwie żadnego prawa wyborczego nie posiadają, natomiast ustawa upoważnia gromady wiejskie, aby na zebraniu gminy *(wołostnyj schod)* wybiérały ze swego łona kandydatów na członków do rady powiatowéj, licząc po jednym kandydacie od każdéj gminy. Z tak wybranych kandydatów gubernator zatwierdza taką ilość, jaka z rozkładu wypada (art. 51). Oczywiście, że ta ilość jest nieporównanie mniejsza od ilości gmin wiejskich w powiecie. Co do liczebnego stosunku osób z każdéj kuryi do rady powiatowéj ziemskiéj wchodzących, dwie niższe kurye nieszlachecka i gromady wiejskie wprowadzają obie razem co najwyżéj tylu lub nawet mniéj członków, aniżeli kurya szlachecka sama. Tak naprzykład w powiecie moskiewskim komplet rady ziemskiéj powiatowéj wynosi 35 osób, z których 18 pochodzi od kuryi szlacheckiéj, 8 od nieszlacheckiéj, zaś 9 od gromad wiejskich; w powiecie bogorodzkim komplet liczy 16 osób, z których 8 od szlachty, a po czterech od dwóch innych kuryi; w powiecie smoleńskim na 32 osoby przypada 18 od szlachty, 5 od nieszlachty i 9 od włościan. Jak widzimy, przewaga dla żywiołu szlacheckiego wynika z samego prawa.

W razie sporu co do ważności wyborów, wszelkie reklamacye i skargi rozstrzyga urząd gubernialny do spraw ziemskich i miejskich. Skargi wnoszą się na ręce gubernatora.

W wypadku uznania, że nieprawidłowość miała miejsce, urząd unieważnia wybory i nakazuje albo całkiem nowe wybory, albo wybory uzupełniające, o ileby unieważnienie co do niektórych tylko osób było wyrzeczone. Jeżeli przy ponownych wyborach okażą się znowu nieważności tak, że liczba ważnie dokonanych wyborów nie dochodzi do $^2/_3$ zastrzeżonego przez prawo kompletu, w takim razie minister ma pra-

wo przedłużyć na trzy lata mandat dawniejszéj rady, lub téż sam mianuje prezesa i członków rady (art. 53).

Gdy rady powiatowe zostały już złożone, przystępują one bez zwłoki do skompletowania rad gubernialnych. Każda rada powiatowa ze swojego własnego składu wybiéra do rady gubernialnéj w oznaczonéj przez prawo ilości od dwóch do siedmiu, w miarę okoliczności, delegatów, którzy, nie przestając należéć do rady powiatowéj, stają się jednocześnie członkami rady gubernialnéj. Do tak wysadzonych z rad powiatowych kompletów w trzech guberniach, a mianowicie: Petersburskiéj, Moskiewskiéj i Chersońskiéj, dołączają się jeszcze delegaci od rad miejskich, z Petersburga w liczbie 18, z Moskwy w liczbie 14 i z Odesy w liczbie 8, którzy uzupełniają skład rady gubernialnéj w rzeczonych guberniach. Prezesów rady (gubernialne i powiatowe) nie wybiérają, bo, jak o tém była powyżéj mowa, przewodniczą w nich marszałkowie szlachty z urzędu. Z chwilą zamknięcia wyborów, rady mogą bez przeszkody rozpoczynać swoje czynności. Kadencya ich trwa przez trzy lata. Posiedzenia rad gubernialnych otwiéra i zamyka gubernator, gdy przeciwnie w powiatowych należy to do przewodniczącego rady. Dla ważności uchwał prawo wymaga przybycia połowy członków, a w żadnym razie nie mniéj jak 10.

Z kolei następuje formowanie zarządów ziemskich, gubernialnych i powiatowych. Należy ono do samych rad w tém znaczeniu, że każda rada tworzy dla siebie swój zarząd. Dokonywa się to w ten sposób, że rady wybiérają z pomiędzy siebie, lub z osób posiadających cenzus wyborczy, kandydatów na prezesa i członków zarządu, którzy, jak to nam już wiadomo, muszą być przez rząd potwierdzeni; daléj również z pomiędzy siebie lub z liczby osób, mających prawo głosu na zebraniach wyborczych, wybiérają na ważniejsze w zarządzie urzędy, związane z zawiadywaniem oddzielnemi gałęziami administracyi ziemskiéj, wreszcie mianują na dalsze urzędy i wyszukują potrzebnych specyalistów, jak naprzykład lekarzy, nauczycieli etc. Ta trzecia, zresztą najliczniejsza, kategorya rekrutuje się zazwyczaj z osób obcych, nie posiadających praw wyborczych.

Prawo żadnych zastrzeżeń pod tym względem co do nich nie stawia, chodzi bowiem o to, aby ziemstwa posiadały użytecznych pracowników, należycie uzdolnionych i przygotowanych, czego sam cenzus wyborczy może jeszcze nie zapewniać (art. 105).

Na urzędy kancelaryjne werbuje i nominuje prezes zarządu (art. 105). Jeżeli zachodzi potrzeba rozdzielenia powiatu i ustanowienia wspominanych już powyżéj kuratorów oddziałowych, decyzya w téj mierze należy również do rady, która zarazem daje nominacye na te

urzędy (art. 113). Tego rodzaju kuratorowie, jako zarządzający oddzielną częścią gospodarstwa ziemskiego, o ile się zdaje, winni być wybierani z grona osób posiadających prawo wyborcze, chociaż wyraźnego w téj mierze przepisu nie ma.

W ten sposób uformowane władze ziemskie, zachowując w zasadzie samodzielność działania, jak wszędzie tak i w Rosyi, pozostają pod kontrolą władz rządowych. Kontrola ta pod niektóremi względami jest bardzo ścisła.

Ogólny nadzór za prawidłowém i zgodném z prawem działaniem instytucyi ziemskich, w myśl art. 5 ustawy, leży w ręku gubernatora, przy którym istnieje do kolegialnego rozpatrywania kwestyi tak zwany urząd gubernialny do spraw ziemskich i miejskich. Urząd ten pozostaje pod przewodnictwem gubernatora i składa się, oprócz gubernatora, z vice-gubernatora, marszałka szlachty gubernialnego, zarządzającego izbą skarbową, prokuratora sądu okręgowego, oraz prezesa zarządu gubernialnego ziemskiego, głowy miasta gubernialnego i delegowanego członka od rady gubernialnéj ziemskiéj, lub gdy idzie o sprawy miejskie z delegowanego członka od dumy miasta gubernialnego. Tych ostatnich delegatów potwierdza minister. W razie, gdy sprawa dotyka interesu organu państwowego, nie reprezentowanego stale w tym urzędzie, np. zarządu dóbr państwa, wzywa się tę władzę o przysłanie swego delegata dla wzięcia udziału w rozpoznaniu sprawy.

Sekretarza urzędu i jego pomocnika dla prowadzenia czynności kancelaryjnych mianuje gubernator (art. 8).

Jak widać z powyższego, właściwy skład tego urzędu obejmuje 8 osób, z których pięć od korony, trzy od ziemstw i rady miejskiéj, czyli tak zwanéj *dumy*.

Do urzędu tego należy rozpoznawanie wszelkich spraw, dotyczących samorządu tak ziemskiego, jak i miejskiego.

I tak: kwestye dotyczące list wyborczych i sposobu ich ułożenia, kwestye wyborów i ich ważności lub nieważności, rozpoznanie postanowień rad ziemskich nie potwierdzonych przez gubernatora, a z przepisu prawa wymagających takiego zatwierdzenia (art. 84), opinie co do postanowień przesyłanych niekiedy do zatwierdzenia ministra (art. 85), rozpoznawanie zakwestyonowanych przez gubernatora decyzyi zarządów ziemskich (art. 103), wymierzanie kar dyscyplinarnych na urzędników niższych we wszelkich zarządach ziemskich i na członków zarządów ziemskich powiatowych, jak również pociąganie jednych i drugich w razie wykrytych nadużyć do odpowiedzialności sądowéj etc. [1]).

[1]) Co do prezesów zarządów ziemskich tak gubernialnych, jak powiatowych, oraz członków zarządów gubernialnych, urząd ten czyni jedynie przedsta-

W następstwie tego poważniejsze sprawy ziemskie, jak przez alembik, przesuwać się muszą przez rzeczony urząd.

Urząd ten, jako ciało kolegialne, wydaje decyzye większością głosów, przyczém w razie równości zdań głos przewodniczącego przeważa. W wypadku, gdy większość oświadczy się przeciwko zdaniu gubernatora, temu ostatniemu służy prawo wstrzymania wykonania decyzyi, pod warunkiem jednak natychmiastowego przedstawienia kwestyi pod rozpoznanie senatu przez pośrednictwo ministra, który albo przesyła akta do senatu, albo też, o ileby uważał zdanie gubernatora za niesłuszne, zwraca je gubernatorowi z poleceniem wykonania decyzyi przez większość uchwalonéj.

Na decyzye urzędu, o którym mowa, ziemstwom czyli raczéj radom ziemskim, tak gubernialnym jak i powiatowym, przysługuje prawo skargi do senatu (art. 89). Podobneż prawo przysługuje także osobom, towarzystwom i instytucyom prywatnym, gdy decyzye urzędu dotykają ich interesów. Pierwszy departament senatu, w charakterze najwyższego trybunału administracyjnego, rozstrzyga zachodzące kwestye w ostatniéj instancyi.

Celem należytego wykonania dozoru i kontroli nad działalnością instytucyi ziemskich, gubernatorowi wolno dokonywać rewizyę czynności zarządów ziemskich i wogóle organów wykonawczych ziemskich oraz ich zakładów. W razie wykrycia nieporządków gubernator poleca zarządowi ziemskiemu usunięcie takowych, gdyby zaś zarząd ziemski uczynienia zadość żądaniu gubernatora odmówił, kwestya przechodzi pod rozpoznanie urzędu gubernialnego do spraw ziemskich i miejskich (art. 103).

Wszelkie postanowienia rad ziemskich, tak gubernialnych jak i powiatowych, muszą być komunikowane gubernatorowi i nie ulegają wykonaniu przed upływem dwóch tygodni od dnia téj komunikacyi (art. 80 i 86). Jeżeli gubernator dostrzeże, że postanowienie rady albo jest wprost niezgodne z prawem, albo też sprzeciwia się ogólnym potrzebom państwowym, lub wreszcie narusza interesy miejscowéj ludności, w takim razie ma on prawo w ciągu rzeczonych dwóch tygodni wstrzymać postanowienie rady w wykonaniu (art. 87).

W pierwszym wypadku, gdy chodzi o obrazę prawa, kwestya idzie pod ocenienie urzędu gubernialnego, a następnie senatu, o ile rada decyzyę urzędu daléj zaskarży, w drugim wypadku, gdy wstrzymanie nastąpiło z powodu niezgodności z ogólnemi potrzebami pań-

---

wienia do ministeryum, gdyż władza dyscyplinarna i oddanie pod sąd tych wyższych funkcyonaryuszów należy do rady ministra i samego ministra.

stwa, lub z powodu naruszenia interesów miejscowéj ludności, sprawa na zasadzie art. 90—94 ustawy z r. 1890 przebiega całkiem odmienną drogę. Jeżeli do kwestyi dało powód postanowienie rady powiatowéj, gubernator obowiązany jest przedewszystkiém wnieść sprawę na sesyę rady gubernialnéj; dopiéro gdy ta odmówi uchylenia, i wogóle gdy zawieszeniu uległo postanowienie rady gubernialnéj, sprawa wraz z opinią urzędu gubernialnego przechodzi pod rozpatrzenie ministra. Minister władny jest własną władzą ją przeciąć i polecić zaniechanie dalszych kroków i wykonanie wstrzymanego postanowienia, albo gdyby tego nie uczynił, przekazuje sprawę komitetowi ministrów, a w niektórych razach radzie państwa. Decyzya tych organów jest ostateczna.

Tym sposobem z mocy prawa z r. 1890 obok senatu w rozpoznaniu trudniejszych kwestyi dotyczących organizacyi ziemskiéj biorą udział także czysto administracyjne organy państwowe. Rozdział taki utrudnia jednolitą i stałą jurisprudencyę. Zresztą senat cieszy się tak wielką w państwie powagą, że z niewątpliwym pożytkiem dla rzeczy wszystkie kwestye tego rodzaju mogłyby być tam zogniskowane.

Kontrola władzy państwowéj nad organami ziemskiemi istnieje jeszcze pod innym względem. Ustawa zastrzega, że uchwały rad ziemskich, tak gubernialnych jak i powiatowych, w niektórych wypadkach wymagają potwierdzenia ze strony gubernatora albo ministra i nie mogą być wprowadzone w życie, dopóki zatwierdzenie nie nastąpi. Gubernator zatwierdza uchwały, dotyczące podziału dróg na gubernialne i powiatowe, zmiany kierunku dróg ziemskich, urządzenia wystaw miejscowych, terminów i miejsc jarmarków, targów i rynków, taks do wynagrodzenia za szkody i za postój na wewnętrznych wodach; — minister zaś zatwierdza, gdy chodzi o zmianę dróg ziemskich na wiejskie, o ustanowienie opłat rogatkowych na drogach, o podział zakładów dobroczynnych na gubernialne i powiatowe, o zamianę powinności naturalnych na pieniężne, o ciężary i opłaty na koszta wytępienia szkodliwych zwierząt i owadów, o nowe przystanie na wodach wewnętrznych, o nowe jarmarki i o pożyczki na potrzeby ziemstw.

Tak się przedstawia w krótkich, choć może nie dość ścisłych rysach organizacya instytucyi ziemskich w Rosyi. Być może, nie wolna jest ona od pewnych usterek, posiada przecież wybitne strony dodatnie. Dominująca ponad wszystkiém zasada kompletowania rad ziemskich na podstawie cenzusu majątkowego może budzić pewne wątpliwości. Za punkt wyjścia prawo przyjęło posiadanie ziemi, lub nieru-

chomości. Ludzie, nie posiadający ani ziemi, ani nieruchomości, nie mogą wejść ani do rad ziemskich, ani na ważniejsze urzędy w zarządach ziemskich, dla zajęcia których potrzeba posiadać cenzus przez prawo wskazany. W następstwie tego inteligencya złożona z ludzi fachów wolnych, jak lekarzy, nauczycieli, adwokatów, artystów etc., po większéj części odsuniętą została od ziemstw i zaledwie w wyjątkowych wypadkach w charakterze przedstawicieli naukowych i dobroczynnych instytucyi może przyjąć w nich udział. Podobne utrudnienie niejednokrotnie może wyrządzać istotną szkodę dla rzeczy.

Sprawa ta zasługuje jeszcze na uwagę z innéj strony. W związku z tak ustanowionym cenzusem stoi opodatkowanie ziemskie. Dochody ziemstw opiérają się głównie na poborach z ziemi i z nieruchomości. Sama ziemia przynosić musi ziemstwom corocznie więcéj jak połowę, a łącznie z innemi nieruchomościami dostarcza blisko ⅔ wszystkich dochodów. Tak naprzykład w r. 1883 na ogólną sumę dochodów ziemskich, która wynosiła 29,365,396 rubli, z opodatkowania ziemi wpłynęło 15,766,682 rs., z opodatkowania nieruchomości 1,855,665 rs., co czyniło razem 17,622,347 rubli [1]). Inne dochody składają się z poborów od zakładów przemysłowych i handlowych, z kar i poborów sądowych, oraz z dochodów od majątków. W ten sposób ciężar utrzymania machiny ziemskiéj spada głównie na ziemię i nieruchomości, gdy jednocześnie liczne warstwy ludności nie posiadającéj ziemi lub nieruchomości, albo zakładu przemysłowo-handlowego do potrzeb materyalnych ziemstw zgoła się nie przyczyniają, chociaż z działalności ziemstw pośrednio, a często nawet i bezpośrednio korzystają.

Podnosiły się już nieraz głosy o potrzebie opodatkowania na rzecz ziemstw i innych warstw ludności, zwłaszcza mieszkańców miast, za pomocą podatku mieszkaniowego, ale następstwem tego musiałoby być dopuszczenie do ziemstw elementów nie posiadających ziemi lub nieruchomości, jako opodatkowanych.

Uderza téż w ziemstwach przewaga stanowcza żywiołu szlacheckiego. Wynika ona wprost z organizacyi wyborczéj i ustanowionego przez prawo rozkładu reprezentantów. Na ogólną liczbę 10,244 członków rad ziemskich w tych 34 guberniach, w których one funkcyonują, przypada na szlachtę 5,633 osoby, gdy kurya nieszlachecka dostarcza tylko 1,428, włościańska 3,175, obie zaś razem 4,603 osoby [2]).

---

1) „Statisticzeskij wremiennik Rossijskoj imperii.“ „Dochody i rozchody ziemstw za 1893 rok“, str. 10 i 11.

2) Swiesznikow, *loco citato*, str. 184.

W konsekwencyi w zarządach ziemskich widzimy toż samo. Wedle statystyki zebranéj za lata 1883 do 1886, szlachta zajmowała w zarządach powiatowych 69.5%, zaś w gubernialnych 73.7% ogólnéj ilości urzędów [1]).

Pomimo te i inne usterki, instytucye ziemskie w ogólnym bilansie stanowią gruntownie pomyślaną organizacyę, która przy jakiém takiém prowadzeniu przyczyniać się musi do moralnego i cywilizacyjnego podniesienia ludności. Zapewne pod względem samodzielności, nie mogą się one równać z organizacyą angielską, która wyobraża typ najszerszego możliwego samorządu, ale za to stoją wyżéj od organizacyi francuskiéj, w któréj tylko rada departamentowa (*Conseil general*) posiada swoją komisyę wykonawczą i to dopiéro od roku 1871-go, rady zaś okręgowe zgoła nie mają przy sobie żadnych organów wykonawczych.

W ogólnéj budowie rosyjskie instytucye ziemskie najbardziéj zbliżają się do odnośnych urządzeń pruskich; rady odpowiadają pruskim *Provinzial-Landtag*'om i *Kreistag*'om, zaś zarządy *Provinzial-Ausschuss*'om i *Kreisausschuss*'om. Wysoka wartość instytucyi ziemskich w kierunku załatwiania spraw miejscowych tłómaczy się ich naturą i założeniem. Ta znajomość miejscowych potrzeb i to pragnienie ładu dla swojego zakątka, z jakiemi ludzie miejscowi do pracy w ziemstwie przychodzą, stanowią nieoceniony czynnik skutecznego i wytrwałego działania. Z uczucia tego w życiu czasami się naśmiewamy, przezywamy go zaściankowością, a przecież ono podnosi pracę i zwiększa jéj skutki ku ogólnemu pożytkowi.

Przytém ludzie wdrażają się do roboty około swego zakątka, do myślenia o jego potrzebach i interesach, uczą się i rozwijają, co posiada niemałe dla dobrobytu i moralności ogólnéj znaczenie.

Wielki postęp, jaki wnętrze Rosyi w ciągu ostatniego 30-lecia zrobiło, w pewnéj i może nie najmniejszéj mierze przypisać należy reformie ziemskiéj i miejskiéj.

Wystarczy przytoczyć na poparcie tego parę cyfr statystycznych. Wedle obliczeń za rok 1887-my, rozchody ziemstw wynosiły 44,449,999 rubli. Z tego wydano w tymże roku na ochronę zdrowia publicznego 9,523,339 rs., na naukę przeważnie elementarną 6,956,925 rs. i na cele dobroczynności publicznéj 2,377,406 rs., co czyni razem na tego rodzaju potrzeby około 19 milionów rubli [2]). Jeżeli dodamy, że miasta w tymże roku przy ogólnych rozchodach wyobrażających

---

[1]) Swiesznikow, tamże, str. 161.

[2]) „Sbornik swiedienij po Rossii“, 1890, str. 240—241.

46,116,645 rubli [1]) za pośrednictwem rad miejskich mogły zwydatkować na powyżéj wyszczególnione rubryki sumę podobną, co ziemstwa, lub niewiele od niéj mniejszą, to zrozumiemy, jak doniosłe są skutki istnienia podobnych organizacyi. Gdyby nie było ziemstw i samorządu miejskiego, w kierunku pracy społecznéj, o jakim mowa, wydanoby bardzo mało; praca tego rodzaju nie bardzo nadaje się dla organów państwowych, a i środków materyalnych na nią by nie było.

Jak wysoko cenią Rosyanie instytucye ziemskie, miałem tego niedawno wymowny dowód. Byłem w Petersburgu na posiedzeniu towarzystwa przemysłu i handlu, które odbywało się pod przewodnictwem prof. Isajewa. Znalazł się jakiś referent, który krytykował ziemstwa i postawił wniosek o odjęcie im pewnéj kategoryi spraw i oddanie organom państwowym. W toku dyskusyi wstał prof. Kryłow i przemówił w te krótkie słowa: „Ziemstwa — to nasze najmłodsze dzieciątko w szeregu urządzeń w państwie istniejących. Jeżeli go zechcemy zestawiać z posiadającemi wiekowe tradycye organami państwowemi, nie wytrzyma ono porównania ani co do siły, ani co do sprawności, a przecież to dzieciątko jest nam najdroższe, widzimy w niém źródło wielkich pożytków i zamiast ścieśniać, wszelkiemi siłami rozwijać go musimy.” Nastąpiły frenetyczne oklaski, wniosek upadł i uchwalono rezolucyę wręcz odwrotnéj treści.

§ 3.

Tylko wnętrze Rosyi europejskiéj posiada samorząd ziemski. Dziewięć gubernii zachodnich, gubernie Królestwa Polskiego, kraj Nadbaltycki, gubernia archangielska nad morzem Białém, gubernie astrachańska i orenburska od wschodu, wreszcie Ziemia dońskich kozaków nie otrzymały dotąd rzeczonych instytucyi. Nadmienić muszę, że w Ziemi dońskich kozaków zamierzono je wprowadzić, ale kozacy, korzystając oddawna z szerokiego samorządu gminnego, oparli się temu; daléj nadmienić jeszcze muszę, że w guberniach zachodnich oraz w guberniach nadbaltyckich samorząd miejski funkcyonuje, przyczém w tych ostatnich istnieją innego rodzaju dla spraw miejscowych urządzenia stanowe, które poniekąd zastępują instytucye ziemskie. Co do nas, kraj nasz nie posiada ani samorządu miejskiego, ani samorządu ziemskiego. Stoimy pod tym względem na jednéj linii z dalekiemi guberniami wschodniemi i obszarami azyatyckiemi.

---

[1]) Tamże, str. 242.

I mimo woli rodzi się pytanie: czyby dla kraju naszego podobne instytucye zgoła nie były potrzebne?

Historycznie biorąc rzeczy, kraj nasz wcześniéj od któréjkolwiek z prowincyi, wchodzących w skład państwa rosyjskiego, posiadał instytucye, które z natury swojéj za samorząd lub jego rodzaj uważane być mogą. Nie zamierzam sięgać do organizacyi zeszłych wieków, do jéj dobrych i ujemnych stron, chcę mówić o rzeczach nowoczesnych z bieżącego stulecia. Otóż ustawa zasadnicza Księstwa Warszawskiego z roku 1807-go wprowadziła do kraju po miastach tak zwane rady municypalne, po za miastami zaś rady departamentowe, po jednéj w każdym departamencie i rady powiatowe, po jednéj w każdym powiecie [1].

Rada powiatowa składała się z 9 do 12-tu, rada zaś departamentowa z 16-tu do 24-ch członków mianowanych przez panującego, ale z podwójnéj listy kandydatów, ułożonéj przez sejmiki powiatowe. Do zadań tych rad należały: 1) rozkłady ciężarów publicznych na departamenty, a następnie na powiaty, 2) narady nad potrzebami i dobrem departamentów i powiatów, 3) wreszcie, zażalenia na postępowanie władz administracyjnych i opinie co do ulepszeń pożądanych w administracyi krajowéj. Organów wykonawczych rady nie posiadały, bo zresztą stanowiły tylko ciała z charakterem doradczym i kontrolującym. Rady departamentowe odbywały posiedzenia zwyczajne raz, powiatowe zaś dwa razy do roku, z możnością odbywania sesyi nadzwyczajnych, zwoływanych przez ministra spraw wewnętrznych lub prefekta. Konstytucya z r. 1815 ustanowiła w Królestwie Polskiém rady wojewódzkie, pomijając urządzenie rad w powiatach [2]. Rady te składały się z członków wybranych przez samo społeczeństwo; każdy powiat dostarczał do rady dwóch radców, każda zaś gmina po jednym. Do atrybucyi rad należały: 1) wybory sędziów do pierwszych dwóch instancyi, 2) formowanie i oczyszczanie listy kandydatów na urzędy administracyjne i sądowe, 3) prowadzenie ksiąg szlacheckich i gminnych co do osób mających prawo udziału na sejmikach i zgromadzeniach gminnych, 4) opinie i uwagi dotyczące dobra województw i ich mieszkańców tak co do rozwoju rolnictwa, przemysłu i handlu, jak co do oświaty ludowéj, opieki nad biednymi etc. Rady te nie wyszły ze sfery instytucyi doradczych, posiadały przecież poważny wpływ

---

[1]) „Dziennik praw Księstwa Warszawskiego“, t. I, str. XXXIV, oraz str. 175 i 184.

[2]) „Dziennik praw Królestwa Polskiegó“, t. I, str. 82; t. IV, str. 17.

na wybór sędziów i urzędników administracyi. Zbiérały się one obowiązkowo dwa razy do roku. Rady te istniały do roku 1831-go. Po wypadkach r. 1831 przestały istniéć i przez całe lat 30 społeczeństwo nie posiadało żadnego organu do zajmowania się sprawami własnemi miejscowemi. Wprawdzie statut organiczny z r. 1832 w art. 51 zapowiedział utworzenie napowrót podobnych rad, przecież przepis ten pozostał martwą literą i rady zaprowadzone nie były.

Dopiéro w r. 1861 na mocy trzech oddzielnych Ukazów powołano do życia nowe organy samorządu, a mianowicie rady miejskie dla miast, oraz rady gubernialne i powiatowe dla całego kraju [1]). Instytucye te opiérały się na wyborach i stanowiły reprezentacyę z łona społeczeństwa, prezesów tylko mianował namiestnik z liczby wybranych do rad członków. Atrybucye w porównaniu z radami z epoki przed r. 1831 były znacznie rozszerzone. Oddano radom różne interesy miejscowe przez dopuszczenie ich do udziału w zarządach administracyi przy decydowaniu różnych przedmiotów, jak w kwestyi dróg, w kwestyi zakładów użyteczności ogólnéj, robót publicznych, w kwestyach dotyczących zdrowia publicznego etc. Powierzono im także czuwanie nad dobrem szkół elementarnych, opiekę nad ubogimi, polecono wybiérać delegatów do różnych komisyi i urzędów, wreszcie oddano kontrolę nad funduszami powiatowemi i zapewniono udział w naradach co do ich dyspozycyi. Radom gubernialnym dodano nadto utrzymywanie ksiąg szlacheckich i genealogicznych. Organów wykonawczych instytucye te nie posiadały i decyzye swe komunikowały władzom administracyjnym do wykonania.

Pomimo pewnych braków, stanowiły one już wyraźny typ organów samorządnych. Niestety! istniały zaledwie przez rok jeden. Z chwilą wypadków 1863 r., członkowie rad po większéj części poskładali swe mandaty, rady funkcyonować przestały i społeczeństwo, z wyjątkiem urządzenia gminnego, nie korzysta aż dotąd z żadnego udziału w sprawach miejscowych, będąc pozbawione należnego w tym kierunku działania.

Wracając do pytania, czy instytucye tego rodzaju są potrzebne dla kraju, nie trudno znaléść dowody dla twierdzącéj odpowiedzi.

Działalność władz państwowych może skutecznie załatwić interesy ogólne, dotyczące interesu państwa wogóle i regulujące stosunek obywateli do państwa, ale z postępem czasu i rozwoju nawet przy największym wysiłku i energii nie zdoła ona należycie objąć i dokładnie załatwić spraw natury społecznéj, które życie rodzi i wytwarza.

---

[1]) „Dziennik praw", t. 57, str. 337—341; t. 58, str. 277 i 295.

Zapewne o wiele prostsze i mniéj skomplikowane było życie, gdy na przestrzeni naszego kraju żyło 3 czy 4 miliony ludności, o ileż jednak inaczéj przedstawia się ono dzisiaj, gdy ludność krajowa dosięgła 9 milionów. Powikłania są coraz częstsze, zadań i potrzeb coraz więcéj, te zadania i potrzeby rozszerzają się szybko, gwałtownie, w stosunku o wiele przewyższającym sam przyrost ludności.

Jakoż widzimy całe szeregi kwestyi wymagających załatwienia, a przecież nie załatwionych, całe szeregi spraw, do których nie wiadomo nawet, kto ma prawo się zabrać i kto powinien je załatwić. Weźmy np. sprawę zdrowia publicznego. Przy nadmiarze sił lekarskich, jakie kraj posiada, ludność wiejska a nawet do pewnego stopnia i miejska pozostaje bez należytéj pomocy lekarskiéj, dla braku należytego zorganizowania takowéj. Szpitali, a zwłaszcza drobnych po wsiach i miasteczkach, brak zupełny; ustanowiono podatek szpitalny, lecz biédni nawet z Warszawy i jéj okolic częstokroć nie znajdują w szpitalach pomieszczenia dla braku miejsca. W wypadkach wybuchłéj epidemii rozwija się rzekomo szeroka działalność ze strony urzędów lekarskich, szkoda tylko, że, jak to było przy ostatniéj cholerze, kończy się to dymisyą przedstawicieli służby zdrowia i procesem karnym w rodzaju procesu opoczyńskiego.

Weźmy inny przykład, dajmy na to sprawę dróg i komunikacyi. Cóż to za morze nieprzebrane żalów i słusznych pretensyi? Władze państwowe tą sprawą się zajmują i widzimy skutek, gdy idzie o wielkie trakty i komunikacye związane z ogólnemi potrzebami państwa, ale gdy chodzi o drogi miejscowe, o poczty i telegrafy dla miejscowości świéżo powstających i rozwijających się, napróżno się kołacze, napróżno nawołuje [1]).

Weźmy jeszcze inny przykład. Lud nasz nietylko wiejski, ale do pewnego stopnia i miejski, nie znając najprostszych zasad hygieny, nie używa kąpieli, których w kraju zgoła po wsiach nie ma. Jest to wielka sprawa społeczna, lud karleje, częściéj choruje, wcześniéj umiéra. Kto ma zająć się tą sprawą? Kto ma wprowadzić ją w życie? Gdzie są organy powołane do załatwienia podobnéj kwestyi?

---

[1]) Mamy ładny z europejska urządzony zakład leczniczy Nałęczów, położony o 5 wiorst od stacyi kolejowéj tegoż nazwiska. Te pięć wiorst po gliniastym gruncie z chwilą deszczu pokrywają się grzęzkiem błotem, a przy pogodzie panuje na nich niegodziwy pył. Dla wygody ludności i przyjeżdżających chorych szosa jest konieczną. Dobija się o nią biedny zakład, molestuje, fatalna droga zniechęca ludzi — nic to nie pomaga. Nie wiadomo dlaczego, nieszczęsnych pięciu wiorst otrzymać niepodobna.

Weźmy jeszcze inny przykład, weźmy przemysł domowy czyli ludowy. Potrzeba rozwinięcia tego rodzaju pracy została wszędzie i powszechnie uznaną. Celem poprawy bytu biédnych klas zachodzi istotna potrzeba szerokiego działania w tym kierunku, tymczasem na téj drodze nic się u nas nie robi, a przynajmniéj robi się tak mało, że prawie tyle co nic. I znowu zapytajmy: kto ma zająć się tą sprawą? Jakie istnieją do tego środki i organy?

W obecnym stanie rzeczy, nawet odpowiedzi na te zapytania udzielić nie można.

Toż samo powiedziéć trzeba o wielu innych rzeczach, jak np. o ubezpieczeniach rolnych, o ochronach dla opuszczonych dzieci, o przytułkach dla nieszczęśliwych kalék i starców etc. Wszędzie i zawsze toż samo, nie ma organów do działania, nie ma podstaw prawnych do systematycznego i koniecznego przeprowadzenia czynności. Stoi to wszystko na wichrze, tu i owdzie instytucye prywatne lub ludzie dobréj woli cośkolwiek w tych rzeczach robią, łatają, jak to mówią, dziury, ale o prawidłowém i normalném załatwieniu nie ma wcale mowy.

Od władz państwowych niepodobna tego żądać, bo to na prawdę przekracza właściwe ich zadanie. Urzędnicy, którzyby chcieli podnieść sprawę kąpieli ludowych, albo szpitali miejskich, lub stacyi hygienicznych, wyglądaliby na donkiszotów, szukających jakichś zasług społecznych, zamiast lepszego wykonywania swoich bezpośrednich obowiązków względem państwa. Do tego potrzeba specyalnych organów społecznych, które ze społeczeństwa wychodzą i do pracy specyalnie w téj dziedzinie są powolane [1]).

Oczywiście, nie wszyscy zechcą zrozumiéć tę potrzebę. Znajdą się tacy, co powiedzą, obchodziliśmy się dotąd, możemy się obchodzić bez tych rzeczy i daléj.

Zbyteczna byłaby na ten temat dyskusya. Zapewne, przed czterema wiekami ludzie chodzili bez koszul i obchodzili się bez tego do-

---

[1]) Że tak jest, przytoczę przykład. Rada Administracyjna Królestwa Polskiego decyzyą z d. 9/21 maja 1858 r. nakazała wstawiać corocznie do budżetu krajowego rs. 5,000 na zakładanie ochron dla dzieci ubogich rodziców w miastach i po wsiach ludnych. (Zbiór post. adm. Wydział spraw wewn. Cz. III, t. IV, str. 325). Za tę sumę, na owe czasy dość znaczną, można było sprawę podnieść i ochrony rozwijać. I cóż się stało? Oto nic nie zrobiono. Dlaczego? Dlatego, że podobna sprawa nie daje się załatwić pomyślnie przez władze państwowe, gdyż należało ją złożyć w ręce samego społeczeństwa, a znalazłaby się wtedy odpowiednia praca, energia i poświęcenie, bez których podobnych rzeczy z dobrym skutkiem dokonać nie można.

skonale, a przecież dzisiaj bez koszuli społeczeństwo już obejść się by nie mogło.

Nie sięgając nawet tak daleko, dziadowie nasi obywali się bez kolei i jeździli końmi, obywali się bez telegrafów, poprzestając na poczcie przyśpieszonéj, a jednak trudno w dzisiejszych warunkach zaprzeczyć pożyteczności tych wynalazków.

Potrzeba instytucyi samorządu z każdym rokiem staje się coraz bardziéj naglącą.

Udowodniwszy konieczność instytucyi przy obecnym stanie życia społecznego, zapytajmy z kolei, czy do należytego wprowadzenia téj organizacyi posiadamy stosowne przygotowanie?

Zgóry odpowiedziéć muszę, że nie obeszłoby się zwłaszcza na początku bez poważnych trudności.

Każdą nową rzecz łatwiéj jest zadekretować, aniżeli w życie wprowadzić i zapewnić dobre funkcyonowanie.

Wyszliśmy, że tak powiem, z wprawy i doświadczenia, tradycyi po instytucyach z przed r. 1831 w świadomości ogółu nic prawie nie pozostało, efemeryczne istnienie rad z r. 1862 nie wiele znaczy, musielibyśmy się zaprządz do nowego dla nas trudu i mozołu, musielibyśmy się uczyć, wzwyczajać i wyrabiać, a co za tém idzie, musielibyśmy nieraz z początku mylić się i błądzić. Jednakże wnętrze Rosyi, które w r. 1864 mniéj było od nas przygotowane, wdrożyło się w tę pracę i nie ma żadnego powodu wątpić, abyśmy także ze swojéj strony nie zdołali podołać zadaniu.

W tém właśnie nowém zadaniu, w tych nowych torach pracy, które instytucye ziemskie ze sobą przynoszą, tkwi wielki ich pożytek. Mają one kształcące dla społeczeństwa znaczenie, stwarzają nowy zakres czynności dla ludzi dobréj woli, a pośrednio odrywają od małostek i niedorzeczności życiowych.

Pustka życia, jaka nieraz w naszém społeczeństwie się spostrzega, znalazłaby do pewnego stopnia zapełnienie. Ludzie, zwłaszcza z dostatecznemi środkami materyalnemi, pozyskaliby pożyteczny grunt do działania. Społeczeństwo przyzwyczajałoby się do myślenia więcéj o swoich lokalnych potrzebach i uczyłoby się samo je zaspakajać, nie oglądając się na pomoc niczyją i nie roszcząc żadnych do nikogo pretensyi.

A teraz, czy i jakie posiadamy szanse pozyskania tyle razy omawianych instytucyi?

Nie tajne jest nikomu, że przeciwko wprowadzeniu do nas tych instytucyi odzywały się różne głosy. Opozycya idzie z dwóch różnych stron, ze strony teoryi i ze strony polityku jących praktyków.

Na polu teoryi, wystarczy mi przytoczyć znanego profesora Gradowskiego. W pracach swoich Gradowski stale wygłaszał zasadę, że organy samorządu nie mogą być wprowadzane w prowincyach kresowych państwa. Zapatrywanie to jednak wynikało nie tyle z niechęci do nas, ile raczéj z poglądów Gradowskiego na istotę samorządu. Gradowski w organach samorządu widział przedewszystkiém instytucyę państwową, wykonywającą cząstkę atrybucyi państwa i nie umiał dostrzedz w nich strony społecznéj. Gradowski nie godził się na podział władz na państwowe i społeczne, upatrując w tém szkodliwy dualizm. W konsekwencyi takiego błędnego poglądu była otwarta niechęć do zaprowadzenia instytucyi rzekomo politycznéj natury na kresach państwa, a tém samém i u nas. Znacznie przecież już inaczéj patrzą na istotę i znaczenie samorządu późniejsi pisarze, jak prof. Swiesznikow lub prof. Iwanowski, nie mówiąc o dawniejszym autorze ks. Wasilczykowie.

Nie wspominałbym o téj teoretycznéj opozycyi, gdyby nie ta okoliczność, że Gradowski posiadał powagę w swojém społeczeństwie i że teorya jego jeszcze dzisiaj błąka się po umysłach, które umieją nadać jéj zresztą inną etykietę, podkładając pod nią całkiem odmienne motywy.

Groźniejszą jednak niezawodnie jest opozycya praktyków, szerzących przy każdéj sposobności trwogę i wywołujących widmo zaburzeń tam nawet, gdzie nie ma do tego najmniejszego powodu.

W poglądach tego rodzaju pesymistów nawet szosy bite lub szpitaliki i apteki ludowe albo gospody w miejsce karczem z wódką to już zarzewie niepokoju, to już powód do obaw i niedowierzania. A cóż dopiéro towarzystwa wstrzemięźliwości dla ludu? To już formalna rewolucya! A przecież w rzeczywistości, możność spokojnéj wewnętrznéj pracy przynosi odwrotny skutek, bo daje zajęcie dla umysłów i zaspokojenie.

Życie ze wszystkiemi swemi objawami i zjawiskami wykazuje dowodnie, że istnieje sfera interesów czysto gospodarczych, społecznych, które dla braku odpowiedniéj organizacyi albo wcale nie znajdują zaspokojenia, albo rozwiązywane bywają źle, nie umiejętnie i niedokładnie, budząc gorycz i niezadowolenie. Na tę stronę kwestyi trzeba nam jak najwięcéj zwracać uwagę. Nie składając do załatwienia w ręce społeczeństwa spraw czysto społecznych, państwo z konieczności musi je przyjąć na siebie i obciąża się nadmiernym ciężarem zadań i pracy, któremu późniéj podołać nie jest w stanie. Cierpi na tém ta grupa interesów pozostających bez zaspokojenia, cierpi społeczeństwo, traci państwo, którego organy ulegają krytyce ogólnéj. I inaczéj być nie mo-

że, przy zachowaniu wszystkiego w ręku państwa rodzą się większe do niego pretensye, rosną względem niego żądania i wymagania, a gdy następnie nie ma (i nie może być) należytego zaspokojenia, szerzy się niechęć i rozczarowanie. Przychodzi chwila, w której zrzucenie z siebie zadań lokalnych i gospodarczych staje się dla państwa koniecznością i dobrą polityką.

Posiadanie instytucyi ziemskich wraz z ich uzupełnieniem, to jest samorządem miejskim, stanowi nieodzowny warunek pracy kulturalnéj.

Adolf Suligowski.



SALONY PARYSKIE.

I.

Salon na Polu Marsowém.

(Société nationale de Beaux - Arts).

Niewielu artystów Polaków wystawiło tu swe prace.

Panna Olga Boznańska przysłała „Dwóch chłopców“ siedzących na stole. Szczególniéj dalszy bardzo dobrze i swobodnie posadzony. Jest to wogóle skromne studyum, raczéj nawet szkic, z którego nie znając innych prac, nie możnaby było o talencie autorki wyrobić sobie pojęcia. Niestety, artystka w tym roku mimowolnie występuje jako Niemka, za miejsce bowiem urodzenia wskazane jest Monachium, gdy roku zeszłego był Kraków. Winę niedokładności téj zapewne złożyć trzeba na kogoś, co z Monachium obraz artystki wysyłał i na własną rękę deklaracyę pisał. Niemniéj jednak nie zmniejsza to szkody usunięcia jednostki i z tak już maleńkiego kółka artystów, reprezentujących naszą sztukę.

Malczewski Jacek dał „Idyllę“. Podwórze nasze dworskie z klombami krzewów bezlistnych. Chmurno, zimno i mokro. Stada indyków pilnuje mała pastuszka w kuséj sukienczynie barchanowéj, z bosemi nożynami. Jest to dziecko wiejskie bez idealizowania, takie,

jakie najczęściej bywa: chude i brudne. Przed nią stoi młody faunek, tak jednak pojęty, że jego mitologiczność zupełnie nie dziwi śród tego realistycznego otoczenia. Koźlęce nogi świécą nagiemi, różowemi kolanami, jeszcze nieporośniętemi sierścią. Faunek wygrywa na piszczałkach, tak jakby to robił zwykły chłopak wiejski. To téż pastuszka stanęła przed nim w gapkowatém zadziwieniu, dziwią się téż niezmiernie i indyki, wyciągając szyje. Nie dziwią się jednak faunowi, ale dźwiękom muzyki. Jednóm słowém, jest to bardzo zręczne połączenie mitologicznéj fantazyi z dzisiejszą prozą życia. Wykonanie bardzo poprawne. Pejzaż o dużéj perspektywie, indyki doskonale obserwowane, a dziewczynka i faun dobrze obmyśleni. Obraz ten posiada dużo prawdy.

Loevy Edward wystawił „Mężczyznę w koziém futrze". Jest to prawdopodobnie portret naturalnéj wielkości w całéj figurze, w palonych butach, na tle lasu bezlistnego. Duża bardzo plastyka i energiczna postawa wyróżnia ten portret. Tło pejzażowe dobrze zaobserwowane.

Myrton-Michalski dał téż poprawny portret w całéj figurze młodéj damy. Jest to znana śpiewaczka panna H., dzisiejsza pani O.

Pilichowski Leopold nadesłał „Przed wystawą sklepową". Widz, znajdując się wewnątrz cukierni, widzi za szybą przechodniów i postaci, przystające przed rozłożonemi łakociami. Oświetlenie sztuczne, wieczorne, bardzo dobrze jest zaobserwowane i utrzymane w całym obrazie.

Wreszcie Jasiński Feliks (naturalizowany Francuz) dał miedzioryt podług Burne-Jones'a „Tualeta Wenus". Wykonanie niezmiernie subtelne i delikatne.

Przejdźmy teraz do prac cudzoziemców.

Zacznijmy od wielkich płócien.

Stary Puvis de Chavannes, dźwignąwszy się po influenzy, przysłał dopiéro na kilkanaście dni przed zamknięciem Salonu ogromny karton, przeznaczony do dekoracyi ścian Panteonu. Przedstawia on św. Genowefę, przywożącą Sekwaną żywność dla oblężonego i ogłodzonego Paryża. Jest to jeden wielki obraz, ale przecięty na trzy części z powodu dwóch pilastrów. Kompozycya wybornie pomyślana, jasno się tłómaczy i z przyjemnością spotyka się tu brak tych usterek, jakie tak często u Puvis'a rażą. Obecnie jest to dopiéro płótno, na którém wszystkie postaci są tylko wyrysowane i podcieniowane jednym kolorem. Na rysunku tym artysta dopiéro ma namalować obraz ostatecz-

ny wszystkiemi barwami. Czy praca obecna na tém straci, tego nie wiem, przypuszczam jednak, że nic nie zyska [1]).

Trzeba tu jeszcze nadmienić o kilku naśladowcach Puvis de Chavannes'a, jak Cornillac i Auburtin. Cóż może być okropniejszego od naśladownictwa, a tém bardziéj naśladownictwa Puvis de Chavannes'a?

Furnié Albert dał wielki tryptyk „Poematy pól" (Uciechy, Prace, Smutki). Wykonanie zamaszyste, tony jasne, silne, ale nie przechodzi zwykłéj miary dobrego obrazu.

Montenard namalował wielki pejzaż dekoracyjny „Zatoka marsylska". Założenie bardzo proste, ale wydobyta niezmierna siła słońca południowego zwraca uwagę każdego. Werenda prowansalskiego domu rozmiarów naturalnych, z któréj widz ma przed sobą wspaniałą perspektywę morza szafirowego i dalszych wybrzeży. Siła słońca na murach domu jest w wielkiém natężeniu.

Pierwszeństwo jednak śród tegorocznych „kolosów" Salonu trzeba oddać „Rozdawaniu nagród w pałacu Przemysłu (wystawa Powszechna z r. 1889)" przez Henryka Gervex, oraz Wiktora Prouvé „Życiu", przeznaczonemu do ozdobienia schodów honorowych w merostwie d'Issy les-Moulineaux. Obraz ten daje nam próbkę, jak stoi wysoko poczucie sztuki we Francyi, jeśli merostwo drobnego przedmieścia paryskiego, liczącego 13,000 mieszkańców, takiemi dziełami się ozdabia. Są to na rozległém tle pejzażowém wybornie przedstawione grupy, wyobrażające młodzież słuchającą nauk starca, rodzinę kochającą się, różne epoki życia ludzkiego, miłość macierzyńską, wesołość zabawy i t. p. Nie są to sztywne postaci symboliczne, mające za pomocą różnych umówionych znaków i szczegółów silić się na reprezentowanie jakiegoś momentu w życiu ludzkiém, nie ma tu pracy pod postacią klasycznéj niewiasty z młotem, nie wiadomo po co wsadzonym jéj do ręki. Tu kilku robotników stawia dom i tworzy schronienie dla rodziny, a każdy czuje, że jest to nie budowanie domku dla Pawła lub Gawła, ale usymbolizowanie pracy. Tak samo doświadczenie i wiedza, jakie starsze pokolenia przekazują nowym, obeszły się bez muz, bez tabliczek szyfrowych, cyrkli i zwojów papyrusu. Wystarczyło artyście starca w płaszczu z peleryną, jakiegoś może nauczyciela szkolnego botaniki, otoczyć grupą młodzieży i umieścić ich śród pejzażu, śród natury, która zawsze będzie pierwszą i najlepszą naszą nauczycielką,

[1]) Mimo poważnéj roli, jaką odgrywa w Salonie dzisiejszym wzmiankowany karton, nie będę się nad nim zatrzymywał, gdyż posiada on wszelkie cechy dawniejszych prac i kierunku mistrza, o czém bardzo obszernie pisałem w dawniejszém sprawozdaniu (Dodatek do „Przegl. Tyg.", tom IV, 1896, str. 218 i dalsze).

źródłem wiedzy i doświadczenia. Miłość i troskliwość macierzyńska wyrażona jest niezmiernie prosto. Kobiéta karmi dziecko, a starsza dziewczynka (doskonale zaobserwowana) napiéra się jabłka i chwyta matkę za fałdy sukni. Matka sięga ręką, żeby zerwać z drzewa pożądany owoc.

W ten sposób pojęte jest wszystko. A figury te, rysowane bardzo wdzięcznie i poprawnie, z ogromném życiem i malowane bardzo szeroko, jak na dekoracyjne malowidło przystało, są z wielką maestryą rozmieszczone na tle letniego pejzażu przed samym zachodem. Wszystko tu jest swobodne i prawdziwe. Żadnéj klasycznéj alegoryi sztywnéj i urzędowéj. Można zupełnie uwierzyć, że się taką scenę symboliczną w życiu widziało. W barwach również niezmierna panuje harmonia.

Wzmiankowany poprzednio obraz Gervex'a przenosi nas z alegoryi do rzeczywistości. Olbrzymia przestrzeń wewnątrz Pałacu Przemysłu, używana na oddział rzeźby Salonu na Polach Elizejskich, a kiedyindziéj na konkursy hipiczne i t. p., zamieniona jest tu w ogromną halę, gdzie śród wielkiego natłoczenia prezydent Carnot odbiéra hołd od deputacyi różnych narodów i rozdaje nagrody. Właśnie przyszła koléj na narody wschodnie. Na pierwszym planie ze sztandarami grupa ludzi w barwnych strojach, turbanach, fezach, tylko co przeszła przed estradą prezydyalną. Następna delegacya właśnie pochyla swój sztandar, a za nią płyną inne. Przedstawienie publiczności doskonałe. Mimo konieczności portretowania mnóstwa osób (obraz obstalowany przez rząd), nie czuje się tu pojedyńczych portretów, ale tłumy coraz to oddalające się i zacierające w przestrzeni, w któréj unosi się pył takiém natłoczeniem poruszony, a zdradza jego obecność kilka promieni słońca, jakie przez zasłony płócienne dachu szklanego się przedarły. Pierwsze plany nadnaturalnéj wielkości. Na najbliższym z nich rzucone na krzesło palto i cylinder. Ten ostatni jest rozmiarów wielkiego kubła. Mimo to, patrząc z należytéj odległości, rozmiary te są wyborne i widz się ani domyśla, że patrzy na takich olbrzymów. Plastyka, perspektywa i siła wszędzie znakomite. Z drugiego końca długiéj sali obraz robi zupełne złudzenie natury.

Przejdźmy teraz do obrazów najbardziéj rzucających się w oczy, najbardziéj przyciągających tłumy nietylko dobrém wykonaniem, ale przedewszystkiém oryginalnością kompozycyi.

Pierwszeństwo chyba trzeba tu oddać flamandowi Leempoels'owi. Przy niezmierném, prawie miniaturowém wykończeniu swych obrazów, umié on uniknąć wszystkich szkodliwych następstw takiego traktowania. Owszem, obrazy jego zdaleka nic nie tracą ani na plastyce, ani na sile i prawdzie, tylko odbiéra się wrażenie nie saméj natury, ale na-

tury widzianéj przez szkła dawnych mistrzów — natury przyżółkłéj, o ciepłym, złotym kolorycie.

Obraz p. t. „Przyjaźń" przedstawia dwóch mężczyzn naturalnéj wielkości do kolan. Są to typy niemłodych, uczciwych, pracowitych Flamandów, trzymających się za ręce i na znak przysięgi na przyjaźń jeden przykłada dwa palce do dłoni drugiego. Jest to dzieło przedewszystkiém interesujące stroną techniczną wykonania, wybornym rysunkiem, plastyką i niezmiernémi skończeniem. Lecz tłumy gromadzi inny jego obraz: „Przeznaczenie i ludzkość". Na dziwaczném tle rozbiegających się naprzemian złotych i prawie czarnych promieni, umieszczona jest pośrodku w przestrzeni głowa o czarnéj brodzie, o wyrazie twarzy nieokréślonym, a mimo to żywo zostającym w pamięci widza— to „Przeznaczenie". U samego dołu obrazu niezliczone mnóstwo rąk, samych rąk. Ani jednéj tu głowy nie widać. Wszystkie te ręce wyciągnięte są ku górze, wszystkie jakby wzywały, czy błagały o coś owo „Przeznaczenie". Charakterystyka tych rąk niezmiernie skończonych jest ogromna. W środku ręce w białych, szytych złotem rękawiczkach wznoszą berło królewskie, obok inne w purpurowych — krzyż i pastorał biskupi, są tu ręce mężczyzn, kobiét i dzieci, ręce delikatne i zgrubiałe od pracy, ręce białe i murzyńskie, ręce uzbrojone w nóż, topór i rewolwer, ręce obciążone pierścieniami i bransoletami, ręce młode i stare, zdrowe i pokryte ranami, wolne i okute w kajdany.

Wszystko to tłoczy się, nie zostawiając jednego cala wolnego, jakby pole gęsto zasiane strzelającemi w górę łodygami, a za tym lasem rąk daléj widać jakieś ofiary głów na dzidach, obok wieńców i gierland mnóstwo natłoczonych posążków bóstw najrozmaitszych, wyobrażających wierzenia ludzkości, wreszcie daleko — niezliczone armie maszerujące z sztandarami wszelkiéj narodowości. Kompozycya ta bardzo mistyczna nie jest właściwie obrazem, ale dziełem filozofa. Jednak artysta-malarz stronę techniczną utrzymał téż na wielkiéj wysokości. Przed obrazem tym tłumy się gromadzą i dziwią. Robi on wrażenie i pobudza do myślenia. Że tego rodzaju prace nie są istotnym ideałem i celem sztuki—to pewne i stałyby się okropnemi, gdybyśmy je zaczęli liczyć na tuziny i gdyby tylko mniéj znakomicie były opracowane technicznie; ponieważ jednak jest to nie naśladownictwo, ale praca bardzo oryginalna, więc trzeba ją uznać za objaw pierwszorzędnéj wartości artystycznéj. Radość jednak nasza nie długo będzie pewnie trwała. W roku przyszłym możemy się spodziéwać zjawienia się szeregu podobnych obrazów, stworzonych przez zawsze głodnych cudzych pomysłów. Będziemy więc pewnie oglądali tysiące skupionych stóp, albo kolan w banalny sposób się powtarzających i bez

żadnéj racyi zgromadzonych. Obraz Leempoels'a ratuje wysoka doskonałość techniczna. U naśladowców naturalnie śladu jéj nie znajdziemy. Leempoels maluje z przekonaniem, naśladowcy będą malowali z małpowaniem.

Nieszczęście dla Deschamps'a chciało, że zawieszono jego banalności tuż obok Leempoels'a. Jakaż nędza moralna i techniczna bije od tych prac wielkiego „*sociétaire*'a“! Ale o tych panach—późniéj.

La Tuche dał duży obraz dekoracyjny, posiadający pewne zalety, ale pomijam go, aby pomówić o jego „Połowie" i „Powrocie do portu". Żaden chyba z artystów nie rozporządza takiém szaloném bogactwem barw. Złotym, soczystym swym kolorytem pokrewny jest on cokolwiek z Makartem. „Połów" przedstawia jakiś zakątek śród skał, w którym pluszcze szmaragdowa fala morska. Niskie wejście do téj kryjówki od morza płonie całe od złotego światła słońca, jakie musi być na zewnątrz, nimfy wodne skaczą radośnie w falach, a kilku nagich rybaków uczepionych do skały wyciąga pełne ryb sieci. „Powrót do portu" przedstawia również rozkołysane morze szmaragdowe, po którém mknie wiele łodzi rybackich z rozpiętemi żaglami, a obok w wodzie eskortują je gromady nimf nagich. Świetność barw szmaragdowych, złotych, purpurowych jest nieporównana i zupełnie widz nie spostrzega lekkich usterek w rysunku ciał, które przestają być ciałami ludzkiemi, a są jedynie wspaniałemi plamami barwnemi.

Bouvet Henryk dał nam również chwilę prawdziwéj rozkoszy obrazem „Wieczór". Treść bardzo prosta: kąpiel trzech kobiét wieczorem w rzece. Jedna stoi naga na brzegu i czesze długie włosy, druga przysiadła na trawie, a trzecia się kąpie, wywołując naokoło kręgi na poruszonéj wodzie. Cała wartość obrazu leży w niezmiernie prawdziwie podpatrzonym tonie. Jest to chwila letniego wieczoru, kiedy słońce dawno już zaszło za wzgórza. Niebo, które się długo po zachodzie czerwieniło, przybrało już teraz kolor niebiesko-seledynowy lub zielonkawo-żółtawy. Jest to ostatnia chwila zorzy przed zapadnięciem zupełnéj nocy. Powietrze niezmiernie o téj porze jest spokojne i przejrzyste. Wszystko nabiéra dziwnéj plastyczności mistycznéj. Drugi brzeg rzeki stanowi ciemną sylwetę. Pierwszoplanowa trawa téż już straciła sobie właściwą barwę. Trochę jaśniejsze ciała kobiét są jednak już tylko sylwetkami. Ale rozkołysana przez kąpiącą się woda odbija bogactwo całe nieba seledynowego i w drżącym rysunku powtarza srebrny, wąski sierp księżyca, który się musi gdzieś wysoko na sklepieniu niebios znajdować. Chwilę tę, nadzwyczaj nieuchwytną dla obserwacyi, artysta oddał bez zarzutu, wprost znakomicie. Nie widzia-

łem nigdy tego momentu wierniéj oddanego, bez przesady, bez atramentowych czarności, ani bez sztucznych bladości.

Tegoż artysty pierwsza spieniona fala morska, z padającém na nią i na dalsze plany morza światłem odbijającego się słońca, jest również wyborna, jako otrzymanie wielkiego natężenia blasku.

Skoro mowa o morzu, to wspomnę zarazem „Morze" i „Ognie słoneczne" Amerykanina Harrisona. Jest to artysta utalentowany i cieszący się uznaniem. Teraz czy wystąpił słabiéj, czy też wybrał tylko trudniejsze do zrozumienia, bo bardziéj wyjątkowe efekty. „Morze" przedstawia się z brzegu. Pierwsza fałka i dalsze pienią się. Woda trawiasto-zielona, a piana nie biała, lecz żółta, jakby z szarego mydła. Jest to jakieś wyjątkowe oświetlenie ukośnych promieni słońca przy burzliwych chmurach, ale efekt ten tak jest rzadki, że trudno go nawet artystom odczuć, a cóż dopiéro publiczności, która też pęka ze śmiechu. „Ognie słoneczne" równéj doznają krytyki. Jak pierwszy obraz był *ultra*-zielony, tak ten jest *ultra*-wiśniowy. Woda tu spokojna, widziana w obramowaniu ciemnych drzew. Wszystko kąpie się w malinowém świetle wieczoru letniego. Jest to chwila gaśnięcia zórz po zachodzie, ale moment podobny niezmiernie rzadko może się zdarzać, więc również słabo do widzów przemawia, mimo całéj umiejętności wykonania. Żywy to dowód, że nawet arcydzieło nie jest w stanie przemówić, jeśli ma przed sobą widza lub czytelnika zupełnie nieprzygotowanego do odebrania tego rodzaju wrażeń.

Dinet dał bardzo zwracające uwagę płótna: „Kurtyzana" arabska, obwieszona ozdobami, umalowana brutalnie z pofarbowanemi rękami, siedzi na dywanie, paląc papiérosa i przyciskając do boku rozwalonego murzyna, któremu te względy wykrzywiają gębę w małpiéj błogości. Kilku Arabów i murzynów, leżąc, otaczają kurtyzanę. Oświetlenie od dołu pada od lampy, stojącéj widać na ziemi. Typy znakomite i przeprowadzenie oświetlenia wyborne. Też same zalety posiada jego drugi obraz „Boleść", przedstawiający szereg kobiét arabskich, prawdopodobnie płaczek ryczących, rozpaczających i drapiących sobie do krwi twarze i szyje paznokciami. Łzy i krew broczą po twarzach i rękach. Wielu widzów nie może patrzéć na ten obraz, takie on robi wrażenie przez swój realizm.

Duńczyk Schönheyder-Möller dał trzy obrazy, przedstawiające jedno i to samo: słońce zachodzące, widziane poprzez liście i gałęzie grupy drzew. Obrazy te różnią się tylko tonem, jakim zachód jednego dnia różni się od dnia następnego. Grupy drzew i gałęzi w takich chwilach rysują się sylwetowo na jaskrawém niebie z niezmierną ostrością i czystością detali i konturu. Artysta, mimo że słońce zachodzi

po za drzewami, namalował je przed drzewami, przez co wiernie oddał złudzenie, jakie się odbiéra w naturze. Przytém słońce to rozprasza złotawe promienie. Na jednym obrazie układają się one naokoło kuli słonecznéj w formie pajęczyny, na innym tryskają jakby strumyki wody z sitka polewaczki ogrodowéj. Znużywszy wzrok patrzeniem na słońce, potém widzi się przed oczyma różnokolorowe kule jakby krążące w powietrzu. Na jednym z obrazów kule te są wyrażone. Złudzenie słońca wydobyte tu niezmiernie, niebywale silne. Szczególniéj nie patrząc wprost na ten obraz, ale na inny jaki wiszący obok, odbiéra się wrażenie, że stoi się gdzieś przy oknie, przez które świeci na nas prawdziwe słońce. Wszystko to jest zapewne sztuczką, ale niezmiernie umiejętnie obmyśloną, zbadaną i wykonaną. Artysta wywiera na widzu złudzenie bardzo silne i jakie mało kto potrafił wywołać. Jako eksperyment malarski jest to niezmiernie ciekawe.

Nie mogę téż pominąć paryżanina Maurycego Boutet de Monvel, któremu poświęcono oddzielną salę na mnóstwo akwarel i rysunków. Głównie są to rysunki oryginalne do ilustracyi, a oprócz tego bardzo pracowicie, starannie i umiejętnie skończone akwarele, przedstawiające sceny rodzajowe lub pojedyńczych ludzi. Wykończenie miniaturowe, ale ogólny efekt przepada. Trzeba podziwiać subtelność rysunku i modelacyi, całość jednak robi wrażenie starannie wycieniowanéj litografii, gdzie cała modelacya zrobiona jest czarno, a kolory ekonomicznie kilkoma tonami zabarwiają czarny rysunek. Cały szereg rysunków, przedstawiający historyę Joanny d'Arc, wręcz odmiennie jest traktowany. Tłumne sceny obrysowane są piórkowym konturem, ani śladu cieniowania, a za to konturem oznaczona każda fałda ubrania, każdy deseń na wzorzystych szatach rycerstwa. Rysunek taki zakolorowany jest jasnemi barwami również bez cieniowania. Ubranie żółte jest wszędzie żółtém i nie ma strony światła i cienia, fioletowe jest wszędzie jednakowo fioletowém. We wszystkich tych pracach trzeba najbardziéj podziwiać wybornego rysownika.

Wręcz odmiennie pojmuje zadanie ilustratora Emanuel Orazi, rzymianin, który dał 35 ilustracyi kolorowanych do utworów Edgara Poë. Bogactwo wyobraźni, oryginalność pojęcia, wielki smak w doborze barw: wszystko tworzy z każdego rysunku wspaniałą kartę, zdobiącą książkę. Przeszłego roku w swém sprawozdaniu z „Salonów" wspominałem o cyklu rysunków do komedyi Szekspira przez amerykanina Edwina A. Abbey. Francuz, Włoch i Amerykanin—jak każdy jest wybornym, a jak mimo to odmiennym!

Pisząc o wystawach zagranicznych, których nasza publiczność nie ma sposobności widziéć, zadanie krytyka nie leży we wskazywaniu

jéj prac lepszych, godnych uważniejszego oglądania, jak to ma miejsce przy krytykowaniu wystaw miejscowych. Główném zadaniem jest tu skréślenie jak najlepszéj charakterystyki wystawy, a na nią nie składają się rzeczy najpoprawniejsze, ale najoryginalniejsze. Wyliczywszy już z nich najciekawsze, wypada mi również w imię charakterystyki pomówić o innych, również nadających ton wystawie: o lichych pracach wielkich firm uznanych. Pominę takiego Deschamps i jemu podobnych, o których przeszłego roku pisałem. Tacy ludzie na jotę nie zmieniają się i co się raz o nich napisało, to z zamkniętemi oczyma można przedrukowywać przez dziesięć lat z rzędu. Nie idąc do Salonu, można z góry wiedziéć, że Deschamps wystawi starca z siwą brodą. Nic to nie znaczy, że ten starzec przeszłego roku pisał, a tego roku w téj saméj pozie gra na wiolonczeli, z któréj mu, nie wiadomo jakim cudem, wyrasta śpiewaczka (tego przynajmniéj w zeszłym roku nie było). Możemy téż z góry spodziéwać się, oprócz głowy starca, głowy dziewczyny z czerwoną chustką, równie jak co do Heunera, można być przekonanym, że wystawi jakąś rudą głowę kobiéty. Takich „mistrzów" uznanych posiada Paryż tuzinami. Nie o nich więc mi chodzi, ale są i tacy, co, będąc uznani za wielkich i mając rzeczywisty talent, wpadają w jakąś przesadę, dziwactwo i t. p. Takim jest Eugeniusz Carrière, który widzi naturę zawsze w jednakiéj szaro-oliwkowéj barwie. Zaprzeszłego roku wystawił „Teatr popularny", gdzie w oświetleniu rozlicznych świateł widzi się tłum ludzi, patrzących z galeryi gdzieś na scenę; dziś zaś wystawia „Chrystusa na krzyżu" z figurą rozpaczającéj Matki Boskiéj. Trudnoby uwierzyć, a jednak barwa tych obu obrazów jest ta sama. Gdybyż to miały być kartony, ale to są obrazy z całą pretensyą do zupełnéj prawdy tak rysunkowéj, jak barwnéj malowane. Choć wielu zachwyca się dzisiejszym „Chrystusem", ja przyłączę się do również licznych krytyków, którzy go do bardzo przeciętnych robót zaliczają.

Kto z paryżan nie zna małych portrecików Weerts'a?

Jak ogrodnik sałatę z całego ogrodu przywozi na targ, tak Weerts wystawia całoroczną swą produkcyę pod postacią tylu portrecików, ile miesięcy w roku. Czasem jeden, dwa mu nie dopiszą. Portreciki te są bliźniaczo do siebie podobne w opracowaniu. Małe główki nie różnią się więcéj jedna od drugiéj, jak o centymetr. Wziąwszy oddzielnie taki portrecik, można się delektować doskonałą techniką, lecz zobaczywszy wszystkie razem dwanaście, doznaje się wrażenia szeregu doskonale kolorowanych fotografii. Weerts jest to wyborny malarz-wykonawca, ale nie malarz-twórca. Monotonność portrecików Weerts przerywa czasem jakim małym obrazkiem. Tego roku dał „Noc z 9

na 10-ty Thermidora". Są tu nagromadzone małe figurki bohatérów pierwszéj rewolucyi. Robespierre waha się podpisać wezwanie do rewolucyi. Rozgorączkowanie panuje śród zgromadzonych. Scena rozgrywa się w obszernym pokoju w nocy. Na środku stół otoczony siedzącemi i stojącemi postaciami. Na pierwszym planie stojąca sylwetka jednego z bohatérów zasłania sobą światło, oświecające całą scenę. Pomijając powtarzający się śród zgromadzenia ten sam typ, o wysaczonych oczach i rozpłaszczonym nosie, który skopiowany tyle razy staje się nieprzyjemnym, trzeba zapytać czém artysta oświetlił całą scenę? Pierwszoplanowa figura zasłania źródło światła. Wiemy, że ono jest na stole. Sądząc po rezultatach, trzeba przypuścić oświetlenie pochodzące ze źródła silnego i pojedyńczego, np. z ogniska na kominku. Logika każe przypuszczać, że na stole mogą tylko stać świéce, bo lampy dzisiejsze nie były jeszcze znane. Żadna świéca nie byłaby w stanie w dziesiątéj części tak oświetlić dużéj sali i tylu ludzi. Świéc kilka być nie może, gdyż cienie od ludzi padające na ściany są pojedyńcze. Gdyby było wiele świéc, byłoby tyle konturów cienia, ile źródeł światła. Oto jest doskonała próbka w poglądowéj lekcyi o impresyonizmie. Impresyonista wyobrażając sobie taką scenę, brałby pod uwagę wszystkie ówczesne warunki i takby ją namalował, żeby widz odebrał wrażenie takie samo, lub jaknajpodobniejsze do tego, jakie odbiérali naoczni świadkowie owego zebrania. Weerts ani się zakłopotał o to. Jemu potrzeba było namalować wszystkim oczy, nosy o ile możności wyraźnie, tak żeby widz po kolei obejrzéć mógł wyraz każdéj fizyognomii (co prawda, bardzo powtarzający się). O postawieniu kandelabrów z wieloma świécami widocznie nawet nie pomyślał. Możeby mu to kłopot robiło w wykreśleniu rzucanych cieniów. Więc najspokojniéj postawił na stole bardzo silną lampę naftową, która oświetliła nieźle cały pokój i podług niéj wszystko malował. Umyślnie nie trzymał się natury i danych warunków, bo mu to było wygodniéj. Są to drobne kwestye, zasługujące jednak na wskazanie, tém więcéj, że sama publiczność nie jest w stanie ich dostrzedz.

Nic to jest jednak w porównaniu z tegoroczném wystąpieniem rzeźbiarza Augusta Rodin. Jest to jeden z potentatów sztuki współczesnéj francuskiéj, przez wielu okrzyknięty za jedynego rzeźbiarza francuskiego. Katalog przy jego nazwisku opiewa: „*Victor Hugo* (*groupe plâtre*) (*Bras de femme incomplet*)".

Większość krytyków trąbi cuda o tém, a usposobiona już w tym duchu pewna część publiczności uważa za swój święty obowiązek zachwycać się, lecz większość staje przed rzeźbą i w osłupieniu ją ogląda. Czytała tylko co o niéj superlatywy, więc nie wié, czy to sen, czy

też zupełnie się na pięknie nie zna. Oto, jak ta rzeźba wygląda, a upewniam, że opisuję ją w możliwie najobiektywniejszy sposób. Wiktor Hugo siedzi nagi na skale, naga muza klęcząc wyżéj na skale nachyla się ku niemu. Druga stojąca znajduje się za nim. O kompozycyi saméj nie można nawet mówić, bo jéj j e s z c z e nie ma. Z wyjątkiem saméj głowy Wiktora Hugo o tyle skończonéj, że mającéj już formy właściwe, nic ale to literalnie n i c w téj olbrzymiéj bryle gipsu nie jest nietylko skończone, ale nawet tak zaczęte, żeby módz sobie wyobrazić, jak po skończeniu będzie wyglądało. Wobec tego uwaga w katalogu, że „*bras de femme incomplet*” jest nieporównana.

Są artyści, którzy znakomicie szkicują, a przy kończeniu zatracają dobre strony dzieła. Rodin wręcz przeciwnie: przy kończeniu umié wydobyć bardzo dużo miękkości ciała w marmurze, ma często oryginalne pomysły, ale do szkicowania nie ma daru. Wszystko to niezdarne, bez proporcyi, wprost dziecinne. Tego rodzaju człowiek ma odwagę, że już nie powiem czelność, wystawiać rzecz, która jest prostą kupą gipsu. Jeśli prawdziwy artysta pokazuje z niechęcią już zupełnie skończone dzieło, bo, mimo oklasków widzów, widzi wiele w niém braków i czuje, że nie wyraził przez nie tego, co pragnął, to jak nazwać Rodin'a, który pewny siebie daje na podziw tłumu odlew roboty, która jest dopiéro w stadyum narzucania gliny na rusztowanie żelazne! Mniejsza o to, że jedna muza wcale jeszcze rąk nie ma, ale co znaczy ręka drugiéj, wyginająca się w najdziwaczniejsze skręty, drwiące sobie z anatomii, co znaczą te stopy z wodną puchliną, dwa razy grubsze niż potrzeba, co znaczy wreszcie głowa maleńka, a raczéj kula niekształtna, bez włosów, czaszki, nosa, głowa muzy wiernie przypominająca swą okropnością zwęglone szczątki ofiar ze spalonego „Bazaru dobroczynnego”? skóra ochłapami wisi na niéj. A w słowach moich cienia nie ma przesady. Wszystko tam potworne, niezrozumiałe. To też w pismach nie brukowych, ale specyalnych artystycznych, to jest w takich, gdzie o sztuce piszą artyści, nie zaś reporterzy „do wszystkiego”, spotykam się z przypuszczeniami, że na przyszły rok Rodin wprost przyśle do Salonu parę worków gipsu z kartką, objaśniającą publiczność, co z tego gipsu zamierza zrobić.

I widząc ten episierski pośpiech i czelność w wystawianu rzeczy, które są w stadyum notatki i za kilka lat zaledwie może przybiorą ostateczną formę, przychodzi na myśl pytanie, co sztukę interesuje, w którym roku Michał Anioł lub inny mistrz ukazali swą pracę? Nikt nie pyta, jak długo artysta pracował i w którym roku skończył, ale czy zrobił dzieło p i ę k n e. Żebyż to Rodin pochwalił się przed kimś z przyjaciół, zwiedzającym jego pracownię i zdjął na chwilę mokre

płótna okrywające zaczętą w glinie pracę, tobym powiedział, że zbyt jest skwapliwy z pokazywaniem tego, co dopiéro w głowie jego siedzi. Ale tu z potwornéj jeszcze kupy gliny zrobiono specyalnie gipsowy odlew, żeby z wielkim tryumfem zawieść i postawić na honorowém miejscu w Salonie. To jest już wprost skandal i drwiny nietylko z publiczności, ale przedewszystkiém z siebie samego. W przeszłoroczném sprawozdaniu zarzucałem Falguière'owi, znakomitemu rzeźbiarzowi, że zbyt się pośpieszył z wystawieniem na Polach Elizejskich „Tancerki", gdzie stopy zostały tylko ogólnikowo zaznaczone. Ale tam cała postać była skończona i tylko ten jeden szczegół, zresztą nie szkodzący całości jeszcze został nieopracowany. Nie przypuszczałem nawet wtedy, że za rok będę mógł zobaczyć w Salonie coś podobnego, jak potworne figury Rodin'a. I otóż na Falguière'a patrzę nierównie pobłażliwiéj. Jeśli za rok Rodin posłucha rad krytyków i przyśle wprost worki z gipsem, może wówczas i dzisiejsza jego praca wyda mi się przez porównanie dziełem sztuki. Wszak nie ma absolutów i wszystko jest względne.

Ale wróćmy jeszcze do obrazów. Z żalem muszę się ograniczyć tylko do kilku słów wielkiego uznania dla takiego mistrza pejzażu, jak Norwegczyk Fritz Thaulow, najchętniéj lubiącego malować znakomicie wodę rzeczną lub płynącą kanałami blisko jakiéjś szluzy. Tego roku dał przeważnie efekty oświetlenia księżycowego i wogóle nocnego. Technika bardzo prosta, skromna i w podziw wprawia, że takie nią rezultaty otrzymuje. Wszystkie jego płótna są prawie całe zaledwie p r z e c i e r a n e farbą. Na nocném niebie obłoki bielsze otrzymuje wprost przez starcie farby i silniejsze przeglądanie płótna. Zaledwie w kilku miejscach, jak np. światełko żółte w oknie, biała piana na spadającéj z upustu wodzie, są zaznaczone względnie grubiéj.

Szwedzi Gustaw Albert, John Kindbord i kilku innych znakomite dali pejzaże ze śniegiem. Wyborny pejzaż nad rzeką z efektem ciepłego wieczoru letniego i z dwoma robotnikami, idącymi szukać pracy, „*Les Chemineaux*" dał Julian Muenier. Nie mogę też śród tych potentatów pędzla nie umieścić nazwiska Belga, Emanuela Viérin. Pewnie mało kto spojrzał na niewielki jego obrazek, w kącie umieszczony. Treść bardzo prosta. Pierwsze dni słoneczne, wiosenne. Trochę trawy, rząd wierzb jeszcze bez liści i mało malowniczy, świéżo wymurowany domek rybaka bretońskiego, o białych ścianach, krzycząco zielonych okiennicach i jaskrawéj, nowéj dachówce. Niech mi jednak kto wskaże śród tych kilku tysięcy dzieł sztuki choć jedno, któreby przewyższało lub dorównało mu w wydobyciu niezmiernie silnego wrażenia słońca? Jeden tylko wspominany już Montenard może stanąć do kon-

kurencyi, ale dla otrzymania efektu słońca zużył dziesiątki metrów kwadratowych płótna, malując ścianę białą domu i kolumny naturalnéj wielkości, tymczasem Viérin wywołuje to samo wrażenie, bodaj nawet silniejsze, malując zupełnie mały obrazek wielkości złożonéj gazety. Jako drugiego można jeszcze wskazać Maurycego Eliot, silącego się na szalone słońce, ale tu widać ten wysiłek i raz jest uwieńczony skutkiem, a w innym szczególe zupełnie chybiony. W każdym razie pejzaże Eliot'a są bardzo ciekawe.

Pominąwszy wiele godnych zaznaczenia obrazów, przejdę wprost do działu sztuki stosowanéj. Nigdzie ten dział nie przedstawia się tak dobrze, jak na Champ de Mars. Co prawda, w tym to Salonie dział ten najpierw wprowadzono.

Pomijając mnóstwo parawanów, drobnych odlewów bronzowych, wyrobów ze szkła, z kamienia, drzewa i t. p., następnie bardzo upowszechniających się rzeźb stosowanych w cynie, muszę jedynie zwrócić uwagę na niektóre poważniejsze wysiłki, w celu znalezienia czegoś nowego i wyszukania nowego, oryginalnego stylu. Tak przywykliśmy przeżuwać style minionych wieków, że nawet wielu dziwném i dziwaczném się może wydać, że ktoś szuka nowych stylów. Na tém polu zasnęliśmy po chińsku i nie wydawał nam się żaden postęp możliwym, a tymczasem wszystko zdawałoby się nas pchać ku temu. Wszak z szaloną szybkością postępujące udoskonalenia techniczne w produkcyi dały nam w ręce taki materyał o jakim się nie śniło artystom dawnych wieków, tworzącym style ówczesne. Przemysł żelazny, terrakoty, szklarstwo zwykłe i ozdobne i t. p. — wszystko to albo nie istniało, albo nie mogło być dostatecznie rozpowszechnione z powodu trudności produkcyi i braku wiedzy, mimo że pojedyńcze wyroby dawniejsze mogły stać bardzo wysoko. Gdyby dziś Salomon miał budować swą świątynię, to nie cedrowe, ale stalowe lub aluminiowe zastosowałby do niéj belkowanie. Tak jak materyał sam, tak i wymagania i potrzeby społeczne zmieniły się zupełnie, jakżeż więc można chcieć, żeby dzisiejsze pokolenie siliła się jedynie na przystosowanie (najczęściéj skoślawienie) dawnych stylów do dzisiejszych warunków? Wyrazem tych nowych dążeń stylowych jest wieża Eifla, wielkie dworce kolejowe z żelaza i ze szkła stawiane, mosty żelazne i tym podobne wytwory dzisiejszych potrzeb. Ale oprócz nowości i odrębności, należy się wszędzie doszukiwać piękna. Nie wszystkie te usiłowania choćby z punktu technicznego znakomite, są jednocześnie piękne, ale to dopiéro pierwsze kroki, szukanie po omacku w nowych warunkach i ocknięcie się ze snu długiego. Zresztą rzecz użyteczna przedewszystkiém powinna odpowiadać celowi, a nadanie jéj formy pięknéj nigdy

nie powinno wpłynąć na obniżenie ani na jotę téj użyteczności. W przeciwnym razie, nie będzie to upiększenie, ale zeszpecenie, nie stwarzanie pięknych dzieł, ale małych potworków nieużytecznych. Upiększenie powinno zawsze podnieść wartość przedmiotu, który był przedtém tylko użytecznym, a po ozdobieniu stał się nadto miłym dla oka w użyciu. Kto nie ma wrodzonego smaku i gustu, ten ozdabiając przedmioty szpeci je w rzeczywistości. Takiéj ozdobnéj tandety mamy mnóstwo naokoło siebie. Psuje ona do reszty gust publiczności, zamiast go rozwijać.

Przeciwko temu obniżeniu smaku wystąpił cały zastęp talentów pierwszorzędnych i zaczął tworzyć rzeczy nowe. I dawno już prysło dziwne pojęcie, że prawdziwy artysta tylko sztuką czystą może się zajmować. Właśnie tylko ten, który jest prawdziwym artystą, jest w stanie wysnuć z siebie jakiś nowy motyw, jakiś oryginalny pomysł. Dopiéro z takich rąk wychodzące dzieło może mieć prawdziwą wartość i być wzorem dla drugorzędnych zdolności. które pracą sumienną mogą dany motyw urozmaicić, rozwinąć i wzbogacić, a choćby tylko umiejętnie skopiować. Wszystkie gałęzi sztuki mają tu pole przed sobą do popisu. Malarze więc wyszukują motywów ornamentów w naturze. Kamil Lefèvre dał bardzo ciekawe studya nad różnemi kwiatami i roślinami. Między innemi badał np. środkowe liście główki sałaty rzymskiéj i z plątaniny téj wyprowadził stopniowo bardzo ładny ornament. Trudno mi tu wszystko opisywać.

Rzeźbiarze mają ogromne pole, modelując ornamenty, lepiąc garnki, dzbany i stwarzając najrozmaitsze sprzęty z metalów, szkła, terrakoty, kryształu, drogich kamieni. Wielkie pole daje szczególniéj cyna i wyroby gliniane z polewą.

Lecz najwięcéj pola do popisu i wysiłków mają architekci. W naszych stosunkach budowniczy prędzéj jest zaliczany do téj saméj grupy, co inżynierowie, mechanicy, niż do grupy artystów. Wynika to z potrzeby codziennéj budowania domów, obliczonych na spekulacyę. Budowane więc zwykle gmachy są w takim stosunku do sztuki, jak jakieś tanie album bazarowe z wytłaczanego papiéru, imitującego skórę, jest w stosunku do szeregu albumów i opraw książkowych, wystawionych ze wszystkiemi honorami w obu Salonach paryskich. Nie wina to naturalnie budowniczych, ale warunków, w jakich żyjemy. Każdy kapitalista chce, żeby mu wystawiono dom przynoszący jak największy dochód. Bogaci, budujący dla siebie pałacyki, wymagają również taniości zamaskowanéj oklepanym szykiem, a najczęściéj kontentują się przeflancowaniem na nasz grunt szablonowych pałacyków

zagranicznych, które sobie wybrali z litografowanych wydawnictw niemieckich.

Aby wynaléść coś oryginalnego, na to potrzeba wiele czasu, nie licząc niezbędnego już talentu i wykształcenia. I zagranicą ogół bogatych nie jest bynajmniéj jednocześnie ogółem miłośników i znawców piękna. Rosną więc jak grzyby po deszczu banalne pałacyki, kosztowne i niezdarne, a w najlepszym razie kopiowane lepiéj lub gorzéj podług dawnych wzorów. Dlatego téż ze szczególném odznaczeniem trzeba wyliczać samodzielne poszukiwania, a cóż dopiéro takie, które zupełne uwieńczyło powodzenie.

Architekci najgruntowniéj śród rodziny artystów wykształceni na stylach, mający najwięcéj doświadczenia w przeprowadzeniu konstrukcyjnéj harmonii, słusznie, że wzięli pod uwagę wewnętrzne umeblowanie tych domów, które sami wystawili. Wiek nasz jest takim stekiem naleciałości ze wszystkich epok i krańców świata, że najzupełniéj nie razi nas zupełny brak związku między wnętrzem a powierzchownością naszego mieszkania, tymczasem są to rzeczy, które winny tworzyć jedną całość.

Tak rozumiał, jak zresztą i wielu innych, budowniczy Hektor Guimard. Wystawił on całe wnętrze pokoju do pracy. Trzeba oddać sprawiedliwość, że Salon na Polu Marsowém bardzo dużo daje baczenia, aby wszystkie usiłowania w jaknajlepszych warunkach przedstawiły się publiczności. Za to Salon na Polach Elizejskich prawie żadnéj na to nie zwraca uwagi i kieruje się starym od lat wielu szablonem, nie zawsze mając na swe usprawiedliwienie brak miejsca. Tam trochę mebli wystawionych robi wrażenie zapchanego składu tapicerskiego.

Przyjrzyjmy się za to wystawie Guimard'a. Dano mu w sali kąt z oknem. Blisko rogu kominek majolikowy. Obok już pod ścianą frontową długa szafa biblioteczna. Rozmiarami przypomina ona raczéj szafę sklepową z najrozmaitszemi drzwiami, niż zwykły typ szafy naszéj. Trzeba pamiętać, że sztuka nie potrzebuje się koniecznie liczyć z przeprowadzkami co kwartał. Są ludzie posiadający swoje własne pałacyki, które na długie lata urządzają, nie tak jak większość mieszkańców Warszawy, żyjąca pod ciągłą groźbą wilgoci i podwyższenia komornego. Jedném zakończeniem szafy jest występ z półkami, drugiém (przy oknie) jest rodzaj biurka, a raczéj pulpitu do pisania, z bardzo urozmaiconemi półkami w formie etażerki. Obok okno, dające bardzo dużo światła. W kawałku trzeciéj ściany, postawionéj w formie przepierzenia, są drzwi do połowy oszklone. Szyby, tak jak w oknie, ze szkła lanego, pół przezroczystego, w kilku barwach bardzo jasnych, z lekkiemi ozdobami w ołów oprawnemi. Wreszcie czwartéj ściany

pokoju istnieje tylko kawałek, pozwalając widzom wchodzić z sali do tego zakątka i doznawać zupełnego wrażenia, że się znajdują w pokoju do pracy. Nic tu nie jest pominięte. Sufit jest z płytek terrakotowych, ujętych w zamaskowane cienkie ramy żelazne, podtrzymywane grubemi dekoracyjnemi belkami, wygiętemi z terrakoty.

Opis suchy nie może wywołać właściwego wrażenia, więc wszedłem w szczegóły tylko, aby dać pojęcie, jak się takie rzeczy wystawia i jak autor każdy szczegół umiał utrzymać w stylu. Zacząwszy od deseni na ścianach, od okuć miedzianych we drzwiach, oknie, bibliotece, ozdób na szybach, wszystko do najdrobniejszéj bagatelki jest utrzymane harmonijnie i tak w motywach, jak i barwach, stanowi prawdziwie nierozłączną całość. Motyw ornamentacyjny rzeźbionego sufitu powtarza się w klamkach i nawet w gruszce od dzwonka elektrycznego, zwieszającéj się na taśmie przy biurku. Biblioteka jest z rzędem drzwi oszklonych. Ma ona typ zwykłych bufetów z pokojów jadalnych. Dolna część głębsza z półkami również jest oszklona. Nad nią blat, nad którym wznosi się górna część też z półkami oszklonemi. Motywy szyb okiennych powtarzają się tak we drzwiach wchodowych, jak i drzwiczkach biblioteki. Drzewa użyto tu wszędzie lipowego (zapewne jest to tylko kopia, zrobiona umyślnie na wystawę), zabarwionego na niebiesko, prawdopodobnie wodnym roztworem błękitu pruskiego i zostawionego tak bez pokostowania i politury. Gdyby nawet miały te sprzęty w takim stanie pozostać, byłyby bardzo ciekawemi i miłemi w użyciu. Aby robić lepsze złudzenie, w bibliotece pełno książek, a na półkach różne artystyczne bagatelki bardzo wdzięcznie dobrane.

Podaję tu Guimarda, jako typ architekta-artysty. Buduje on w ten sposób pałacyki bogatym ludziom i całe je odpowiednio według swych pomysłów mebluje. Dodać muszę, że wszystkie użyte motywy są zupełnie oryginalne i w niczém żadnego ze znanych i ostemplowanych stylów nie przypominają. Przez to tak miłe i interesujące robią wrażenie, wrażenie wysoce artystycznéj niespodzianki.

Bardzo są ciekawe prace i kilku innych budowniczych, jak Leona Benouville kominek kamienny z półkami ponad nim drewnianemi i takimże parapetem z obu stron. W każdém przęśle parapetu znajduje się kwadrat, który za pociągnięciem gałki otwiéra się i stanowi półkę. Taki szereg półek może służyć w jadalnym pokoju do stawiania w czasie obiadu talerzy, półmisków zapasowych i t. p. Następnie po zamknięciu półki te znikają i nie zabiérają miejsca.

Tony Selmersheim, budowniczy, dał kilka stołów z rozmaitém przeznaczeniem i kilka szaf. Z nich jedna, przeznaczona na książki, bardzo jest dowcipna. Dzieli się na dolną część głębszą i górną płytszą.

Boki górnéj stanowią otwarte półki, a środek jest zamykany. W grubości drzwi urządzone są téż półki tak, że roztwarte powiększają liczbę rzędów na książki. Środkowa szuflada dolnéj części biblioteki posiada wewnątrz ruchomy blat obciągnięty suknem, a przeznaczony jako biurko do pisania.

Jeszcze inne meble znajdują się tu bardzo ładne, jak stołeczek dziecinny przez J. Dampt'a, stala do przedpokoju Lamberta i t. p. Szalony kontrast z temi ciekawemi i artystycznemi pracami stanowi jak tylko być może najbanalniejszy ogromny ołtarz rzeźbiony, złocony, lakierowany, jakich nie setki ale tysiące spotyka się po najrozmaitszych kościołach prowincyonalnych. Żadnego pomysłu oryginalnego lecz wprost skopiowana ornamentacya z pierwszego lepszego podręcznika stolarskiego jak najoklepańsza. Robota to nie artysty ale zwyczajnego rzemieślnika, którą by tylko można oceniać z punktu dobroci wykończenia, suchości drzewa, dobrego wyheblowania i złożenia pojedyńczych części. Z jakiéj racyi można było wystawić w przybytku sztuki taką tuzinkową robotę, a toć i para dobrze uszytych kamaszy miałaby równe prawo być tu wystawioną; odpowiédź jednak jest prosta. Autor budowniczy Gout ma stopień „*societaire*" w Salonie, a zatém każdą przysłaną przez niego rzecz t r z e b a przyjąć. O ile ta zasada absolutnéj wolności ma dobre strony gdy jednakowo do wszystkich wystawców jest stosowana, jak w Salonie „Artystów Niezależnych", o tyle jest szkodliwa, jeśli upoważnia tylko wybranych do nadsyłania tandety. Publiczność przychodzi tu przekonana, że jéj pokażą starannie wysegregowany wybór dobrych rzeczy, więc doznaje niespodzianki, która nawet bardzo fałszywie wpływa na wyrobienie poczucia piękna w masach, gdy jéj pokazują jako prace wybranych i uświęconych mistrzów takie dzieła, jak ołtarz Gout'a, pomnik Wiktora Hugo Rodin'a i cały jeszcze szereg innych, których ilość ratuje mnie od wyliczania z nazwiska.

W rzeźbie zwraca uwagę niezmiernie piękny i prosty w wykonaniu pomnik przeznaczony na grób Dumasa syna, wykonany z białego marmuru przez Saint-Marceaux, również „*societaire*'a", jak pan Gout i inni. Dumas w testamencie nadmienił: „po śmierci mają mnie ubrać w jeden ze zwykłych kostiumów, jakich używałem przy pracy, zostawiając nogi bose." Tak go też przedstawił artysta: na płycie białego marmuru leży Dumas w szacie przypominającéj tę, w jakiéj odtwarzają zwykle Chrystusa, z dłońmi splecionemi ze sobą i z nogami bosemi. Przy głowie opartéj na lekkiém wzniesieniu płyty położony jest duży wieniec też z białego marmuru, unoszący się jedną częścią ponad głową w charakterze jakby kręgu świetlanego ponad głową świętych.

Czuć w tém wszystkiém jednocześnie człowieka nieżyjącego, a jednak tak pięknego w swéj prostocie pozy i całéj kompozycyi, iż tylko artystyczne i podniosłe wrażenie się odbiera bez żadnego cienia jakiegoś naturalizmu odstraszającego. Wykonanie znakomite.

Anglik Wade dał mały bronzowy portrecik Paderewskiego. Praca bardzo dobra.

„Narcyz", chłopiec nagi, leżący na brzuchu na odłamie skały i przeglądający się w wodzie—jest rzeźbą Charpentier'a wykonaną w majolice w wielkości naturalnéj. Umieszczono ją pośrodku basenu z prawdziwą wodą z liliami kwitnącemi i otoczoną krzewami zielonemi. Wystawiając w warunkach tak zgadzających się z przeznaczeniem dzieła, może ona robić właściwe wrażenie na publiczności.

Lambeaux, Belgijczyk, dał dwóch ludzi walczących. Jest to bronz. Jeden siłacz uniósł drugiego w powietrze i wywinąwszy nim młynka, tak że nogi znalazły się w powietrzu, ściska go wpół ciała. Ogromna siła walki, wyborne ruchy i szerokie traktowanie.

Bartholomé wystawił kuty w kamieniu fragment do pomnika umarłych na cmentarzu Père-Lachaise. Dwoje nagich umarłych leży obok siebie i mimo sztywności ciał pośmiertnéj splecione ręce i przysunięte głowy wskazują, że ich miłość za życia łączyła. Ciało małego dziecka leży na poprzek w połowie ich ciał. Symbol spokojny i łagodny snu wiecznego rozpościera ręce nad nimi i patrzy ku nim przyjaźnie. Wszystko to wykute we wgłębieniu, jakby w niszy kamiennéj. Wielki nastrój spokoju i poezyi bije z tego dzieła.

Wyliczone tu nazwiska należą wszystkie do „*societaire*'ów." Najlepszy to więc dowód, że są między nimi najrozmaitszéj wartości artyści, a jednak tytuł *societaire*'a nakleja na nich w oczach publiczności ogólną etykietę, a stąd jednakową wiarę w ich talent.

Zwykłym tylko wystawcą jest Masseau, który wystawił kilka wybornych biustów. Szczególniéj „Colette" w białym marmurze, głowa kobiety z ramionami jest tak wspaniale wykonana, tak pod względem linii jak i nieporównanego wydobycia miękkości ciała, że trudno coś lepszego jako wykonanie sobie wyobrazić. Artysta nawet nie uciekł się do modnego dziś, lekkiego zabarwiania, a mimo surowéj białości marmuru widz odbiera wrażenie ciała prawdziwego.

Również zwykły wystawca, Marceli Jacques dał dziesięć rzeźb, śród których zwraca uwagę dobrym pojęciem i wyzyskaniem barw nagrobek matki artysty. W stojącéj bryle czarnego marmuru niegładzonego wykute w jednéj ścianie wgłębienie, w którém w wypukłorzeźbie przedstawione jest więcéj niż pół figury naturalnéj wielkości poważnéj matrony w welonie na głowie i z krzyżykiem w ręku. Postać ta robi

wrażenie osoby, która idzie ku prawéj stronie. Wszystko to jest w tym samym czarnym marmurze wykute tylko maska twarzy *à trois quarts* wykonana jest z marmuru białego. Z pod czarnego welonu wychyla się biały brzeg karbowany czepeczka i pukle siwych włosów. Twarz o bardzo sympatycznym wyrazie ma oczy zamknięte i jest niezmiernie lekko zabarwiona. Zabarwienie jednak to jest tak słabe, że trzeba robić kilkakrotne porównania, żeby się o niém upewnić. Wystarcza to jednak, żeby białość włosów i czepeczka się wzmocniła, na czém bardzo zyskuje. Oprócz wykonania bez zarzutu zasługuje na uznanie trafność skomponowania i pojęcia rzeźby, tak dobrze przystosowana do przeznaczenia.

Pomijając całe szeregi biustów bardzo dobrych oraz kompozycyi większych wykonanych bez zarzutu, ale téż i bez tego czegoś, coby je pośród innych wyróżniało, kończę sprawozdanie uwagą, że jak zawsze w salonie na Polu Marsowém, rzeźba jest stosunkowo bardzo nieliczną, a mimo to nie wolną od dość słabych rzeczy.

II.

Salon na Polach Elizejskich.

(*Société des Artistes Français*).

Mimo że jeszcze kilka lat nas dzieli od wystawy powszechnéj, jednak piętno jéj już się wyraźnie odciska w Paryżu na każdym ważniejszym wypadku. Odbiło się ono i na tegorocznych wystawach sztuki. Ściany pałacu Przemysłu, w którym od 30 lat urządzano doroczny Salon, skazane zostały na zagładę. W miejscu tém zwiedzający przyszłą wystawę ujrzą dwa nowe wspaniałe gmachy na pomieszczenie sztuki przeznaczone, stary więc pałac Przemysłu musiał być rozebranym. Termin ostateczny rozbiórki wahał się długo i zdawało się, że nie sposób jest zostawić go nietkniętym aż do zwykłego terminu zamknięcia Salonu. Ostatecznie choć jedna połowa gmachu była rozebrana zupełnie, lub świeciła oknami bez szyb i dachu, w drugiéj urządzono doroczny Salon, przyśpieszając dzień otwarcia i zamknięcia. Długa niepewność, czy tego roku będzie Salon czy nie, obawa posłania swéj pracy do burzonego, pełnego kurzu gmachu [1]), wreszcie skierowanie myśli ku bliskiéj wystawie powszechnéj, na którą każdy pragnąłby zarezerwować najlepszą swą pracę, wszystko to razem uczyniło, że tego-

[1]) W ostatnich dopiéro chwilach zdecydowano przerwać roboty przez czas trwania wystawy

roczny Salon miał niewiele dzieł prawdziwie ciekawych i pierwszorzędnéj wartości. Ogół krytyki i publiczności zgadzał się na jedno, że Salon tegoroczny nie dorównał swym poprzednikom, a nawet spotykało się zdania, rzecz prosta krańcowe, że *jury* jakby umyślnie postarało się odrzucić wszystko, co odznaczało się talentem, a przyjąć same banalności. Aby sprawdzić słuszność takiego zarzutu trzebaby było widzieć tak przyjęte jak i odrzucone obrazy, jeśli jednak przyjmowanie w ten sam sposób było prowadzone, co rozdawanie medalów, to trudno się dziwić, że Salon tegoroczny był gorszy. Obok siebie wisiały obrazy, z których jedne bardzo dobre ale cudzoziemców, a drugie przeciętne ale Francuzów i to należących do téj kliki, która Salonem rządzi. Komisya nagradzająca mijała pierwsze obrazy, a na drugich rozwieszała złocone napisy o przyznanym medalu. Tak ominięcia te jak i odznaczenia były niejednokrotnie skandaliczne. Rzecz prosta, że niepodobna było wszystkich medalów rozdać pomiędzy uczniów i protegowanych komisyi, a więc i zasłużeni znaleźli się w szeregu nagrodzonych, ale w ogromnéj większości są, między nimi Francuzi, mimo że wystawy paryskie zalane są przez cudzoziemców i to nie najgorszych.

Artystów polskich spotykamy, jak zwykle, nie wielu.

Chełmiński Jan dał „W przeddzień Austerlitz", obraz, jakich nam już wiele ten artysta pokazywał. Treści tego rodzaju obrazu batalistycznego, który tytułem zasłania się jako pretekstem do przedstawienia koni, mundurów i jak w tym wypadku—wcale dobrego śniegu, nie będę opisywał, bo nie o treść tu artyście chodziło, ale o pretekst.

Gersona Wojciecha „Dryady uwieńczone" przedewszystkiém są obrazem dowodzącym wielkiéj techniki w traktowaniu ciał nagich. Tors Dryady na pierwszym planie siedzącéj i właściwie cały obraz stanowiącéj jest wyborny o ciele jędrnie malowaném. Tło pejzażowe i figury dalsze mają zdaje się na celu jedynie uwydatnienie pierwszoplanowéj postaci i najzupełniéj dobrze to zadanie spełniają.

Panna Łempicka Leokadya nie ograniczyła się, jak zwykle, na przysłaniu portretu. Jeden obraz przedstawia „Małą rekonwalescentkę", dziewczynkę w całéj figurze naturalnéj wielkości pół leżącą na poduszkach i kanapce zasłanéj futrem. Oprócz doskonale wyrażonéj bezsilności w układzie całéj postaci i sympatycznéj główki małéj pacyentki, przedewszystkiém należy zwrócić uwagę na bardzo artystyczne utrzymanie w tonie całego obrazu. Światło jakie pada na całą scenę pochodzi z dość pewnie odległego okna, przysłoniętego jeszcze białemi firankami. Co do tego szczegółu trudno się mylić wobec wiernie przeprowadzonego oświetlenia na obrazie, gdzie artystka nie pozwoliła sobie ani na jedno dotknięcie pędzla brutalniejsze lub jaskraw-

sze. Wszystko otacza szarawa nikła atmosfera naszych mieszkań. Drugą pracą panny Ł. jest pastelowy portret męski. O ile poprzedni obraz był utrzymany w nikłéj atmosferze pokojowéj, tak dobrze pasującéj z nikłą słabą dzieciną, tak ten portret, jędrnie i energicznie traktowany, jest pełen życia, kontrastów kolorystycznych i trzeba go również do najlepszych prac artystki zaliczyć.

Waldemar Nałęcz wystąpił z pejzażem Karpackim. Tafla stawu odbija w sobie zręby skalne z przeciwległéj strony. Mgła zasnuła dalsze plany. We wszystkiém przebija surowość i dzikość gór naszych. Obraz cały bez zarzutu.

Panna Pająkówna Aniela dała portret starszéj damy. Technika szeroka, może nawet trochę zbyt mało w niéj znać szukania, ale poprawna. Obraz plastycznie i ciepło malowany.

Piątkowski wystawił portret p. Matuszewskiego i duży obraz „*Le drame de l'adultère*". Obadwa te dzieła warszawiacy dobrze znają. Drugie zdaje się nosiło tytuł „Dramat w hotelu." Technika w portrecie bardzo ciekawa. Zabarwienie jego zielonkawe nie jest może wyłącznym rezultatem zapadającego zmroku i musiały na nie jeszcze wpłynąć albo całkiem miejscowe warunki, albo artysta umyślnie pragnął w tym tonie cały portret utrzymać. Zbyteczném jest jednak wnikanie w przyczyny skoro rezultaty są jaknajlepsze, to jest, że Piątkowski potrafił swą pracę utrzymać w téj gamie barw, jaką obrazowi nadać pragnął i że te barwy tworzą ze sobą wyborną harmonię, a postać jest pełna wyrazu i głęboko w pamięci widza pozostaje. Obraz „*Le drame de l'adultère*" przedewszystkiém się zaleca dobrém pojęciem głównych figur i jasnością kompozycyi Zaskoczony z nienacka młodzieniec ani tchórzy, ani się rzuca na napadającego, ale wyraża to położenie bez wyjścia, wobec którego ma się ręce związane i w pierwszéj chwili niepodobna nawet zebrać myśli. Osłupienie, oto stan, w jaki musiał popaść rozmarzony przed chwilą młodzieniec. Grupa rzucającego się w najwyższéj pasyi i pozbawionego niemal świadomości mężczyzny z rewolwerem, z którym walczy całą siłą powstrzymujący go przyjaciel, jest téż bardzo prawdziwa. Reszta figur dość biernie się zachowuje, jak zwykle ludzie, których to bezpośrednio nie dotyczy.

Jan Rosen pewnie za późno nadesłał swój obraz „Poranek przed Waterloo", gdyż go w katalogu znaléść nie mogłem. Jest to nieduży obrazek starannie na modłę monachijsko-batalistyczną stworzony. Na pierwszym planie kilka koni przypominających może trochę w rysunku konie Verneta, a daléj na pagórku sylwetka Napoleona lornetującego i kilku ze świty stojących w pewném oddaleniu. Jest to najlepsza część obrazu.

W dziale rysunkowym i pastelowym spotykamy z Polaków niemal wyłącznie kobiéty. Oprócz portretu pastelowego panny Łempickiéj, o którym wzmiankowałem powyżéj, znajdujemy tu pannę Emilię Dybowską z dwiema akwarelowemi pracami. Jedna przedstawia kosz z fiołkami i różami, druga bardzo soczysto i silnie malowane laki i bratki. W dziale sztuki stosowanéj znajdujemy téjże artystki dwa parawany, w których oprawione są akwarelą malowane słoneczniki i malwy. P. Dybowska posiada bardzo dużo zręczności i lekkości w szerokiém traktowaniu kwiatów akwarelą. Są one zawsze świéże, plastyczne i pełne wdzięku.

Panna Kazimiera Dziekońska dała pastelową głowę kobiecą. Jest to skromne studyum, ale bardzo poprawnie wykonane.

Panna Marya Podlewska wystawiła pastelowy portret damy.

Wreszcie Stanisław Rejchan nadesłał studyum pastelowe głowy młodéj kobiety. Bardzo dobry rysunek i umiejętne skończenie. Drugą pracę tego artysty tworzą dwie akwarelki przedstawiające dwie młode damy w kostiumach zimowych. I tu bardzo poprawny i wdzięczny rysunek i zręczna technika akwarelowa zalecają te prace.

W dziale rzeźby znajdujemy tylko trzech artystów naszych, a wszyscy wystąpili z biustami w gipsie.

Panna Marya Gerson bardzo dużo wyrazu nadała swéj głowie kobiécéj p. t. „Sen.” Wdzięk w całéj głowie, linie dobrze wyszukane, traktowanie głowy i zręcznie rzuconych na poduszkę włosów bardzo dobre, zrobiłbym tylko drobny zarzut, że poduszka jest tu jakby przystawiona do głowy, która w niéj nie tonie i nie zagłębia się miękko, coby sen jeszcze lepiéj wyraziło. Artystka poduszkę traktowała tu raczéj jako tło dla swéj głowy, niż jako nierozdzielną z nią całość. Całość jest bardzo wdzięczna i duży postęp w rozwoju talentu artystki wskazuje.

Bez wszelkich zastrzeżeń mogę powinszować Kossowskiemu Henrykowi biustu prawdopodobnie przedstawiającego samego artystę. Jest to głowa pełna życia, natury i odznaczająca się wielką subtelnością w obserwacyi linii. Dotychczas nie miałem sposobności spotkać się z pracami tego artysty, skorowidz jednak mi wskazuje, że już w r. 1883 otrzymał „wzmiankę zaszczytną” w Salonie, a zatém jest to artysta, który już dawno wyszedł z ery debiutów.

Woydyga Jan nadesłał „Kozaka ukraińskiego z XVII w.”, zamaszystą głowę wąsacza w czapce futrzanéj i z lufą wychylającą się z za ramienia. Drugim biustem tegoż artysty jest Dante, poważna głowa o wyrazistych rysach w kostiumie epoki. Trudno mi było odnaléść tę rzeźbę, gdyż omyłka katalogu zmieniła Dantego na „Taniec” (Dante-*Danse*). Szukałem więc długo tego „Tańca”, nie mało się dziwiąc,

że Woydyga go za pomocą biustu wyraził, gdy zwykle w takich scenach nogi główną grają rolę.

Sprawozdanie o rodakach zakończę, przeszedłszy do działu medalierskiego, gdzie Wincenty Trojanowski wystawił 12 medalionów w bronzie srebrzonym lub w srebrze. Wszystkie odznaczają się poprawnym rysunkiem, wielką miękkością i dużą siłą wyrazu. Między innemi, spotykamy tu Matejkę z napisem na około „Malarz Historyi Polskiéj", daléj są Chopin, Liszt, Wagner, Paul Verlaine, a wreszcie członkowie rodziny artysty.

Przejdźmy teraz do ogólnego przeglądu Salonu. Joannę d'Arc zauważyłem w tym roku tylko w trzech egzemplarzach, o ile wielkich rozmiarami, o tyle lichych wykonaniem. Zmniejszenie produkcyi w tym kierunku trzeba przypisać otworzeniu się nowéj kopalni tematów dla téj falangi artystów, którzy nauczywszy się malować, nie wiedzą potém na jakim temacie „wywrzéć" swą umiejętność. Ci rzemieślnicy pędzla, mając pierś bardzo poprawnie opiętą w tużurek, ale za to nie rozsadzaną żadnemi ideami, czekają tylko na temat. Temat podrzucony— a wnet stado tych panów rzuca się na niego i porywa po cząsteczce. W ten sposób powstają wielkie ilustracye z bieżącéj chwili, kolorowane olejno i podawane publiczności jako dzieła sztuki, z którą nic nie mają wspólnego, gdyż autorom ich nic a nic o sztukę nie chodziło. Łapali oni ten temat nie dla tego, że posiadał warunki artystycznego piękna, że nęcił niemi artystę i—sam się prosił pod pędzel, ale po prostu, że był to temat na czasie, że był on tematem wielu rozmów i artykułów w prasie, a zatém był łatwiejszy do sprzedania. Malując takie wielkie ilustracye kolorowane, jest nadzieja sprzedaży oficyalnéj.

Tym tematem, który dostarczył sporo obrazów ostatniemu Salonowi była wizyta Cesarska we Francyi. Wielkie urzędowe przyjęcia, choć wspaniałe dla widza, który śledzi cały ich przebieg, są jednak bardzo niewdzięcznym tematem dla artysty, skazanego na unieruchomienie wszystkiego przez przedstawienie tylko jednego momentu, a więc tylko szeregu uniformów włożonych na sztywne i dzięki etykiecie pozbawione ożywienia figury. Większym jeszcze szkopułem przy malowaniu takiego obrazu jest to, że niepodobna marzyć o tém, żeby główni bohatérowie mogli pozować artyście. Nic więc dziwnego, że tego rodzaju obraz najczęściéj nie jest żadném dziełem sztuki, ale zbiorem manekinów pracownianych ubranych w kostiumy dygnitarzy. Kostiumy te artysta maluje podług natury, więc nic dziwnego, że buty, ordery, mundury, pałasze, są daleko lepiéj namalowane od samych głów, które są robione z pamięci przy pomocy tylko fotografii i naturalnie robią wrażenie wyciętych z tekturki. W takim wielkim

obrazie, przedstawiającym jaką ceremonię dnia wczorajszego, główny cel obrazu, to jest same postaci są zwykle najgorsze i zabite przez akcesorya, jak szczegóły architektoniczne, mundury i t. p. rzeczy podrzędne. Czy prawdziwy artysta weźmie się do tego rodzaju obrazu, którego temat nie ma warunków malarskich i który w dodatku trzeba będzie „fabrykować", posługując się sztuczkami i środkami nic ze sztuką nie mającemi wspólnego? Rzucają się więc najczęściéj do takich tematów rzemieślnicy pędzla, widzący w tém tylko dobry zarobek. Nie trzeba tu bowiem mieszać z niemi obrazów historycznych, w tych przecież artyści przedstawiając przeszłość nie są skrępowani dokładnością fotograficzną i mają swobodę stwarzać swych bohatérów jako typy, tak jak ich sami pojęli, a dokumenty są tylko pomocą w tym razie.

Siedm ogromnych obrazów naliczyłem poświęconych tematowi wizyty Cesarskiéj, a żaden nie jest dziełem sztuki. Gdyby chociaż był dziełem dobrze wywiązującego się z obstalunku rzemieślnika! Niestety, wszędzie zamiast osób żyjących spotyka się uniformy o głowach wyciętych z tektury.

Z pomiędzy nich trzy obrazy wzięły za temat przejazd Cesarski morzem z Anglii do Francyi, przedstawiają więc sylwety statków wojennych na rozkołysaném morzu, a o znajdowaniu się na nich danych osób publiczność może tylko wiedziéć z drukowanych tytułów, a bieglejsi w kwestyach morskich z odpowiednio umieszczonych flag na masztach. Obrazy te jako obrazy morskie nic interesującego nie mają, jako zaś ilustracye pewnego momentu historycznego nie przedstawiają właściwie nic, oprócz podobizn statków i tylko tytuł może poinformować widza.

Vautier'owi tematu dostarczyło „Poświęcenie mostu Aleksandra III na Sekwanie", gdzie wcale nawet nie widać głównych osób. Tłum bezimienny, a na pierwszym planie krzywo narysowany policyant paryski: oto pretekst do zapełnienia wielu metrów płótna. „Rewia w Chalons" Scott'a jest poprawną kolorowaną fotografią trybun i zapełniających je widzów. W każdym razie jest to najszczęśliwiéj obmyślony obraz. Przyjęcie Cesarza i Cesarzowéj w akademii francuskiéj Brouillet'a jest przynajmniéj zbiorem poprawnych, a czasem nawet dobrych pojedyńczych portretów, nagromadzonych bez malarskiéj całości na jedném płótnie. „Odwiedziny grobu Napoleona I w kościele Inwalidów" Beroud'a jest pracą bardzo słabą, gdzie oprócz kolosalnych kolumnad przeciętnie zrobionych, reszta jest całkiem nieudolna.

Bądźmy przygotowani, że nadchodzący Salon będzie miał sporo

obrazów na temat wizyty Faure'a w Petersburgu [1]). Wszak ci panowie nie są artystami ale reporterami malarskimi. Przy téj sposobności przypominam sobie wypadeczek, jaki się jednemu z tych panów wydarzył kilka lat temu. Po śmierci Carnot'a wybrano na prezydenta Casimir Périer'a. Jeden z poławiaczy tematów „korzystnych" namalował zaraz obrazek batalistyczny przedstawiający któregoś z rodziny Casimir-Périer'ów. Obrazek ten, jak wszystkie tego rodzaju dzieła, wymagał kilkunastowierszowego objaśnienia, aby był zrozumianym. Fatum jednak chciało, że Casimir-Périer bardzo krótko był prezydentem i otwarcie Salonu zastało już u władzy Faure'a, a co zatém idzie, obrazek był zupełnie zaniedbany i ani go żadne muzeum, lub rząd nie kupił, ani żadnego medalu mu nie przyznano, któżby z komisyi nagradzającéj, lub delegatów ministeryum sztuk pięknych, wyznaczonych do nabywania dzieł dla muzeów narodowych, odważył się wyróżnić téj treści dzieło, skoro panowała głęboka niechęć między nowym a starym kursem? I uczyniono słusznie, bo obraz niczém nie zasługiwał na wyróżnienie jako dzieło sztuki; lecz jakżeżby odmiennie patrzyli na niego eksperci od sztuki, gdyby Casimir-Périer nie pośpieszył się tak ze swą dymisyą!

Jak poprzednia grupa malarzy poluje wciąż na nowe tematy nieartystyczne, ale na czasie, tak istnieje cała falanga takich, którzy wyrobiwszy sobie firmę w pewnéj specyalności, nigdy ani na jotę po za granice jéj nie wychodzą, lub pewni swéj wielkości występują z pracami słabemi, licząc że podpis ma zastąpić samo dzieło.

Weźmy takiego Bouguereau, którego co prawda usprawiedliwia wiek podeszły. „Rana miłosna" jest jak zwykle u Bouguereau pretekstem do namalowania porcelanowéj nagości. Na tle konwencyonalnéj zieleni naga kobieta wyciąga sobie z pod piersi strzałę, którą wypuścił fruwający w powietrzu amor. Co za banalność sklepowa bije z tego! Ranna ustawiwszy się w najestetyczniejszéj, na jaką się umiała zdobyć, pozie, wyciąga ową strzałę nie patrząc się nawet w tym kierunku i z taką obojętnością na twarzy, na jaką tylko główki kobiece z bonbonierek zdobyć się mogą. Amor wierzga wysoko w powietrzu, podparłszy się jedną ręką pod bok! Może czytelnicy powiecie, że jaki temat, takie jego pojęcie? A więc weźmy drugie dzieło Bougnereau p. t. „Litości!" (*compasion!*). Przedstawia ono ukrzyżowanego Chrystusa, do którego podchodzi człowiek dźwigający krzyż. Artysta zaopatrzył swą pracę cytatą: „pójdźcie do mnie wszyscy, którzy upadacie

---

[1]) Charakterystyczném jest, że tego rodzaju obrazy są specyalnością Salonu na Polach Elizejskich, a na Polu Marsowém nigdy się nie zjawiają. To samo rzec można o posągach i obrazach Joanny d'Arc i t. p.

pod ciężkiém brzemieniem, a ja was orzeźwię." Jakież to potężne dzieło na ten temat stworzyć by można! Ale Bouguereau wymalował tylko zwyczajnych modeli świéżo wykąpanych, z tylko co wyparzonemi w gorącéj wodzie czerwonemi nogami. Jeden stoi na podstawce przybitéj u dołu krzyża i ręce trzyma podniesione w górę niby przybite do ramion krzyża. Drugi model podchodzi do niego dźwigając bez żadnego wysiłku krzyż na ramieniu. Jeden z krzyżów jest politurowany a drugi malowany olejno. U wierzchołka krzyża przybity szyld w trzech językach na biało lakierowanéj blasze tak białéj, że dobrze naśladuje arkusz brystolu. Że obie figury są najfałszywiéj pojęte, a raczéj wcale nie pojęte, tego nawet dodawać nie potrzebuję. Są to dwaj modele postawieni obok siebie, nie zaś dwie istoty, z których jedna jest Bogiem, potęgą odkupującą cały świat przez swą ofiarę, a druga najnędzniejszym z nędznych śmiertelników, który z nieograniczoną wiarą korzy się przed stwórcą swym i zbawicielem.

Beniamin - Constant, kompozytor o niebo przewyższający poprzedniego artystę, przeszłoroczny laureat medalu honorowego za wyborny portret swego syna, w tym roku do reszty poczuł się wielkim po owym medalu i naturalnie wystawił drewniany portret księcia d'Aumale, który pisma humorystyczne powtórzyły przerabiając krzywiznę w czaszce na potworny guz, a nogi zamieniając drewnianemi kulami. Własna uczennica tegoż artysty, panna Morisot wystąpiła z lepszym o wiele portretem.

Heuner dał dwie kobiece głowy o rysunku potwornym, to téż krytyka (z wyjątkiem płatnéj) nielitościwie się z nim obeszła, ale chyba nierównie gorzéj potraktowała ona Bonnat'a za „Orła chwytającego zająca." Dwa wypchane okazy na pamięciowém tle pejzażu. Wszystko suche i brzydkie i gdyby było wyhaftowane na atłasie, lub wypalane na drzewie, to kto wié, możeby dało się to wepchnąć na jaką prowincyonalną wystawę sztuki stosowanéj.

Jakżeż inaczéj pojmuje malowanie zwierząt Edward Mansion, skromny Mansion, który dotychczas nawet *mention honorable* nie dostał. Jego „Koniec rozbójnika" przedstawia naturalnéj wielkości lamparta, który przeliczył się ze swemi siłami i przeskakując palisadę bambusową, nadział się na zaostrzone w szpic pale. Wściekły, bezsilny, broczący krwią w konwulsyjnych skrętach, chce się napróżno wydobyć z rozpaczliwego położenia. Przypuszczam, że trudniéj było obserwować żywego lamparta i to w takiéj pozie niż orła i zająca, mimo to obraz Mansion'a niczém nie przypomina gabinetu zoologicznego z wypchanemi skórami na postumencikach. Jest to dramat podzwrot-

nikowy tak żywo i plastycznie oddany, że widz obojętnie przejść koło niego nie może.

Legendy bretońskie są niewyczerpaném źródłem dla artystów, spotykamy téż ich sporo, a niektóre bardzo dobrze oddane.

Corocznie w końcu zimy od brzegów bretońskich odbija wiele statków rybackich, które się udają na połów dorszów aż na morze Islandzkie. Wiele statków wypływa, ale nie wszystkie w jesieni do domu powracają. I stąd na murach cmentarzy nadmorskich lub kapliczek bretońskich spotyka się często podróżny z nazwiskami ofiar morza. Islandya—to źródło zarobku i środek utrzymania dla pozostawionéj w domu rodziny, Islandya — to widmo co chwila grożącéj śmierci. Ci Bretoni, co płyną na połów dorszy, zwani są popularnie islandczykami, a statki ich islandzkiemi.

Takiego islandczyka dał nam Bourgain w „Legendzie bretońskiéj." W izbie rybackiéj stół pod oknem i dwie ławy, a na stole jedzenie, chléb i butelka jabłeczniku stoją pomiędzy dwiema zapalonemi świecami w dzień Zaduszny. 2-go listopada zastawia się takie nakrycie dlatego, co zmarł w ciągu roku. Na obrazie Bourgain'a widzimy cień marynarza siedzący sztywno przed zastawioném jedzeniem. Z ubrania widać, że zszedł z tego świata w chwili pracy i walki z rozszalałém morzem, gdzieś na dalekiéj północy śród mgieł i gór lodowych. Pozostała rodzina, tuląc się do siebie, patrzy z przestrachem i przejęciem na to milczące widmo.

Bulfield (Anglik) dał zaczerpnięty również z legend bretońskich „*L'intersigne du berceau.*" Tu cień marynarza zjawia się nieoczekiwany. Noc, matka śpi, mając obok kołyskę. W tém budzi się i widzi izbę pełną jakiegoś światła i mężczyznę łagodnie kołyszącego dziecię. Widmo głowę podnosi a przerażona kobiéta poznaje męża... Pierwszy rybak powracający z Islandyi przyniósł wiadomość, że statek na którym był jéj mąż, zginął wraz ładunkiem i załogą. Artysta przedstawił chwilę, kiedy kobiéta poznaje ducha swego męża.

Jobert już z rzeczywistego życia rybaków na mieliznach Newfoundland'u zaczerpnął tematu do obrazu „We mgle". Na łodzi należącéj do rybackiego statku dwóch marynarzy spostrzega z przerażeniem wychylający się z opony mgły przód wielkiego okrętu, który za chwilę zatopi drobną łódkę a nikt na pokładzie nawet nie zauważy tego. Dramatyczność chwili, groza przebijającéj się przez mgły potężnéj sylwety statku wybornie oddane.

Duvala Jana „Wizya ostatniéj godziny" przedstawia poetę siedzącego za stołem w swéj pracowni, a z wielkiego cyferblatu zegara go-

dziny przybierają formę żywych postaci, które krąg zataczają. Poetę mija „ostatnia godzina” i wyciąga mu pióro z ręki.

La dernière ôtera dé ta main téméraire
La plume où pend encore ta suprême pensée,
Car nul ne doit finis la tâche commencée
Et toute oeuvre de l'homme est faite de poussière.

Zatrzymawszy się przed pejzażami algierskiemi Rigolot'a, które w znakomity sposób oddają spieczoną skalistą drogę, ziejącą blaskiem afrykańskiego słońca, przyjrzyjmy się na zakończenie kilku największym płótnom w Salonie.

Młody malarz Lavalley wystawił wielkie płótno dekoracyjne p. t. „Zaślubiny Flory”, co mu dało sposobność, do umieszczenia licznéj grupy nagich kobiét śród słonecznego pejzażu. Wszystko utrzymane w gamie jasnéj, wesołéj, tchnącéj wiosną, życiem i młodością.

Uznany już oddawna za mistrza, impresyonista Henryk Martin, wystąpił z ogromnym obrazem „Ku otchłani” (*Vers l'abîme*). Na pierwszy rzut oka obraz nie zupełnie zadawalnia w porównaniu z jego innemi pracami i dopiéro dłuższe studyowanie coraz więcéj pięknych szczegółów odsłania. Niemniéj praca takiego artysty, jak Martin, nie może być bez wartości. Obraz przedstawia pustynię bez śladu roślinności, oświetloną zachodzącém słońcem od lewéj strony obrazu. W tym kierunku grunt się pochyla, zapowiadając blizkość przepaści. W tym też kierunku posuwa się tłum niezliczony, oświetlony wybornie z ukosa słońcem.

Postać alegoryczna naga, okręcona przezroczystą czarną gazą w złotym pasie z wielkiemi czerwonemi makami, z wieńcem na głowie i ze skrzydłami nietoperza kusi i wabi ten tłum za sobą w stronę przepaści, mamiąc go pawiemi piórkami i gałązką szaleju. Wszyscy do niéj ręce wyciągają i biegną na oślep. Pierwsze rzędy błagają na kolanach lub padają pod naciskiem następnych, dalsze przez głowy innych pragną choć zobaczyć z daleka to nęcące ich widmo. Jedni proszą, drudzy ogarnięci zwątpieniem rozpaczają. Z tłumu tego można wyróżnić wiele wspaniale pojętych grup i pojedyńczych postaci. Każda z nich wybornie wyraża jakiś stan ducha. Jest tam też para kochanków. On błaga, ona przytulona zamknęła oczy, zrezygnowana na wszystko, byle razem z n i m. Starcy z wieńcami na głowach, staruszki, młodzież, wszystko to pała nadzieją zdobycia tych wabiących pawich piórek, lecz mara wciąż się odsuwa ze złośliwym uśmiechem na ustach i pociąga ku przepaści. A nad tłumem ludzkim stado czarne kruków już ciągnie z oddali. Technika Martina zasadza się na kładzeniu

obok siebie barw czystych w krótkich pociągnięciach pędzla. Przy tak wielkich rozmiarach płótna widz stając z daleka nie dostrzega téj mozajki, lecz doznaje wrażenia wielkiego natężenia światła i drgań jego w atmosferze.

Na przeciwległéj ścianie zawieszono podobnych rozmiarów obraz Pawła Gervais [1]) p. t. „*La folie de Titania.*” Temat zaczerpnięty z Szekspira „Snu nocy letniéj.” Gdy Martin miał myśl filozoficzną i chciał ją wyrazić po malarsku, to Gervais poszukał tylko dobrego tematu i pretekstu do namalowania pięknego pejzażu i pięknych nagich kobiét. Przez to, gdy u pierwszego każda postać żyje, wyraża coś, odsłania swego ducha, tu — wdzięczne pozy, słodkie uśmiechy stanowią wszystko. W cyprysowym gaju nad brzegiem jeziora, przy ostatnich promieniach gasnącego dnia letniego, naga prześliczna i rozmarzona Tytania pieści i tuli postać ludzką o oślej głowie. Tu i owdzie ugrupowane śród zieleni nagie kobiety z uśmiéchem pobłażliwym przyglądają się téj scenie. Krajobraz wyborny, ciała malowane bardzo wdzięcznie, tylko może w całym obrazie zbytnia panuje słodycz kompozycyi i barw, którą zresztą po części usprawiedliwia tak temat obrany, jak i chwila gasnącego dnia, gdzie słodkie różowo-szare barwy zalewają atmosferę.

Wspomnę tu jeszcze o wybornie skomponowanym, pełnym ruchu i prawdy obrazie „La Coda” przez Delahaye'a, gdzie w czasie wojennym dwóch ułanów pruskich zasiadło przy dobrze zastawionym stole, a trzeci dla rozweselenia się większego siadł do pianina. Wtém przez drzwi otwarte do ogrodu wpada kartacz i wszystko w najokropniejszy sposób kaleczy, tłucze i pustoszy. Artysta uniknął tu oklepanych banalnych ruchów. Widać tu całą straszną prawdę i trzeba wierzyć, że tak właśnie było.

Józef Bail jak zawsze znakomity, ale téż jak zawsze zadął w tę samą dudkę. Z murillowską techniką namalował kuchcików grających w karty i gosposię przyprawiającą na zimę korniszony. Naczynia kuchenne, szklane słoje, które są ulubionym tematem Bail'a, są nieporównane.

Lecz trzeba się ograniczyć na tém, pomijając wiele nazwisk i wiele interesujących obrazów, aby przejść na chwilę do działu architektury. Posiada on półtorasta numerów w katalogu, lecz najczęściéj jeden numer obejmuje wiele tablic. I tak Emanuel Pontrémoli wystawił „Odrestaurowanie Pergamu” pod jednym numerem, a przyjrzyjmy się,

---

[1]) Nie trzeba go mieszać z Henrykiem Gervex, wystawiającym na Polu Marsowem.

jakie to ogromne jest dzieło. Składa się ono z kilkunastu olbrzymich tablic, przedstawiających zdjęcia terenu i ruin obecnych jak również odtwarzających stan dawny. Są to zarówno plany topograficzne, widoki z lotu ptaka, zdjęcia z oznaczeniem wysokości poziomów, przekroje jak również i rysunki czysto architektoniczne i ręczne akwarele, służące do objaśnienia poszukiwań. Żeby dać wyobrażenie o rozmiarach rysunków, nadmienię, że ogół robiony jest w skali 0.005; olbrzymia fasada odrestaurowanéj świątyni w 0.01; wielki ołtarz Zeusa Sotera w 0.05; a fragmenty tego ołtarza w $^1/_4$ naturalnéj wielkości! Nie zastanawiając się nad doniosłością téj pracy, co należy do architektów i archeologów, sam ogrom wyłożonych trudów i taka dokładność i drobiazgowość badań, poniesionych dla nauki, muszą budzić podziw nawet w każdym przeciętnym widzu. My przyzwyczajeni w codziennem życiu widziéć powołanie budowniczego w tworzeniu trzypiętrowych kamienic z trzema oficynami, musimy z podziwem oglądać te lata całe pracy spędzone jedynie w celu pokazania, jak wyglądały kiedyś gruzy dziś niekształtne i jakie płaskorzeźby zdobiły świątynie już nieistniejące. Sąd nagrodził tę pracę medalem klasy I-éj.

Przechodząc przez dział grawerstwa i litografii, można podziwiać komisyę rozwieszającą, która małe miedzioryty pomieściła aż w piątym rzędzie. Prace, które znawcy oglądają przez szkło powiększające, umieszczać o kilka metrów ponad głową, to nawet brakiem miejsca usprawiedliwić niedodobna.

Zejdźmy teraz z sal malarstwa do działu rzeźby na parterze. Jak co roku, olbrzymi środek pałacu Przemysłu przemieniono na wielki ogród z trawnikami i klombami zieleni, śród któréj pomieszczono blisko tysiąc marmurów, bronzów i gipsów. Pod szklaném sklepieniem przelatuje mnóstwo wróbli, siadając na rzeźbach i świergocąc śród klombów. Wróble to paryskie i nie przestraszają ich tysiące publiczności, snującéj się po wysypanych zwirem ścieżkach, po gorącu sal malarstwa odpoczywającéj tu na ogrodowych ławkach, lub przepędzającéj godzinkę na pogawędce i paleniu cygara.

Od czegóż mam zacząć ten przegląd rzeźby? Czy od zaznaczenia, że są tylko trzy gipsowe Joanny d'Arc? Może poszukać jakiéjś rzeźby nadzwyczajnéj *à la* zeszłoroczna „Tancerka", *vulgo* Cléo de Mérode, znana piękność przedstawiona bez żadnych muślinów? Niestety tego roku nie ma żadnego takiego rodzaju pieprzyka dla szerszéj i „inteligentniejszéj" publiczności. Ta publiczność ani zauważy nawet skandalicznéj rzeźby, a właściwiéj mówiąc skandalicznego tekstu pod rzeźbą, jaki jeden z artystów umieścił. Rzeźba sama jest, jak wiele innych, umiejętnie i poprawnie wykonana i niebym jéj nie miał

do zarzucenia, gdyby nie objaśnienie, jakie autor czuł się w obowiązku i w katalogu wydrukować i na wielkiéj karcie pod rzeźbą umieścić.

Autorem jest Villanis, a tytuł dzieła — „*L'adultère*". Naga kobiéta, naturalnéj wielkości, umieszczona jest na fragmencie schodów z poręczą. Widocznie otrzymała strzał, bo chwytając się za piersi, traci równowagę i czepia się drugą ręką balustrady. A tekst objaśnienia brzmi jak następuje: „*surprise dans le désordre de la faute par le mari justicier, elle s'enfuit épouvantée et blessée, sans avoir le temps de revêtir sa nudité coupable.*" Pomijam, że tego wszystkiego bez opisu nie można się z saméj rzeźby domyślić. Lecz tego męża, zwyczajnego zbrodniarza, najwyżéj mogącego korzystać z okoliczności łagodzących wobec sądu, to brutalne zwierzę strzelające do bezbronnéj, słabéj fizycznie istoty, nazywa autor „mężem wymierzającym sprawiedliwość", nie żałując jednocześnie epitetu „występnéj" dla nagości żony. Jakoś daleko już jesteśmy od téj Francyi, gdzie kwitła rycerskość, obrona uciśnionego i wspaniałomyślność dla słabego! I ten napis nie jest bynajmniéj rzeczą wypadkową; jest to wyrzeźbienie tych codziennych wypadeczków dnia paryskiego, gdzie mężowie wyrzucają żony przez okno z piątego piętra, gdzie kochankowie masakrują obcasem twarze swym lubym, gdzie ojcowie torturują swe dzieci, gdzie kwas siarczany, nóż i rewolwer są na porządku dziennym. Wszystko to są przejawy tego uznania jedynie dla przewagi fizycznéj, a zanik lepszych instynktów. Być może, że Villanis niechcący tak tekst zredagował, niestety i widzów on nie zastanawiał i raczéj aprobatę, a najwyżéj obojętność z ich twarzy mogłem czytać.

Captier Franciszek wybornie pojął „Fatalność". Naga, ślepa kobiéta, o surowych, zimnych rysach siedzi sztywno obojętna i głucha na wszystko, co ją otacza: „*cruelle envers les uns, indifférente envers les autres*". Bez cienia okrucieństwa lub pastwienia się, lecz z obojętnością jeszcze straszniejszą od tych instynktów, rozgniata swą potężną stopą wijącego się z bólu chłopca, u nóg jéj leżącego, a miecz, na którym się wsparła, wbija się w bok jego. A wbija go nawet nie wiedząc o tém co czyni, ot tak jak ktoś kto nie wié, że przydeptuje suknię sąsiadki. Drugie dziecko nie zaznało jeszcze co to fatalność. Siedzi na jéj kolanach i śmieje się do jéj martwéj twarzy. Zdaje się, że tylko jednego ruchu potrzeba, żeby straciło równowagę i spadło, jak tamto, pod stopy Fatalności. Lecz ręka jéj wisi bezczynnie i nie otacza troskliwie dzieciny, aby ją od upadku uchronić.

Dwie rzeźby Feliksa Soulés są obie równie piękne, choć całkiem odmienne. Marmurowa „Bachantka z kozą" przedstawia dziewczynę o rozkosznych, dyszących młodością kształtach. Rozbawiona zapra-

gnęła przejechać się na kozie, lecz ta ją powaliła na ziemię. Jest to królestwo życia, ciała i młodości. Druga rzeźba, zatytułowana skromnie „Nagrobkiem" wyobraża maleństwo leżące śród bogatych poduszek i makat, a nad niém nachyla się czule anioł-stróż, mając z drugiéj strony klęczącego w zbroi i z mieczem skrzydlatego rycerza. Nagrobek to może ostatniéj latorośli jakiego starego rodu, w pierwszych chwilach życia zabranéj z tego świata. Wielka poezya i uroczystość bije z téj kompozycyi. O ile to piękniejsze od „zdobnych" w różne gzemsy kamieni nagrobkowych naszych cmentarzów, lub bud zwanych pompatycznie grobami familijnemi!

Mijając setki rzeźb, często bardzo dobrze technicznie wykonanych, ale tak mało interesujących, tak płytkich i banalnych, że nawet śladu wspomnienia się po nich nie zachowuje, przyjemnie zatrzymać się przed grupą, gdzie artysta umiał pobudzić widza do myślenia i do badania tych zakutych w marmur rysów. Chwalić lub przyganiać szczegółom z punktu techniki byłoby na tém miejscu bezcelowém skoro ogół czytelników nigdy tych prac oglądać nie będzie. Chyba wskazanie jakiéjś osobliwości, lub oryginalnego pojęcia, zręczności i dowcipu w wyzyskaniu samego materyału, może miéć jakąś racyę. Więc pragnę tylko to wybrać z prac artystów, co i na odległość zainteresuje i może być za pomocą słów oddane. Jest niém owa myśl, jaka pchnęła artystę do wykonania dzieła. Taką myśl posiadają rzeźby Loysela. „*L'écueil et la vague*" przedstawia skałę i symbolizującego ją mężczyznę [1]), a z fal morskich ją otaczających wychyla się postać kobiéca i kusi do pocałunku. On się waha, czuje swą zgubę, a jednak widać, że ulegnie pokusie. Tak fala wiecznie całująca morskie skały, choć oporne i obojętne na tę pieszczotę, jednak stopniowo wygładza je, kruszy i zmywa.

Ogromny ruch kompozycyi posiada „Uragan i liść" Forestier'a. Silny „uragan" pędzi dmąc w róg myśliwski i przeskakuje przez obumierającą kobiétę, która głową na dół spada. Jest to liść zerwany przez wichurę.

Prąd ożywiania martwego materyału rzeźbiarskiego przez zabarwianie jest dziś bardzo silny. Jedni kontentują się zaledwie dostrzegalném zaznaczeniem, inni silniejsze barwy kładą na marmur, są i tacy, lecz tych jest niewielu, co wprost nadają rzeźbie barwy przedmiotu w naturze. W mniejszych pracach spotyka się to nie rzadko. Wyborny był np. Murzyn (pół naturalnéj wielkości), który jako tragarz karawany niósł swój pakunek, gdy w tém lampart skacze z palmy

---

[1]) *L'écueil* = skała w morzu, jest we franc. rodzaju męskiego.

i chwyta go za gardło, będąc jeszcze w locie z łapami tylnemi w powietrzu, a przerażony Murzyn traci równowagę, rozrzucając swój pakunek. Bardzo wielki ruch i życie wyróżniają tę pracę, szczególniéj jednak zwraca uwagę zupełne zastosowanie wszystkich barw w natężeniu prawdziwém. Tak silnie w nas wpajano pojęcie bezbarwności w rzeźbie, że mimowoli dzieło to chce się do rzędu wyrobów sklepowych zaliczyć, mimo że jest rzeczą wysoce artystyczną. Lecz inne próby tego rodzaju są już gorsze. Są téż artyści, którzy nie zabarwiają swego marmuru lub gipsu na dany kolor, ale wprost zastępują ten gips przez materyał, jaki ma być wyrażony. Tak np. Loiseau-Rousseau w swéj „Karze śmierci na krzyżu" przedstawił naturalnéj wielkości nagiego człowieka z gipsu, konającego w cierpieniach męki, a po za tém wszystko jest z materyałów prawdziwych—i tak krzyż jest z dwóch potężnych belek dębowych, figura przywiązana do krzyża prawdziwemi sznurami i przybita wielkiemi prawdziwemi gwoździmi. Do osadzenia krzyża w kręgu gipsowym imitującym ziemię użyto kołów z prawdziwego drzewa. Artysta tylko z wielkiém co prawda złudzeniem za pomocą robienia plam tłustych, podmalowywania uczynił ze zdrowego bala krzyż robiący wrażenie zmurszałego i namiękniętego od deszczów. Wszystko to bardzo dobry sprawia efekt, tylko że widz zapytuje, czemu na prawdziwym krzyżu, prawdziwemi gwoździmi i sznurami przymocowali g i p s o w e g o człowieka?

Z oryginalną rzeźbą, ale w innym rodzaju wystąpił Thèodore-Rivière. Na wielkim kręgu gipsu, stanowiącym postument, kilkadziesiąt konnych postaci Hunnów wrzeszczących wymachuje dzidami. Figurki są rozmiarów małych lalek dziecinnych i wykonane w gipsie... Jest to moment, gdy jakiś pasterz odnalazł w ziemi schowany miecz Marsa, którego posiadacz miał podbić świat cały i oddaje go Attyli. Obok jeźdźców na wozie, ciągnionym przez woły, siedzą branki lub żony wojowników. Ogólny rzut oka daje wrażenie wielkiego ruchu i prawdy, poszczególne zaś figurki są zupełnie w stadyum szkicu zostawione.

Rozgłośna powieść „Aphrodite" Piotra Louys dała temat do kilku rzeźb, nie robią one jednak należytego wrażenia, tak samo jak i banalne ilustracye zdobiące ową książkę. Jest tam przedstawiona tak odmienna od naszéj obyczajowość starożytnéj Alexandryi, że tylko magistralnie spokojna forma opisu ratuje sytuacyę. Chcąc to ilustrować, nie bawiąc się w ckliwe, banalne nagości, ale w tym duchu, jakiego epoka przedstawiona wymaga, to jest z całą bezwzględnością tekstu, naraziłby się artysta na zaliczenie dzieła swego do rzędu pornograficznych według dzisiejszych poglądów. Chcąc uniknąć tego, artyści skazali się mimowoli na kompozycye banalne.

Bloch wyrzeźbił w drzewie nadnaturalnéj wielkości „Drwala", rozrębującego siekierą również drewnianą gruby kloc drzewa. Trzeba oddać sprawiedliwość umiejętnemu wykonaniu i zwalczeniu trudności technicznych, ale po za tém trudno się zgodzić, żeby materyał był dobrze wybrany i podnosił zalety pracy.

Verlet'a pomnik dla Guy de Maupassant'a, przeznaczony do parku Monceau, jest wdzięcznie i na współczesny sposób obmyślony. U stóp słupa pomnikowego kamienna ławka, na któréj siadła młoda kobiéta w stroju współczesnym z książką w ręku, a myślą buja gdzieś daleko.

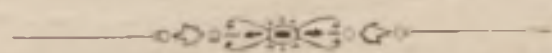
Nieduży marmur Bastet'a z pewnością stanie się popularnym i w reprodukcyach sklepowych zjawi się w prywatnych mieszkaniach miłośników... plastyki. Pod pretekstem „Pieprzyku" (*Grains de beauté*) figurka kobiéca o rozkosznych, pulchnych kształtach stara się tak obrócić, żeby jak najlepiéj zobaczyć pieprzyk, który ma na plecach.

Z pomiędzy rzeźb, przedstawiających sceny dziecinne, bardzo miłym jest pomysł do fontanny Amerykanina Mac-Monniès, bardzo cenionego artysty. Chłopak porwał kaczkę i niesie wyrywającego się rozpaczliwie ptaka, a wkoło podstawy, jakby z wody, wspina się wianuszek maleńkich kacząt, żałośnie dopominających się o uwięzioną matkę.

Tematy zwierzęce doskonale oddali Bureau w grupie lwa i lwicy; Gardet w „Lwie" i Navellier w słoniu walczącym z krokodylem. Młode niedźwiadki bijące się Richet'a są wyborne; również „Wysiłek" Debrie, przedstawiający pół naturalnéj wielkości czwórkę perszeronów, dobywających całéj energii muskułów, żeby ruszyć z miejsca. Jest to wypukłorzeźba i pierwsza para prawie że jest w zupełności wyrzeźbiona wypukło, gdy druga dyszlowa przechodzi jako płaskorzeźba w ścianę, która dziełu za tło służy. Psy, koty, lisy, kury dość licznie są też reprezentowane i podpatrzone w swych najbardziéj charakterystycznych momentach.

Na zakończenie dodam całkiem już reporterską wiadomość, że i Sarah Bernhardt wystąpiła z rzeźbą, dając dość twardy i dość suchy biust Sardou, swego nadwornego dostawcy dramatów. Ile w tém jest pracy saméj Sary, a ile usłużnych przyjaciół—trudno wiedzieć, w każdym razie, czy tak, czy owak, rezultaty otrzymane są b a r d z o przeciętne i nowych laurów do karyery dramatycznéj nie dorzucą.

Antoni Austen.



W RAJU.

Z ŻYCIA POLAKÓW W AMERYCE.

Szkic do powieści.

— A któż tam tak dzwoni?

— To ja. Czy to u pani ten pokój z meblami do wynajęcia?

— Tak, proszę pana.

Pytający, człowiek już siwizną przypruszony, wszedł na górę i grzecznie uchylając kapelusza, pyta:

— Czy mogę zobaczyć?

Dwudziestodwuletnia szatynka, zmierzywszy go najpierw swém dużém, niebieskiém okiem, niedbale odpowiada:

— Nie wiem. Zapytam siostry.

I cofając się wgłąb pokoju, woła:

— Annie! [1]).

Niebawem ukazuje się miss Annie, podobna lecz nieco starsza, ale za to piękniejsza od tamtéj.

Miss Annie ledwo spojrzeć raczyła, zaraz odpowiada z grymasem:

— Już wynajęty.

— Więc czemuż panie karty nie zdejmą?

---

[1]) *Annie*, wymawiaj Eny.

- To nasz *business*—odpowiada kategorycznie.

— Chyba i mój także, skoro mnie to bez potrzeby naraża na stratę czasu i chodzenie po schodach — mruczy amator meblowanego pokoju, odchodząc.

Tymczasem ktoś drugi, znalazłszy drzwi otwarte, już bez dzwonienia wszedł na górę; ale słysząc rozmowę z tamtym, cofa się także.

— A do kogo to interes?—zatrzymuje go miss Annie, wychylając się przez poręcz schodów.—Czy pan razem?

— O nie, pani, — odpowiada nr. 2, -- wcale nie. Ja dla siebie samego tylko szukam pokoju z meblami, ale słyszę, że już wynajęty.

— Proszę pana, proszę na górę — odzywa się miss. — Nie wiem na pewno; zapytam mamy.

Nr. 2 wraca.

Miss Annie jakoś innym tonem teraz przemawia. Widocznie większe u niéj przywileje mają przystojni 30-letni i do tego starannie ubrani bruneci.

— A więc pan tylko dla siebie potrzebujesz mieszkania?—powtarza pytanie, chcąc widać zyskać na czasie i dobrze zbadać, czy się opłaci mamę fatygować.

— Tak, pani, dla siebie samego — odpowiada brunet z uśmiechem, jakby zrozumiał o co rzecz chodzi, i dodaje znacząco:—Nie wątpię, że byłbym bardzo z mieszkania zadowolony.

Miss Annie uśmiecha się także.

— *Ma!* [1])—woła—tu jeden pan chce raj zobaczyć.

— Jakto, pani? a więc ja do raju trafiłem?

— Tak, panie. Rajem nazwałyśmy pokój, o który pan pytasz.

— To bardzo właściwe dla mnie mieszkanie. Noszę przecież imię Adama.

— Czy tak? Istotnie szczególny traf.

— A czy to raj chrześciański czy też mahometański?

— A panbyś wolał?...

— Nie wiem. Oba mają pewien urok. Czasem mnie tak nęcą huryski, że bierze chętka przejść na wyznanie Mahometa, ale nuż prorok obietnicy nie dotrzyma, albo ma zły gust.

— A pan bardzo wybredny?

— Bardzo. Najlepszy dowód, żem jeszcze dotychczas nie wybrał. Ale nie tracę nadziei, bo jako Adam, sam w raju być nie mogę. Może się więc znajdzie nareszcie jakaś Ewa, a raczéj jedna z jéj prawnuczek, bo nie mam wielkiéj ochoty brać wdowy po Adamie nr. 1.

---

[1]) *Ma* — skrócone z mama.

— A nie przeraża pana operacya z żebrem?

— Prawda, zapomniałem. Ale może to nie będzie zbyt bolesne. Chirurgia przecie od owego czasu wielkie zrobiła postępy... Jeżeli więc bez tego żadnéj Ewy miéć nie można...

I byliby może we dwoje obmyślili jakiś sposób stworzenia Ewy bez operacyi, ale dalszą rozprawę nad tym tak ważnym dla nich przedmiotem przerwało pojawienie się *Ma*.

Adam już widocznie w pierwszéj instancyi wygrał sprawę; nie wiadomo jeszcze, jaki wyrok zapadnie w apelacyi u *Ma*; ale może i ona będzie również łaskawym sędzią.

— Dzień dobry panu—odzywa się zaraz wcale do huryski niepodobna *Ma*, badawczym wzrokiem obrzucając przybysza.

— Dzień dobry — odpowiada Adam. — Życzyłbym sobie zobaczyć ów pokój.

— Pan zdaje się cudzoziemiec—mówi jakoś kwaśno *Ma*, wcale się nie śpiesząc z wpuszczeniem do raju.

— Tak jest, pani, Europejczyk. Każdy to łatwo poznać może. Jeszcze bardzo źle mówię po angielsku.

— Szkoda wielka — odzywa się *Ma* takim tonem, jakby to miało znaczyć „nic z tego mój panie."—Ten pokój już zamówiony.

— Ja sądzę — wtrąca miss, znaczące rzucając spojrzenie na matkę, — że tamten pan już się chyba nie zgłosi.

— A jakiéj pan narodowości?—pyta znów *Ma*.

— To jest, właściwie, jestem Niemiec—odpowiada Adam z pewném wahaniem i zakłopotaniem, a nawet rumieniąc się trochę.

— A, Niemiec — bezmyślnie powtarza *Ma*.—I dawnoś pan przyjechał?

— Jestem tu dopiéro od 3 miesięcy.

— Dopiéro?—dziwi się miss Annie.—A już wcale nie źle mówisz pan po angielsku.

— Trochę się już w kraju uczyłem.

— A jakże się panu nasza piękna Ameryka podoba?

— Jeszcze dotychczas nigdzie po za New-York nie wyjeżdżałem, okolicy więc wcale nie znam; ale jeśli wszędzie tyle ładnych kobiét, ile ich tu spotykam, to wszędzie prawdziwy raj...

Miss Annie uśmiécha się zadowolona.

— Może pan do *parloru* pozwoli? - mówi.—Mamo, dlaczegóż tak we drzwiach stoimy? Proszę pana daléj.

— A czém się pan trudni?—pyta *Ma*, siadając na kolébaczu.

— Jestem artystą.

— W tym kraju to nie szczególny *business*.

— A, to niezawsze, *Ma*.

— A ten co tu mieszkał? Przecież to także jakiś malarz, czy coś. Prawda, że przystojny, ale cóż z tego, kiedy nie mógł znaléść zajęcia.

— I za ten grzéch został wypędzony z raju — mruknął z uśmiéchem złośliwym Adam.

— Co, panie?

Pan Adam ugryzł się w język, a korzystając z tego, że nie dosłyszano, poprawia się:

— Mówię, że jestem muzykiem.

— A widzi mama; to co innego.

— I to nie bardzo popłatne. Znam pewną wdowę, któréj mąż grywał na balach, a dziś ona w biédzie.

— Ale ten pan zapewnie koncerty daje, a to lepszy *business*. Przecież mama czytała,. że Padereuski (Paderewski) w 3 miesiącach zarobił 100,000. Czy pan także gra na fortepianie?

— Tak, pani. Daję lekcye.

— Lekcye?... E, widzisz... Tamten pan, co chce pokój wynająć, to agent, robi lepszy *business* na patentowanych medycynach. Ja sądzę, Annie, że on się jeszcze zgłosi.

— A ja nie sądzę — przerywa już nieco zniecierpliwiona córunia. — Zresztą, kto pierwszy, ten lepszy. Niechże mama pokaże pokój...

Ale pomimo protekcyi miss, mama widocznie jeszcze nie ma ochoty wrót raju otwiérać.

— Panu się pewno nie śpieszy—mówi.—A może nam pan co raczy zagrać?

— Ależ mamo, przecież ten pan daje lekcye, pewno mu pilno... Chyba że...

— Dopiéro za godzinę mam termin — przerywa Adam, powstając.—Jeżeli więc panie raczą posłuchać...

— A i owszem, prosimy, jeśli wolno — rzekła miss Annie i zaraz fortepian otwiéra.

Adam kilka uderzył akordów, próbując instrumentu, po czém z pod długich jego palcy popłynęła rzewna melodya Chopinowskiego mazurka.

Amerykanin nigdy nic w oczy nie zgani, wszystko dla niego zawsze piękne. Również więc i miss Annie bardzo się mazurek podobał, ale w tych jéj zdawkowych pochwałach nie czuć szczerego zachwytu.

— Zdaje mi się,—mówi—że i ja też coś podobnego gram. Czy to mazurek „Czopina"?

— Tak, pani—odpowiada Adam z uśmiechem, a widząc jakich ma przed sobą znawców, zagrał jeszcze galopkę.

Teraz dopiéro miss Annie zachwycona, woła nawet miss Katie [1]) z drugiego pokoju i obie nie mogą się dość napatrzyć i odchwalić, że tak ręka artysty szybko po klawiszach biega.

— Ach pięknie! ach cudowne!—powtarza miss Annie. — Pan koniecznie powinieneś wystąpić z koncertem, zrobisz niezawodnie dobry *business*. Ja sama nawet postaram się dużo biletów między memi koleżankami sprzedać. Jestem pewna, że panu lekcyi nie zabraknie.

Widocznie sztuka zwyciężyła handel; artysta wziął górę nad agentem patentowanych medycyn, bo mama zaraz proponuje obejrzenie raju.

Raj, naturalnie, bardzo się podobał, zwłaszcza, że uprzejma teraz gospodyni pozwalała nawet używać fortepianu. W dodatku, artysta zawarł jeszcze umowę z miss Annie, że w zamian za lekcye muzyki ona mu będzie udzielać nauki języka.

. . . .

W parę godzin późniéj już na drzwiach raju bieliła się karta: *Prof. A. Mate, music teacher.*

Skoro się tylko pan profesor trochę rozgościł w swym raju, natychmiast zasiadł do pisania listów. Między innemi pisał też i do matki:

„Tęskno mi tu samemu — narzeka w dalszym ciągu. — Wśród całkiem obcego mi otoczenia, czuję się jak na pustyni. Gdzie spojrzę, obce twarze, obojętne, zimne spojrzenia. Nieraz waryacya do głowy przychodzi.

„Dziś właśnie zmieniłem mieszkanie. Nowa moja siedziba nazywa się rajem; ale nie wiem jeszcze, czy to tylko igraszka losu, czy też naprawdę będzie mi tu lepiéj. Lecz wątpię, aby tak prędko poprawa nastąpiła; bo przecież i tamtemu Adamowi nie było nawet w raju dobrze, dopóki był sam. Zdaje się jednak, że tu będzie wygodniéj. Żal mi tylko starych moich przyjaciół, towarzyszy niedoli na tamtéj kwaterze. (Niechże się tylko mama ze mnie nie śmieje). Była to figlarna myszka i legion karaluchów. Nieraz wyciągnięty na sofce, godzinami leżałem tak bez ruchu, bojąc się szelestem spłoszyć tych gości. Obecność ich była mi pociechą. Widząc koło siebie choć takie żyjące

---

[1]) *Katie* — wymawiaj Kety.

istoty, samotność mniéj dokuczała; było mi nieco raźniéj w ich towarzystwie. Wkrótce téż — szczególniéj z myszką — wszedłem w bliższe stosunki, a w końcu się nawet coś w rodzaju przyjaźni między nami wywiązało. Jestem przekonany, że teraz biédna, opuszczona, opłakuje mnie. Być żałowanym, jest to także w swoim rodzaju pociecha. Ludzie się niesłusznie do tego gryzonia uprzedzili. Jest to bowiem nader miłe i rozkoszne stworzonko. Trochę lękliwe, co prawda, jak każda słaba istota, ale to właśnie wdzięku dodaje.

„Już się tak moja myszka obłaskawiła, że śmiało wychodząc na środek, bez obawy skubała przygotowaną dla niéj bułkę. Ale serdeczny ten stosunek zmąciło trochę podejrzenie, iż ona to, psotnica, zgryzła mi kawał Wagnera, którego ja sam ugryść nie mogłem. Opanowała mnie więcéj zazdrość niż gniéw. Byłem w obawie, że się otruje nieboraczka, ale jakoś szczęśliwie strawiła wszystkie krzyżyki i bemole, a teraz mi swym piskiem lepsze daje pojęcie o muzyce przyszłości. Bardzo mi dziś w moim raju brakuje téj amatorki muzyki. Mam wprawdzie i tu przez ścianę dwie inne myszki, ale daleko dotkliwiéj, niż tamta Wagnerowska, dają mi się we znaki, wciąż gryząc fortepian. A i z drugiéj strony mieszka tu jakiś znów Mr. J. W. Book. Obawiam się, czy i ten sąsiad nie cierpi także jakiéj choroby muzycznéj, bo już przez uchylone drzwi, z wielkiém mojém przerażeniem, spostrzegłem u niego przypadkiem *banjo* na ścianie. Dotychczas jednak przekonałem się dopiéro, że gwiżdże jak prawdziwy słowik, choć teraz nie maj. Wyobrażam sobie, z jaką rozkoszą będę musiał słuchać jego koncertu na *banjo*. Dostałem się we dwa ognie. Jeżeli tak daléj pójdzie, będę chyba zmuszony emigrować z mego raju, nie czekając nawet aż mnie kto z niego za jaki grzéch wypędzi. Z jedną myszką łatwiéj się było porozumiéć, ale całe stado, to trochę za wiele. Mógłbym w końcu doznać losu biédnego Popiela. Szczególniéj téż jedna strasznie mi dokucza. Załachocze mnie na śmierć swoim „Czopinem", przekonana zapewne, że mi tém wielką przyjemność sprawia. Z tém większym zapałem wezmę się do lekcyi, a może mi się uda i biédnego „Czopina" i siebie samego od tortur ocalić. Spróbuję.

„Ale żart na stronę. Widzisz stąd, kochana moja Mateczko, jak mi tu brak kogoś, z kim mógłbym dolę swą podzielić. A jednak, pomimo to, proszę się wszelkiemi sposobami starać powstrzymać wyjazd Zosi. Dziś mi jeszcze niepodobna myśléć o tym związku, bo dlaczegóżby tęsknić we dwoje. A obawiam się nie bez powodu, że pómimo całego z jéj strony przywiązania, o jakiém jestem przekonany, gotowaby się tu zatęsknić na śmierć, nawet obok mnie. Po bliższém więc zastanowieniu, przyszedłem do przekonania, że lepiéj zaczekać, aż przy-

najmniéj ja się tu trochę przyzwyczaję. Zresztą muszę wyznać otwarcie, że ścisły zrobiwszy rachunek sumienia i serca, nie mam dziś odwagi do tego kroku, bo wątpię, czy nawzajem wystarczylibyśmy sobie do szczęścia. Wiem, że dobra z niéj kobiéta, ale czyż mi domowa szlafmyca da wszystko, czego pragnę? Waham się. Przeraża mnie myśl, że musiałbym się wtedy z obowiązku do jarzma zaprządz, a wtedy — bywajcie zdrowe moje najpiękniejsze marzenia, żegnaj sztuko. Ja teraz pragnę na szerszy świat wypłynąć, lepiéj się wśród Amerykanów rozejrzéć, a po tém... nie wiem co będzie po tém. Nie taję, iż nudno mi dziś samemu i radbym miéć obok siebie jakiegoś przyjaciela, bo czuję, że więdnę w samotności, i żal mi Zosi, może nawet źle czynię, wstrzymując jéj przyjazd, a czuję, iż to jakaś nieunikniona konieczność nakazuje mi tak postąpić. Muszę usłuchać tego głosu serca, bo trudno samego siebie okłamywać. Być może, iż z czasem do innego przyjdę przekonania, ale teraz inaczéj powiedziéć nie mogę. Może nawet kiedyś, złamany zawodami, będę wyrzucał sobie, iż podeptałem swe szczęście, ale dziś jeszcze nie byłoby ono dla mnie szczęściem. W téj chwili z prawdziwą przyjemnością przyjąłbym wiadomość, że znalazł się inny, godniejszy odemnie, z którym Zosia mogłaby być naprawdę szczęśliwą. Sprawiłoby mi to nawet pewną ulgę, bo nie taję, iż dręczą mnie wyrzuty, że zamąciłem jéj spokój, a może nawet i całą zburzyłem przyszłość.

„Nadzwyczaj tu trudno wejść w ściślejsze stosunki z Amerykanami; mam jednak nadzieję, że uzbroiwszy się w cierpliwość, z czasem po nitce dojdę kłębka i utoruję sobie do nich drogę. Bardzo teraz żałuję, żem się nie postarał o listy polecające.

„Chociaż nie mam garbatego nosa, wielu jednak posłyszawszy me nazwisko, pyta: czym żyd? Z tego powodu, kiedy oni dopiéro tu polonizują swe nazwiska, ja widziałem się zmuszonym odrzucić „*rski*”, nie chcąc dźwigać ich grzechów, któremi obciążają nasze *conto*. Odtąd więc proszę adresować tylko: *Prof. A. Mate, 1000 W. 35 st.*

„Podobno jest tu także sporo i niefarbowanych Polaków, ale jeszcze żadnego nie zdarzyło mi się spotkać, o co się zresztą wcale nie staram, bo mi Józef w Paryżu radził trzymać się od nich zdala, na uboczu. Nie wiem jednak, czy długo zdołam się do téj jego rady stosować, bo mi tu strasznie tęskno wśród obcych żywiołów. Być może, iż gdy wejdę w koła amerykańskie, nie będę tak bardzo odczuwał braku towarzystwa swoich, ale dziś dusza rwie się do nich. Gdyby mi się teraz choć jaki nasz Maciek, albo Bartek, nawinął, czuję, żebym go ze łzami, jak brata uściskał. Postanowiłem jednak nakazać sercu mil-

czenie w nadziei, że się odtęsknię; ale to, bądź co bądź, gwałt naturze zadany.

„Wyobrażam sobie, jak strasznem musi być tu położenie młodzieży, przyjeżdżającej bez znajomości ludzi i stosunków, bez zasobów często, a prawie zawsze z kagańcem na ustach i od razu zmuszonej w nieznanym świecie rozpoczynać walkę o byt...” i t. d.

. . . .

Pan profesor list ten kilkakrotnie odczytywał, pieczętował i znów otwierał dla zrobienia poprawek lub dopisków i jeszcze wahając się, czy posłać, kilka dni go w kieszeni nosił, zanim się nareszcie zdecydował do skrzynki wrzucić; a wrzuciwszy, znów żałował, że to uczynił. Czuł widać, że, idąc za popędem chwilowym, popełnia krok lekkomyślny, dopuszcza się wprost zbrodni, gardząc przywiązaniem poczciwej Zosi — zbrodni względem niej i samego siebie. Wkrótce jednak oswoił się z tą myślą, przyjmując już za fakt spełniony, na którego usprawiedliwienie znalazł argumenty. Prawda, że dał jej słowo, ale czyż wolno mu cudze szczęście narażać dlatego tylko, aby słowo dotrzymać? Czyż godzi się wyrywać ją z łona rodziny, wyciągać gdzieś za morza, rzucać w świat obcy, jeśli nie czuje dziś siły, że może zastąpić jej to, co ona straci.

I tak uciszywszy wyrzuty, uspokoiwszy sumienie, profesor odetchnął swobodniej, mając już ręce rozwiązane. Czasem mu jeszcze wprawdzie staje przed oczami obraz Zosi, ale łatwo nieproszonego już gościa odpędza wspomnieniem o pięknych Amerykankach.

Pan profesor widocznie bardzo w nich zagustował, choć je zna dopiero z ulicy. I tak olśniony mnóstwem tych pięknych twarzyczek, zapomniał o tej, która dla niego przecie gotowa porzucić wszystko, nawet rodzinę i kraj, słowem to, co posiada najdroższego. Zosia wydaje mu się teraz czemś zwyczajnem, pospolitem, wprost nudnem, kiedy tu pociąga go wszystko zupełną nowością. Po Zosię zresztą dość mu tylko rękę wyciągnąć, słowo napisać, już będzie ją miał; a co z taką łatwością przychodzi, wiele traci uroku. Mniej się ceni szczęście, gdy ono samo w rękę wpada; a często nawet całkiem się je odpycha, wcale za szczęście nie uważając.

Nadto pan profesor także już zarażony tą nieszczęsną chorobą naszą, tą zgubną utratą wiary w siły i gwiazdę swego społeczeństwa. Jak dla wielu więc innych nic, co swojskie, nie ma dla niego powabu i choćby najlepsze, często uważa za złe; a przeciwnie, wszystko obce wydaje mu się najlepszem, chyba dlatego tylko, że obce.

O ile wstrętną jest zarozumiałość niemiecka, o tyle znów smutny i o wiele szkodliwszy taki brak zaufania w samych sobie, bo jak paraliż obezwładnia zupełnie. Człowiek przecie ani palcem kiwnąć nie zdolny, jeśli mniema, że nie może. Tém mniéj, któż po zrębie wejdzie na wysoką wieżę? A jednak to możliwe; boć wiemy, że nieraz tak wchodzi lunatyk, chociaż nie posiada lepszych środków ku temu, bo mu przecież żadne kocie pazury na ten czas nie wyrastają. Skądże więc ta różnica zdolności? Różnicy w zdolnościach fizycznych nie ma żadnéj, tylko że lunatyk traci poczucie niemożliwości i niebezpieczeństwa, a stąd dokonywa tego, na co by się nigdy ze świadomością nie odważył w przekonaniu, że nie może.

Tak to człowiek nieraz bywa słabym dlatego tylko, iż stracił wiarę w swe siły.

Stąd téż, jak zarozumiałość i owa do bezczelności posunięta pewność siebie u Niemców wynika z ich politycznego powodzenia, a więc i zaufania w swe siły, tak u nas znów przeciwnie, los mniéj łaskawy słabsze dusze łamie zwątpieniem, które się objawia nietylko w życiu całego społeczeństwa, ale także w prywatném życiu jednostek.

Stąd to na obczyźnie często spotkać można ludzi, którzy tylko w granicach własnéj rodziny, albo w gronie swoich, są tém, czém są, ale wobec obcych nie śmią się nawet przyznać do swéj narodowości, gdyż ta, niepoparta siłą bagnetów, nie zawsze budzi należny jéj szacunek w czasach, kiedy przedewszystkiém tylko siła ludziom imponuje.

Niejeden téż, jak nasz Adam, zmienia swe nazwisko, lekceważy swojskie wyroby przemysłu lub sztuki, a często nawet opinie takie dotykają stosunków rodzinnych i towarzyskich. Może więc w części tu leży przyczyna, że panu profesorowi zaczyna chodzić po głowie związek z Amerykanką. Myśl ta nęci go bardzo.

Śmiesznem się to może wyda, niemniéj jednak jest prawdą, że taki związek łechce trochę jego próżność swą oryginalnością wobec rodziny i znajomych w kraju. „Patrzcie — będą mówić—Adaś złapał sobie jakąś Amerykankę.”

Jest to, naturalnie, poprostu dziecińshwo; ale czyż to jedno dziecińshwo wylęga się nawet w poważniejszych głowach. Adaś zresztą wcale do powagi nie ma pretensyi. Owszem, jest on nawet dość płytki, powierzchowny, a lada błyskotka, byle nowa, zajmuje go. Nic zatém dziwnego, że on i taki wzgląd bierze w rachunek, chociaż to idzie o szczęście całego życia.

Ale przyznać trzeba, że obok tak błahych przyczyn ma on też i poważniejsze racye. Jest on przedewszystkiém zwolennikiem krzy-

żowania ras, zapominając o wynikającym stąd zamęcie pojęć i uczuć, często całkiem sprzecznych nie tylko w sprawach osobistych, ale i rasowych, których z uwagi tracić nie wolno.

Lecz pan Adam wcale nie ma ochoty być tylko zwykłym śmiertelnikiem; woli być kosmopolitą, bo to ładniéj brzmi. Jak wielu jemu podobnych, tak też i on przechodzi chorobę „zdawania się", a czasem gotów sam w swój kosmopolityzm uwierzyć, chociaż serce mówi co innego.

W każdym razie jest to kosmopolityzm gorszego gatunku, bo nie zasadza się na obejmującéj ludzkość całą miłości Chrystusowéj, ale tylko na zniesieniu różnic narodowych, jako niedorzecznych zastarzałych przesądów. Tego rodzaju sztucznie wyrozumowany kosmopolityzm jest niekiedy bardzo wygodny, bo, stosownie do okoliczności, pozwala dowolnie przyłączać się do tego narodu, który najkorzystniejsze da widoki osobiste. Taki kosmopolita, jak wygryzie trawkę na jednéj łączce, przenosi się na drugą.

W praktyczném zastosowaniu tak się przedstawia idea, która, między innymi, także i naszego profesora obałamuciła; ale i on z czasem wyzdrowieje i będzie znów: *all right*.

Wspomnieć musimy, iż teorye te przyplątały się do niego i umysł zamąciły pewno trochę wskutek pojęć, jakich nabrał o sztuce. Dla niego nie ma muzyki narodowéj — sztuka to własność powszechna. Przy têm, choć nie należy już wprost do szeregów żadnego socyalizmu, jednak ocierał się o nie kiedyś, więc i stąd także coś do niego przylgnęło.

Ale *summa summarum* są to tylko piękne słówka. Mówi, że każdy człowiek w jego oczach równy, a przecież gotów całować Maćka lub Bartka dlatego tylko, że swój. Jest więc w niezgodzie sam z sobą, i to często nawet. Ale bądź co bądź, tego kosmopolityzmu różnego pochodzenia uzbiérało się w nim tyle, że mu wystarcza do pokrywania lada zachcianki, pozorami szumnych zasad.

A projekt ożenienia się z Amerykanką jest właśnie niczém innćm, tylko jedną z takich zachcianek; i to têm lekkomyślniejszą, że, jak wiemy, wcale jeszcze Amerykanek nie zna, a z góry już projekta układa.

Ale — człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi. — Zobaczymy, gdzie zaniesie kule pana Adama.

. . . .

Nazajutrz tedy rozpoczęły się owe umówione lekcye języka i muzyki.

Pan Adam zastał tam już właściciela groźnego *banjo*. Miss Annie nie omieszkała zapoznać obu sąsiadów, przy czém Mr. J. W. Book bąknął coś, że bardzo rad ze spotkania, ale chyba nie tak znów bardzo, bo się zaraz oboje z miss Katie do przyległego pokoju usunęli, szukając tam zapewne lepszego rezonansu. Może zresztą nie chcieli w nauce przeszkadzać, a może téż, chcąc sami przeszkody uniknąć, woleli się wyniéść do nieba.

Miss Annie z całym zapałem rwie się do nauki. Ale na nieszczęście, okazało się, że zaledwie jednym palcem potrafi brzdąkać kilka popularnych śpiewek. Wspominając zatém o mazurku „Czopina", widocznie pochwaliła się tylko; grywa go bowiem siostra i przyjaciółka, która ją często odwiédza.

Pod koniec lekcyi zjawia się także i *Ma*; ale znudziły ją prędko wcale niecickawe wstępne ćwiczenia.

— E, lepiéj—mówi—ucz pan czegoś ładniejszego.

— To są ćwiczenia tylko—objaśnia profesor.

— Dobre może dla dzieci. Ucz pan tego, coś wczoraj grał sam. Córka moja artystką być nie chce.

— Niepodobieństwo odrazu.

— A kiedyż?

— O, miss Annie bardzo utalentowana... Może więc za 2, może za 3 lata...

— Co? za 3 lata? Czy pan żartuje? To już lepiéj za 30, gdy będzie siwą... O, jeżeli pan tak prędko uczysz, to tu niewiele się znajdzie uczennic. Córka mojéj przyjaciółki uczyła się tylko 2 miesiące, a już pięknie gra walca i polkę.

— Dobrze, pani — mówi profesor z uśmiechem—spróbuję, a zapewne i miss Annie także po 2 miesiącach walca zagra. Od jutra inną zaczniemy naukę.

— No, 2 miesiące, a choćby wreszcie 3, to jeszcze nie mówię — odzywa się udobruchana już *Ma*.—Tu panie, ludzie nie mogą tyle czasu tracić...

— Masz pani słuszność. W krótkiéj méj praktyce już nie po raz pierwszy słyszę podobne żądanie, a stąd zaczynam przypuszczać, że jest ono ogólne. Widzę, że na téj półkuli ludzie pojętniejsi, bo tu nawet doktorem można być we dwa lata, kiedy u nas aż pięciu potrzeba, żeby zwyczajnym dopiéro lekarzem zostać.

Przekonawszy się, że szkoda czasu, w ten sposób zakończył dyskusyę z wielkiém zadowoleniem mamy. Profesor jednak zdaje się trochę podraźniony.

Lekcya angielszczyzny, ograniczona do rozmowy tylko, także niezupełnie gładko poszła. Miss Annie, silnie przekonana, że Stany Zjednoczone to kraj najbardziéj cywilizowany, jednocześnie ostro krytykuje Europę, o któréj zresztą mało wié.

Pan Adam, jeżeli kiedy do Europy wróci, z pewnością będzie podobnie utrzymywał, aby sobie nadać znaczenie; ale dziś wobec Amerykanek, pomimo że niemi zachwycony, staje silnie w obronie pokrzywdzonéj a nieobecnéj Europy. Uczuł się bowiem trochę dotkniętym jéj krytyką. Zresztą pan Adam jest nieco przekorą i zawsze lubi w opozycyi stawać. Nie oszczędzał więc nawet i Amerykanek, chcąc bronić kobiéty europejskiéj.

Na szczęście, miss Annie spostrzegłszy, że go to już na prawdę drażnić zaczyna, zmieniła przedmiot rozmowy.

— Bardzobym rada—rzecze—poznać kiedy Europę.

— Wtedy, ręczę, innego byś pani nabrała o niéj pojęcia.

— O niechże się panu nie zdaje, że jestem nieprzyjaciółką Europejczyków. Z pewnością i tam są także mężczyźni grzeczni dla kobiét.

Tu miss Annie bardzo łaskawém obdarzyła gościa spojrzeniem.

— Mogę panią zapewnić, że w moim kraju kobiéta od wieków jest królową domu.

Pan Adam tak się rozgadał o tém królowaniu kobiéty w jego kraju, iż się omal w wielkim zapale nie zdradził, że nie jest Niemcem.

Jeszcze nieraz wynikały takie sprzeczki, bo często nie zgadzali się w zapatrywaniach. Ale mimo tych różnic zdania, lekcye, zdaje się, dla obu stron były dość przyjemne. Pan Adam z ochotą odwiedza swą uczennicę, może z potrzeby jakiegokolwiek towarzystwa, a może też z inną myślą. Już nawet czasem zapytuje sam siebie: czém dla niego miss Annie? czy czuje dla niéj więcéj niż zwykłą tylko sympatyę? czy gotów by się z nią żenić? — ale nie ma jeszcze na te zapytania stanowczéj odpowiedzi. Podoba mu się wprawdzie, bo twarzyczka bezwątpienia ładna, ale czuje, że między nimi stoi coś, co ich rozdziela, może jednak z czasem to coś zniknie i zbliżą się. Tak często z sobą obcując, może przyzwyczają się, a siła tego przyzwyczajenia zastąpi naturalne uczucie. Gdyby się miss Annie więcéj zgadzała, a mniéj narzucała sama, możeby on wtedy prędzéj wpadł w sidła; ale i tym razem zbyt łatwe zwycięstwo traci w jego oczach wiele uroku.

. . . .

Pan Adam radby rozszerzyć swe stosunki, ale nie tak to łatwo obcemu. Jedna mu pozostaje droga: ogłoszenie. Ogłosił przeto,

że młody artysta, wzamian za naukę języka, pragnie udzielać lekcyi muzyki.

Z wielu amatorek, które odpowiedzi nadesłały, wybrał tylko jedną. Była to miss Maud C. Booth.

Już go samo nazwisko typowe zaintrygowało, a osóbka uczennicy do reszty zachwyciła.

Miss Maud, osoba młoda i piękna, a przytém wykształcona i utalentowana, o ile z pozorów wnosić można, zdaje się także do zamożnéj należy rodziny; a gra chyba nie gorzéj od nauczyciela. Więcéj jéj zapewne o rozrywkę i nauczyciela chodzi, niż o naukę.

W takich warunkach łatwo nastąpiło porozumienie, i umowa w kilku słowach zawartą została z obustronném zadowoleniem.

Nie ma co w bawełnę obwijać, bo cóż to dziwnego, oboje przecie młodzi, więc jakoś od razu do siebie przylgnęli, a w kwadrans byli już z sobą jakby starzy znajomi — jak w raju.

Prawda, że pan Adam wybrał ją sobie z kilkudziesięciu kandydatek, ale też bodaj że ma teraz taką, jakiéj pragnął; a jeżeli tylko przy bliższém poznaniu nie osłabi się to korzystne pierwsze wrażenie, to kto wié, co z tego wyniknie.

. . . .

Wstępna lekcya poszła zupełnie gładko. Rozmawiając lub grając, ani spostrzegli kiedy im czas upłynął. A zarówno w ich muzyce, jak i gawędce, zupełna między nimi panuje harmonia. Miss Maud, delikatniejsza czy też mniéj szczera od tamtéj, nigdy nie zaprzecza, nigdy nie oponuje, lecz przeciwnie, na wszystko się zgadza, wszystko chwali i podziwia, wszystkiego z wielkiém zajęciem słucha, cokolwiek uczeń o Europie opowiada.

Pan Adam, teraz zachwycony, nie widzi już powodu, dlaczego miałby chwalić i to, co mu się samemu złém w starym świecie być wydaje. Miss Maud nawzajem, wywdzięczając się widać za bezstronne informacye, również nie oszczędza Ameryki, a nawet otwarcie przyznaje, że i ją samą rażą niektóre tutejsze obyczaje. Przedewszystkiém nie znosi tych, co tabakę żują, i taki czuje do nich wstręt, iż za nic w świecie nigdyby swéj ręki nie oddała mężczyźnie z podobnym nałogiem.

A wspominając o tém, tak jakoś łaskawie spogląda na ucznia, że nawet i głazby uczuł dreszczyk pod działaniem takiego spojrzenia. Pan Adam więc został po prostu oczarowany. Ale i tu jeszcze niepokoi go jakaś wątpliwość. Wracając, myśli sobie: „Albo jest aniołem, albo dyplomatką”.

Widocznie jeszcze się nie zakochał po uszy, skoro rozumuje, bo prawdziwa miłość rozumować nie potrafi.

. . . .

Przeglądając raz gazetę, pan Adam znalazł w niéj dział ogłoszeń, które go swą oryginalnością mocno zajęły. Między innemi, szczególniéj jedno go silniéj zaintrygowało. Oto jakaś młoda, piękna i utajentowana właścicielka 100 tysięcy gotówką pragnęłaby w celu małżeństwa zabrać znajomość z równie młodym, przystojnym i wykształconym, bodajby ubogim mężczyzną, byleby jeździł na bicyklu.

Pan Adam posiada wprawdzie wszystkie żądane warunki, — a nawet więcéj, bo niezupełnie przecież ubogi, — mimo to jednak słabą ma nadzieję powodzenia, przewidując zbyt silną konkurencyę. Ale żeby sobie nie miéć nic do wyrzucenia, postanawia i on szczęścia swego spróbować. A nuż się uda...

Sposób ten tak mu się podobał, iż umyślił nawet także i swoje własne ogłoszenie umieścić, mniéj więcéj do innych podobne, téj treści: „Europejczyk, lat 30, brunet, szczupły, 5 stóp 5 cali wysoki, wagi 148 funtów, żadnych nieużywający trunków, ani *chew tobacco*, niegrywający w karty, ani téż żadne inne gry, przystojny, wykształcony, materyalnie niezależny, życzyłby sobie zabrać znajomość z osobą młodszą od siebie, a równie wykształconą i zamożną — a to w celu małżeństwa. Adres: *Amor— World.*"

Wahał się trochę, co prawda: czy ogłosić czy dać pokój, ale w końcu przyszedł do przekonania, że nic przecież nie ryzykuje, bo jako obcy, skompromitować się nie może, cóż zatém szkodzi pobawić się trochę w małżeństwo. W zysku zaś będzie miał, co najmniéj, sposobność mówienia i pisania po angielsku, a co ważniejsza, że pozna, bądź co bądź, ciekawy objaw stosunków amerykańskiego społeczeństwa. A zresztą — kto to wié — ręczyć trudno... Może się przypadkiem zdarzyć coś odpowiedniego... W każdym razie, chociaż słabą ma wiarę, aby taką drogą można naprawdę żonę znaléźć — jednak nie wadzi próbować.

Czekając tedy na rezultat listu i ogłoszenia, tymczasem zawzięcie się uczy z miss Annie i miss Maud.

Miss Annie, jakby przeczuwała rywalkę, coraz nań łaskawsza, už mu nawet ustępuje i nie upiéra się tak bardzo przy swém zdaniu. Ale mimo to pan Adam, chociaż zawsze bardzo uprzejmy, jednak trzyma się wobec niéj trochę sztywno. Takie zachowanie się ucznia widocznie już zaczyna ją nieco drażnić, działając podniecająco. Z każdym więc dniem silniejsze przypuszcza do niego szturmy nietylko słów-

kami i wzrokiem, ale nawet i ruchami, często ponętne przybiérając pozy.

Wprawdzie nieco swobodniejsza poza panny na kolébaczu lub kanapce nie jest nadzwyczajném i rzadkiém zjawiskiem w kraju wolności i demokracyi; ale nieoswojony z tém jeszcze pan Adam sądzi, że są to na niego zarzucane wędki. Témbardziéj więc ma się na baczności i panuje nad sobą, wiedząc już, że wszelkie zaciągnięte zobowiązania łatwo mogą być wyegzekwowane, a on wcale nie ma ochoty być do małżeństwa zmuszonym. Kto wié jednak, czy zdoła szturmy odeprzéć i twierdzę utrzymać. Nie tacy przecie, jak on, bohatérowie często kapitulują pod strzałami psotnika Amora. A pan Adam także nie należy do zbyt nabożnych, wątpić więc można czy w miłém sam-na-sam z piękną osóbką szepce pacierze, aby pokusę odpędzić; zwłaszcza, że i towarzyszka także nie klęczy, ale zgrabne nóżki swobodnie wyciąga i rączki na głowie krzyżując, w tył pochylona, lekko się na kolébaczu kolébie, a przytém ogniste, wyzywające rzuca spojrzenia. Europejczyk widocznie zaczyna mięknąć wobec tylu amerykańskich wdzięków.

Dopóki sam-na-sam obok pięknéj miss Annie siedzi, gotówby przysiądz, że nie ma nad nią piękniejszéj; skoro się jednak zacznie lekcya z miss Maud, tak samo znów nie tylko o tamtéj, lecz o całym świecie zapomina; wtedy to miss Maud jest dla niego najpiękniejszą. Kiedy jednak sam tylko z własnemi myślami zostanie, wtedy raz jedna to znów druga bierze nad współzawodniczką górę, chociaż zdaje się miss Maud nieco większe ma szanse, ale naprawdę w żadnéj się jeszcze nie zakochał, żadna nie daje mu zupełnego zadowolenia, a niby obie się podobają. I jedna i druga oślepia go swym widokiem, ale skoro mu zejdzie z oczu, płomień zaraz gaśnie i nawet wspomnienia znikają pod natłokiem nowych wrażeń.

. . . .

Wbrew opinii, jaką się powszechnie cieszą artyści, nasz pan muzyk wyjątkowo należy do ludzi niezmiernie lubiących porządek. Najmniejszy nieład, najmniejsza plamka lub ślad kurzu wprost denerwuje go. Wpoiła weń tę cnotę matka, aż do przesady systematyczna i porządna tak dalece, że to już nieomal stawało się w niéj wadą, męczącą jéj otoczenie. Pod tym względem syn nie odrodził się od matki.

Głównie też kwestya porządku wpłynęła na zmianę lokalu. Teraz jednak, przynajmniéj z téj strony, pan Adam nie może się skarżyć. Owszem, bardzo jest zadowolony ze swéj nowéj siedziby. Wprawdzie ten jego na różowo pomalowany raj to mały tylko, ale za to nader

schludny choć skromnie umeblowany pokoik. Niewiele tam miejsca; ale trudno marzyć, abyśmy nawet w raju znaleźli wszystkie warunki szczęścia. Pomimo więc, że co chwila to o stół zawadzi, to krzesło potrąci, gdy zamyślony swoim zwyczajem w wędrówkę się puszcza, jednak, ze względu na porządek, zaczyna coraz bardziéj w owym raju smakować. I nic dziwnego, gdyż jakaś troskliwa niewidzialna Ewa bardzo się jego szczęściem zajmuje. Nie brak tam nawet i nadprogramowych bukiecików. Prawie co dzień pan Adam znajduje na stoliczku świeże kwiaty, za które, naturalnie, obowiązanym się czuje swéj opiekunce, nie przypuszczając bynajmniéj, aby to *Ma* tak dalece o nim pamiętała.

Oprócz bukiecików znajdował téż i mnóstwo... szpilek. Z początku bezmyślnie podnosił je z „karpetu" i za lustrem wpinał; w końcu jednak, gdy co dzień nowe spostrzegał, zwróciło to jego uwagę. Gdyby to była jedna lub dwie, ale to jakby kto z rogu obfitości sypał, zawsze, wróciwszy z miasta, po kilka do bogatego już zbioru dołączał. Już go to nawet zaczynało trochę gniéwać, bo i to zawsze pewnego rodzaju nieład; ale w końcu tak się do tych gości przyzwyczaił, że newet czuł, jakby jakiś brak, gdy czasem mniéj ich znalazł. Niekiedy też myślał, co z tym nabytkiem zrobić, ale wreszcie i o to przestał się troszczyć. Zostawi je na gruncie, jako spuściznę dla swego następcy.

W *Thanks giving day* miss Annie zaprosiła go na obiad. Miss bardzo gościnna, szczególniéj dla swego ucznia. Tak o nim przy stole pamięta, tak mu wciąż dokłada, częstuje, różne potrawy podsuwa, jakby go chciała na cały tydzień napaść.

Pan Adam z indykiem jeszcze jako tako daje sobie radę, ale cóż on biedak pocznie z różnorodnemi przystawkami. Ile razy spojrzy na surowe pomidory, truchleje ze strachu; a sam zapach selerów dusi go jak astma. Ale dla przyjemności miss Annie trzeba się będzie zdobyć na odwagę, bo gdyby zresztą wzgardził temi przysmakami, znów by go może za dzikiego Europejczyka poczytano. Dla ocalenia więc opinii Europy, przymknąwszy oczy, zaczyna jaknajspieszniéj pochłaniać wszystko, już mniejsza o to, co, byle prędzéj. Tak samo wypada również postąpić z herbatką mléczkiem zaprawioną; ale skosztowawszy tego nektaru, widzi, że to jeszcze gorsza będzie przeprawa, niż z selerami lub kukurydzą. Zdobywa się jednak na odwagę i duszkiem całą filiżankę wychyla, jak lekarstwo. Ten czyn heroiczny przypomniał mu dziecinne lata. Ale wtedy za wypicie szklanki gorzkich ziółek mamusia zwykle 5 groszy mu płaciła,—była to już stała taksa—a kto mu teraz i czém za wypicie téj herbatki zapłaci? E, wiedziałby on

jaką sobie taksę wyznaczyć i do kogo się po wypłatę zwrócić, ale... jest ale; musi więc poprzestać na słodkich tylko spojrzeniach miss Annie, która mu ich zresztą nigdy nie szczędzi.

Pamięta jednak, że w końcu tak się do mamusinych ziółek przyzwyczaił, iż gotów był je póżniéj i bez pięciu groszy spijać. Pamięta również, że i cygaro z początku przykrość mu sprawiło, nawet podwójną, bo w dodatku i klapsy od mamusi dostał — a jednak dziś pali z przyjemnością. Może więc taka sama historya będzie z selerami i pomidorami. Obawia się tylko, że co innego dziecko, a co innego mężczyzna w jego wieku; wątpi więc, czy kiedykolwiek zdoła się pogodzić z selerami; a na myśl, że żona go będzie takiémi przysmaczkami pasła, bardzo jakoś posmutniał.

Oprócz tego, jest jeszcze jedna złego humoru przyczyna. Słyszał bowiem przez ścianę jeszcze przed obiadem jakieś podniesione głosy, a po tém trzaśnięcie drzwiami i męzkie kroki na schodach. Ztąd zrodziło się w nim niemiłe podejrzenie, iż zapewne owo całe nieporozumienie familijne stało się powodem nieobecności pana domu przy stole, co w dniu tak uroczystym, tém większego nabiéra znaczenia; zwłaszcza, że miss Annie obiecała mu przecie ojca dziś przedstawić — a tu ojca nie ma. Miss Annie z tego zapewne powodu jakoś bardzo zakłopotana, półgębkiem tylko nadmieniła, że ojciec bardzo zajęty, nie ma czasu... Wprawdzie gościnna, uśmiéchów i czułych oczek nie szczędzi, ale czuć w tém przymus.

Wszyscy jakoś nie w humorze, a szczególniéj miss Katie bardzo małomówna. Jeżeli czasem odezwie się do Mr. J. W. Book, to także jakby za pańszczyznę. Gdy więc nareszcie powstano od stołu, każdy odetchnął swobodniéj. Zaraz téż na żądanie pan Adam z ochotą zasiadł do fortepianu, kontent, że się uwolni od obowiązku rozmowy. Kiedy nareszcie i mr. J. W. Book także po swoje *banjo* poszedł, wtedy przerażony tą groźbą uczeń, pod pozorem pilnego interesu, pożegnał gościnne damy.

Gdyby nie wspomnienie selerów, które mu wciąż jeszcze drażni nos i podniebienie, gdyby wreszcie nie echo łoskotu zagadkowego trzaśnięcia drzwiami, które mu jeszcze brzmi w uszach, — byłby zupełnie na świeżém powietrzu szczęśliwy. Nigdy jeszcze nie żegnał miss Annie z taką przyjemnością jak dziś. Może, dla tego tylko jéj towarzystwo nie było mu tak miłe jak zwykle, że... nie sam-na-sam.

. . . .

Pan Adam z niezmiernem zadowoleniem odkrył jeszcze jeden talent w miss Maud. Pokazała mu bowiem kajecik pełen wycinków

z gazet. Są to własne jéj wierszyki, zdradzające nawet pewne zdolności pisarskie.

Pan Adam wprawdzie nie poznał jeszcze tak dokładnie języka, aby już mógł piękności formy odczuwać — zaledwie w stanie treść zrozumiéć — mimo to jest zachwycony poetyckiemi utworami miss Maud, co bardzo ujęło i zobowiązało autorkę. Drobne to napozór odkrycie, okazuje się bardzo doniosłem w swych skutkach.

Z jednéj strony miss Maud bardzo się cieszy, że znalazła nareszcie prawdziwego znawcę; a z drugiéj téż i uczeń niemniéj rad ze spotkania tak wszechstronnie utalentowanéj duszy. A takie zadowolenie obojga nie moglo pozostać bez wpływu na dalszy wzajemny ich stosunek; ale bardziéj zacieśniając węzły przyjaźni, zarazem poplątało je także.

Wiadomo przecie, że nawet największy gaduła może się wyczerpać, a czasem nawet i zakochanym brakuje do rozmowy wątku. Aby się przeto z téj strony zabezpieczyć, pan Adam umyślił wyzyskać świéżo odkryty talent nauczycielki. Proponuje tedy pisanie nowelki wspólnemi siłami. Nauczycielka projekt przyjmuje z zapałem i zarazby nawet rada zabrać się do dzieła. Ale o czém pisać?

— O temat nie ma kłopotu — rzecze pan Adam — Mamy go tuż pod ręką. A czyż to nasze lekcye mało nam mogą dostarczyć wątku?

— Brawo! Wyśmienita myśl! — woła miss Maud, zapalając się coraz bardziéj.—To nawet może być rzecz nader efektowna, a pomysł zupełnie świéży. Ale jakże będzie z prawem własności?—zapytuje przezorna córa wuja Sama i cioci Kolumbii. — Chyba na wspólne imię *copyright* wyjmiemy?

— O to mniejsza.

— Przepraszam, *business is business.*

— Pogodzimy się. Zgoda, wreszcie niech będzie na wspólne imię. A więc daléj do pracy. Sądzę, iż przedewszystkiém należy zrobić podział na rozdziały. I tak: w pierwszym...

— Ale, przepraszam... Dla większéj swobody działania wnoszę, iż lepiéj niech bohaterami naszéj nowelki będą jacyś inni ludzie, nie zaś my sami. Prawda?

— I tak być może. To nam przecie wcale nie będzie przeszkadzać z własnych dziejów czerpać treść do rozwinięcia akcyi.

— Obawiam się tylko, czy nasze własne dzieje nie będą zbyt w treść ubogie.

— Kto wié. A zresztą to w części tylko od nas samych będzie należéć.

— A jakież imiona damy naszym bohatérom? Może Ewa i Adam, co? Czy lubisz pan te imiona?

— Przyznam się, ze nie bardzo, chociaż jedno z nich sam noszę.

— Ach, prawda; więc nie wypada... Przecież bohatérami mają być zgoła inni ludzie. Czy tak?

— I tak i nie. Ale to w żadnym razie nie przeszkadza, zawsze wolno im używać tych samych imion. Więc zgoda: Adam i Ewa.

— A czy pan już pomyślałeś o tém, jak rzecz zakończyć: czy łzami, czy radością? Czy mamy ich także wypędzić z raju, czy téż?...

— A broń Boże. Niech pozostaną, i to nawet bez żadnych warunków lub ograniczeń i zastrzeżeń. Ale nie uprzedzajmy jeszcze wypadków. Mamy przecie treść czerpać z rzeczywistego życia, z naszych własnych dziejów.

— Témbardziéj wolałabym koniec wesoły.

— I ja także. Ale czyż zawsze można uniknąć łez?

— Nie, stanowczo nie chcę łez. Alboż mało jeszcze na świecie nieszczęśliwych; nie chcę ich liczby powiększać, nawet na papiérze. W najgorszym razie lepiéj się uciec do fantazyi.

— Musimy się liczyć z rzeczywistością, jeżeli to mają być nasze kopie. Lepiéj się zatém postarać, aby oryginały...

— Zatém mówisz pan, że w pierwszym rozdziale?...

— Zacznijmy od ogłoszenia. Może to pani zaraz zanotuje? Miss Ewa, zaintrygowana ogłoszeniem, podaje się także na kandydatkę.

— Już mam.

— Następuje spotkanie. Mr. Adam z gazetą w ręku zgłasza się do raju...

— Cóż znowu? Alboż tu raj?

— Sądziłbym...

— Ależ panie, nie mów tak głośno... Właściciel domu gotówby nam zaraz komorne podwyższyć, zamiast obniżyć. Patrz pan, jak tu zacieka, o... Może się nawet z tego powodu przyjdzie nam wyprowadzić, a nie chciałabym, żeby ktoś inny mieszkał w naszym raju utraconym, który sami stworzymy.

— Ależ tu przecie nie o panią, lecz tylko o miss Ewę chodzi.

— Prawda, zawsze zapominam, plącze mi się... Ale wreszcie nikomu bym nie życzyła raju z dziurawym dachem. Lecz mniejsza o to. Przypuśćmy tedy, iż z gazetą w ręku zgłasza się do raju. Niechże to będzie raj. Już mam. Cóż tedy daléj?

— O, to już łatwo można się domyślić. Adam przecie na widok Ewy nie mógł pozostać obojętnym. Od razu więc oczarowany jéj urokiem, bez wahania wybiéra ją z pośród całéj setki innych kandydatek — ją jedną tylko.

— Jesteś pan tego pewny? A może jednocześnie i u innych się uczy? Czyżto można ręczyć. Czasem nawet za siebie samego ręczyć trudno.

Pan Adam, nie mając czystego sumienia, nie może wytrzymać badawczego wzroku jasnowidzącéj miss Maud; wymijającą więc daje odpowiédź i wraca do przedmiotu.

— Zapewne się to w dalszym ciągu okaże— mówi zmieszany trochę, spoglądając na zégarek — a tymczasem możemy przypuścić, że grał tylko jedną partyę, z jedną królową...

— A na cóż przypuszczać tylko? Czy nie lepiéj miéć pewność? A czy i on także na zégarek patrzał wobec swéj królowéj?

— Miałem na myśli jedynie królowę w szachach. Pani, jak widzę, nie zna téj gry?

— A przed inną królową nie chciałby czoła uchylić?

— Nawet by nie mógł, jako republikanin.

— Ależ ja mówię o królowéj serca.

— Jakaż to królowa z jednym tylko poddanym?

— Czemuż tylko z jednym?

— Bo, bo... Ależ pani, trudna dziś na to odpowiedź...

— A kiedyż będzie łatwiejszą?

— Wolę odpowiedziéć zaraz, że w krainie serca najprawdziwsza republika. Tam tylko równość.

— Więc dobrze, zgadzam się... Zatém i król zdejmuje koronę i odpędziwszy liczne poddanki, poprzestaje na jednéj, równéj sobie, bo sądzę, że i równych więcéj miéć nie wolno... A pan, jak widzę, jeszcze nie pewny, czy tylko jedna...

— Ależ najzupełniéj — zapewnia pan Adam przyparty do muru, trochę się rumieniąc.

— Jeżeli tak, to zgoda. Cofam swoje żądanie równego przywileju dla królowéj. I tu i tu jeden — tak najlepiéj. Więc tedy wracamy do rzeczy. Zatém Adam zostaje Ewą zachwycony? Czy tak?

— Tak pani. Ale co zrobimy z Ewą? Sądzę, że i ona się także zakochać powinna?

— O, to może trochę zawcześnie.

— Wszak równość we wszystkiém.

— Prawda. Więc pozwalam na przypuszczenie, że się nim bardzo zajęła.

— Dla czegóż przypuszczać tylko? Czy nie lepiéj miéć pewność?

— Dobrze. Niech zresztą ma pewność. Ale przepraszam. Czy go zrobimy blondynem czy brunetem? To także bardzo ważne. Lepiéj może blondynem? A pan jak sądzisz?

Mówiąc to miss Maud badawczo spojrzała na wspólnika, chcąc się zapewne przekonać, jakie to na nim zrobiło wrażenie. Niewiele się jednak dowiedziała; myśli jego przeniknąć trudno. Uśmiéchnął się wprawdzie, ale ten uśmiéch rozmaicie możnaby sobie tłómaczyć.

— Zgadzam się — mówi pan Adam, udając obojętnego; odgadł bowiem, o co jéj chodzi. — Jeśli pani wolisz, niech będzie i blondyn. Ale w takim razie i bohatérkę także musimy zrobić blondynką, albo przynajmniéj upudrować.

— Dla czego? Czy pan nie lubisz kontrastów? Ja przeciwnie, bo właśnie różne charaktery lepiéj się nawzajem dopełniają, tworząc zupełniejszą całość. Czego jednéj stronie brak, to druga do współki wnosi.

— Lecz przy podziale zamało na dwoje. Często zbyt silne światło i cienie rażą a z pokrewnych tylko części można harmonijną złożyć całość. Woda ogień gasi.

— O, to nie chcę stwarzać pary niezgodnéj. Wolę ustąpić, ale pod warunkiem, że oboje będą bruneci.

— Przecież pani brunetów nie lubisz. Pocóż robić sobie przykrość.

— Przekonałeś mnie pan. Zaczynam już lubić.

Tu miss Maud znaczące rzuciła na wspólnika spojrzenie.

— W imieniu wszystkich brunetów powinienem się cieszyć z nawrócenia pani; sobie tu jednak nie przypisuję zasługi, bo walczyłem tylko za równość, a nie szło mi bynajmniéj o korzyści brunetów wyłącznie.

— Mimo to już szczerze się nawrócilam. Nie wszyscy jednak bruneci mogą miéć ztąd powód do radości. Przecie protestujesz pan przeciw większéj liczbie poddanych.

— Ale za to jakże szczęśliwy będzie ten jeden, którego pani wybierzesz.

— Teraz znów pan się zapominasz. Wszak tu nie o mnie, lecz tylko o naszą bohatérkę chodzi. Powiédz pan zatém: którego ona wybierze. Mojém zdaniem, powinnaby swego ucznia wybrać. Czy i pan tegobyś pragnął?

— Chyba nikt więcéj nademnie; ale pod warunkiem, że stworzymy z niéj taką postać niewiasty, któraby go zdolna była uszczęśliwić, zdolna mu stworzyć raj na ziemi, w kółku rodzinném...

— A więc do roboty, spróbujmy, może nam się uda ta sztuka. Następuje tedy rozdział drugi. Czy tak?

— Tak, pani, drugi, w którym uczeń wielkie robi postępy w odmienianiu słowa, „kochać". Od trybu bezokolicznego przechodzi już do oznajmującego „kocham" i rozkazującego „kochaj".

— A tryb łączący? Czy pominięty?

— O, bynajmniéj. Tryb łączący uważa widać za najważniejszy i pewno dla tego właśnie zostawia na ostatek. A pani może radzisz wcześniéj?

— Wcale nie. Owszem, uważam, że zanadto się zajęli nauką oznajmującego, a całkiem oboje zapominają o warunkowym. Może im przypomniéć nie wadzi?

— Nie ma potrzeby; Ewa Amerykanka z pewnością o tém nie zapomni.

— A czyż jéj pan to za złe bierzesz? Alboż nie lepiéj, że chodzi po ziemi? Czy można ją za to potępić, jeśli go ucząc trybu warunkowego, powie mu: kochałabym, gdybyś... gdybyś miał utrzymanie dla żony.

— Przepraszam, przecież to on się uczy, on więc powinien powiedziéć: „kochałbym, gdybyś choć mały miała posag". A jak pani sądzi? Czy zrobić ją posażną, czy téż zupełnie biédną?

— A czemuż zupełnie biédną? Możemy się okazać trochę hojniejszymi i wspaniałomyślnie wyposażyć, dając jéj chociaż z 5 tysięcy gotówką, a resztę po śmierci rodziców. Czy sądzisz pan, że Adam byłby zadowolony z tego?

— Zdaje mi się, że zupełnie.

— Ale od tego nie ustępuję, że i ona ma prawo stawiać warunki, bo i on koniecznie powinien miéć sam przez się dostateczny dochód.

— To rzecz naturalna. Ale tymczasem, zdaje mi się — dodał pan Adam, patrząc na zégarek — na dziś będzie chyba dosyć. Już późno. Obmyślmy sobie dobrze, jakie naszym bohatérom dalsze losy przeznaczyć; a na następnéj lekcyi pani podasz swój, ja również swój plan podam i wspólnie się potém ułoży, co lepsze. Sądziłbym tylko, że tak samo i oni powinni pisać nowelkę, bo to nam da pole do rozwinięcia więcéj komplikacyi. Ale najważniejsze rozwiązanie. Nad tém trzeba się dobrze zastanowić. Co do mnie, wolałbym, żeby całkiem pominęli naukę trybu warunkowego. Obawiam się, aby to nie nastręczyło jakich trudności w rozwiązaniu.

— A cóż im tryb warunkowy może do szczęścia przeszkadzać, jeżeliśmy jéj dali posag, a jemu odpowiednie dochody.

— Zresztą—o tém potém.

. . . .

Pan Adam czując się znużonym tą słowną szermierką, w czasie któréj dobrze się musiał pilnować, żeby go przeciwniczka nie wysadziła z siodła, usiadł w parku na ławeczce i duma, szukając treści charakteru téj kobiéty, lecz jeszcze wątku pochwycić nie może. Jest to dla niego ciekawa zagadka. Co ona czuje, co naprawdę myśli — trudno dociec. Zdaje mu się, że mimo jéj niezaprzeczonych talentów i piękności coś i między nimi także tkwi, coś, które utrudnia wzajemne porozumienie i każe wątpić czy mogliby stworzyć harmonijną całość, pomimo, że... oboje bruneci.

Próbuje w końcu przez porównanie obu kandydatek dociec zagadki, ale i tą drogą niepodobna dojść do jasnego pojęcia o każdéj z osobna. Miss Annie zdaje mu się szczerszą, ale za to nie tak dobrze wychowaną; tamta zaś nadto zręczna, aby można prawdę z głębi jéj serca dobyć. Ale bądź co bądź, obie czarujące.

Wracając, zabrał po drodze z *office*'u *World*'a odpowiedzi, jakie tam na skutek jego ogłoszenia nadeszły. Jest ich z górą 20, a między témi szczególniéj jedna zwraca uwagę. Podpis wprawdzie mu nieznany „Miss Edna O. St. Simon", adres niewiadomy „General Delivery", ale charakter pisma wydaje się nie obcym. Pan Adam głowę sobie łamie, chcąc koniecznie dociec i przypomnieć sobie: gdzie on to pismo już widział?

Z treści tego listu widać, że owa tajemnicza miss Edna, to jakaś 19-letnia brunetka, szczupła, wagi 115 funtów, 4 stopy 5 cali wysoka; posiada duże niebieskie oczy, zęby białe, włosy obfite i długie oraz kilka tysięcy w banku; przytém gra, śpiewa, maluje i wysoko ukształcona. Ludzie mówią, że piękna, ale ona sama nic o tém sądzić nie może. Ponieważ dopiéro od roku z rodzicami do New Yorku przybyła, przeto dla braku odpowiednich znajomości widzi się zniewoloną po raz pierwszy odpowiedzieć na ogłoszenie, które ją zaintrygowało, bo zdaje się odpowiadać jéj wymaganiom. W końcu prosi o przesłanie bardziéj szczegółowego opisu, a wtedy, jeśli uzna za stosowne, poda i swój adres.

Z innych odpowiedzi zaledwie parę zasługiwało na uwagę, ale i te, po bliższém sprawdzeniu, odrzucił.

. . . .

W domu zastał już także list z poczty. Jest to odpowiedź owéj właścicielki 100 tysięcy. Tymrazem jeszcze bardziéj zaciekawiony, pospiesznie rozrywa kopertę, w któréj, zamiast spodziewanego zaproszenia na schadzkę, znajduje kilka drukowanych cyrkularzy firmy Ch. G. Bigman Bros. Ma to być wielkie przedsiębiorstwo stręczenia mał-

żeństw. Firma ta zapewnia, że już z górą 5,000 zawdzięcza jéj swe szczęście, a żadne do rozwodu nie poszło. Firma więc, mając za sobą tak rozległą praktykę i długoletnie w tym *business'ie* doświadczenie, może śmiało gwarantować każdemu swemu „kostumerowi" zupełne szczęście w pożyciu małżeńskiém. Firma bowiem z niezrównaną wprawą potrafi dobiérać odpowiednie charaktery, a przytém szczęśliwą ma rękę. Nadto, zawsze posiadając w zapasie różnego gatunku towar, może tém samém wszelkie zadowolnić wymagania zarówno tych, którzy szukają posagu, jakotéż i tych, którzy gotowi poprzestać na wdziękach tylko lub cnocie. Zawsze na składzie znaleźć można najbogatsze, najpiękniejsze i najcnotliwsze różnego wieku. W końcu firma prosi o osobiste porozumienie się, w którymkolwiek bądź dniu, dodając, że we wtorki i soboty mają miejsce generalne mityngi.

Pan Adam rozczarowany i zły, mszcząc się za doznany zawód, z gniewem rzucił w piec owe cyrkularze, ale mu się znów żal zrobiło, więc je czémprędzéj ratuje z płomieni, które chciwie już zaczęły pożérać może całego życia jego szczęście. Ale nie ma powodu do rozpaczy, bo zdołał jeszcze w niedopałkach odszukać rzecz najgłówniejszą t. j. adres 4444 — 15 *ave.*—szczęście więc ocalone! Istotnie dziwny to traf. Wszystko stało się pastwą płomieni, jeden tylko maleńki kawałek jeszcze się w popiół nie zamienił, a ten właśnie zawiera to, co potrzeba. Dobry to znak. Widocznie jego szczęście ogniotrwałe.

Drobne to na pozór zdarzenie, jednak nie pozostało ono bez wpływu na umysł pana Adama. Czuje on, że to dziecińśtwo, a nie zdolny się oprzéć chętce zwiedzenia owéj cudownéj fabryki szczęścia. A może téż to jakaś tajemnicza wskazówka opiekuńczego geniusza? Czemużby nie spróbować. Wreszcie nie zawadzi przecie i z téj strony poznać życie amerykańskie.

I tak go ten cudotwórca zaintrygował, iż ciekawością zdjęty postanawia zaraz nazajutrz złożyć mu wizytę.

Staje wreszcie u wrót tego raju z kabalistycznym numerem 4444.

Dzwoni. Otwiera mu jakaś młoda panienka i tajemniczo go do maleńkiego pokoiku wprowadziwszy, zostawia samego. Kandydat tymczasem, skracając sobie chwile samotnego wyczekiwania, odczytuje na ścianie wywieszone przepisy, jak się w tym przybytku winna dziatwa hymenu zachować. Między innemi dowiedział się także, iż meeting nie może trwać dłużéj nad godzinę; oraz, że pod żadnym pozorem nie wolno drzwi samowolnie otwierać ani na korytarz wyglądać lub wychodzić; a kto chce pokój opuścić, obowiązany zadzwonić i czekać, aż się ktoś zjawi i wyprowadzi i t. p.

Pan Adam spodziewał się zastać rzęsiście oświetlone, pełne strojnych piękności salony, a tu tymczasem znajduje małe tylko celki jak w klasztorze, gdzie nawet i regulaminu klasztornego ściśle przestrzegają. Widać zawsze tylko po cierniach i głogach droga prowadzi do nieba.

Komuż to nie pilno do szczęścia! Trochę się więc i nasz więzień stanu (ale małżeńskiego jedynie) zaczyna już nudzić i niecierpliwić. Czyliż go dla tego tylko tak długo w samotności trzymają, aby lepiéj wystudyował regulamin na ścianie? Ależ on się przecie już na pamięć tych przykazań wyuczył, a jeszcze się nikt nie zjawia. Widocznie zapotrzebowanie szczęścia małżeńskiego tak wielkie, iż fabrykanci nie są w stanie wszystkim w porę zadosyć uczynić. Trudno więc, trzeba zaczekać; na każdego przyjdzie kolej; a tymczasem nie wadzi, że za przykładem niektórych innych sławnych ludzi do spełnienia tak wielkiego czynu przygotuje się umartwieniem, postem i rozmyślaniem w samotności.

Nareszcie zjawia się w całym swym majestacie pełnomocnik Kupida. Ale majestat to bardzo skromny, bo ten skrzydlaty psotnik lubi zawsze niespodzianki robić. Nikt by przecie téj małéj, suchéj i przedwcześnie pomarszczonéj figurki przybyłego nie posądził, że piastuje tego rodzaju posadę i tyle posiada zaufania u bożka miłości. Zapewne mianowany został za długoletnią służbę i szczególne zasługi, jako weteran, na model dla innych konkurentów. Istotnie pan pełnomocnik może być wzorem grzeczności i uprzejmości. A że jest jeszcze kawalerem, to nic nie znaczy, owszem, dodaje mu wdzięku. Zresztą czyż to jeden szewc bez butów chodzi.

Pan pełnomocnik tedy, powitawszy gościa jakby już starego znajomego, zapewnia uroczyście, iż żadna nie zajdzie trudność w wynalezieniu odpowiedniéj mu towarzyszki życia.

— Bądź pan spokojny — rzecze—dyskrecya zupełna; prawdziwe nazwisko tylko nam będzie wiadome, dla innych zostanie tajemnicą. Wynagrodzenie zaś nader umiarkowane. Tylko 5 dolarów wpisowego — to wszystko — a potém 50 centów za każdy meeting. W razie zaś przyjścia do skutku małżeństwa, dopłata wynosi jedynie 15 dolarów, a 25 jeżeli z dwumiesięczną gwarancyą naszą. To się każdemu zostawia do woli. Czy możesz się pan powołać na referencye dwóch obywateli?

Panu Adamowi warunki zdają się dość przystępne, boć i za zwyczajną lekcyę języka téż trzeba tyle płacić; lecz skąd weźmie referencyi? Wszak obcy, nikogo nie zna. Ale być od wrót raju sromotnie odpędzonym, dla braku tylko głupich referencyi, wcale nie ma ochoty.

Dyktuje więc dwa pierwsze lepsze nazwiska, jakie mu na myśl przyszły, płaci wpisowe i wypełnia podany mu blankiet, obejmujący różne szczegóły, osoby konkurenta dotyczące, jak wiek jego, wzrost, wagę i t. d.

Po załatwieniu tych przedwstępnych formalności, pan pełnomocnik rozkłada przed nowym członkiem téj bezwątpienia najpożyteczniejszéj instytucyi olbrzymie album, zawierające mnóstwo różnych piękności, z których niejedna dźwiga dopiéro 6 lub 7 krzyżyków.

Ale pan Adam widocznie bardzo wybredny. Z pośród bowiem takiego legionu aniołów, zaledwie kilka tylko wybrać zdołał, i to jeszcze napróżno, gdyż są to kandydatki z prowincyi; miejscowe zaś, mogąc się stawić na każde zawołanie, rzadko dają swe fotografie. Pełnomocnik radzi więc na jego doświadczeniu polegać, zaręczając, że on mu najodpowiedniejszych kilka wedle własnego uznania wybierze i meetingi zaraz pojutrze urządzi.

Na tém stanęło.

Pan Adam niecierpliwie i z pewnym niepokojem wygląda owego pojutrza w obawie, czy przypadkiem nie przyjdzie szanownemu majsterkowi ochota sprawdzenia podanych przez niego referencyi. Jeżeli się bowiem fałsz przed czasem wyda, to w takim razie nic z meetingu.

. . . .

Pan Adam, myśląc o swoich referencyach i meetingu. bardzo jakoś roztargniony podczas lekcyi z miss Annie. Chociaż więc nauczycielka dość wyraźnie daje mu do zrozumienia, że czas by już nareszcie przystąpić do wzajemnego egzaminu z nauki i stosunek ich wyjaśnić — on się jednak nie może, czy téż nie chce domyślić, o co jéj chodzi.

Stąd to zapewne ta bezskuteczność jéj zapędów i usiłowań jest powodem dzisiejszego rozdraźnienia miss Annie, która także, zwłaszcza pod koniec, zaczyna być trochę roztargnioną i coraz się częściéj na zégar ogląda, jakby coprędzéj lekcyę pragnęła zakończyć, a nawet już i na ból głowy się skarży.

Czy się nakoniec uczeń domyślił o co idzie, czy także i jemu dziś pilno — dość, że wcześniéj, niż zwykle, zabiéra się do odejścia. Tym razem miss Annie, wbrew swemu zwyczajowi, wcale się go nie stara zatrzymywać, ani téż nie przedłuża rozmowy przy drzwiach, chociaż zwykle w takiém *post scriptum* oboje zawsze mieli najwięcéj do powiedzenia sobie, a dziś przeciwnie, oboje wyraźnie unikają gawędki.

Co do pana Adama, to nic dziwnego, że się tak śpieszy, bo mu trzecie pilno na oznaczony przez majstra meeting.

Znów tedy pędzi pod ów kabalistyczny numer 4444 i drżącą ręką chwyta za dzwonek i znów tak samo tajemniczo najpierw do jednéj, potém do drugiéj celi wprowadzony, zastaje tam już jakąś damę. Przewodniczka, przedstawiwszy go jako mr. John, a damę jako miss Julia, zostawia ich w miłém sam na sam.

Nowi znajomi stanęli w osłupieniu.

Była to bowiem miss Annie.

Pierwszy wreszcie przemówił pan Adam.

— Dziwne, doprawdy dziwne spotkanie — rzekł pomieszany jeszcze.

— Wcale niespodziewane—dodaje miss.

— A czy bardzo przykre?

— O bynajmniéj. Owszem, poczytuję to sobie za dobrą wróżbę. Widocznie jesteśmy dla siebie przeznaczeni.

— Pani, jak widzę, trochę zabobonna.

— Bo istotnie, przyznać pan musisz, że to szczególne. Jestem tu przecie dopiéro po raz pierwszy i właśnie trzeba zdarzenia...

— A i ja także po raz pierwszy...

— Więc podwójnie dziwny zbieg okoliczności. Zaczynam już naprawdę wierzyć, że nie unikniemy wspólnego losu. Powiem nawet więcéj: że nie zdołamy go uniknąć.

— Czy to trochę nie za stanowcze przypuszczenie.

— To wcale nie przypuszczenie, ale pewność. Takie jest teraz moje przekonanie.

Pan Adam zamyślił się.

— Tylko się proszę ze mnie nie śmiać—mówi daléj miss—bo ręczę, że i pan już tak samo będziesz musiał uwierzyć. Bo wyobraź sobie, śni mi się... Ale co pan sądzisz o teozofii? Zresztą, mniejsza o to... Jedna z moich przyjaciółek bardzo się tą nauką zajmuje. Otóż za jéj protekcyą byłam na jednym seansie spirytystycznym. A powiadam panu, to cuda... Jakże tu nie wierzyć w duchy... Ja wierzę... pan się uśmiechasz... a ja wierzę, wierzę w tę jakąś siłę nadprzyrodzoną, która nami rządzi. Więc wyobraź pan sobie, zaraz potém w nocy i mnie się ukazuje duch mojéj jakiéjś prababki i zapewnia, że... że tak być musi— dokończyła miss z naciskiem, wyrażającym silne przekonanie.—Ale to jeszcze nie dosyć—ciągnie daléj.—Wyobraź pan sobie, śni mi się jeszcze jakiś dziwny numer 4444, a rano wpada mi w rękę ogłoszenie téj oto firmy. Czy to nie dziwne?

— W istocie, dziwne—przywtórzył Adam zamyślony.

— Ale na tém nie koniec—prawi miss, zapalając się. — Zaciekawiona, czémprędzéj szukam w gazecie adresu jakiéj wróżki — i oto

znów znajduję numer 44. Biegnę do niéj natychmiast i nic o tém nie mówiąc, pytam o swą przyszłość. A wróżka zaraz mi prawi, że niedługo wyjdę za bruneta, który o mnie myśli, ale mi jakieś dwie inne jeszcze stoją na przeszkodzie.

Pan Adam trochę pokraśniał.

— Lecz mimo to—ciągnie miss — ja w końcu zwyciężę i będę szczęśliwą, tylko żebym zawsze uważała na czwórkę, bo to moja cyfra. Przyznaj pan, że szczególne. Jakże tu nie wierzyć w nasze przeznaczenie.

— Może się ta wróżba do innego, a nie do mnie odnosi—nieśmiało wtrąca Adam.

— Jakto do innego? — przerywa mu miss pośpiesznie, jak gdyby już samém przypuszczeniem zgorszona.—A do kogóżby? To nie może być. Przecież tak mi dokładnie opisała, iż zgoła niepodobna wątpić, że to pan, a nie żaden inny. Zresztą ja...

Miss tak się zapędziła, iż gdyby się w porę jeszcze nie spostrzegła i w język nie ugryzła, byłaby bodaj wyznała, że to ona, idąc za radą przyjaciółki, codziennie upuszcza w raju owe szpilki, aby sobie wzajemność zapewnić. A przecież ludzie doświadczeni mówią, że to niezawodny środek, dlaczegóżby nie wierzyć. Ale wierząc, nie potrzeba się jeszcze do podstępu przyznawać. Nie dokończywszy więc zaczętego zdania, zwróciła rozmowę na inny tor.

— Doprawdy—mówi z wylaniem—bardzo się cieszę z tego spotkania, bo się nareszcie wyjaśni nasz stosunek, który, wyznam szczerze, już mnie zaczynał trochę męczyć. Nie mogąc się doczekać oświadczyn,—pomimo, iż dość wyraźnie dawałam poznać me uczucia i ośmielałam do wyznania nawzajem—nie wiedziałam, co mam sądzić. Teraz przynajmniéj możemy już mówić otwarcie. Ale nie bierz mi pan tego za złe, że i ja tu jestem. Dziwne jakieś przeczucie mnie tu wiodło — nie mogłam się oprzéć. Lecz ja powinnam się dziwić, że pana tu spotykam. Wy mężczyźni możecie na innéj drodze szukać szczęścia, dla was wszędzie drzwi otwarte.

— Nie dla mnie. Jestem przecie obcy.

— Prawda. Zresztą, widocznie i pana tu przeznaczenie sprowadziło. Wielu mężczyzn nie ma czasu, ani sposobności robienia stosunków; uważam więc, że to instytucya bardzo pożyteczna. Szczególniéj biédniejsze panny, nie mogąc żyć w świecie, nie mają innéj drogi. Co do mnie, wcale nie żałuję, że się na ten krok odważyłam, bo to wypadkowe spotkanie zbliży nas nareszcie. Wszak odtąd będziemy dla siebie więcéj niż zwykłymi tylko przyjaciołmi—prawda? Daj mi pan rękę—dodała, wyciągając przyjaźnie do niego swą dłoń.

— Nie taję,—rzekł w niemałym kłopocie pan Adam – że od pierwszego zaraz spotkania wywarłaś pani głębokie na mnie wrażenie; ale otwarcie muszę wyznać, iż mi się niepodobna tak prędko zdecydować. Jest to przecie krok zbyt ważny...

— Alboż to prędko? Wszak znamy się już dłużéj niż miesiąc.

— A prawie się nie znamy. Jeżeliśmy istotnie dla siebie przeznaczeni, to nas prędzéj czy późniéj nie minie. Zaczekajmy więc. Może się tymczasem wyrównają pewne niezgodności: może ja się zżyję z tutejszemi obyczajami i pogodzę z opiniami, a może téż i pani trochę się do moich zapatrywań i przyzwyczajeń nagniesz.

— Możemy czekać jako narzeczeni. Prawda? — dodała filuternie.

— Pani tak jesteś czarująca, iż radbym cię jednéj chwili nazwać moją, ale...

— Jeżeli tak, to dlaczegóż gwałt sobie zadawać?

— Już powiedziałem: rozsądek tak nakazuje. Zaczekajmy. Z dniem nowego roku zacznie się czwórka, w którą pani tak wierzysz. Niechże więc ten dzień los nasz rozstrzygnie. Wtedy powiem: albo — albo...

— Ach jakże tu duszno... Przejdźmy się do parku... Tak piękny wieczór...

I nie czekając na odpowiedź, zadzwoniła.

Teraz miss Annie tak piękna jak nigdy, tak piękna, że nawet i on już także zaczyna uczuwać jakąś duszność, a wkoło siebie widzi tylko mnóstwo czwórek, które go tak silnie ku niéj ciągną, iż oprzéć się im trudno...

Wszak życie tak krótkie, każda chwila tak droga, czemuż więc opóźniać szczęście?... To znaczy okradać samego siebie...

I drżąc, z zapałem porywa jéj rękę...

W téjże chwili raptem czwórki zmieniają się w kukurydzę i pomidory, zalatuje go zapach selerów, na języku uczuwa gorycz niby gotowanéj herbatki z mlékiem, a w uszach huczy mu złowrogi łoskot trzaśnięcia drzwiami.!.

I oto w stanowczéj chwili brak mu odwagi, gorące słowa wyznania miłości dozgonnéj więzną mu w gardle, a natomiast znów powtórzył zagadkowo: W nowy rok.

. . . .

Jeżeli żadnych nie ma względem miss Annie zamiarów, to postępowanie jego co najmniéj nieszlachetne. Czemuż łudzić? czemuż

nie powiedzieć otwarcie: „Nie chcę ciebie, nie trać czasu, szukaj sobie innego.”

Ale co prawda, on sam jeszcze dobrze nie wie, jakie ma zamiary. Przyparty do muru, gotów był raczéj powiedziéć: nie; ale mu teraz trochę znów owo przeznaczenie szyki poplątało, a przytém żal mu jéj. Bo jakże tak wprost odepchnąć kobiétę, która się sama w ramiona rzuca. Zresztą, nie można powiedziéć, żeby mu zupełnie była obojętną, zwłaszcza teraz.

Ale czy ona szczerze, z dobrą wiarą mówi o przeznaczeniu, czy téż chce tylko w niego wlać to przekonanie i tym sposobem wywierając nacisk, skłonić do oświadczyn? Tak pyta sam siebie, ale żadnéj nie może na to znaléść odpowiedzi.

Lecz bądź co bądź, pomimo nawet téj wątpliwości, historya o czwórkach silne zrobiła na nim wrażenie zwłaszcza, gdy sobie inne dziwne okoliczności przypomniał, szczególniéj cudowne owych czwórek uratowanie z płomieni, a w końcu niespodziewane spotkanie.

Wszystko to wydają mu się rzeczy tak niezwykłe, iż gotów wreszcie uwierzyć w przeznaczenie. Choć niby uśmiecha się lekceważąco z zabobonu, a jednak nie może się pozbyć téj myśli i coraz się bardziéj z nią oswaja, ale zarazem i przeciw niéj buntuje. Gniewa go bowiem już samo przypuszczenie, iżby człowiek miał być istotą tak słabą, jak niewolnik, jak ślepe narzędzie zależną od widzimisię jakiéjś tajemniczéj siły. Wielka więc bierze go chętka wypłatać figla i właśnie zrobić na przekór duchowi owéj jakiéjś tam cioteczném prababci i téj despotycznéj czwórce, któréj się zachciewa rządzić losem ludzkim. Tu mu jednakże zaraz stają na myśli liczne przykłady z historyi, że mimo usiłowań stawiania przeszkód, wróżby się jednak musiały spełnić.

Tak np. powiedziano jako pewien rycerz zabije 100 nieprzyjaciół, ale zabił tylko 99 i zginął sam. Już dużo upłynęło czasu od śmierci, kiedy zwycięski wódz, naśmiewając się z przechwałek przeciwnika, z pogardą kopnął walającą się na piasku czaszkę zabitego, przyczém jednak tak się w nogę skaleczył, iż z téj rany umarł, dopełniając przepowiedzianéj liczby 100.

Tak samo, kiedy księciu ruskiemu Olegowi przepowiedziano, że wierzchowiec, na którym zwykł jeździć, stanie się przyczyną jego śmierci, książę śmiał się z téj wróżby, a jednak, chociaż już nigdy tego konia nie dosiadł, z jego przecież umarł przyczyny.

I wiele jeszcze innych tym podobnych przykładów stawało mu w pamięci. Ale uparty pan Adam, pomimo takich dowodów, że nikt się nie zdoła swemu przeznaczeniu oprzéć, bądź co bądź postanowił

zrobić i babce i czwórce na przekór i właśnie nie protegowanéj przez nią miss Annie, ale przeciwnie, miss Maud decyduje się oświadczyć.

Być może, iż ta chęć przekory przyśpieszyła ową decyzyę, ale główna jéj przyczyna, zdaje się, leży gdzieindziéj, mianowicie w tém, że tamta bardziéj jakoś pociąga. O ile miss Annie sama się rzucając w objęcia, studzi w nim zapał, o tyle znów miss Maud, powstrzymując go w zapędach, silniéj drażni—i właśnie to umiejętne powstrzymywanie dało jéj przewagę nad rywalką. Zresztą jest ona zręczniejsza, może nawet piękniejsza, a zapewne i bogatsza, bo wspomniała coś przecie o 5,000 posagu. Miało się to wprawdzie odnosić tylko do bohatérki noweli, ale czyż ta nie jest kopią oryginału? Jakżeż to rozumiéć?

Tak więc następna lekcya ma losy rozstrzygnąć. Wtedy okaże się, kto silniejszy: czy babka i czwórki razem ze szpilkami, czy téż chęć przekory Adama.

. . . .

Miss Maud jakoś tym razem wydaje się nieco poważniejszą. Jest wprawdzie dość dla ucznia łaskawa; nie tyle jednak, ile uczeń dla niéj.

— A więc następuje ciąg dalszy — mówi pan Adam. — Jakiż tedy pani plan osnułaś? Jakie losy przeznaczasz naszym bohatérom?

— Panu zostawiam pierwszeństwo. Proszę zaczynać. Więc tedy?...

— Skoro pani pozwalasz, niech i tak będzie. Otóż, jak to już powiedziałem, koniecznie ich wypada uszczęśliwić.

— Czy to pańskie było zdanie? Mniejsza o to, podzielam je.

— Bardzo się cieszę, témbardziéj, iż leży to przecie w naszym własnym interesie, skoro mamy treść osnuć na... własnych dziejach.

Miss Maud nic nie odpowiedziała. Na chwilę zapanowało milczenie. Miss bawi się, zwijając w palcach róg serwety, a wspólnik odchrząkuje i palące rzucając spojrzenie, przysuwa się bliżéj.

— A więc cóż, podług pana, potrzeba im do szczęścia? — pyta nareszcie miss, odsuwając się z krzesłem.

— Zapewne i podług pani... połączenia... To przecież główny warunek szczęścia...

— A więc następuje rozdział trzeci — mówi nauczycielka, bardziéj się odsuwając. — Dyktuj pan.

Pan Adam zamyślił się.

— Adama niepokoi to bardzo, — mówi po chwili milczenia — iż Ewa nie dała mu jeszcze sposobności poznać swéj rodziny.

— To rzecz obojętna. Ona tu przecie główną gra rolę; jak ona powie, tak będzie. Tego nikt nie odmieni.

Wspólnik spojrzał trochę zdziwiony.

— Nie chodzi tu o odmianę, ale sądziłbym, że i rodzina także coś znaczy. Zresztą, mniéjsza o to. Tymczasem możemy pominąć ten szczegół. Idźmy daléj. Otóż tedy Adam, niepewny jeszcze Ewy, a bardziéj dla zabawki, odważył się ogłosić, że... że poszukuje żony...

Miss Maud, przestawszy zwijać róg serwety, przelotne rzuciła na ucznia spojrzenie.

— Między wielu innemi — mówi uczeń daléj i dobitnie, z naciskiem każdy wymawiając wyraz, nie spuszcza oka z nauczycielki — szczególniéj jedna oferta uwagę jego zwróciła. Podpis mu wprawdzie nieznany, jakaś miss Edna O. St. Simon....

Miss Maud, nie odrywając już oczu od swéj bezmyślnéj pracy, uśmiechnęła się, ale jednocześnie i rumieniec lekki wystąpił na czoło.

— Charakter jednak tego pisma — ciągnie pan Adam — chociaż widocznie zmieniony, wydaje mu się jednak nie obcym. Jako téż w końcu przez porównanie doszedł, że to istotnie ręka Ewy... Bardzo go to odkrycie dotknęło. Sądził bowiem, że już posiada jéj serce, a ona tymczasem innych jeszcze szuka znajomości...

— A nie jestże panią swéj woli?—pyta miss Maud, zapalając się trochę. — Czy mu już dała słowo? Czy już narzeczoną? O ile mi się zdaje, to nawet jeszcze nic o swych zamiarach nie wspomniał, więc skądże ma prawo krępować jéj swobodę? A przytém, jeśli to zbrodnia, to przecież i on taką samą popełnił. Mówisz pan, że tylko dla zabawki ogłosił. Przypuśćmy, że i ona podobny cel miała. Zresztą, czyż mogła się na nim ubezpieczać? Przecież to chyba wystarczyć jéj nie mogło, że dla żartu uczyła go słowa „kochać". Skądże więc on do tego przychodzi? Jesteś pan niesprawiedliwy.

— Przyznaję, ale z tém jednak zastrzeżeniem, że nie ja, lecz Adam popełnił tu niesprawiedliwość. Widocznie podrażniony, nie zastanowił się, że i on sam tu równie winny, utracił prawo do zarzutów.

— Prawa tego nigdy nie miał—poprawia miss—ani téż nie znajduję winy po żadnéj stronie. Oboje niezależni, mogli więc robić, co im się podobało.

— Ewa dobrego znalazła w pani adwokata. Dowodzisz pani bardzo logicznie, ale...

— Jakież ale?

— Kwestya już zdaje się wyczerpana. W każdym razie możemy ten epizod użyć w nowelce. Głosuję nawet za ukaraniem Adama, bo tym razem nie Ewa dała przyczynę do złego. Dajmy na to, że oka-

zuje skruchę z obietnicą więcéj niegrzeszenia. To zapewne złagodzi pokutę i nie spowoduje wypędzenia z raju. Stąd nawet powinno wreszcie nastąpić wzajemne między nimi porozumienie, a może już wtedy oboje lepszych nabędą praw do siebie. Cóż pani na to?—dodał, z zapałem chwytając rękę nauczycielki.

— Ja sądzę—rzekła miss Maud, wcale jakoś ręki nie cofając—że co do mnie...

Wtém rozległ się w sieni ostry głos dzwonka.

— Ach, przepraszam—dodała, powstając—mamy nie ma, muszę zobaczyć... I wyszła pośpiesznie.

Pan Adam tymczasem, zostawszy sam, rozgorączkowany, rozmarzony, wstał i przechadza się z ręką u czoła. Przystanął wreszcie, głowę na szybie opiéra, jakby dla ochłody, a po chwili znów się puszcza w dalszą podróż naokoło pokoju. Zatrzymuje się przy trochę uchylonych drzwiach sąsiedniéj sypialni i zagląda tam przez szparkę. Jest to bezwątpienia wielka niedyskrecya z jego strony, to prawda; ale on teraz tak wzburzony, iż nie wié chyba sam, co czyni. Zresztą nawet i w każdym innym razie pokusa by to była zbyt silna.

Gdyby każdy narzeczony mógł tak niespodziewanie zajrzyć do sypialni swéj bohdanki, byłoby niezawodnie mniéj na świecie nieszczęśliwych małżeństw i rozwodów.

Ale pan Adam, wcale nie rozumując w téj chwili, bezmyślnie drzwi bardziéj uchyliwszy, zajrzał do głębi panieńskiego *sanctuarium*. Musiał tam jednak coś bardzo niemiłego spostrzedz, bo jeszcze prędzéj głowę cofa i drzwi śpiesznie przymyka, a taką ma w téj chwili minę, jakby z zimnéj a niespodziewanéj kąpieli wyskoczył. Niezmiernie kwaśny, znów rozpoczyna spacer po pokoju, a tymczasem zjawia się téż i miss Maud.

— Jeszcze raz pana przepraszam—mówi, siadając — zatrzymały mnie tam drobne sprawy domowe. Więc tedy na czém stanęło? Aha, dobrze. Adam oświadcza się Ewie...

— Zdaje mi się, iż niedokładnie pani myśl moją pojęłaś -- przerywa wspólnik, usiłując pokryć zły humór. — Wszak to dopiéro bohatér nowelki taki zamiar powziął.

Miss Maud spojrzała jakby zawiedziona i żdziwiona nietyle słowami, ile ich tonem. Dostrzega jakąś zmianę, ale przyczyny jéj odgadnąć nie może. Bardzo ją to obeszło i podraźniło trochę.

— Tém lepiéj — mówi złośliwie — że mu pan więcéj zostawiasz czasu na naukę trybu warunkowego.

— Jak to pani rozumié?--pyta sucho.

— Że ona go wręcz powinna uprzedzić: kochałabym, gdybyś... gdybyś mnie np. zapewnił, że się zawsze ładnie będę mogła ubrać...

— Cóż daléj?—znów pyta uczeń z uśmiechem ironicznym.

— Że nie będziesz wymagał—kończy miss – abym sama gotowała, szyła...

— A to piękna mi żona – przerywa uczeń dość szorstko, nie mogąc już utaić rozgoryczenia. — Zdaje mi się, że tylko służąca warunki stawia, gdy się do służby godzi, ale nigdy żona, która ma dzielić los, przyjmując to co będzie.

— Czy nasi bohatérowie mają być Europejczykami? – wtrąca pośpiesznie miss Maud, także już rozdrażniona.

— W żadnym razie nie z gminu. Sądzę przecie, że i na téj półkuli w lepszych zasadach wychowana kobiéta nie sadza męża do kozy za to, że jéj nie może dawać na utrzymanie tyle, ile by chciała.

Miss Maud przycięła wargi.

— Ale pozostaje jéj jeszcze rozwód—mówi z naciskiem.

— Kobiéta, która, oddając swą rękę, z góry już o rozwodzie myśli, ani sama nie może być szczęśliwą, ani téż niezdolna uszczęśliwić nikogo. Szczere i czyste uczucie nie rachuje.

— A podług mnie, większém jest uczucie rachujące, bo trwalsze. Los nas ludźmi stworzył i na ziemi żyć kazał.

— Można żyć na ziemi, a jednak nie karmić się wyłącznie beefsteak'iem. Są przecież i lepsze rzeczy.

— Ale beefsteak bodaj że najpożywniejszy.

Miss Maud coraz bardziéj traci dotychczasową równowagę i mimowoli uchyla brzeg maski.

— Zdaje mi się — przerywa już zniecierpliwiony wspólnik — iż stanęliśmy na przeciwnych biegunach. Pusta słowna szermierka do żadnego nas chyba nie doprowadzi porozumienia.

— I ja tak sądzę.

— Tém lepiéj. Wróćmy więc do przedmiotu. Racz pani notować. Zaproponuję już zakończenie naszéj nowelki.

— Już? Ciekawam.

— Więc tedy Adam w zapale już... już się ma oświadczyć, już z uniesieniem pochwycił rękę Ewy, a wtém, na szczęście, dał się słyszéć dzwonek w sieni...

— Nie, nie pojmuję. A jakiż to może miéć związek z rozwiązaniem intrygi?—pyta naprawdę ździwiona i zaciekawiona miss Maud.

— O ma, nawet wielki związek.

— I to na szczęście do tego? Zaciekawiasz mnie pan témbardziéj.

— Zaraz się to wyjaśni.

— Słucham.

— Otóż Adam pozostawszy sam, przechadzając się, mimowoli, bezmyślnie rzucił okiem do przyległego pokoju.

Miss Maud niespokojnie spojrzała na drzwi.

— Ale niezupełnie jego to wina — mówi dalej uczeń z pewnego rodzaju zadowoleniem — bo czemuż Ewa tak jest roztargniona i drzwi zostawia uchylone. Taki raj powinna przecie choć na trzy klucze zamykać, aby się tam żadne ludzkie oko nie wdarło. Skoro zaś była tyle nieostrożną, niechże się teraz rumieni, że zbyt może ciekawy Adam dojrzał tam...

Miss Maud szkarłatem oblana, w papiér wzrok nieruchomo utkwiła, a piórem ust drżących dotyka, jakby się nad odpowiedzią zastanawiała.

Tymczasem nielitościwy wspólnik pastwi się dalej nad swą ofiarą.

— Ale rzućmy lepiéj zasłonę — mówi — na ten piękny realistyczny obrazek, gdzie do zupełnego nieładu brakowało już tylko rozrzuconych resztek pożywnego beefsteaku. Adam doznał takiego uczucia, jakby zgryzł cukierek pełen goryczy. Zapał, który go jeszcze przed chwilą byłby na kolana rzucił, teraz znikł zupełnie, pozostawiając tylko niesmak zawodu. Chociaż było to może okrutném z jego strony, nie mogąc się jednak oprzéć pokusie, podyktował to Ewie, jako zakończenie nowelki. Zawstydzonéj, rumieńcem oblanéj, łzy w oczach stanęły, a on jednak odszedł, aby już nigdy nie wrócić. Tém lepiéj, bo prędzéj czy późniéj byłby z takiego raju uciekł niezawodnie...

— Dosyć, dosyć, panie — odzywa się nareszcie miss Maud, powstając.

— Mówimy tylko o bohatérach nowelki, nie o sobie.

— I ta maska chroni pana. Ale porzućmy komedyę, bo jéj pan nadużywasz. Pod maską jesteś pan zbyt śmiały i otwarty, zbyt złośliwy...

— I bez serca — dorzuca wspólnik, biorąc za kapelusz.

— Tego może nie powiem, ale nadto mściwy. Bądź co bądź, pod adresem Ewy dostałam dobrą nauczkę. Teraz, zapomnijmy już o niemiłém zajściu, zapomnijmy czém jeszcze przed chwilą byliśmy dla siebie, a czém możebyśmy byli, gdyby... gdyby dzwonek w porę nie przeszkodził... Ale nie przeszkodzi nam przecie zostać dobrymi przyjaciołmi, bo do tego chyba mniéj jest koniecznym... porządek. Nieprawdaż? A zanim się zdołam z wad moich poprawić—dodała, odbierając mu kapelusz —tymczasem zostań pan chwilę jeszcze... Zagramy na

pożegnanie naszych marzeń i złudzeń... naszych nadziei... może marsza Chopina?... bo mi jakoś smutno... smutno żegnać. .

Pan Adam, zaskoczony tak nieoczekiwaném zakończeniem téj sceny, spostrzegł nareszcie, że zadaleko gniéw go uniósł; że znalazł się poprostu jak człowiek bez wychowania, gorzéj, bo wprost jak nikczemny. Zresztą on znał dotychczas miss Maud jako kobiétę piękną tylko, czarującą, utalentowaną, a teraz dopiéro widzi przed sobą po raz pierwszy kobiétę z sercem... Z tamtą mógł walczyć, a przed tą się korzy i rumieni. Teraz on z kolei stoi zawstydzony, zakłopotany, nie wiedząc, co z sobą począć, jak winę swą naprawić.

— Przebacz mi pani—odzywa się wreszcie z pokorą zwyciężonego buntownika — przebacz chwilę zapomnienia w uniesieniu. Był to z méj strony szalony wybryk, za który mnie pani słusznie ukarałaś swojém tak pełném godności i taktu zachowaniem się. Doprawdy, wolałbym policzek.

— To już minęło.

— O nie, pani. Mógłbym cię może zapomniéć taką, jaką byłaś dotychczas, ale nie taką, jaką mi się teraz przedstawiasz. Nigdy nie przestanę robić sobie wyrzutów, żem mógł być tak śmiały...

— Panowie Europejczycy to wielcy entuzyaści. Łatwo wpadacie z ostateczności w ostateczność. Przed chwilą byłeś pan...

— Tak, masz pani słuszność, byłem okrutny i niesprawiedliwy...

— Przecież odkrycie pańskie było rzeczywistością.

— Prawda; ale byłbym je może pominął, gdyby nie kilka zdań pani, z których wywnioskowałem, iż mój przyjaciel miał słuszność, zapewniając mnie, że w Ameryce kwiaty nie pachną, ptaki nie śpiewają, a kobiéty nie kochają. Sądziłem więc, że i pani nie masz... serca.

— I to pana zrobiło tak okrutnym?—rzekła wesoło miss.

— Tak pani, to; bo czując się zawiedzionym, zapragnąłem zemsty... A teraz widzę, że to tylko ja nie miałem... oczu.

— A jednak dostrzegłeś pan... nieporządek.

— Wolałbym go wcale nie widziéć.

— W takim razie może nie miałbyś téż i sposobności zobaczenia... serca. Ale dajmy już temu pokój. Powiedziałeś pan tylko prawdę, może trochę przykrą, ale zawsze prawdę. Zresztą, nie ma czego żałować, bo oprócz zasłużonéj nauczki, został nam stąd w zysku wyborny temat do nowelki, którą na tém tle spróbuję napisać. Spodziéwam się, że nam przyniesie sławę i dolary, bo *copyright* na wspólne imię, nieprawdaż? Oboje zrobimy *business*. A tymczasem, proszę,

zagraj pan jeszcze coś swego ukochanego Chopina... Ja go tak lubię... gdy pan grasz.

Posłuszny uczeń grał dziś wybornie, z takiém przejęciem, jak nigdy. Całą swą duszę wylewał w tonach. Miss Maud z równém przejęciem słuchała. Chopin dziś bardziéj, niż kiedykolwiek, do niéj przemawia.

— Dziękuję panu—mówi, podając rękę na pożegnanie. — Nie pamiętam, czy mi kiedy muzyka tyle sprawiła rozkoszy i... może ulgi. Chopin zawsze piękny dla ucha, ale dopiéro dziś przemówił do duszy, może dlatego, że pan grałeś Dziwni wy ludzie. Czy mogę miéć nadzieję, że jeszcze kiedyś znów posłyszę? Przyrzekasz mi pan?

— Raczéj czy pani pozwolisz...

— O, przychodź pan zawsze, kiedy będzie... smutno i zagraj wtedy Chopina.

— A nigdy nie wolno mi przyjść wesołym? nigdy z nadzieją?

— O i owszem. Przychodź pan, kiedy zechcesz. Obecność pańska wkrótce będzie nawet konieczną. Musimy przecie odczytać wspólną naszą pracę. Ale czy mogę pana prosić o zwrot listu? — dodała z uśmiechem. — Sama go wręczę miss St. Simon. Jest to moja dobra przyjaciółka. Proszę, przynieś go pan.

. . . .

Pan Adam teraz gotów się naprawdę rozkochać w miss Maud. Widać, że owo coś, które mu dotychczas przeszkadzało, był to tylko brak rzeczy najpotrzebniejszéj do miłości prawdziwéj -- brak serca. Teraz, kiedy posłyszał jedno tylko cieplejsze słówko, pod działaniem tego ciepła miękki już jak wosk, zaczyna marzyć o nieobecnéj. Już nawet aż dwie lekcye opuścił u sąsiadki, która z tego powodu gorzkie robiła mu wyrzuty, gdy ją raz na schodach spotkał. Wydała mu się jednak raczéj obrażoną i zagniewaną, niż stęsknioną i zmartwioną jego niedbalstwem; ale musiał jéj przyrzec poprawę.

Naturalnie, wypada pójść, lecz go ta wizyta dziś wcale nie nęci. Jakaż to rażąca różnica. Miss Annie teraz pod żadnym względem nie wytrzymuje porównania z rywalką.

Tymczasem śni mu się, że jakaś olbrzymia czwórka woła go, by szedł za nią On nie chce; opiéra się, ale czwórka jednym ruchem powala buntownika, piersi gniecie, za gardło dusi, a potém nałożywszy mu pęta na ręce i nogi, daje sygnał. Zlatuje się całe stado czwórek Posłuszne skinieniu olbrzyma, porywają więźnia jak proch marny i niosą go gdzieś w pustynię. Nareszcie są u celu. Na wyniosłym tronie

z czwórek zbudowanym siedzi miss Annie. U jéj stóp ofiarę składają i, założywszy obrożę na szyję, do tronu przykuwają.

Rano przebudził się zmęczony, z wielkim bólem głowy, i przeklinając senne mary, na złość czwórkom, poszedł wprost do miss Maud z mocném postanowieniem naprawienia złego. W drodze jednak, kiedy go świéże owiało powietrze, znów mu różne myśli przychodzą do głowy i skoro sobie lepiéj postępek swój rozważy, nie ma odwagi tam pójść. Prawda, że mu w pierwszéj chwili przebaczyła, ale jak go teraz przyjmie? O, lepiéj list przez pocztę odesłać i zapomniéć. I długo się wahał, w końcu jednak postanawia—co będzie to będzie — wręczyć go osobiście.

Miss Maud przyjęła go wprawdzie uprzejmie, nawet dość serdecznie, a jednak—wydaje mu się inną, niż dawniéj.

— A, dobrze, że się pan nareszcie zjawiasz, — wita go zadowolona—bo już skończyłam Będziemy teraz czytać nasze arcydzieło.

— To szkoda. Ja właśnie przynoszę nowy projekt rozwiązania.

— Czy tak? O, to jeszcze nic straconego. Jeżeli efektowniejszy, możemy przecie zmienić. Ja wiernie spisałam tylko prawdę; jedynie właśnie przy końcu odstąpiłam od niéj, poświęcając dla efektu. Ale ciekawam, jaki znów pański projekt?

— Przedewszystkiém trzymać się ściśle pierwotnego założenia, uczynić bohatérów szczęśliwymi. A sposób tak prosty: Adam, odkrywszy w niéj nareszcie nieprzebrane skarby serca, poznaje swój błąd i prosi o rękę.

— Aby potém uciec z takiego raju — dodała miss Maud z uśmiechem.

— Nigdy!

— A przecież lubi porządek.

— Ale Ewa nauczy się téj cnoty.

— Kto wié. Nie tak to łatwo przyzwyczajenia swe zmienić. Ale przyznam się panu, że i ja także w podobny sposób zakończyłam.

— Czy być może?—odzywa się pan Adam uradowany. — A więc jedna teraz myśl kieruje nami! Zatém jest nadzieja? Czy można jeszcze złe naprawić?—dodał, zbliżając się ku miss Maud.

— Mówmy otwarcie — mówi miss, powstrzymując go wejrzeniem. — Wybrałam takie zakończenie, ponieważ wydaje mi się efektowniejszém, zresztą czytelnik lubi koniec wesoły. Ale co innego nowela, a życie rzeczywiste. Przyznam się panu, że i o tém już myślałam, czy nie dałoby się teraz oryginałów zastosować do kopii; lecz po głębszém zastanowieniu przychodzę do wniosku, że nie moglibyśmy pójść z sobą w parze, pomimo całéj sympatyi z méj strony. Takie jest

moje szczere dziś przekonanie. Może się mylę, ale musimy przecie słuchać tego głosu. Jakże podawać komuś rękę bez wiary w szczęście z nim. Pan sam powiedziałeś przecie, że żadna ze stron nie może być wtedy szczęśliwą.

— I skądże ta niewiara?—pyta pan Adam wzruszony.

— Poprostu stąd, że pan z innego, ja z innego świata. Możemy się zrozumiéć przy fortepianie, ale zawsze wsłuchiwać się w Chopina niepodobna. W życiu mogłaby się zepsuć harmonia. A zresztą, przyznać się panu muszę, że już dziś zapóźno o tém mówić. Oto jest mój przyszły mąż—dodała, wskazując na fotografię.

— Czemuż mi pani o tém wspominasz? — rzekł z wyrzutem pan Adam.

— Abyśmy się nie łudzili. Najzdrowiéj żyć rzeczywistością. Bezwątpienia, to człowiek pod każdym względem od pana niższy, zwyczajny tylko *businessman*...

— Czy także *chew tobacco* używa? — wtrącił złośliwie pokonany rywal, znów tracąc równowagę, trawiony zazdrością.

Miss Maud uśmiechnęła się.

— Tak, panie, — mówi — nawet i od tak brzydkiego nałogu nie wolny. Jest przytém niepospolitym bokserem i zwolennikiem wszelkiego sportu, ale za to gotów zasnąć podczas najpiękniejszéj symfonii. Mimo to, mam nadzieję łatwiéj się z nim porozumiéć. . bo Amerykanin.

. . . .

Rzecz dziwna, pan Adam wcale jakoś nie rozpacza. Gdyby miss Maud wzgardziła nim wprost i tém podrażniła jego miłość własną, byłby się może czuł bardzo nieszczęśliwym. Ale ona przyznała mu przecie wyższość, nawet przyznała poniekąd, że go lubi, więc miłość własna nie została wcale draśniętą, a tém samém nie ma z téj strony żadnéj zgoła podniety do ubiegania się o postawienie koniecznie „na swojém”.

Zresztą miss Maud na chwilę go wprawdzie porwała, ale zahipnotyzowany już się przebudził. Cieplejsze słówko w ustach téj pięknéj kobiéty rozgrzało go; byłby się jak wosk rozpłynął; ale znów strumień zimnych jéj argumentów zgasił te płomienie w zarodku. Miss Maud znów ukazuje się w dawnéj swéj szacie: znów ta sama piękna tylko i utalentowana, ale już nie porywa; nęci oko, podnieca może i czaruje swą urodą, zajmuje dowcipem, zadziwia talentami, ale już do duszy nie przykuwa; już znów chłodem wieje.

Pan Adam, ostudzony zupełnie, odszedł bez zazdrości nawet, bez żalu.

Jakżeż ona teraz w jego oczach traci, nawet w porównaniu z miss Annie. Ta przynajmniéj nie rozumuje, nie filozofuje, nie przewiduje, a choć może nie szaleje z miłości, ale za to mówi wprost: bierz mnie, bośmy dla siebie przeznaczeni, bo wróżka tak powiedziała, bo... bo ja chcę wyjść za mąż... bo cię kocham...

I zdaje mu się teraz, że w téj otwartości więcéj może tkwi treści, niż w rozumie tamtéj. Zaczyna już nawet w przeznaczenie wierzyć. Znów mu na myśli staje ów książę Oleg i ten rycerz, co nawet po śmierci dopiéro setnego nieprzyjaciela zabił, aby dopełnić przeznaczenia... Śmieje się z tego, a jednak myśl o przeznaczeniu wciąż upornie wraca i pokoju mu nie daje, czyniąc wyrzuty, że samochcąc szczęście odpycha.

Zaczyna wreszcie coraz się bardziéj oswajać z zamiarem poślubienia miss Annie. W końcu nawet przychodzi do przekonania, że z nią byłby szczęśliwym. Jeden go już tylko wzgląd powstrzymuje od zrobienia stanowczego kroku, mianowicie obawa, czy i ona przypadkiem nie jest wrogiem porządku. Raz sparzony, lęka się działać na oślep; ale jakże to zbadać? Traf tylko mógłby mu znów dać na to odpowiedź, ale czyż można czekać na to. Czasem téż przypomina mu się owo trzaśnięcie drzwiami, ale może to niesłuszne podejrzenie tylko... Bądź co bądź, postanawia w dzień nowego roku dać jéj najpożądańsze pewno „*Happy new year*".

. . . .

Nieraz się nasz kosmopolita szeroko w domu rozwodził, że byłoby może najlepiéj znieść wszystkie narodowe zwyczaje, bo te znamiona odrębności gmatwają stosunki, opóźniają postęp bardziéj niż różnice językowe, przeszkadzając do zlania się ludów w jedną wspólną rodzinę. Dziś jednak im bliżéj wigilii, tém jakoś smutniéj i ciężéj mu na duszy, tém dotkliwiéj uczuwa on teraz brak drogich mu osób, a myśl rwie się w strony ojczyste...

I coraz częściéj w głęboką wpada zadumę, a łza mu się do oka ciśnie na wspomnienie, że i oni tam dziś bez niego do stołu zasiądą... że jedno miejsce próżném pozostanie... a on tu również bez nich, sam jeden wśród obcych, sam tylko jak kołek, po raz pierwszy w życiu nie będzie się miał z kim opłatkiem rozłamać, ani nawet i opłatka nie ma.

Ha, co innego, widać, teorya, a co innego znów życie.

Nadszedł wreszcie dzień wigilii...

Rano, jak zwykle, pan profesor podążył na lekcyę; ale nie mogąc sobie miejsca znaléść i w domu usiedziéć, wyszedł nieco wcześniéj. Chodząc po ulicach bez celu, przysiadł wreszcie na ławeczce w parku. Nogę na nogę zarzucił, brodę na ręku oparł i tak smutny duma, bezmyślnie patrząc na tłum uwijających się ludzi.

Raptem zdało mu się, że wyraźnie słyszy kolendę:

„W żłobie leży, któż pobieży
Kolendować małemu...“

Drgnął; machinalnie oczy zwraca w stronę skąd melodya doleciała jego uszu... Może to przywidzenie tylko... Ale nie. Widzi, wolnym krokiem sunie jakiś starzec i, nie spuszczając zeń oka, gwiżdże sobie ową kolendę. Spotkały się ich spojrzenia. Starzec uśmiécha się i także na ławce obok siada, a wciąż na sąsiada patrząc, znów zaczyna półgłosem nucić:

„Gdyby orłem być,
Lot sokoli mieć,
Lotem orlim lub sokolim...“

Pan Adam nerwowo się poruszył; spojrzał na śpiéwaka i oczy znów w ziemię spuszcza, jakby zawstydzony. Starzec tymczasem zażywszy tabaki, podsuwając rożek sąsiadowi, zagaduje po polsku: „Piękny dzionek, ciepło jak w lecie”.

Pan Adam odpowiada po angielsku:

— *I don't understand what you say...*

Ale pokraśniał i chcąc ukryć wzruszenie, odszedł śpiesznie, zostawiając zdziwionego zawodem starca. Zaledwie się jednak kilkanaście kroków oddalił, staje jakby się wahał, a wreszcie wraca i siadając na dawném miejscu, zmieszany trochę, przemawia już po polsku:

— Przebacz pan. Przestrzeżono mnie, iż lepiéj unikać rodaków, a przynajmniéj być ostrożnym w ich wyborze. Dlatego to chciałem się oddalić, ale brakło siły... Po raz pierwszy tu słyszę dźwięk ojczystéj mowy... i to dziś... dziś... A, żebyś pan wiedział, co się w téj chwili ze mną dzieje... a co się działo, kiedym posłyszał pańską kolendę... Myślałem, że to przywidzenie tylko... O, masz pan racyę, gdyby teraz orłem być... i do nich, do swoich choć na godzinę...

Starzec wyciągnął do niego rękę.

— Smutno, smutno — rzekł — ale może i tu się znajdą swoi .. a jakoś lżéj wtedy będzie. Prawda, niestety, nie wadzi być ostrożnym . . .

— Nie wiem dlaczego, ale pan budzisz we mnie jakiś zaufanie.

— A jakże nazwisko? Ja bo Zieliński, warszawiak, zwyczajny szewczyna...

— Ja także z Warszawy.

Tu zawahał się trochę, a wreszcie dodaje: Materski.

— Materski... Materski... A czy nie z Leszna?... Otóż masz!...— wtrącił z uśmiechem—człowiekowi się wciąż zdaje, że dopiéro wczoraj kochaną Warszawkę opuścił, a to latka lecą... lecą... Już się przecie niedługo trzydziesty roczek skończy, jak jéj nie widziałem... Tak, panie, trzydziesty, to palcem nie przekiwać... 10 lat we Francyi, a już tu, w tym raju blisko 20... a ja dziś pytam o Materskiego z Leszna, kiedy się tam pewno już do tego czasu może z dziesiąty właściciel zmienił.

— O nie, panie, dopiéro niedawno kamienica sprzedana.

— A więc pan z tych samych?

— To był mój dziad.

— Dziad, dziad! No, proszę! A toć ja mu zawsze buty szyłem. Nikt mu tak nie dogodził, jak Zielińsio. I synowie téż u mnie brali. Jeden bodaj, że profesorem był...

— Właśnie mój ojciec.

— Ojciec? O, mój Boże! A toć on w moich lakierkach szedł do ołtarza. Panie, jakby dziś pamiętam dobrze, całą noc musiałem szyć... Jeszcze mi lampka trzasła. Zaraz powiedziałem, że w tych butach znajdzie szczęście, bo to dobry znak, jak się szkło tłucze. I prawda; bo czyż to nie szczęście dochować się takich synów... No, no, patrz pan, jak to góra z górą się nie zejdzie, a człowiek, nawet za morzami, swoich zawsze i wszędzie może spotkać. Jak będziesz pan pisał, proszę, pokłoń się téż i odemnie. Ale pewno już nie żyją, co?

— Ojcież żyje. Będzie mu to z pewnością przyjemne. A może téż kiedyś zobaczycie się jeszcze. Przecież pan chyba myślisz wracać?...

— Ja? wracać?...

Stary smutno pokiwał głową; łza mu się w oku zakręciła.

— A po co tam teraz? Pewno, że myślę, bo któż nie żyje nadzieją, ale człowiek przecie już nad grobem, bliżéj niż daléj, a Bóg to raczy wiedziéć, gdzie stare kości złożyć przyjdzie. Żeby choć raz jeszcze przed śmiercią tam być, a potém umrzéć. Ale jak sobie przypomnę, że już sześć krzyżyków na karku, to i zwątpienie ogarnia, czy jeszcze kiedy w życiu ujrzę tę naszą ziemię świętą, i ciężko na sercu, bo dusza zawsze na wylocie... zawsze rwie się tam... To też czasem znów mi się zdaje, że to nastąpić musi i nie za miesiąc, to za rok, za dwa znów wrócę... I tak się czeka i czeka z dnia na dzień, z miesiąca na

miesiąc, a tu rok za rokiem płynie... O, nie wiesz ty jeszcze mój panie Materski, co to 30 lat przeżyć wśród obcych... Człowiek więdnie, usycha powoli... A pan jak tu już dawno?... Pewno jeszcze ani roku niéma, co?

— Dopiéro kilka miesięcy. Ale po czém pan zgaduje? Jak pan przeczułeś, żem rodak i wprost zagadałeś po polsku?

— Hm, że zagadałem po polsku — odparł Zieliński z uśmiéchem — to dla tego tylko, że inaczéj nie potrafię.

— Czy podobna?

— Widać, że podobna, skoro tak jest. Cóż chcesz, człowiek już za stary na naukę a przytém wciąż między swymi. Ale niejednego już się nowicyusza widziało, to zaraz poznać. Niby tak samo ma nos i oczy, a jednak jakoś inny człowiek... Zresztą, poznać pana po cholewach...

— Ja przecie cholew nie mam.

— Ale buty masz. A szewc zawsze najpierw na buty patrzy. Tylko spojrzałem, zaraz myślę sobie: Oho, to znów jakiś nowy Europejczyk być musi... Założyłbym się, bo tu przecież nikt takich spiczastych nosów nie nosi... A może nawet rodak... Toć zaraz się można o tém przekonać... I zagwizdałem kelendę... Widzę, spojrzał... Ale może się jeszcze mylę... Siadam więc i nucę, a patrzę... Drgnął. Aha, to już ani chybi, swój... I od razu do niego, a ten mi zmyka. No, poszedł to poszedł, pal go kaci... Omyliłem się... Aż tu wraca...

— A, panie, wprost nogi iść nie chciały, tak mnie coś ciągnęło... Pan mi do duszy zagadałeś tą kolendą... Właśnie w owéj chwili myślałem o swoich i ciężko było na sercu, bo po raz pierwszy w życiu nie będę się z nimi łamał... Dziś chciałbym mieć skrzydła orle... Przynajmniéj rodaka spotykam... trochę lżéj...

— A no, to bądźże pan łaskaw dziś do mnie, a może jeszcze lżéj będzie. Szewiec tylko, i obcy, ale téż swój, téż sierota... U niego téż znajdziesz polskie serce i opłatek.

— Przyjmuję, panie Zieliński, — rzekł, ściskając rękę starca wzruszony — przyjmuję, jak od starego przyjaciela méj rodziny... Będzie mi się zdawać, żem wśród niéj... Jakaś opatrzność widać sprowadziła mnie na tę ławeczkę... A już myślałem, że będę sam, bo nikogo z rodaków nie znam jeszcze...

— A choćbyś i znał... Jest ich tu nie mało, ale rzadko który wigilię obchodzi. Po polsku, co prawda, mówią — bo wielu inaczéj nie potrafi; — lecz ojczyste zwyczaje w zapomnienie poszły, amerykańskich zaś się nie nauczono. Niejeden, jakby w dzień zwyczajny, z pewnością mięso dziś będzie zajadał. My starzy już się chyba do śmierci

nie oduczymy tego, co za młodu w domu do serca przylgło. Będą więc nawet i kluski z makiem, bo i o tém moja stara pamiętała. O, ucieszy się babina, jak jéj powiem, kto będzie... Ona taka rada, kiedy kogo ze swoich stron spotka i nagadać się może... Więc przychodź pan — dodał, wręczając mu kartę. — Nie znajdziesz pan nikogo, tylko dwoje starych dziadygów. A, prawda, pewno i w tym roku zjawi się téż król. My go tak wszyscy nazywamy, bo ma przysłowie: „Mój królu"... Dobre człeczysko a téż sierota, choć niby niebrak mu dachu... Znamy się jeszcze z Francyi... A więc pamiętaj pan... czekamy, zanim gwiazdeczka na niebo wzejdzie...

. . . .

— Pan Adam, błogosławiąc długie nosy swych butów, z lżejszém sercem do domu powrócił, baa, już i poświstuje sobie albo nuci.

Ledwo się rozebrał, słyszy na dole przeraźliwą świstawkę listonosza, który nawet — zdaje się — jego nazwisko wywołał. Z bijącém sercem zrywa się coprędzéj i pędzi po schodach...

Istotnie, jest list z Warszawy. Z jakąż akuratnością poczciwe serce matczyne umiało czas wyrachować! Nadszedł w samą porę.

Kosmopolita, z niepokojem i pewną obawą, drżącą ręką kopertę zerwał i wolno wracając na górę, po drodze list rozwija, a znalazłszy w nim dwa kawałki opłatka, rozrzewniony, ze czcią, jak drogie sercu relikwie, do ust je przyciska. I przyspieszył kroku, aby się coprędzéj z miss Annie rozłamać i swą radością podzielić. Przy drzwiach jednakże zastanawia się, że ona pewno nie zrozumié, a może nawet to, co dla niego świętością, jéj wyda się wprost śmiesznem... Machnął więc ręką i, uśmiechnąwszy się gorzko, wszedł do swego pokoju. W téj chwili jednakże zastukano do drzwi.

— *Come in!* — zawołał — *Come in* — powtórzył.

Nikt nie wchodzi. Otwiera więc.

— Ach, to pani — odzywa się trochę zmieszany, widząc przed sobą miss Annie.

— Może przeszkodzę... Ale sądziłam, żeś pan chory, bo już dawno godzina lekcyi minęła. Czy wolno?

— Proszę, bardzo proszę,—odpowiada pan Adam, z pośpiechem nakładając surdut.

Miss Annie wchodzi i z tajemniczym uśmiechem wręcza mu eleganckie pudełeczko.

— Co to pani? —pytą zdziwiony.

— A, zobacz pan sam — odpowiada, siadając. — To tylko mały *Christmas present* (Gwiazdka).

Pan Adam zakłopotany, nie wié co począć.

— Ależ doprawdy — mówi — to może zbyteczne... Niepotrzebny wydatek...

— Domyślałam się, że jeszcze pan nic znasz naszego zwyczaju. Ale proszę, zatrzymaj tę bagatelę na pamiątkę od przyjaciółki...

— Serdecznie dziękuję... Pozwól pani, że ją téż nawzajem zapoznam z naszym znów zwyczajem.

Tu idąc ku niéj z opłatkiem, teraz dopiéro spostrzega — czego do téj pory nie zauważył — maleńką na nim karteczkę z napisem: „Od Zosi, z życzeniem szczęścia”.

Drgnął; ręka mu opadła i stoi zarumieniony, zmieszany, jakby go kto na gorącym uczynku świętokradztwa złapał.

— Jakiż to zwyczaj? — pyta miss Annie, kołysząc się.

Pan Adam opamiętał się i drugi opłatek podając, wyjaśnia o co chodzi.

— A to dziwne — rzekła z uśmiéchem, rozłamując się z panem Adamem. — I na jakąż to pamiątkę?

— Tego ja sam nie umiem pani wytłómaczyć — odpowiada trochę dotknięty jéj śmiechem. Tyle wiem tylko, że piękny ten zwyczaj w każdéj rodzinie od wieków u nas święcie przestrzegany. W każdym choćby najuboższym domu, zastawiają w tym dniu sutą postną wieczerzę, a gdy pierwsza na niebie ukaże się gwiazdka, zanim do stołu zasiądą, łamią się wszyscy opłatkiem, życząc sobie wzajemnie, aby w szczęściu i zdrowiu doczekać następnego roku. Synowie, bracia, krewni, słowem, kto może, o setki mil spieszy, aby tylko w tym dniu uroczystym zasiąść w gronie swoich najdroższych i rozłamać się z nimi. Jest to chwila tak wzniosła, tak rzewna, iż nieraz we wzajemnych uściskach stare urazy idą w zapomnienie, a wróg przebacza wrogowi i dłoń mu zgody podaje. Jest to polska komunia powszechnéj harmonii, do któréj przystępuje każdy, bo nawet pan łamie się ze sługą, najbogatszy z najuboższym... A, nie uwierzy pani, jak mi przykro, że dziś po raz pierwszy w mém życiu nie mogę być wśród swoich. Matka mi wprawdzie przysłała w liście...

Nie mógł dokończyć. Odwrócił się do okna, aby ukryć wzruszenie.

Miss Annie nie śmieje się wprawdzie, ale milczy, nie pojmując zapewne, jak można do takiéj drobnostki tak wielką przywiązywać wagę. Indyk amerykański wydaje się o wiele praktyczniejszym.

— Daruje mi pani — odzywa się nakoniec pan Adam — chyba damy dziś pokój lekcyi. Nie jestem jakoś usposobiony. A zresztą

muszę wyjść jeszcze na miasto. Innego dnia powetujemy sobie tę stratę.

— A więc dobrze — odpowiada miss Annie — ale tylko na dziś pana zwalniam pod warunkiem, że stawisz się pan jutro do nas na indyka. Czy możemy liczyć? A przy téj sposobności poznasz pan nareszcie i mego ojca. Jakoś wypada.

. . . .

Pan Adam, nie chcąc pozostać dłużnym ani chwili, zaraz po odejściu miss Annie, pobiegł, aby téż i dla niéj coś na prezent kupić, bo zapewne i ona się spodziéwa, a może nawet z umysłu ofiarowała tak wcześnie, aby jeszcze i obdarowanemu zostawić czas do wywzajemnienia się. Zanim jednak odpowiedni przedmiot zdołał wyszukać, zanim do domu wrócił i wręczył — co także chwilę czasu zabrało,—trzeba już spieszyć do Zielińskich, aby jeszcze za dnia łatwiéj było numer domu wyszukać.

I tak mu zeszło, że w drodze dopiéro, jadąc, mógł się zabrać do odczytania listu. Naturalnie, gdyby się koniecznie uparł, byłby zapewne i na to znalazł sobie wcześniéj chwilę czasu; ale jakoś nie spieszył się, jakby już z góry przeczuwając, co tam znajdzie. Łatwo się tego mógł domyśléć, znalazłszy opłatek Zosi. Z niepokojem więc, a nawet pewną bojaźnią rozpoczynał czytanie. I w saméj rzeczy, matka nie szczędziła mu uwag, a nawet były tam i gorzkie wyrzuty.

„Serce me odgaduje — pisała w dalszym ciągu — co się tam w twéj rozmarzonéj głowie teraz roi. Jedna myszka zjadła ci Wagnera, a druga psotnica zakradła się aż pod twoją własną czaszkę. Boleję nad tém niewymownie. Żal mi ciebie, ale żal mi przedewszystkiem poczciwéj Zosi, któréj przywiązanie wysoko cenię, a pragnęłabym, abyś i ty nauczył się je cenić, nie depcąc szczęścia swego tak lekkomyślnie. Nie mam odwagi listu jéj twego pokazać, bo by go chyba życiem przypłaciła. Nie obwijaj w bawełnę, serca matki nie omylisz. Wiem ja, co ci zaświtało i truchleję z obawy o twą przyszłość. Nie łudź się, mój kochany szaleńcze, abyś mógł znaleźć szczęście w związku z cudzoziemką. Może wśród arystokracyi, gdzie różnice narodowe bardziéj zatarte, łatwiéj przypuszczę, iż się czasem zdarzy wypadek, że się dobiorą, ale wśród ludzi naszego stanu nader on chyba rzadki. Pomyśl, jak trudno dobrać zgodną parę nawet z równych wiekiem i stanowiskiem, a cóż dopiéro złączyć dwoje ludzi z dwóch całkiem różnych światów, pod inném słońcem wyrosłych, innemi ideałami wykarmionych. Pamiętaj, że nawet dęby i sosny nasze różne są od dębów i sosen zamorskich. Tak samo i charaktery ludz-

kie zależne od klimatu, a w dodatku od pojęć, obyczajów, nawyknień, religii a nawet języka. Jak wiész przecie, nie należę do bigotek, nie waham się jednak powiedzieć, że i tożsamość wyznania także niemałéj wagi, jest nawet jednym z warunków, jeżeli nie wprost szczęścia, to często przynajmniéj spokoju domowego. A wierz mi, synu, żaden majątek ani piękność, a nawet powiedziałabym, żadne cnoty, nie mogą usunąć tych różnic"...

Pan Adam nie mógł dokończyć. Rękę z listem na kolana opuściwszy, tak się głęboko zadumał, że ani spotrzegł, iż kawał zadaleko przejechał. Przyszło mu tedy wracać, więc kiedy się u Zielińskich zjawił, już tam wszyscy tylko na niego czekali.

— No przecie! — woła gospodarz do wchodzącego. — A już myłałem, że całkiem wystrychnie nas na dudków. Możesz dawać, Zuziu, już jest! — dodał, wychylając głowę do przyległéj izby, a potém wita gościa.

Nastąpiły wyjaśnienia i przeprosiny a wreszcie zapoznanie z gospodynią i obecnym już aptekarzem „królem", któremu warszawiak od razu jakoś do serca przypadł.

— Mój królu — mówi — nacieszyć się nie mogę, gdy świéżo przybyłego z kraju zobaczę. Zdaje mi się, że przywiózł z sobą trochę ojczystego powietrza, trochę słońca z nad Wisły. A żal mi serdecznie téj młodzieży, co tu przyjeżdża na poniewierkę i zmarnowanie. Chłopu nie biéda, bo jak znajdzie kawał mięsa to i szczęśliwy, a znaléźć go może kto ma silne ramiona; ale ta biédna inteligencya, co ona tu bez języka takiemi rękoma zrobi... O, patrz, jak u panienki... A masz już, królu, jakie zajęcie? Pewno jeszcze nie?

— Daję lekcye muzyki.

— Jakto? bez języka?

— Mogę się rozmówić. Zresztą znam niemiecki.

— E, nie biéda mu — wtrąca Zieliński. — Miał ciepłego dziadusia.

— Co to znaczy, mój królu, tu i milioner pracuje. Ruble prędko wyfruną, jak się z założonemi rękoma siedzi. Ale, skoro już zarabia, to dobrze.

— Trzeba panu wiedziéć — odzywa się gospodarz — że „król" to prawdziwy król naszéj młodzieży. Lata, stara się za każdym. Gdzie może, to do pracy wkręci...

— Co ja mogę, mój królu...

— Ba, żeby tylko tak robili ci co mogą, byłoby inaczéj. Ale też co prawda, nie jeden się zawiódł i zraził, a na tém inni cierpią. Najczęściéj jednak obojętność, nic więcéj.

Pojawienie się na stole wazki z barszczem przerwało dalsze utyskiwania na obecne stosunki. Wstał gospodarz, a za nim inni. Nastąpiło łamanie i wzajemna wymiana życzeń dosiego roku, szczęścia, pomyślności, ażebyśmy w zdrowiu i t. d.

— A czegóż tobie życzyć, mój panie Materski? — pyta gospodarz.

— Żeby nam, jak Paderewski, tyle sławy przyniósł — wtrąca „król".

— I żony, żony — dorzuca pani Zuzia.

— Oj, to to — potwierdza Zieliński — młodym najbardziéj żona w głowie.

— A z dolarami.

— Z rublami chyba, z rublami, królu — poprawia aptekarz. Niechże cię Bóg broni brać nawet choćby i z dolarami.

— To prawda — dodaje gospodyni. — Zarazby schudł nieboraczek, jakby go zaczęła paść selerami, kukurydzą, surowymi pomidorami, i t. d...

— O to już mniejsza — przerywa Zieliński.

— E, tak bajesz, boś nie próbował. A niechnobym mu dawała te przysmaki, to by się jeszcze gotów do rozwodu podać. A może nie? co, stary? Nie słuchaj go pan, bierz Polkę, kochającą, porządną, dobrą gosposię, a prędzéj ze swoją do końca trafisz, będziesz jak w raju. My tu przecie znamy takich, co wzięli obcą i całe życie płaczą.

— Nie wytykając palcem — wtrącił aptekarz. — Możesz istotnie, królu, ze mnie brać przestrogę. Dziś mnie tu widzisz, jakbym sierotą był, a przecie mam niby rodzinę, mam niby własny dach, królu, mam i chleba kawałek, a jednak śmiało o sobie mogę powiedziéć, że chłodno i głodno i do domu daleko... bo nie tu mój dom, a chcąc duszę posilić i ogrzać, trzeba się z nią tulić do serca przyjaciół, niby obcych, a przecie bardziéj swoich, niż swoi. A kiedy ci czasem podadzą łyżkę barszczu albo flaków czy zrazów z kaszą — to wielkie święto, człowiek dopiéro wtedy naprawdę czuje, że żyje, bo wśród swoich, bo ma to, z czém wyrósł, a czego mu w domu brak. I nieraz jak żebrak na koniec miasta pędzę dla tych przysmaków... O tak, mój królu, obca, choćby najlepsza, zawsze tylko obca, zawsze ona czuje i myśli inaczéj niż my, zawsze jesteś cudzy, choć na własnych śmieciach. Chyba, że ktoś dzieckiem albo młodzieńcem tu przyjedzie, a, taki może się zżyć z innym światem i dobrze mu nawet; ale kto w starszym już wieku, jak my, ten zawsze wzdychać będzie do tego czém za młodu jak skorupa nasiąknął. Chyba, że... Ale co tam mówić — dodał, machnąwszy ręką — Człowiek to tak, jak stara suknia: żebyś nie wiem jak prasował,

nigdy już fałdów rozprasować nie zdołasz, zawsze je choć trochę znać będzie.

— Jak to łatwo palnąć głupstwo—wtrąciła gospodyni.

— Ba, moja królowo, żebym to miał wówczas ten co dziś rozum... Chociaż trudno ręczyć, kto wie, możebym się tak samo ożenił... Są pociągi silniejsze nad rozum, moja królowo. Ja wtedy byłem właśnie w wieku, kiedy to człowiek jak perliczka gotów wciąż wołać: kochać, ko-chać, ko-chać... A do tego tęskno było samemu w pośród obcych, bez przyjaciół, bez własnego gniazda... O, z pewnością, gdyby mi się Polka nawinęła, brałbym choć garbatą, ale wtedy jeszcze i takiéj nie było tu ani na lekarstwo.

Pan Adam dość już struty listem, znów musi słuchać kazania. Gdyby nie był przekonany, że nikt jego zamiarów nie zna, mógłby przypuszczać, że się dziś wszyscy na niego zmówili, aby tylko dręczyć. Już i tak nauki matczyne humor mu popsuły, a teraz jeszcze znów słuchać tego musi. Do reszty więc posmutniał i siedząc jak na szpilkach, nie odzywa się. Że mu to jednak niemiłe, więc, aby rozmowę na inny tor wprowadzić, dobywa swego opłatka i mówi:

— Choć już po zupie, jeszcze się raz podzielmy. Życzę sobie i wam wszystkim, abyśmy się za rok łamali już tam, skąd ten opłatek pochodzi.

Zerwano się z miejsc.

— Z Warszawy!—wołają chórem, jakby się zmówili.

— Tak jest, z domu. Matka mi przysłała. Właśnie dziś odebrałem.

W milczeniu łamali, ściskając się wzajemnie. A w każdém oku łza zabłysła. Nikt ani słowa nie wyrzekł, a jednak rozumieją się, czują, bo choć to język bez słów tylko, a przecie tak wymowny, tak prosto do serca mówiący...

— A toś nam ucztę zgotował, mój królu — rzecze aptekarz po chwili. — Prawdziwa niespodzianka.

— I o mnie kiedyś siostra pamiętała — rzecze gospodyni — ale może już w grobie, bo ani słychać o niéj.

— Pewno z 15 lat będzie, jak nie mieliśmy listu — dorzucił Zieliński.

— Moi też pewno powymierali — mówi aptekarz — albo zapomnieli... bo co z oczu, to z myśli. Ale zobacz-no dobrze, mój królu, może tam jeszcze znajdziesz w owym liście choć buteleczkę żytniówki i choć małą faseczkę bigosu. Już o zrazy z kaszą mniejsza, bo nam to czasem królowa taki bal robi, ale hultaja już 30 lat ani powąchałem,

a jeszcze mnie zapach zalatuje... E, naprawdę coś czuć... Pewno go tam królowa w szafie trzyma na jutro...

— Chybiłeś, królu, ale niewiele — odpowiada pani Zielińska. — Omal że nie odgadł.

— Już wiem! wiem! Pewno flaki garnuszkowe, co?

— Jakby wiedział.

— Zapraszam się. O, zapraszam na jutro. Ale, żeby to nam kiedy królowa bigosiku zrobiła... Chciałbym jeszcze choć raz przed śmiercią pokosztować... Zrób królowo...

— Ta, ta ta! — mówi królowa — pewno żebyście po moim bigosie paluszki oblizywali, ale to nie na naszą kieszeń takie przysmaczki. Naucz król swoją żonę, córki...

Aptekarz ręką machnął.

— Potrułyby się. To nie polskie podniebienia, moja królowo, nie, nie.

— Czekaj, czekaj, królu — pociesza gospodarz — jeszcze sobie kiedyś w kraju użyjemy.

Król ręką machnął.

— Dla mnie już tam droga na zawsze zamknięta—mówi. — Oj pewno, mój królu, że gdybym był sam...

— Tobyś jeszcze prędzéj królu z niego uciekał — kończy pani Zuzia.

— Dlaczego?—przerywa zgorszony Zieliński.

— Hm, dlaczego, dlaczego?—powtarza połowica. — A dlaczego kochankowie czasem przez 30 lat do siebie wzdychają, dopóki się nie widzą, a gdy się zobaczą, to jedno od drugiego ucieka.

— To prawda — potwierdza król — kumoszka bodaj ma racyę. Tuśmy się jeszcze nie przyzwyczaili, a tam już odzwyczaili. Zresztą człowiek wyjeżdżał wtedy, kiedy to jeszcze wszystko w oczach młodzieniaszka wydaje się różowém, a gdyby teraz innem okiem spojrzał, może niejednoby mu się nie podobało i zawiedziony, kto wié, czyby nie uciekł. Ale co tam — dodał — daj-no tu jeszcze czém zakropić tego szczupaka, bo czuję, że mu tam jakoś trochę zasucho.

Król nietylko szczupaka, ale każdą potrawę często zakrapia, a stąd się robi coraz rozmowniejszym, bardziéj wylanym, a przedewszystkiém rad utyskiwać na swą dolę i żali się i rozpowiada o stosunkach rodzinnych, bo to mu widać najbardziéj na sercu leży.

— A, wyobraźcie sobie, — mówi — jakie to na starość wesołe moje życie. Pracuj jak wół, byleś na utrzymanie domu dał, ale w tym domu nie masz głosu żadnego; za nic cię nie mają, robią same

co chcą. Ot, teraz np. przybłąkał się jakiś laufer i koniecznie się żenić z młodszą.

— A to niech ją sobie zabiéra—odzywa się pani Zielińska.—Będzie mniéj kłopotu na głowie.

— A, moja królowo, przecie to zawsze moje dziecko, jakże nie ma serce boléć. Toć to urwis, gracz, pijak, oszust, już kilka razy w więzieniu siedział. Prawda, że się to niby nawrócił, a nawet i książkę o szulerkach i różnych łotrach napisał, chcąc innych téż nawrócić — bo i kazania w tym celu po ulicach wygłasza; — ale niechże mu za to przestaną płacić, to znów gotów sam się nawrócić na złe, do dawnego rzemiosła. Nie można ręczyć. A przytém metodysta.

— Jabym tam nie wzbraniała — znów swoje mówi królowa. — A gdzież się poznali?

— Bo ja tam wiem, moja królowo. Wynajął pokój. A druga téż już sobie podobno jakiegoś fircyka złapała.

— Niech idą, niech idą — wtrąca swoje Zieliński, popiérając w tém zdanie żony. — Będzie na sercu lżéj, choć i w kieszeni téż się trochę lżéj zrobi, ale mniejsza o to, byle życie na starość było spokojniejsze.

— A, nie mogę, nie mogę, sumienie mi nie pozwala...

I tak na miłéj gawędce, jeszcze po wieczerzy dość upłynęło czasu, zanim wreszcie król, nieźle zakropiony, ruszył ku domowi, razem z panem Adamem, którego jeszcze po drodze na poprawiny do „salonu" zaciągnął. Ale król ma głowę mocną, więc chociaż jeszcze parę kieliszków dolał, nie bardzo na nim znać, trzyma się prosto, tylko mu się serce coraz bardziéj dla warszawiaka otwiéra i troski swe przed nim wypowiada.

Pan Adam salonów nie lubi; duszno mu tam jakoś, bo nigdy w życiu w szynku nie był. Już się więc trochę zaczyna niecierpliwić i co chwila przypomina, że czas do domu, ale króla wyciągnąć trudno. Nakoniec wyszli.

— A gdzie mieszkasz, królu.

— W górze miasta.

— To dobrze, pojedziemy w jedną stronę.

Przy 35-éj król się żegna, ale i pan Adam wysiada także. Jeszcze idą razem. Król się wreszcie zatrzymuje i znów żegna, ale pan Adam zadziwiony mówi:

— Jakto? A więc pan tu? I ja tu mieszkam.

— Niepodobna? To znaczy, u mnie... A cóż to za dziwny traf. A na miłość boską, nic królu nie wspominaj o naszéj rozmowie, bo-

bym dopiéro miał piekło w domu... Najlepiéj jakbyśmy się nie znali jeszcze. A więc to ty może dajesz lekcye Annie.

— Tak, panie, ja—odparł zmieszany pan Adam.

— Jakiż traf dziwny, dziwny, doprawdy... Ha, stało się, postąp sobie teraz, mój królu, jak uważasz... Ja... ojciec... Dobranoc...

. . . .

W kilka dni późniéj pan Adam spotyka się z Zielińskim na ulicy.

— A ja właśnie do pana—rzecze—z wielką prośbą.

— Cóż takiego? Mów, jeśli będę w stanie... Byle nie zaraz, bo w téj chwili pilno mi. Wyobraź sobie, dostałem list od króla — z kozy.

— A to co się stało? Nic o tém nie wiem.

— A, uparty, sprzeciwiał się małżeństwu córki, żona więc z namowy przyszłego zięciaszka kazała go aresztować, a tymczasem pewno ożenią się. Żeby tylko potém córunia nie wywdzięczyła się tém samém takiemu mężulkowi. Ale śpieszę. Do widzenia. Muszę za króla dać „*bel*" (poręczenie). Oj, nie żeń się z obcą, pamiętaj.

— Ja téż ani myślę. Niech każdy bierze swoją. Mam i ja narzeczoną w kraju; i właśnie chciałbym prosić o łaskę, abyście państwo do czasu ślubu zastąpili jéj rodziców, gdy przyjedzie.

— Zgoda, zgoda, całém sercem, mój drogi. A to mądrze! Niech każdy szuka swego.



ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

J. Kirszrot-Prawnicki. „O oszczędności, kasach i stowarzyszeniach oszczędnościowych i pożyczkowo-oszczędnościowych“ (Wydanie z zapomogi Kasy pomocy, dla osób pracujących na polu naukowém imienia d-ra Józefa Mianowskiego, 1898 r. str. II, 307, cena rs. 1).

W ubogiéj naszéj literaturze ekonomicznéj dzieła popularne są rzadkością, opracowanie ich jest zawsze zasługą, a w obecnym wypadku zasługa autora jest tém większa, że temat przez niego obrany „oszczędność“ chyba nigdy za często naszemu społeczeństwu nie może być zalecany. W pierwszéj części książki autor, wyłożywszy czém jest oszczędność i kapitał, marnotrawstwo, skąpstwo i zbytek i poświęciwszy parę rozdziałów budżetowi domowemu, długom i wpływowi kobiét na finanse rodzinne, rozbiéra najprzód najzwyklejszy i najnieracyonalniejszy sposób spożytkowania oszczędności, jakim jest loterya i gra na giełdzie, a następnie stara się wskazać, jakie są racyonalne sposoby korzystnego pomieszczenia drobnych oszczędności. Zdaniem autora, są to: ubezpieczenia życiowe, papiéry państwowe, listy zastawne i t. p., głównie zaś kasy oszczędności i stowarzyszenia kredytu ludowego. Część II-ga poświęcona jest kasom oszczędności, ich historyi, organizacyi w kraju i zagranicą. Na uwagę zasługuje rozdział o kasach oszczędności szkolnych. W części III-éj autor zaznajamia czytelnika ze stowarzyszeniami kredytu ludowego, kasami pożyczkowo-oszczędnościowemi — według obu najbardziéj rozpowszechnionych zagranicą dwóch typów Schultze'go z Delitsch (miejskie) i Raiffejsen'a

wiejskie), przyczém ani na chwilę nie spuszcza z uwagi obowiązującego u nas prawodawstwa. W obu częściach podał autor wiele najnowszych cyfr statystycznych, starannie ugrupowanych. W końcu podana jest ustawa normalna towarzystw pożyczkowo oszczędnościowych, zatwierdzona w roku 1896-ym. Największą wadą książki jest jéj cena zupełnie dla książki popularnéj nieodpowiednia, za co jednak nie tyle autora, co wydawcę winić-by należało. Sądziłbym, że mniéj kosztowny, a znacznie tańszy sposób wydania (druk i papiér) byłby o wiele odpowiedniejszy. Co do treści, brak nam w téj książce stwierdzenia, że kapitał tylko drogą oszczędności powstaje — stwierdzenie takie uważamy za bardzo potrzebne wobec coraz częściéj zdarzającego się przeciwnego twierdzenia, które już dziś może się przedostawać do sfer, dla których dziełko jest przeznaczone. W każdym razie, książka p. Kirszrota-Prawnickiego jest cennym nabytkiem dla naszéj literatury tém więcéj, że poprzednie w tymże duchu dziełko autora, napisane w r. 1870, już wyczerpaném zostało. *Pst.*

Władysław St. Reymont. „Fermenty" (powieść w dwóch tomach, str. 345, 329. Warszawa, 1897. Nakładem Gebethnera i Wolffa).

Nazwisko młodego autora znane szerszemu gronu czytelników, którzy z zainteresowaniem śledzą jego talent i — postępy. W ostatnim utworze p. t. „Fermenty" spotykamy się z zaletami pióra p. Reymonta, któremi są plastyczne kréślenie figur i krajobrazu. W wyż wzmiankowanéj powieści na pierwszéj zaraz stronie — dzień jesienny, w którym dészcz „jakby związywał niebo i ziemię miliardami szarych, skośnych włókien..." Z tła tego wyłania się grupa ludzi, o których możnaby powiedzieć, że umyślnie przez autora zostali zgromadzeni na małéj przestrzeni Bukowca... Widzieliśmy niejednokrotnie w powieściach i nowelach takie stacyjki, jak Bukowiec, z czystym ogródkiem, pnącém się winem na ścianach domku, z „wygnańcem"-zawiadowcą, lecz szczęśliwym w cichém życiu wiejskiém.

W Bukowcu inaczéj. Ciszy i spokoju tu wiele, ale mieszkańcy albo chorzy, albo wyrodniali. Orłowski straszny z początkami obłędu, jego córka, Janka, — cień i stargane nerwy pomimo lat wiośnianych, Swierkowski—oszust i wstrętny przez swą chciwość, Staś Babiński — komiczny mężczyzna-dziecko. A wszyscy zatruwający sobie wzajem tęskne dni życia, jak gdyby dla nich ani jeden promień słońca nigdy nie padł, czynią wrażenie przygnębiające. Fabuła biédna, akcya mało ożywiona. Bo i treść utworu niewielka.

Janina, jedyna córka zawiadowcy, po przebyciu ciężkich i upokarzających dni nędzy i moralnéj i materyalnéj, jako aktorka trupy nieświetnéj, po nieudaném samobójstwie przywieziona przez ojca do domu, rozpoczyna życie czcze, bez planu, bez rozrywek, bez uroku, słowem — wegetuje, gnębiona czarnemi wspomnieniami przeszłości, a patrząca smutnie na tę szarzyznę dni mijających. Przy boku ojca, okazującego początki choroby umysłowéj, kochającego ją, a nienawidzącego zarazem za jéj czyny, ma Janka w sąsiedztwie Andrzeja Grzesikiewicza, syna zbogaconego karczmarza. Andrzéj pokochał ją, oświadczył się, lecz go nie przyjęła... Potém poszła w świat... Z jéj powrotem Grzesikiewicz ponawia wyznanie, tym razem pomyślnie. Zdaje się — nic już nie może przeszkodzić ich małżeństwu. Los chce inaczéj: zła siostra Andrzeja przysyła bratu anonimy, opisujące życie Janki w czasie pobytu jéj w teatrze, życie, co zostawiło plamę na piękném czole aktorki. Orłowski, który tak pragnął tego związku, w ataku szału miota przekleństwami na córkę... Janka wyjeżdża ponownie, lecz tym razem nie na scenę. Ojciec jéj wkrótce umiéra. Narzeczony po raz trzeci powraca i śluby łączą tych dwoje nieszczęśliwych na zawsze.

Pominąłem tutaj epizody i figury uboczne.

Jeżeli jest zaletą talentu odtwarzanie postaci o umysłach normalnych, ludzi w szczęściu i niedoli, ich dramaty i uciechy życia, — za większą może zasługę poczytać należy wierne opisy chorych, zwyrodniałych, szaleńców. Tylko że dla czytelnika różnica atmosfery ma doniosłe znaczenie. I niejeden odłożyłby „Fermenty" przed okropnemi scenami szaleństwa Orłowskiego, wyczerpującemi i równie strasznemi rozmyślaniami Janki. Tak na str. 156 tomu pierwszego, na 5, 7, 104, 111 tomu drugiego może „spazm trwogi wprowadzić pierwiastek chaosu i w myśli" czytającego.

I uczyniłbym zarzut, że tam, gdzie należałoby subtelną przeprowadzić analizę psychologiczną, zastępuje ją autor przez opisy denerwujące, pozbawione cieniowania.

I jeszcze raz podnosząc talent pisarski p. Reymonta, powtarzam, że postaci „Fermentów" zdają się być umyślnie zgromadzone przez autora, ażeby mu dać możność popisu w odtwarzaniu grozy, upadku i nędzy moralnéj. Może taki utwór być strawą przystępną dla „wybranych", ale masom potrzeba jaknajwięcéj światła i hartownéj siły ducha.

L. Rutkowski.

NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

= **„Obraz literatury polskiéj w streszczeniach i celniejszych wyjątkach"**. Ułożył *Piotr Chmielowski*. Zeszyt I. Warszawa i Kraków, 1898. — Wyczerpanie „Złotéj przędzy poetów i prozaików polskich" najlepiéj dowiodło potrzeby wydawnictwa, któreby w sumiennem opracowaniu, mając na względzie potrzeby ogółu interesującego się ojczystém piśmiennictwem, mogło mu dać o ile możności jaknajdokładniejsze o jego całokształcie pojęcie. Poznawanie literatury zasadza się u nas zwykle na utwierdzaniu w pamięci dat, nazwisk i tytułów, przyczém nie zwraca się prawie uwagi na samą twórczość autorów, co jest wprost niezbędne do nabrania dokładnego pojęcia o jéj wartości i charakterze. Wszakże dla szczegółowego zapoznania się z dziełami zasługujących na to autorów, mogłoby życie całe nie wystarczyć — należy więc pracę tę uprzystępnić i ułatwić. Zadanie to bierze na siebie „Obraz literatury polskiéj", mający ująć całokształt naszego piśmiennictwa w streszczenia i wyjątki, przedstawiając czytelnikom w chronologicznym szeregu poetów, belletrystów, dramaturgów, historyków, krytyków i t. d. — rozwój i stan twórczości pisarzy polskich, od zamierzchłych czasów przeszłości do dni naszych. Opracowania tego „Obrazu" podjął się najwybitniejszy badacz naszego piśmiennictwa, w którego osobie głębokie znawstwo łączy się z wieloletniém doświadczeniem pedagogiczném. Utwory większe będą podane w wyjątkach i streszczeniach, mniejsze zaś w całości; przytém w odpowiednich przypiskach załączona będzie krótka charakterystyka i niezbędne bibliograficzne wskazówki, ułatwiające czytelnikowi bliższe zapoznanie się z literaturą przedmiotu. Objaśnienia językowe i rzeczowe uprzystępnią ogółowi zrozumienie przestarzałych wyrazów i zwrotów. W zeszycie pierwszym znajdujemy opracowany w podobny sposób okres pierwszy, zawierający literaturę średniowieczną i część drugiego, który obejmuje świt humanizmu. Rozpoczynają więc „Obraz" w przekładzie wyjątki z dzieł łacińskich: kronika Gallusa, kronika Kadłubka, żywot św. Stanisława, kronika Wielkopolska, optyka Witeliona, pieśń o Albercie i kronika Janka z Czarnkowa; z polskich zaś: Bogarodzica, kazania Świętokrzyskie i Gnieźnieńskie, wreście Psałterz Floryański. W drugim okresie znajdujemy przekłady z dzieł łacińskich: Stanisława ze Skarbimierza, Pawła Włodkowica, Długosza, Jana z Głogowy, Adama

Świnki, Grzegorza z Sanoka, Mikołaja Lasockiego, Jana Ostroroga, dyalog o Zbigniewie Oleśnickim, list królowéj Elżbiety o wychowaniu, z rzeczy zaś napisanych po polsku: Biblia królowéj Zofii, Psałterz Puławski, książeczka Nawojki, żywot św. Błażeja i ojca Amandusa, pieśń o Wiklefie, kancyonał Jana Przeworszczyka, pieśni łysogórskie, rozmaite pieśni i hymny nabożne do Najświętszéj Maryi Panny i świętych, pieśń o Męce Pańskiéj, Rozmowa śmierci z Magistrem, Skarga umierającego, Legenda o św. Alexym. Umiejętne dobranie i zestawienie wyjątków sprawia, że składają się one na zaokrągloną całość i doskonale charakteryzują zabytki, z których są wyjęte; wyjątki dzieł łacińskich podane są w tłómaczeniach M. Gliszczyńskiego, Z. Komarnickiego, A. Tyszyńskiego, L. Kondratowicza, Świeżawskiego, M. Wiszniewskiego, K. Mecherzyńskiego, ks. Ludwika Piotrowicza, J. W. Bandtkiego, A. Pawińskiego, wreszcie samego redaktora wydawnictwa, prof. P. Chmielowskiego. „Obraz literatury polskiéj", stanowiący niezbędne dopełnienie wykładów historyi naszego piśmiennictwa, ma objąć trzy duże tomy (około 100 arkuszy druku), z których pierwszy zawrze okresy do początku wieku bieżącego, dwa zaś następne literaturę wieku XIX. Z pierwszego już zeszytu widzimy, że dzieło to niewątpliwie odpowie zakreślonemu celowi.

— **Dzieła Aleksandra hr. Fredry.** Wydał dr. *Henryk Biegeleisen.* Z portretem i podobizną pisma poety. Tomy IV, V, VI. Warszawa. G. Centnerszwer. Księgarnia polska we Lwowie, 1897. In 8-o, str. 211, 343 i 243. — Są to ostatnie tomy najnowszego wydania dzieł ojca komedyi polskiéj, zawierające następujące jego utwory: „Przyjaciele", „Gwałtu co się dzieje", „Nikt mnie nie zna", „Śluby panieńskie", „Pan Jowialski", „Nocleg w Apeninach", „Ciotunia", „Zemsta" i „Dożywocie." Dr. Henryk Biegeleisen, znany już w piśmiennictwie naszém z sumiennego opracowania dzieł Mickiewicza i Słowackiego, dodał scenaryusz i pierwszą redakcyę „Ślubów panieńskich" oraz dwie redakcye „Pana Jowialskiego", dołączył przytém na końcu każdego tomu uwagi, wyjaśniające proces twórczości poetyckiéj Fredry i zawierające mnóstwo waryantów, nadzwyczaj skrzętnie i starannie zebranych. Praca dr. Biegeleisena, niewątpliwie pożyteczna i na uznanie zasługująca, zawiera wszakże, zwłaszcza pomiędzy waryantami, mnóstwo drobiazgowych szczegółów, którebу można było opuścić bez żadnéj szkody dla całości dzieła. Opiérając iście mrówczy trud swój na autografach, wydawca pragnął podzielić się z czytelnikiem wszystkiemi odmiankami, jakie tam znalazł, przypuszczał bowiem zapewne, że będą go one w równym stopniu interesować, — tymczasem jest to tylko

ciekawy materyał do studyów dla specyalisty, nie wiele obchodzący przeciętnego czytelnika. Nie mniéj jednak, szczerze wdzięczni p. Biegeleisenowi powinni być wszyscy ci, których po za fabułą sztuki jeszcze coś więcéj interesuje. Zewnętrzna strona wydawnictwa przedstawia się pod każdym względem zadawalniająco; niska zaś cena książki powinna przyczynić się do rozpowszechnienia dzieł polskiego Moliera, który śmiało stanąć może obok koryfeuszów naszego piśmiennictwa.

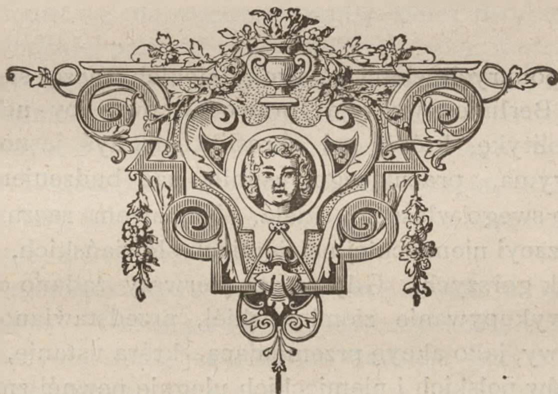
— **Biblioteka dzieł wyborowych.** Warszawa. Druk S. Sikorskiego, in 8-vo, 1897. — N. 1. Powieści poetyckie Juliusza Słowackiego z przedmową P. Chmielowskiego, str. 167. NN. 2, 3, 4. „Tułacze" B. Bolesławity, z przedmową Adama Pługa, str. 152, 158, 184. N. 5. Gustaw Le Bon, „Psychologia narodów", przekład i przedmowa J. Ochorowicza, str. XV i 168. N. 6. Trzy nowele Elizy Orzeszkowéj (1. „A — B — C", 2. „W zimowy wieczór", 3. „Dobra pani"), z przedmową T. Jeske-Choińskiego, str. 160. N. 7. S. Turgeniewa, „Z zapisek myśliwego" (nowele), w przekładzie i z przedmową Klemensa Junoszy, str. VIII, 144 NN. 8, 9, 10. „Dzieje Księstwa Warszawskiego" Fryderyka hr. Skarbka, z przedmową P. Chmielowskiego, str. 158 i II, 173 i II, 148 i II. N. 11. Wiktora Gomulickiego „Cudna mieszczka" (Obrazek warszawski), z przedmową T. Jeske-Choińskiego, str. 152. N. 12. Jana Kochanowskiego „Psałterz Dawidowy", z przedmową Br. Chlebowskiego, str. 160. N. 13. Jana Zacharyasiewicza „Zakopane skarby", z przedmową T. Jeske-Choińskiego, str. 152. — „Biblioteka dzieł wyborowych" liczy podobno, po kwartale zaledwie istnienia, 30,000 prenumeratorów, jest więc najlepszym dowodem, że książka, odznaczająca się przystępną dla ogółu treścią i ceną, zawsze na zbyt liczyć może. W „Bibliotece dzieł wyborowych", jeżeli co dotychczas razi, to tylko nadmierne jéj reklamowanie (patrz prospekt na 1898 rok), mniéj właściwe dla wydawnictw tego rodzaju, których jedyną reklamą powinien być wykaz dotychczas wydanych i zapowiedzianych na przyszłość tomów — tymczasem w prospekcie na rok 1898, nadzwyczaj szumnym i barwnym, znajdujemy wszystko oprócz tego. Z tego, co dotychczas wyszło w „Bibliotece", można już wnosić, w jakim kierunku nadal będzie prowadzona, — widzimy więc, że najobficiéj reprezentowana jest beletrystyka (7 tomów), daléj idzie historya (3 tomy), wreszcie poezya (2 tomy) i socyologia (1 tom). Wobec nawału prac przygotowawczych, trudno może było wytknąć sobie na początku drogę i iść nią w jednym kierunku, zresztą akceptujemy najzupełniéj dotychczasowy wybór dzieł, z tém tylko zatrzeżeniem, że beletrystyka zbyt może obficie ze

szkodą innych działów jest w „Bibliotece" reprezentowana. Prospekt zapowiada, że wydawnictwo pomieści z czasem wszystkie arcydzieła literatury, dużo jednak chyba wody upłynie zanim to nastąpi, jeżeli powieść tak nadal faworyzowana będzie. Powiedzą nam może, że wydawnictwo opiéra się na masach, najbardziéj żądnych łatwéj lektury, lecz ten argument nie bardzo przekonywa, właśnie bowiem dlatego należy odpowiednim dzieł doborem kształcić ich smak, a nie zniżać się do ich gustu. *Ar. Les.*

= *Stanisław Bełza.* **W stolicy padyszacha** (Wrażenia z podróży do Konstantynopola). Warszawa, Gebethner i Wolff, 1898, str. 328. — Dar spostrzegawczy porównywania i wydawania sądu o rzeczach i ludziach i umięjętne władanie piórem — to główne warunki opisów podróży. P. Stanisław Bełza przy wymienionych zaletach ma i tę jeszcze, że trafnie wybiéra strony dla swych wycieczek. Korsyka, Finlandya, Szkocya z ich ciekawemi obrazami, teraz—Wschód. Konstantynopol i jego pamiątki, wspomnienia chwil świetności i upadku, ten „zmurszały, ale stojący mocno przy swéj wierze i pogardzający śmiercią świat" — tematy niepowszednie. Ostatni wyzyskał podróżnik dobrze, a wrażenia swe skréślił z talentem. Zebrał i liczne ryciny zdobiące książkę, wydaną starannie. Rysunek okładki jest jaskrawy.

= **Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych** w Królestwie Polskiém ogłasza dla pp. artystów malarzy i rzeźbiarzy polskich **konkurs** imienia Józefa **Kuryerowa**, niegdyś obywatela miasta Warszawy, z nagrodą piénięźną w kwocie rs. 360. Nagroda powyższa, stosownie do woli zapisodawcy, przyznana będzie przez Komitet Towarzystwa autorowi obrazu olejnego lub rzeźby, oryginalnych, osnutych głównie na temacie polskim i wybitnie odznaczających się pod względem artystycznym. W braku takiego dzieła, Komitetowi przysługuje prawo rozdzielenia powyższéj kwoty na dwie nagrody, I-szą i II-gą dla najlepszych z dzieł przedstawionych oryginalnych i tematu polskiego. Dzieło nagrodzone pozostaje własnością autora. Pragnący ubiegać się o nagrodę imienia Józefa Kuryerowa, winni nadesłać po jednym obrazie olejnym w ramach lub po jednéj rzeźbie, które nie były umieszczone na wystawie Towarzystwa lub innéj w Warszawie, do lokalu Towarzystwa, w czasie pomiędzy 1-ym a najdaléj 15-ym marca 1898 roku, przy załączeniu własnoręcznie napisanéj i podpisanéj deklaracyi, w formie zwyczajnego podania na imię Komitetu Towarzystwa, w któréj mają być wymienione: tytuł dzieła, data i miejsce urodzenia autora, miejsce obecnego jego pobytu i krótka wiadomość, gdzie i w jakiéj

szkole kształcił się na artystę. Rozstrzygnięcie konkursu przez Komitet, zgodnie z wolą zapisodawcy, nastąpi w dniu 19 marca 1898 r. Dzieło przyjęte do konkursu przez Komitet i Cenzurę rządową i umieszczone na wystawie Towarzystwa, nie może być z téjże wycofane przez właściciela przed upływem miesiąca po wystawieniu. Koszt transportu, *par petite vitesse* i cła od obrazów z zagranicy nadesłanych i na konkurs przyjętych, ponosi Towarzystwo. Co do rzeźb, Towarzystwo ponosi koszt transportu, *par petite vitesse*, tylko do wysokości 10 pudów wagi przesyłki *brutto*, oraz cła, za wyłączeniem cła od rzeźb w bronzie.



KRONIKA MIESIĘCZNA.

Wśród ponurych wieści ze stron dalekich zaczął się rok nowy. W Berlinie wzywają prawodawców, by nowym aktem uświęcili politykę, któréj cel określiła niegdyś jasno i wyraźnie wola olbrzyma, pracującego usilnie nad budzeniem nienawiści ludzkiéj do swego własnego dzieła. Niebawem zacznie się dalszy ciąg kolonizacyi niemieckiéj na ziemiach słowiańskich, a zacznie się wśród oznak gorszych. Gdy po raz pierwszy żądano od sejmu pieniędzy na wykupywanie ziemi polskiéj, przedstawiano to jako środek chwilowy, jako akcyę przemijającą, która ustanie, skoro stosunek obszarów polskich i niemieckich ulegnie pewnéj zmianie. Brutalność zamierzonego kroku osłaniano rąbkiem sofizmatu; wysilano się na pogodzenie tego, co było pogwałceniem praw, z teoryą równouprawnienia. Demoralizujący wpływ kilkunastoletniéj praktyki nie pozostał bez skutku. To, czego wczoraj nie chciano wypowiedzieć głośno, nie razi już dziś i nie wywołuje rumieńca. Kto tylko chce, może dziś usłyszéć w Berlinie, że nie idzie tu o stworzenie jakichś placówek niemczyzny, mających w razie niebezpieczeństwa czuwać nad całością kresów. Cel właściwy uwydatnia się teraz o wiele plastyczniéj. To już nie troska o zabezpieczenie państwu jakiegoś urojonego przedmurza, to niepohamowana chęć wyparcia i zgniecenia kilku milionów ludności, to utopia germanizacyi nieubłaganéj i nieprzerwanéj. Pozory równego prawa dla wszystkich

odrzucono, jako niepotrzebną zawadę. Minister pruski oznajmia izbie z zimną krwią, iż nawet nowy kodeks cesarstwa niemieckiego, usuwający na całéj powierzchni Niemiec wszelkie ograniczenia praw cywilnych, nie stworzy w Poznańskiém naturalnego stanu rzeczy i nie przywróci włościanom polskim prawa nabywania ziemi, która się raz już dostała w szpony komisyi kolonizacyjnéj. Jest to proste i szczere.

Łatwiéj plan polityczny nakréślić, niż śmiałe marzenia zamienić w czyn. Komisya kolonizacyjna, która sprowadzenie każdéj jednostki z głębi Niemiec opłaciła wydatkiem 60 tysięcy marek, musiałaby pracować wieki, zanimby zdołała zmienić na prawdę mapę etnograficzną prowincyi pogranicznych. Przyrodzone, od woli ludzkiéj niezależne trudności, z jakiemi walczyć musi, rzucają się w oczy jeszcze wyraźniéj, jeżeli zważymy, że jéj działalność jest albo zupełnie niemożebna, lub téż przynajmniéj rozmija się znacznie z właściwym celem w prowincyach, w których większa własność oddawna jest już niemiecka. Niejedna rodzina chłopska, która powinnaby osiedlić się na rozparcelowanéj ziemi dworskiéj, pójdzie wskutek nieludzkiéj polityki rządu na wędrówkę w strony dalekie, niejedna kropla goryczy wsiąknie w duszę ciemiężonéj ludności, ale cudów, upragnionych przez twórcę kolonizacyi, nie dokażą nawet setki milionów, wyrzucane ze skarbca pruskiego na pogranicze wschodnie. Wszechpotężne złoto nie łamie zapór, które w ciągu stuleci wyrastały dzięki stałemu rozwojowi; machina rządowa zdziałać może wiele, ale nie wszystko.

Naród niemiecki patrzy z podziwem i lękiem na olbrzymi rozrost téj machiny. Cieszy go dokładność i szybkość, z jaką koła jéj miażdżą opornych, dumę jego łechce nadzieja przyszłych jéj prac na świéżych obszarach, ale zarazem trwoga przejmuje go na myśl, że wszelkie względy, wszystkie uczucia i interesa jednostek i grup pomniejszych nie mają racyi bytu wobec niezwalczonéj fatalności, która wszystko zamienia na paliwo, mające podsycać motor owéj machiny. Fanatyzm narodowy sprawił, że pochód jéj ku wschodowi przyśpiesza jeszcze bicie serc niemieckich, atoli już i dziś w chwilach takich, jak obecna, w przeddzień wyborów do parlamentu, budzi się na krótko opamiętanie, a naród zapytuje w duchu, czy nie pora pomyśléć o własném bezpieczeństwie, czy nie pora osłonić puklerzem prawa jednostek, krajów i szczepów.

Nim to nastąpi, tłum nie przestanie korzyć się przed ołtarzem nienawiści plemiennéj. W Niemczech zdołało ją państwo wprządz w swój rydwan tryumfalny; w Austryi przygłusza ona inne popędy,

wyzwala się z pęt, któremi ją państwo chciało poskromić i zagraża jego istnieniu.

Patrząc na to, co się dzieje w Czechach, a nie oceniając wypadków wyłącznie ze stanowiska polityki bieżącéj, ze smutkiem widzimy, że dwa narody zamieszkujące ten kraj od wieków, splecione ze sobą tak, iż nic ich rozłączyć nie zdoła, stojące na bardzo wysokim szczeblu cywilizacyi, przejęte są nienawiścią piekielną, która je trapi nieustannie i każe im żyć w wiekuistéj wojnie domowéj. Nie podzielamy zdania tych, których ta walka bawi i którzy w burdach i rozruchach praskich widzą pożądany objaw partyzantki przeciw Niemcom. Żadna nieprzewidziana zmiana nie uwolni Czechów i Niemców od konieczności orania tego samego łanu. W zgodzie, czy niezgodzie, muszą przez setki lat sąsiadować ze sobą, tak jak już od wielu wieków sąsiadują. Stosunek ten, niezależny od dobréj woli stron, nie da się rozerwać. Mają one tylko dwie drogi do wyboru: albo porozumiéć się za pomocą wzajemnych ustępstw, albo wyczerpywać siły w wiekuistém szamotaniu, zamiast użyć ich do zaspokojenia tylu potrzeb, które dziś głośniéj, niż dawniéj, kołacą do drzwi sali sejmowéj i do skarbca publicznego.

Obudzenie się ducha narodowego zawdzięcza kraina czeska niebywały rozwój oświaty, moralne podźwignięcie się mas, bezprzykładną ofiarność na cele publiczne. Ta siła może się jednak stać groźną i niebezpieczną, jeżeli zdrowy rozsądek społeczeństwa nie będzie jéj sternikiem. Spory wewnętrzne nie wzmacniają państwa austryackiego. Jakże czarna otworzyłaby się przed narodem czeskim przyszłość, gdyby budowa, popękana i chwiejąca się, miała się pochylić ku upadkowi. Kraj wsunięty klinem między Szląsk pruski, Saksonię, Bawaryę, byłby wówczas zbyt ponętnym łupem dla zjednoczonych Niemiec. Gdyby nawet cała ziemia czeska nie stała się pastwą żarłocznego potwora, to jednak niezawodnie utoną w jego paszczy pograniczne powiaty niemieckie. Całe to pasmo ziemi, otaczające półkolem siedliska plemienia czeskiego, a będące właściwym przedmiotem zatargów, przepadłoby w razie takiéj katastrofy na wieki. Oto jedno z możebnych następstw téj fermentacyi, która z siłą żywiołową rozsadza ściany wielkiego zbiornika.

Smutne te myśli ustępują miejsca smutniejszym, gdy przeniesiemy wzrok na Francyę. Obraz, który nas tam uderza, robi wrażenie przykrzejsze, a jest dla nas mniéj zrozumiały. Pobudki, które prą Niemców ku wschodowi, są niewątpliwie dla nas nienawistne i wstrętne, ale oswojeni z niemi od wieków, zdajemy sobie

z nich wybornie sprawę. Jakże jednak pojąć ten obłęd podejrzliwości, ten szał wzajemnych oskarżeń, ten zupełny brak wiary w wszelką uczciwość, które przeniknęły do dna duszę społeczeństwa francuskiego. Gdzież w dziejach narodów szukać przykładu podobnéj choroby, rozwiniętéj do tego stopnia? Wszystkie grzechy rządu, wszystkie omyłki izby maleją wobec takich objawów. Straszną wyda się nam niewątpliwie wina sądu wojennego, jeżeli przypuścimy, że oficer, posądzony o zdradę kraju, skazany został niewinnie. Do smutnych refleksyi doprowadzi nas fakt, że władze wojskowe, broniące tak żarliwie niepokalanego honoru armii, zdecydowały się ostatecznie na wykreślenie majora Esterhazy'ego z listy oficerów i na osadzenie pułkownika Picquart'a w twierdzy. Ale wszystko to maleje, gdy uprzytomnimy sobie moralny stan narodu, który uwierzył, że wszyscy obywatele, stojący na stanowiskach wybitnych, wszyscy, na których ciąży odpowiedzialność za losy narodu, kłamią, sprzedają swe przekonania i z cynicznym uśmiechem patrzą na klęski ojczyzny. Osiwiali oficerowie, ludzie, którzy patrzyli Austryakom w oczy pod Magentą, a Prusakom pod Sedanem, zapewniają współobywateli pod słowem honoru, że dowody zbrodni Dreyfusa były niezbite i oto powstaje grupa ludzi, zasłużonych w nauce, literaturze, prawodawstwie, a Zola w imieniu téj grupy powiada: „Wasze zapewnienie, to kłamstwo! Sami nie wierzycie własnemu słowu. Wiécie, że sąd wojenny dopuścił się zbrodni i bronicie sędziów ze złą wiarą." Czyż społeczeństwo uwierzyło przynajmniéj w szczerość tego oburzenia, w bezinteresowność tego bezprzykładnego protestu? Nie! Młodzież, a za nią lud paryski, odpowiedziały na oskarżenie oskarżeniem. Zola przekupiony przez Rotszyldów, obrońcy Dreyfusa w służbie mamony, przewrotność pod płaszczem współczucia — oto pewniki, kierujące dziś opinią publiczną w Paryżu. Wprawdzie pocieszają się wszyscy nadzieją, że proces, wytoczony Zoli, odsłoni prawdę nagą i uspokoi nareszcie umysły. Któż jednak naprawi złe, jakie narodowi wyrządza trucizna, wstrzykiwana mu codzień bez przerwy?

Miéwała Francya w przeszłości swéj chwile smutne i straszne, nie traciła jednak wiary w swe siły zbiorowe, bo wierzyła jeżeli nie w cnotę, to przynajmniéj w szczery, niekłamany zapał jednostek. Przyjaciele ufali sobie, a nieprzyjaciele nienawidzili się, ale nie wątpili, że działają z przekonania, pod wpływem fanatyzmu lub niepohamowanego szału. Gdy Paryż płonął pod okiem Prusaków, gdy mordowano się na barykadach, gdy jeńcom nie dawano pardonu,

a zemstę wywierano na murach i pomnikach sławy, patryotom francuskim krwawiło się serce, złorzeczono szaleńcom, ale szaleństw ich nie brano za komedyę, odgrywaną za pruskie pieniądze. Dziś wszystko, co stanowiło jeszcze jakiś punkt oparcia wśród chaosu, wiruje w szalonym pędzie dokoła oszołomionego widza. Pieniądz, obejmując rząd nad społeczeństwem, pokruszył niewzruszone podstawy. Nauczono się to, co nieruchome było wieków, zamieniać na kapitał ruchomy. Spieniężano wszystko. To, czego złoto nie obaliło, obala dziś obawa przekupstwa. Powtarza się zjawisko, znane w czasach zarazy. Obawa choroby jest najdzielniejszym choroby sprzymierzeńcem.

Jakże obok tych złowrogich znamion chwili wyglądamy my sami? Rok, który dobiegł do kresu, nie był rokiem zwyczajnym, wyróżniającym się przez to jedynie, iż go w kalendarzu odmienna oznacza liczba. W pamięci naszéj pozostanie on na długo. Myśl zbiorowa społeczeństwa naszego pracowała w ciągu tych dwunastu miesięcy z natężeniem niezwykłém, a praca taka nigdy nie przemija bez śladów. Zmian tych nie dostrzega się z dnia na dzień. Są one drobne, niepozorne, zaledwie widoczne, dopiéro gdy cały okres przeminie, widzimy, żeśmy już nie ci sami.

Czy zmiana w nas zaszła na korzyść? Na pytanie to nie wahamy się odpowiedzieć twierdząco. Myśleliśmy przez ten czas o potrzebach naszego społeczeństwa i kraju nie częściéj niż dawniéj, ale myśleliśmy inaczéj, z większą rozwagą. Nie krążyliśmy dokoła przedmiotu trosk i nadziei naszych kręgiem fantastycznym, nie pieściliśmy się wątpliwemi hypotezami, lecz przekonani, że tylko znajomość możebnych warunków rozwoju chroni narody od samobójczych błędów, wnikaliśmy coraz głębiéj w labirynt krzyżujących się przyczyn i skutków, by szukać ścieżki, prowadzącéj na światło dzienne. Praca to mozolna, a dla umysłów niewprawnych denerwująca i powolnego wymagająca przygotowania. Zwolna wciągnęliśmy się do niéj wszyscy. Były między nami różnice zasadnicze, wielkie, rażące — były różnice tak co do ostatecznych wniosków, jak i co do metody rozumowania. Nie było różnic ani pod względem gorącej chęci przyniesienia pożytku krajowi, ani pod względem przekonania, że spokojném, krytyczném okiem zbadać należy siły i zasoby społeczeństwa, oraz drogi, otwiérające się przed niém. Ogół, nie zdając sobie jasno sprawy, przebiegł w krótkim czasie ewolucyę ogromną. Coraz rzadziéj spotykamy się z hasłami, gardzącemi zimnym, praktycznym rozumem politycznym, a dające-

mi pierwszeństwo uczuciom i natchnieniu. Zdaje się, że epoka, w któréj słyszéć je można było co dzień, oddalona już od nas dziesiątkami lat: w rzeczywistości skończyła się ona wczoraj. Nie należy się dziwić, iż rachunek polityczny nie daje każdemu rachmistrzowi jednakowych wyników. Jest to rzecz naturalna i inaczéj być nie może. Na razie zadowolić się musimy tém, iż potrzebę logicznego wyprowadzania wniosków w sprawach politycznych uznajemy wszyscy, że godzimy się na konieczność dawania rozumowi pierwszeństwa, i że polemika najgorętsza nawet toczy się dziś za pomocą argumentów, budowanych według praw logiki, nie zaś za pomocą zwrotów, czerpanych w dziełach poetów.

Wymiana myśli, niezmiernie w ciągu ostatniego roku ożywiona, dała nam przedewstkiém dwie cenne korzyści. Poznaliśmy dokładniéj potrzeby kraju, a powtóre poznaliśmy się lepiéj między sobą. Ogólny obraz tego, czego nam niedostaje, ogólny obraz biéd i braków wypełnił się i zaokrąglił. Jesteśmy dziś lepiéj przygotowani do pracy dla dobra powszechnego; na niejedno, czegośmy się domyślali, patrzymy już dziś, jako na rzecz znaną. Równocześnie zaś policzyliśmy się i ocenili potrosze. Ludzie, którzy dawniéj spotykając się przez lat kilkanaście, wiedzieli tylko o swoich przymiotach towarzyskich, odsłonili teraz przed sobą swe przekonania i dowiedzieli się, czy mogą się wzajemnie wspierać. Indywidualizmy zaznaczyły się silniéj. Obok różnicy w poglądach uwydatniły się także różnice w rodzaju uzdolnienia, w temperamentach i skłonnościach. Między czynnikami społecznemi miejsce naczelne, mimo kilkakrotnéj degradacyi, zajmuje zawsze człowiek. Gdy wiemy, jakich kraj ma obywateli, poznaliśmy najważniejszą z jego sił społecznych.

Czy to ocknięcie się myśli politycznéj nie ma i stron ujemnych?

Widzimy przedewszystkiém jedną. Społeczeństwo, nieoswojone z polemiką w sprawach politycznych, nieprzyzwyczajone do parlamentarnego zbijania przeciwników, musiało przejść przez fazę gorączkowego wstrząśnięnia. Dopiéro dłuższe doświadczenie wyrabia zimną krew i uczy słuchać spokojnie, zdań przeciwnych, a tolerować upór tych, których przekonać nie możemy. Ci, którym wypada stawiać pierwsze kroki, nie mogą odrazu zdobyć się na tyle cnót. Nietolerancya, plotkarstwo polityczne, zaciekłość w osądzaniu przeciwnika: wszystkie wady będace gdzieindziéj udziałem tłumu, bywają w społeczeństwach, niedostatecznie ostrzelanych z wrażeniami politycznemi, właściwością nawet niepoślednich umysłów. Całych lat

trzeba, ażeby ogół inteligentny zrozumiał, że ani obelżywe przezwiska, ani hałaśliwe gniewy, ani ubliżające a niesprawdzone podejrzenia nie zabijają nigdy idei, ani nie nawrócą nikogo. Drogą tą dochodzi się do chwilowych, pozornych tryumfów, ale nie do ostatecznego zwycięstwa. Rozumiemy to wybornie, gdy idzie o ludzi odciętych od nas miedzą. Przez lat trzydzieści dziwiło się Królestwo Galicyi, że traci tyle czasu, psuje sobie tyle krwi i ekspensuje tyle atramentu po to tylko, by wmawiać w siebie i drugich, że posiada między swymi mieszkańcami tylu okropnych zbrodniarzy, tylu ludzi frymarczących dobrem publiczném, tylu szaleńców, gotowych zagrzebać się każdéj chwili pod gruzami wspólnéj budowy. Warszawianin, rozejrzawszy się po Krakowie, pojmował odrazu, że ani Stańczycy ustawiczném łajaniem nie zabijają postępu, ani postępowcy oskarżeniami swemi nie pognębią Stańczyków, a powróciwszy do Warszawy, zaśmiéwał się do rozpuku, gdy mu wypadło opowiadać, że w tamtym barbarzyńskim kraju ludzie odmiennych przekonań nie widują się, nie gadają do siebie, nie bywają w tych samych domach, że stowarzyszenia, resursy, nawet sale gimnastyczne i towarzystwa kredytowe, miewają tam barwę stronniczą, że każda gospodyni domu siedzi, jak na szpilkach, gdy przypadkiem w jéj salonie demokrata zejdzie się z konserwatystą. Niedawne to jeszcze czasy, a jednak ileż się zmieniło. Powiadają, że w Krakowie i we Lwowie jest dziś pod tym względem lepiéj. Bądź co bądź, Warszawa przestała się bawić temi śmiesznościami Galicyan. Łatwiéj krytykować innych, niż samemu ustrzedz się błędu.

W życiu towarzyskiém byliśmy zawsze skłonni do wydawania z lekkiém sercem stanowczych sądów o ludziach. Ulegaliśmy dziwnéj próżności chwalenia się, iż żadna plotka, obiegająca Warszawę, nie jest nam obcą. Dziś jeszcze co krok spotykamy ludzi, którzy uważaliby sobie za ujmę przyznać się, że nie znają konceptu, powtarzanego przez całe miasto. Cóż dopiéro, jeżeli się nadarza sposobność popisania się dowcipem, choćby dowcip ten miał być pospolitym paszkwilem. Już Montesqieu powiedział: *Quand on court après l'esprit, on attrape la sottise.* Wielka ta prawda mało jest u nas znana.

Wszystkie te niedobre nawyczki wnosimy żywcem do rozpraw politycznych. Wyobrażamy sobie, że to, co nigdzie nie wydawało owoców dobrych, może na naszéj niwie dać plon pożyteczny i posilny. Złośliwy wymysł jest dla nas bawidełkiem, z którém igramy lekkomyślnie, jak dziecko z pudełkiem zapałek. Nie posiadamy się z uciechy, gdy nam kto przyniesie z miasta świeżą anegdotkę, choć

wiemy, że nie ma w niéj ani źdźbła prawdy, choć czujemy, że zawiéra w sobie piekielną krzywdę dla człowieka, zasługującego na szacunek;—powtarzamy ją bez wyrzutu sumienia, a nazajutrz oburzamy się i miotamy gromy na Warszawę, gdy spostrzeżemy, że znaleźli się ludzie, którzy naiwnéj bajce wierzą. Lepiéj pono nie powtarzać niemądrych konceptów, niż miéć poniewczasie pretensye do tych, którzy je biorą na seryo.

Lekkomyślność opinii publicznéj była właśnie ostatniemi czasy przedmiotem zasłużonéj chłosty z powodu kilku tragicznych wypadków. Pojedynki, zdarzające się w naszym kraju od czasu do czasu, stały się od kilku miesięcy tak częste, iż każdy, kto zwykł badać przyczyny zjawisk społecznych, musiał mimowoli zadać sobie pytanie, czy w danych wzrunkach nie możnaby zmniejszyć ich liczby, czy ten haracz krwi młodéj, przelewanéj dla zadosyćuczynienia prawom honoru, musi być tak obfity, i czy przynajmniéj nie można zapobiedz rozpowszechnianiu się tych zapasów, okrywających żałobą rodzinę, a wyrywających społeczeństwu siły młode, mogące służyć krajowi w przyszłości. Rozprawa o stanowczém wykorzenieniu pojedynków nie miała by dziś jeszcze praktycznego celu. Daleki jeszcze jest dzień, w którym społeczeństwo nasze, podobnie jak już dzisiaj angielskie, będzie słuchało o nich, jako o rzeczy, znanéj tylko z opowiadania. Pojęć, wpojonych przez długą tradycyę, nie wykorzenia się odrazu. Natomiast można i trzeba starać się o to, ażeby zniknęły raz na zawsze z powierzchni ziemi te wszystkie pojedynki, które według dzisiejszych pojęć o honorze nie są nieuniknione. Przed kilku laty ukazał się w „Kraju“ artykuł p. Stanisława Wydżgi, który mówiąc o środkach zapobiegawczych, dowodzi, iż jednym z najskuteczniejszych, byłoby przyjęcie istniejącego już w niektórych armiach zwyczaju, według którego przed każdym pojedynkiem zbiera się sąd honorowy, by orzec, czy należy dopuścić do rozprawy z bronią w ręku. Od owego czasu zwyczaj ten rozpowszechnił się zagranicą jeszcze bardziéj. W Niemczech każdy już prawie pojedynek poprzedzany bywa takiém orzeczeniem sądu. O ile zasada ta zastosowana będzie w całéj rozciągłości, społeczeństwo pozyska rękojmię, że młodzież nie naraża życia w wypadkach, w których przyczyną pojedynku jest tylko porywczość chwilowa lub przesadna drażliwość.

Te właśnie pojedynki, wywołane przez krewkość młodzieńczą, miéwa często na sumieniu opinia publiczna. Z niepojętą lekkomyślnością mówi się u nas o każdym pojedynku, niezakończonym śmiercią lub kalectwem, a mówi się o nim słowami żartobliwéj

satyry, niekiedy lekceważenia. Pojedynek o łagodnych warunkach, to dziecińtwo, farsa, przedewszystkiém dla tych, co sami nigdy nie stali na placu. Ale niech taki pojedynek zamieni się nagle w rozprawę śmiertelną, niech lekka na pozór rana stanie się przyczyną śmierci, ta sama lekkomyślność sądu zwraca się nagle z furyą w kierunku przeciwnym. Ci, co lękając się rózeg opinii, żądali warunków ostrych, stają teraz przed trybunałem téj wielkiéj winowajczyni, a tu nie ma dla nich ani wyrozumiałości, ani współczucia. Umié ona być surową i prawić morały tym, których sama pchała do czynu.

Na te chorobliwe zboczenia opinii publicznéj dobrém bywa lekarstwem praca zbiorowa na wspólnym łanie. Przykuwa ona myśl do rzeczy ważnych, uczy skromności, a wkładając na jednostki odpowiedzialność za cząstkę całéj roboty, zmusza je do poważniejszego zapatrywania na cele życia społecznego. Niepodobna bez prawdziwego zainteresowania przebiegać okiem sprawozdań z takich prac w tych prowincyach i krajach, gdzie prawodawca stworzył arenę dla działalności zbiorowéj, nadając jéj odpowiednią organizacyę.

Oto mamy przed sobą urzędowy zbiór wszystkich budżetów ziemskich w Rosyi za r. 1895. Ciekawa to i pouczająca książka. W trzydziestu czterech guberniach, obdarzonych samorządem, wydatki ziemstw gubernialnych i powiatowych wyniosły razem 66 milionów rubli. Wymowniejsze od téj cyfry ogólnéj są jéj części składowe. Mówią nam one przedewszystkiém o zapatrywaniach społeczeństwa na ważność pojedynczych działów budżetu, mówią nam o skali, którą ono mierzy swe potrzeby, zarazem atoli przekonywają nas, że wszelki rozwój musi być zawsze stopniowy i powolny, że poczucié tych potrzeb nie ogarnia równomiernie całego narodu, rozsianego na olbrzymiéj przestrzeni, i krzewi się pomału. Obok obszarów, na których samorząd ziemski rozrasta się bujnie, mamy inne, na których wegetuje słabiéj. Wczytawszy się w te kolumny liczb, widzimy, jak wiele potrzeba czasu, by wszyscy mieszkańcy tak rozległych ziem przejęli się równą chęcią łożenia ofiar, które nie mogą od pierwszéj zaraz chwili dawać widomych rezultatatów.

Ogólną cechą budżetów ziemskich jest zdumiewająco wysoki procent wydatków na utrzymanie zdrowia ludności i niesienie pomocy chorym. W roku, o którym mowa, wszystkie ziemstwa wydały na ten cel 18 milionów rs. czyli przeszło 27% budżetu. Zjawisko to widzimy na całym obszarze, równie w guberniach, mających sute budżety, jak i w tych, które szczuplejszemi rozporządzają su-

mami. Troska o zdrowotność wystąpiła na plan pierwszy i opanowała wszystkie ziemstwa.

Obok tych pokaźnych wydatków skromnie przedstawia się suma 9 milionów, przeznaczona na oświatę. W tym też właśnie dziale uderzają nas ogromne różnice między poszczególnemi częściami państwa. W gub. wiackiéj pochłania oświata 22% wydatków, a w bessarabskiéj tylko 7%.

Jak z jednéj strony dbałość o opiekę nad chorymi, tak z drugiéj pewna obojętność względem polepszenia środków komunikacyi przebija w budżetach ziemskich. W roku 1895 wydano na drogi na całéj powierzchni ziem, cieszących się samorządem, niespełna 4 miliony rs. Suma ta tonie w tych bezgranicznych płaszczyznach. I w tym dziale przeciwieństwa są ogromne. W guberni połtawskiéj wyniósł ten wydatek 441,000 rs, w bessarabskiéj tylko 9,000 rs.! W téj ostatniéj spotykamy dwa ziemstwa powiatowe, które żadnych na ten cel nie uchwaliły funduszów.

Czas płynie szybko, a na dokonanie dzieł wielkich potrzeba go tak wiele. Myśląc o tych liczbach, odczuwamy, jak droga jest każda chwila, jak opłakane w skutkach każde opóźnienie robót, jak ważny każdy krok naprzód i jak nierozsądne lekceważenie najdrobniejszego nawet postępu.

Do porównań nadają się bardziéj liczby, wyjęte z budżetów miejskich. Petersburg według budżetu na rok 1894 wydał w tym roku na szkoły początkowe i rzemieślnicze 693,000 rs, na średnie i wyższe 58,000. Rzuciwszy okiem w stronę inną, widzimy, że we Lwowie wydatki miejskiego funduszu szkolnego w budżecie na rok 1896 wynosiły 469,751 złr. Jakże wygląda dział oświaty w budżecie gminnym miasta Warszawy? W roku ubiegłym stanowią one sumę 158,000 rs., w roku bieżącym 202,000 rs. Daleką jeszcze w porównaniu z innemi miastami mamy przed sobą drogę do przebycia. Znaczne czekają nas ofiary, jeżeli dorównać im mamy.

A życie wielkiego miasta płynie tymczasem to szerszém to węższém korytem, niosąc mieszkańcom wrażenia smutne i wesołe, dając im strawę wszelaką.

Kronika artystyczna Warszawy zanotowała w tym właśnie czasie kilka wypadków ważnych. W teatrze Wielkim mieliśmy pierwsze przedstawienie nowéj opery polskiéj, opery oczekiwanéj od tak dawna, witanéj goręcéj, niż którakolwiek ze sztuk, grywanych ostatniemi laty, słuchanéj, studyowanéj, rozbieranéj przez znawców i miłośników z zapałem, z roskoszą, z wytrwałością. Nie czujemy się powołani do wydawania sądu o samém dziele. Dla

nas ma znaczenie fakt, że siła twórcza, torująca sobie w naszym świecie umysłowym drogę w tylu innych kierunkach, zagarnia i tę dziedzinę, na któréj przed laty stawiała niespożyte pomniki. Pole opery polskiéj nie będzie leżało odłogiem.

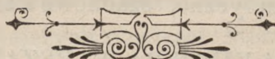
W dramacie i komedyi odbyła się zmiana naczelnéj władzy Nie wiele znajdzie się w Warszawie instytucyi, posiadających tyle prawdziwéj życzliwości społeczeństwa, co teatr Rozmaitości. Był czas, kiedy mówiono i pisano o nim nieustannie, chwalono się nim przed obcymi, podnoszono znaczenie jego do wyżyn, na których inne narody nie umieszczają swych teatrów. Dziś mniéj o nim mówimy. Czyż ma to znaczyć, że mniéj o niego dbamy? Wniosek byłby powierzchowny i błędny. O tém, co sercu drogie, chętnie się mówi wówczas, gdy z czystém sumieniem można same głosić pochwały.

Teatr Rozmaitości nie jest tém, czém był. A jednak jest on jeszcze dzisiaj, jak dawniéj, magnesem dla każdego aktora polskiego i każdéj aktorki polskiéj, ma on tę samą, co dawniéj, publiczność, wierną mu, wdzięczną za każdy błysk talentu, za każdą nowość w repertuarze, ma wreszcie przez całą jesień i zimę tak cenny dla teatrów przywiléj, chroniący go od współzawodnictwa. Na miasto, liczące sześćkroć stotysięcy mieszkańców, miasto ściągające z dalekich stron publiczność, żądną przedstawień teatralnych, mamy od września do maja jedną tylko scenę, otwartą dla dramatów i poważnéj komedyi. Scena taka może być bardzo dobra; wymagać tego mamy prawo. Mamy prawo żądać, ażeby żaden talent nie kołatał napróżno do jéj bram, ażeby przeszkodą do występowania na niéj nie była ani młodość aktorki, ani wziętość aktora; mamy prawo żądać, ażebyśmy nie potrzebowali czekać na przyjazd trupy łódzkiéj lub poznańskiéj, jeżeli chcemy wiedziéć, jakie są nowości dramatyczne w literaturze zagranicznéj. Dzienniki powtórzyły mowę nowego prezesa, który położył w niéj nacisk na to, że protekcyą kierować się nie będzie. Oby znaczenie tego wyrazu stało się odtąd nieznane w murach teatru. Obyśmy nigdy nie domyślali się jéj wpływu, ani w dobiéraniu sztuk, ani w obsadzie ról, ani w angażowaniu sił nowych.

Sale resursy obywatelskiéj, które od roku z biegiem niepomyślnych okoliczności dostępują zaszczytu ugaszczania wystawy sztuk pięknych, ożywiły się nagle w ciągu téj zimy. Po wystawie Kamieńskiego, bardzo zajmującéj, bardzo odbijającéj od tego, co się u nas widuje, a bardzo wiele jeszcze obiecującéj, przyszła koléj na Józefa Brandta, a równocześnie na wystawę zbiorową, któréj głos ogółu nadał już miano krakowskiéj. Co do nas mieliśmy szczęście.

Odwiédzaliśmy ją parę razy i zawsze było pełno. Dało nam to miłe złudzenio, iż publiczność warszawska wié, co jéj przysłano, iż odczuła, że takich rzeczy nie ogląda codzień. Takich Aksentowiczów, Fałatów, Chełmońskich nie mamy na zawołanie. Rzadziéj jeszcze miéwamy tak, jak na téj wystawie, możność wejrzenia w głąb kuźni artystycznéj, oglądania prób, które nam pokazują, jak się myśl artystyczna rodzi, jak zniewala rękę, jak technika szuka środków, by myśli módz wiernie służyć. Czy z tego, że wystawę odwiedzano, mamy prawo wnosić, że sztukę zaczynamy dziś na prawdę rozumiéć? Pytania, które się nam o uszy obiły, mogłyby budzić niejaką wątpliwość. „Dlaczego oni malują portrety?” „Dlaczego mówi się o wystawie obrazów, kiedy tam wystawiono i szkice?” „Dlaczego to nazywają wystawę krakowską, kiedy Chełmoński w Krakowie nie mieszka?” Są to pytania bardzo logiczne, bardzo uzasadnione, mają tylko tę wadę, iż budzą w nas zdziwienie, że po zwiédzeniu takiéj wystawy mogą wogóle komuś przyjść do głowy. Pokazuje się, że w poglądach na sztukę tradycya ma także wpływ ogromny. Kiedy lat temu trzydzieści Matejko olśnił świat „Rejtanem”, ludzie bardzo rozumni i pragnący gorąco rozwoju sztuki, uważali za rzecz stosowną męczyć siebie i drugich pytaniem: „Dlaczego on wybrał taką właśnie scenę?” Każdy ma prawo się pytać, bywają atoli pytania, rzucające od razu całe smugi światła na otoczenie, w którém pytający wyrósł, rozwijał swoje pojęcia i znajdował dla siebie wzory.

Tadeusz Smarzewski.



Wydawca: *W. Spasowicz.*
Za Redakt.: *W. Spasowicz* i *Stanisław Wydżga.*

Дозволено Цензурою. Варшава, 15 Января 1898 г. — Druk Jana Cotty.



NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „ATENEUM”.

1. *Józef Kotarbiński.* **Niezdrowa miłość.** Szkice obyczajowo-psychologiczne. Warsz., nakł. Gebethnera i Wolffa, 1898, 8-vo, str. 360.
2. *Ignacy Matuszewski.* **Swoi i obcy.** Zarysy literacko-estetyczne. Warsz., nakł. Gebethnera i Wolffa, 1898, 8-vo, str. 512.
3. *S. Orgelbranda* **Encyklopedya powszechna** z ilustracyami i mapami. Zeszyt IV—XII (cena zesz. kop. 20, z przesyłką kop. 24).
4. **Dla sierot.** Książka zbiorowa, wydana staraniem Lubelskiego Towarzystwa dobroczynności. Warsz., 1897, 8-vo, str. 165.
5. *Plato v. Reussnera.* **Samouczek** polsko-ruski, zesz. XI—XIII (cena zesz. k. 10).
6. Obecne stanowisko **nauki o nerwicach** płciowych u mężczyzn. Napisał dr. *M. Misiewicz.* Warsz., 1897, 8-vo, str. 50.
7. **Gramatica di Nuove-Roman,** lingua universal inventad e construit par prof. *J. Puchner.* Linz (1897), 8-vo, str. 78.
8. **Encyklopedya rolnicza,** wydawana staraniem Muzeum przemysłu i rolnictwa. Zesz. 71 (Nawozy). Warsz., 1897 (str. 593—672).
9. **Wrażenia z pielgrzymki** do Ziemi świętéj przez ks. *Karola Niedziałkowskiego.* Petersb., nakł. księg. Grendyszyńskiego, 1898, folio, str. 513.
10. **Księgi humoru polskiego** zebrał i objaśnił *Kazim. Bartoszewicz.* Petersb., nakł. Grendyszyńskiego, 1897, 8-vo, t. I, str. 339; t. II, str. 336; t. III, str. 332; t. IV, str. 335, z portretami i autografami.
11. **Zygmunt Kaczkowski,** jego życie i działalność literacka. Przez *Piotra Chmielowskiego.* Petersb., nakł. Grendyszyńskiego, 1898, 8-vo, str. 140, z portretem (cena 30 kop.).
12. *Kazimierz Pułaski.* **Szkice** i poszukiwania historyczne. Serya druga. Petersb., nakł. Grendyszyńskiego, 1898, 8-vo, str. 350.
13. *Józef Jankowski.* **Rytmy i rymy.** Warsz., nakł. księg. Paprockiego i S-ki, 1898, 8-vo, str. 352.
14. **Petőfi Aleksander,** król poetów węgierskich. Przez *Plato v. Reussnera.* Warsz., nakł. autora, 1898, 8-vo, str. 100 (cena kop. 70).
15. **Obraz literatury polskiéj** w streszczeniach i celniejszych wyjątkach ułożył *P. Chmielowski.* Warsz., nakł. Gebethnera i Wolffa, 1898, 8-vo, zeszytów 6 (str. 480).
16. *Antoni Mazanowski.* **Przegląd** najnowszych badań z historyi literatury polskiéj (1893—1896). Kraków, nakł. Anczyca i Sp., 1897, 8-vo, str. 82.
17. **Dokładny słownik** języka polskiego i niemieckiego. Słownik polsko-niemiecki opracowali *Franciszek Konarski* i *Adolf Inlender,* z współudziałem d-ra *Alberta Zippera.* Warsz., Centnerszwer, 1898, 8-vo, zesz. 1, str. 32 (cena zeszytu kop. 30).
18. **Wojna polsko-ruska 1831 r.** Opracował *A. K. Puzyrewski,* gen. lejt. szt. gł. Warsz., nakł. M. Orgelbranda, 1897, 4-to. Zesz. I—III.
19. *Władysław Kruk.* **Dzienniczek Brońci.** Powiastka dla dzieci z ilustracyami. Warsz., nakł. księg. Paprockiego i S-ki, 1897, 8-vo, str. 137.
20. *Karol Hoffman.* **Nic nie ginie** (Dokończenie „Skazańca“). Obrazek. Warsz., w księg. Paprockiego i S-ki, 1898, 8-vo, str. 35.
21. *Józefa Ungra* **Kalendarz ilustrowany** na rok 1898; 4-to, kart nlb. 23 + str. XXVI + 72 + 30 + kart 5 + str. 24 + kart 27 + str. 9 i ogłoszenia.
22. Prvi usporedivači **sanskrita** sa slovenskim jezicima. Napisao dr. *M. Murko.* Zagrzeb, 1897, 8-vo, str. 13.

